

Ernest Hemingway

Pożegnanie z bronią

(Przełożył: Bronisław Zieliński)

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział I

Pod koniec tego lata zajmowaliśmy dom we wsi nad rzeką, za którą była równina i góry. W łożysku rzeki leżały kamienie i głazy, suche i białe w słońcu, a w kanałach nurtu woda była przezroczysta, wartka i błękitna. Koło domu przechodziły drogą oddziały wojsk, a wzbijany przez nie kurz opylał liście drzew. Pnie drzew też były pokryte kurzem; liście opadały wcześniej tego roku i widzieliśmy wojsko maszerujące drogą, skłębiony kurz, poruszane przez wiatr i opadające liście, maszerujących żołnierzy, a później drogę pustą i białą, tylko zaslaną liśćmi.

Równina była urodzajna, pełna ogrodów owocowych, a za nią wznosiły się brunatne, nagie góry. W górach toczyły się walki i nocami widzieliśmy błyski artylerii. W ciemnościach przypominało to letnie błyskawice, ale noce były chłodne i nie miało się uczucia, że nadciąga burza.

Niekiedy słyszeliśmy w mroku maszerujące pod oknem wojsko i działa, które przejeżdżały za ciągnikami. W nocy ruch był duży, drogą szło wiele mułów ze skrzynkami amunicji przytroczonymi po obu stronach jucznych siodeł, jechały szare ciężarówki pełne żołnierzy i inne, wyładowane sprzętem przykrytym plandekami i poruszające się wolniej. W dzień przejeżdżały także ciężkie działa za ciągnikami, ich długie lufy przykryte były zielonymi gałęziami, na ciągnikach także leżały zielone gałęzie z liśćmi i pnącza. W kierunku północnym widać było za doliną las kasztanowy, a dalej drugą górę po tej stronie rzeki. O tę górę także toczyły się walki, ale bez powodzenia. Na jesieni, kiedy przyszły deszcze, wszystkie liście opadły z kasztanów i gałęzie były nagie, a pnie drzew poczerniały od deszczu. Winnice były rzadkie i też ogołoczone z liści, cała okolica mokra, bura, jesienna i martwa. Nad rzeką unosiły się opary, górę przesłaniały chmury, ciężarówki rozbryzgiwały błoto na drogach, a żołnierze szli w pelerynach, zabłoceni i przemoknięci. Karabiny mieli mokre, a podwójne, skórzane ładownice, umocowane z przodu na pasach – szare, skórzane ładownice, ciężkie od magazynków z cienkimi, długimi nabojami 6,5 mm – sterczały im pod pelerynami, tak że ludzie maszerujący drogą wyglądali niby w szóstym miesiącu ciąży.

Przejeżdżały też bardzo szybko małe, popielate samochody; zwykle obok szofera siedział w nich oficer, a w tyle paru innych. Rozbryzgiwały one jeszcze więcej błota niż

ciężarówki, a jeśli jeden z oficerów na tylnej ławce był bardzo drobny i siedział między dwoma generałami, tak mały, że nie widziało się jego twarzy, tylko czubek czapki i wąskie plecy, i jeżeli samochód przejeżdżał szczególnie szybko – był to najprawdopodobniej król. Kwaterował w Udine i prawie codziennie przejeżdżał tędy, ażeby sprawdzić, jak wszystko idzie, a wszystko szło bardzo niedobrze.

Na początku zimy przyszły stałe deszcze, a wraz z deszczami cholera. Opanowano ją jednak i w końcu tylko siedem tysięcy ludzi umarło na nią w armii.

Rozdział II

Następnego roku odniesiono wiele zwycięstw. Zdobyto górę po drugiej stronie doliny i wzgórze porośnięte kasztanowym lasem, zwyciężyliśmy też za równiną, na płaskowyżu w stronie południowej, i w sierpniu przeszliśmy rzekę i zakwaterowaliśmy się w Gorycji, w domu, przy którym była fontanna, obwiedziony murem ogród, a w nim wiele gęstych, cienistych drzew, i fioletowe pnącze wistarii na ścianie. Teraz walki toczyły się w najbliższych górach, nie dalej niż o milę. Miasteczko było przyjemne, a nasz dom bardzo ładny. Rzeka została za nami, miasteczko wzięto gładko, natomiast nie udało się zdobyć gór za nim. Cieszyłem się bardzo, że Austriacy najwyraźniej zamierzali kiedyś po wojnie wrócić do miasta, bo nie bombardowali go tak, aby je zniszczyć, tylko mierzyli w niektóre cele wojskowe. Ludność mieszkała tu nadal, były też kawiarnie i szpitale, a w bocznych ulicach artyleria i dwa burdele, jeden dla szeregowców, drugi dla oficerów. Z końcem lata zaczęły się chłodne noce, w górach za miastem trwały walki, żelazne przesła mostu kolejowego były poszczerbione granatami, tunel nad rzeką, gdzie przedtem toczyły się walki, leżał zawalony, dokoła skweru i wzdłuż długiej alei wiodącej do placu rosły drzewa. To wszystko, razem z faktem, że w mieście były dziewczyny, że przejeżdżał tędy autem król i że czasem widywaliśmy jego twarz, drobną figurkę z długą szyją i siwą bródką, podobną do koźlej – to wszystko wraz z niespodziewanie obnażonymi wnętrzami domów, które utraciły ściany wskutek bombardowania, zasypując tynkiem i gruzem ogrody, a czasem i ulicę, i to, że na Carso szło nam dobrze – sprawiało, że ta jesień bardzo różniła się od poprzedniej spędzonej w tych stronach. I wojna też była inna.

Dębowy las na górze za miastem zniknął. W lecie, kiedy przyjechaliśmy tutaj, był jeszcze zielony, ale teraz sterczały tylko kikuty drzew i potrzaskane pnie, a ziemia była zorana pociskami. Któregoś dnia pod koniec jesieni, poszedłszy tam, gdzie był ten las dębowy, zauważyłem chmurę wysuwającą się zza gór. Zbliżała się bardzo szybko, słońce pożółkło i zmatowiało, a potem zrobiło się szaro, niebo się zaciągnęło, chmura spłynęła z góry, i nagle znaleźliśmy się w niej, i zaczął padać śnieg. Wiatr niósł go ukośnie, śnieg pokrył nagą ziemię, sterczały spod niego kikuty drzew, leżał na działach i były w nim wydeptane ścieżki do latryn za okopami.

Później, wróciwszy do miasta, wyglądałem na padający śnieg przez okno burdelu oficerskiego, w którym siedziałem z przyjacielem przy butelce asti. Patrząc na śnieg, który opadał wolno i ciężko, widzieliśmy, że to już koniec na ten rok. Nie udało się

zdobyć gór za rzeką; nie wzięliśmy ani jednej z nich. Wszystko to zostało na następny rok.

Mój przyjaciel zobaczył naszego kapelana, który szedł ulicą, stąpając ostrożnie po mokrym śniegu, więc zaczął bębnić w szybę, aby zwrócić jego uwagę. Ksiądz podniósł głowę. Dojrzał nas i uśmiechnął się. Mój przyjaciel dał mu ręką znak, żeby wszedł. Kapelan pokręcił głową i ruszył dalej. Tego wieczora w mesie oficerskiej podano nam spaghetti, które wszyscy jedli bardzo szybko i w skupieniu, okręcając je na widelcu, póki pojedyncze pasemka nie oderwały się od reszty, a potem wsuwając je do ust, albo też stosując system nieprzerwanego podnoszenia i wsysania wargami. Nalewaliśmy sobie wino z oplatanego gąsiorka; przechylało się go w metalowej kołysce, naciskając szyjkę wskazującym palcem, i wtedy wino, jasnoczerwone, wyborne, o garbnikowym posmaku, lało się do kieliszka przytrzymywanego tą samą ręką. Po tym daniu kapitan zaczął docinać kapelanowi.

Ksiądz był młody, rumienił się łatwo i miał taki sam mundur jak my wszyscy, tylko z krzyżem z ciemnoczerwonego aksamitu nad lewą górną kieszenią szarej kurtki. Kapitan mówił uproszczonym włoskim językiem na mój wątpliwy benefis, chcąc, abym wszystko dokładnie zrozumiał, żeby nic się nie zgubiło.

– Ksiądz dzisiaj z dziewczynami – powiedział, zerkając na kapelana i na mnie. Kapelan uśmiechnął się, zaczerwienił i pokręcił głową. Kapitan często się z nim przekomarzał.

– Nieprawda? – zapytał kapitan. – Dziś ja widziałem ksiądz z dziewczynami.

– Nie – odparł kapelan. Pozostałych oficerów bawiły te docinki.

– Ksiądz nie z dziewczynami – ciągnął kapitan. – Ksiądz nigdy z dziewczynami – wyjaśnił mi. Wziął mój kieliszek i napełnił go, patrząc mi w oczy, ale jednocześnie zerkając na kapelana.

– Ksiądz co noc pięciu na jednego. – Wszyscy przy stole roześmiali się. – Rozumie pan? Ksiądz co noc pięciu na jednego. – Uczynił odpowiedni gest i zaśmiał się głośno. Kapelan przyjął to jako żart.

– Papież chciałby, żeby Austriacy wygrali wojnę – odezwał się major. – Bo on kocha Franciszka Józefa. Stamtąd przychodzą pieniądze. Ja jestem ateista.

– Czytaliście kiedy panowie *Czarną świnię*? – zapytał porucznik. – Wystaram się wam o egzemplarz. To właśnie podważyło we mnie wiarę.

– Wstrętna i podła książka – powiedział kapelan. – W gruncie rzeczy wcale się panu nie podobała.

– Bardzo cenna – odparł porucznik. – Pokazuje człowiekowi, czym są ci księża. Spodoba się panu – powiedział do mnie.

Uśmiechnąłem się do kapelana, a on także uśmiechnął się ponad świecą.

– Niech pan tego nie czyta – powiedział.

– Wystaram się o nią dla pana – rzekł porucznik.

– Wszyscy myślący ludzie są ateistami – oświadczył major. – Mimo to nie wierzę w masonerię.

– A ja wierzę – powiedział porucznik. – To szlachetna organizacja.

Ktoś wszedł i kiedy drzwi się otworzyły, dojrzałem przez nie padający śnieg.

– Teraz, jak przyszły śniegi, nie będzie już ofensywy – powiedziałem.

– Z pewnością – odrzekł major. – Powinien pan wziąć sobie urlop. Warto, żeby pan pojechał do Rzymu, do Neapolu, na Sycylię...

– Powinien odwiedzić Amalfi – powiedział porucznik.

– Dam panu kartkę do mojej rodziny w Amalfi. Pokochają pana jak syna.

– Warto, żeby pojechał do Palermo.

– Albo na Capri.

– Chciałbym, żeby pan zobaczył Abruzję i odwiedził moją rodzinę w Capracotta – powiedział ksiądz.

– Co on opowiada o Abruzji? Tam jest jeszcze więcej śniegu niż tutaj. Pan wcale nie ma ochoty oglądać chłopów. Niech jedzie do ośrodków kultury i cywilizacji.

– Powinien sobie wyszukać jakieś ładne dziewczyny. Dam panu adresy w Neapolu. Piękne, młode dziewczuszki... pod opieką mamuś, ha, ha, ha! – Kapitan rozcapierzył dłoń, podnosząc duży palec i rozstawiając pozostałe, jak wówczas kiedy się robi "zajączki". Cień jego dłoni padł na ścianę. Kapitan znowu przemówił swą uproszczoną włoszczyzną;

– Pan przychodzi tak – tu pokazał duży palec – a wraca tak – dotknął piątego palca. Wszyscy się roześmiali.

– Patrzcie – powiedział kapitan. Znowu rozcapierzył dłoń i znów światło świecy rzuciło jej cień na ścianę. Zaczął od dużego palca i dotykał kolejno pozostałych. – *Sotto-tenente* (duży palec), *tenente* (wskazujący), *capitano* (następny), *maggiore* (czwarty) i *tenente-colonello* (mały palec). Pan jedzie *sotto-tenente*, a wraca *sotto-colonello!**

* ... (wł.)

sotto-tenente - podporucznik, *tenente* - porucznik, *capitano* - kapitan, *maggiore* - major, *tenente-colonello* - podpułkownik.

Wszyscy się roześmiali. Palcowe dowcipy kapitana miały ogromne powodzenie.

Spojrzał na kapelana i krzyknął:

– Ksiądz co noc pięciu na jednego! – Roześmiano się znowu.

– Musi pan zaraz jechać na urlop – powiedział major.

– Chętnie bym wybrał się z panem i pokazał panu różne rzeczy – dodał porucznik.

– Wracając niech pan przywiezie gramofon.

– I dobre płyty operowe.

– Carusa!

– Niech pan nie przywozi Carusa. Bo on ryczy.

– Nie chciałbyś tak ryczeć jak on?

– Ryczy, powiadam wam, że ryczy!

– Chciałbym, żeby pan pojechał do Abruzji – odezwał się ksiądz. Inni coś krzyczeli. – Tam jest dobre polowanie. I ludzie by się panu podobali, a chociaż bywa chłodno, przecież jest pogodnie i sucho. Mógłby pan zamieszkać u mojej rodziny. Ojciec jest znanym myśliwym.

– No, chodźcie – powiedział kapitan. – Idziemy do burdelu, zanim zamkną.

– Dobranoc – powiedziałem do księdza.

– Dobranoc panu – odrzekł.

Rozdział III

Kiedy wróciłem na front, wciąż jeszcze kwaterowaliśmy w tym samym miasteczku. W okolicy stało o wiele więcej dział i nadeszła już wiosna. Pola były zielone, na winoroślach pojawiły się małe pędy, drzewa rosnące wzdłuż drogi wypuściły drobne listki, a od morza dolatywał powiew. Patrzyłem na miasto i wzgórze, na stary zamek, stojący w niewielkiej niecce wśród pagórków, i na góry, brunatne góry z odrobiną zieleni na stokach. W mieście zastałem więcej armat i parę nowych szpitali, na ulicach spotykało się Anglików, a czasem i Angielki, przybyło kilka domów rozwalonych pociskami artyleryjskimi. Było ciepło i wiosennie, szedłem uliczką między drzewami, czułem, jak promieniują nagrzane słońcem mury, i przekonałem się, że nadal zajmujemy ten sam dom i że wszystko tu wygląda tak jak wtedy, gdy wyjeżdżałem. Drzwi były otwarte, przed domem, w słońcu, siedział na ławce jakiś żołnierz, u bocznego wejścia czekała sanitarka, a kiedy wszedłem do środka, poczułem zapach marmurowych podłóg i szpitala. Wszystko wyglądało tak jak w chwili mojego odjazdu, tyle tylko że teraz była wiosna. Zajrzałem przez drzwi do dużego pokoju i zobaczyłem majora siedzącego za biurkiem przy otwartym oknie, przez które wpadało światło słoneczne. Nie zauważył mnie i nie wiedziałem, czy wejść i zameldować się, czy też najpierw pójść na górę i doprowadzić się trochę do ładu. Postanowiłem iść na górę.

Pokój, który dzieliłem z porucznikiem Rinaldim, wychodził na podwórze. Okno było otwarte, moje łóżko posłane i przykryte kocem, a rzeczy wraz z maską gazową w podłużnej puszcze blaszanej i stalowym hełmem wisiały na ścianie na tym samym kołku. W nogach łóżka stał mój płaski kuferek, a na nim zimowe buty, których skóra lśniła od tłuszczu. Nad łóżkami wisiał mój austriacki karabinek strzelca wyborowego z ośmiograniastą lufą oksydowaną na niebiesko i piękną, ciemnoorzechową kolbą, zaopatrzoną w poduszkę policzkową. Pamiętałem, że należąca do niego luneta zamknięta jest w kufierku. Porucznik Rinaldi leżał na drugim łóżku i spał. Kiedy usłyszał, że jestem w pokoju, przebudził się i usiadł.

– *Ciao!* – powiedział. – Jak się panu powodziło? Uścisnęliśmy sobie dłonie, a on objął mnie za szyję i ucałował.

– Uff! – odsapnąłem.

– Brudny pan jest – powiedział. – Trzeba się umyć. Gdzie pan był i co robił? Proszę mi zaraz wszystko opowiedzieć.

– Byłem wszędzie. W Mediolanie, Florencji, Rzymie, Neapolu, Villa San Giovanni, Mesynie, Taorminie...

– Gada pan, jakby recytował rozkład jazdy. Miał pan jakieś piękne awanturki?

– I owszem.

– Gdzie?

– W Mediolanie, Florencji, Rzymie, Neapolu...

– Wystarczy. Niech pan naprawdę powie, która była najlepsza.

– W Mediolanie.

– To dlatego, że pierwsza z kolei. Gdzie pan ją spotkał? W "Covie"? Dokąd poszliście? Jak panu smakowało? Proszę mi zaraz wszystko opowiedzieć. Czyście spędzili razem całą noc?

– Tak.

– To jeszcze nic. Tutaj mamy teraz piękne dziewczyny. Nowe dziewczyny, które nigdy nie były na froncie.

– Nadzwyczajne.

– Nie wierzy pan? Pójdziemy razem po południu, to pan zobaczy. A w mieście są piękne Angielki. Obecnie jestem zakochany w niejkiej pannie Barkley. Złożymy jej razem wizytę. Prawdopodobnie ożenię się z tą panną Barkley.

– Muszę się umyć i zameldować. Czy teraz nie ma tu nic do roboty?

– Od pana wyjazdu nie było nic oprócz lżejszych i cięższych odmrożeń, żółtaczki, trypra, samookaleczeń, zapalenia płuc oraz twardych i miękkich szankrów. Każdego tygodnia ktoś jest ranny odłamkami skał. Mamy także kilku naprawdę rannych. W przyszłym tygodniu wojna zaczyna się na nowo. Możliwe, że się zacznie. Tak powiadają. Myśli pan, że dobrze bym zrobił, żeniąc się z tą panną Barkley – po wojnie, oczywiście?

– Bezwzględnie – odparłem i nalałem wody do miednicy.

– Dziś wieczorem wszystko mi pan opowie – rzekł Rinaldi. – Teraz muszę się jeszcze przespać, żeby wyglądać świeżo i pięknie dla panny Barkley.

Zdjąłem kurtkę i koszulę i obmyłem się w zimnej wodzie w miednicy. Wycierając się ręcznikiem rozglądałem się po pokoju, patrzyłem przez okno i na Rinaldiego, który leżał z zamkniętymi oczami na łóżku. Był przystojny, w moim wieku i pochodził z Amalfi. Z zamiłowaniem pełnił swoje funkcje chirurga i przyjaźniliśmy się bardzo. Kiedy na niego patrzyłem, otworzył oczy.

– Ma pan trochę forsy?

* "Cova"

znana mediolańska kawiarnia, miejsce spotkań literatów i dziennikarzy.

– Owszem.

– Niech mi pan pożyczy pięćdziesiąt lirów.

Wytarłem ręce i wyjąłem portfel z wewnętrznej kieszeni wiszącego na ścianie munduru. Rinaldi wziął banknot, złożył go, nie podnosząc się z łóżka, i wsunął do kieszeni spodni. Uśmiechnął się.

– Muszę sprawić na panie Barkley wrażenie człowieka zamożnego. Pan jest moim wielkim, najlepszym przyjacielem i finansowym opiekunem.

– Idź pan do diabła – powiedziałem.

Tego wieczora w mesie oficerskiej siedziałem obok kapelana. Był rozczarowany i niespodziewanie urażony, że nie pojechałem do Abruzji. Napisał do ojca, że mam przyjechać, i poczyniono tam przygotowania. Mnie samemu było równie przykro jak i jemu i nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie pojechałem. Chciałem przecież to zrobić, więc starałem się mu wytłumaczyć, jak jedna rzecz pociągała za sobą drugą, i w końcu zrozumiał, i uwierzył, że naprawdę miałem chęć tam pojechać, i wszystko już było prawie zupełnie w porządku. Wypiłem sporo wina, potem kawy i stregi, i tłumaczyłem, lekko zamroczony, że nikt nie robi tego, na co ma ochotę, bo nigdy mu się to nie udaje.

My dwaj rozmawialiśmy, a tymczasem reszta się spierała. Chciałem pojechać do Abruzji. Ale nie pojechałem tam, gdzie drogi były zamarznęte i twarde jak żelazo, gdzie było pogodnie, zimno i sucho i leżał sypki śnieg poznaczony tropami zajęcy, gdzie chłopci zdejmowali kapelusze i nazywali cię jaśnie panem, i gdzie było dobre polowanie. Nie pojechałem w takie miejsce, tylko tam, gdzie były zadymione kawiarnie, po nocach pokój wirował i musiałeś spojrzeć na ścianę, ażeby go zatrzymać, gdzie noce spędzałeś w łóżku, pijany, wiedząc, że to jest wszystko, co możesz mieć, i doznawałeś dziwnego uczucia, gdy budząc się, nie miałeś pojęcia, kto leży przy tobie – gdzie świat wydawał się nierzeczywisty w ciemnościach i tak podniecający, że nocami trzeba było na powrót pogрузić się w nieświadomości i nie dbać o nic, wiedząc, że to jest wszystko, wszystko, i nie myśląc o niczym. I nagle zaczynałeś się bardzo martwić, gdzieś nad ranem budziłeś się z tym ze snu, i nie miałeś już nic, wszystko było ostre, twarde, wyraźne, i czasem jeszcze wynikała sprzeczka o zapłatę. Kiedy indziej znów miło, czule, ciepło i razem śniadanie i obiad. Albo też znikał wszelki urok i z ulgą wychodziłeś na ulicę, ale zawsze zaczynało się to od nowa i znów był taki sam dzień i noc. Próbowałem opowiedzieć o nocy i o różnicy między nocą a dniem, i o tym, że noc wydawała się lepsza, chyba że dzień był bardzo czysty i chłodny, ale nie potrafiłem tego opowiedzieć, tak jak nie potrafię i teraz. Jeżeli jednak przeżyło się coś podobnego, to się wie. Kapelan tego nie przeżył, ale zrozumiał, że naprawdę chciałem pojechać do Abruzji, choć tego nie

zrobiłem, i nadal pozostaliśmy przyjaciółmi o wielu podobnych upodobaniach, chociaż istniała między nami różnica. On zawsze wiedział coś, czego ja nie wiedziałem, a dowiedziawszy się, zawsze potrafiłem zapomnieć. Jednakże wówczas nie miałem o tym pojęcia i dowiedziałem się dopiero później. Tymczasem siedzieliśmy w mesie, skończyliśmy już jeść, ale dyskusja trwała. My dwaj przestaliśmy rozmawiać i kapitan zawołał:

- Ksiądz nieszczęśliwy! Ksiądz nieszczęśliwy bez dziewczyn!
- Ja jestem szczęśliwy – powiedział kapelan.
- Ksiądz nieszczęśliwy. Ksiądz chce Austriacy wygrać wojnę – odparł kapitan.

Pozostali nastawili ucha. Kapelan potrząsnął głową.

- Nie – powiedział.
- Ksiądz chce, żebyśmy nigdy nie atakowali. Prawda, że ksiądz nie chce, żebyśmy atakowali?

– Nie. Uważam, że musimy atakować, jeżeli jest wojna.

– Musimy atakować. Będziemy atakować!

Ksiądz kiwnął głową.

– Zostawcie go – powiedział major – to porządny chłop.

– I tak nic na to nie poradzi – oświadczył kapitan. Wszyscy wstaliśmy od stołu.

Rozdział IV

Rano zbudziła mnie bateria ustawiona w sąsiednim ogrodzie; zobaczyłem słońce wpadające przez okno i wstałem z łóżka. Podeszedłem do okna i wyjrzałem. Wyżwirowane ścieżki były wilgotne, a trawa mokra od rosy. Bateria dała dwa razy ognia i dwukrotnie podmuch uderzył we mnie, wstrząsnął szybami i targnął połami mojej piżamy. Nie widziałem armat, ale najwyraźniej strzelały prosto nad nami. Nieprzyjemnie było je mieć tak blisko, ale pocieszyłem się myślą, że nie są większe. Wyglądając na ogród usłyszałem, że na drodze rusza ciężarówka. Ubrałem się, zszedłem na dół, wypilem trochę kawy w kuchni i udałem się do garażu.

Pod długą szopą stało rzędem dziesięć samochodów, jeden obok drugiego. Były to tęponose sanitarki o ciężkim nadwoziu, pomalowane na szaro i zbudowane podobnie do platform meblowych. Przy jeszcze jednej, stojącej na podwórku, pracowali mechanicy. Trzy inne były w górach, na punktach opatrunkowych.

– Czy oni kiedy ostrzeliwują tę baterię? – zapytałem jednego z mechaników.

– Nie, *signor tenente*. Osłania ją tamten pagórek.

– Jak wam się wiedzie?

– Nie najgorzej. Ta maszyna jest do niczego, ale inne są na chodzie. – Przerwał robotę i uśmiechnął się. – Był pan na urlopie?

– Tak.

Otarł ręce o sweter i wyszczerzył zęby.

– Dobrze było?

Pozostali uśmiechnęli się także.

– Doskonale – odpowiedziałem. – A co jest z tą maszyną?

– Szelc. Psuje się jedno po drugim.

– A teraz czego jej brakuje?

– Trzeba dać nowe pierścienie.

Pozostawiłem ich przy pracy nad wozem, który wyglądał żałośnie i pusto z podniesioną maską i częściami rozłożonymi na stole warsztatowym, wszedłem pod szopę i obejrzałem kolejno wszystkie samochody. Były stosunkowo czyste, kilka świeżo wymyto, reszta stała pokryta kurzem. Przejrzałem starannie opony, szukając dziur lub wgnieceń od kamieni. Wszystko zdawało się być w dobrym stanie. Najwidoczniej było obojętne, czy jestem tu, aby sprawować nadzór, czy też mnie nie ma. Wyobrażałem sobie, że stan samochodów, uzyskiwanie różnych części, gładkie funkcjonowanie

transportu rannych i chorych z punktów opatrunkowych, zwożenie ich z gór do punktu rozdzielczego, a potem rozprawianie do szpitali wymienionych na ich kartkach – zależało w znacznej mierze ode mnie. Okazało się, że nie ma żadnej różnicy, czy jestem tutaj, czy nie.

- Mieliście trudności z dostawianiem części? – zapytałem sierżanta–mechanika.
- Nie, *signor tenente*.
- Gdzie teraz jest skład benzyny?
- Tam gdzie dawniej.
- Dobra – powiedziałem i wróciłem do domu.

Przy stole w mesie wypilem jeszcze jedną filiżankę kawy. Była jasnoszara i słodka od skondensowanego mleka. Na dworze był piękny wiosenny poranek. Zaczynało się czuć tę suchość w nozdrzach, która zapowiada, że dzień będzie później gorący. Tego dnia odwiedziłem placówki w górach i wróciłem do miasta późnym popołudniem.

Wszystko najwyraźniej szło lepiej, kiedy mnie nie było. Dowiedziałem się, że ma znowu ruszyć ofensywa. Dywizja, do której byliśmy przydzieleni, miała nacierać na pewnym odcinku w górze rzeki i major powiedział mi, że na czas ataku obejmę nadzór nad placówkami. Natarcie przejdzie przez rzekę powyżej wąskiego wąwozu i rozwinie się na wzgórzach. Stanowiska samochodów powinny być tak blisko rzeki, jak tylko uda się dotrzeć w ukryciu. Wybierze je oczywiście piechota, ale my musimy to wykonać. Była to jedna z rzeczy, które dawały człowiekowi fałszywe poczucie służby żołnierskiej.

Byłem bardzo brudny i zakurzony i poszedłem do swego pokoju, żeby się umyć. Na łóżku siedział Rinaldi z egzemplarzem gramatyki angielskiej Huga. Miał na sobie mundur i czarne buty, włosy mu lśniły.

– Świetnie – powiedział, kiedy mnie zobaczył. – Pójdzie pan ze mną do panny Barkley.

- Nie.
- I owszem. Proszę, żeby pan poszedł i zrobił na niej dobre wrażenie.
- No, dobrze. Niech pan zaczeka, aż się doprowadzę do porządku.
- Umyj się pan i chodź tak, jak jesteś.

Umyłem się, przyczesalem włosy i ruszyliśmy do wyjścia.

– Chwileczkę – powiedział Rinaldi. – A może się napijemy? – Otworzył kuferek i wyjął z niego butelkę.

- Byle nie stregi – powiedziałem.
- Nie, grappy.
- Doskonale.

Nalał dwie szklaneczki i tręciliśmy się wyciągając wskazujące palce. Grappa była bardzo mocna.

– Jeszcze po jednej?

– Dobrze – odpowiedziałem.

Wypiliśmy drugą szklaneczkę. Rinaldi schował butelkę i zesliśmy na dół. Gorąco było iść przez miasto, ale słońce zaczynało zachodzić i robiło się bardzo przyjemnie. Szpital angielski mieścił się w dużej willi, wybudowanej przez jakichś Niemców przed wojną. Panna Barkley była w ogrodzie razem z drugą sanitariuszką. Zobaczyliśmy między drzewami ich białe mundurki i poszliśmy w tę stronę. Rinaldi zasalutował. Ja zasalutowałem także, ale bardziej powściągliwie.

– Dzień dobry panom – powiedziała panna Barkley. – Pan nie jest Włochem, prawda?

– O, nie.

Rinaldi rozmawiał z drugą sanitariuszką. Śmiali się.

– Jakie to dziwne... służyć we włoskiej armii.

– Ja właściwie nie służę w armii. Tylko przy sanitarkach.

– Jednak to bardzo dziwne. Dlaczego pan to zrobił?

– Czy ja wiem – powiedziałem. – Nie wszystko można wytłumaczyć.

– Czyżby? A mnie wychowano w przeświadczeniu, że można.

– To bardzo ładnie.

– Czy my musimy dalej tak rozmawiać?

– Nie – odpowiedziałem.

– To już duża ulga. Prawda?

– Co to za trzcinka? – spytałem.

Panna Barkley była dosyć wysoka, ubrana, jak mi się wydało, w uniform sanitariuszki, miała blond włosy, smagłą cerę i szare oczy. Wydała mi się bardzo piękna. W rękę trzymała cienką laseczkę z drzewa rattanowego, obciągniętą w skórę i przypominającą małą szpicrutę.

– Była własnością jednego chłopca, który zginął zeszłego roku.

– Strasznie mi przykro.

– Bardzo był miły. Miałam wyjść za niego, ale zginął nad Sommą.

– Tam było potwornie.

– Pan tam był?

– Nie.

– Słyszałam o tym – powiedziała. – Tutaj właściwie nie ma takiej wojny. Przysłali mi tę trzcinkę. Jego matka przysłała. Zwrócili to razem z jego rzeczami.

– Długo pani była zaręczona?

– Osiem lat. Wychowaliśmy się razem.

– A dlaczego pani nie wyszła za niego?

– Nie wiem – odpowiedziała. – Głupio zrobiłam. Mogłam mu dać chociaż tyle. Ale myślałam, że to nie będzie dla niego dobre.

– Rozumiem.

– Czy pan się kiedy w kimś kochał?

– Nie – odparłem.

Usiedliśmy na ławce i przyjrzałem się jej.

– Pani ma śliczne włosy – powiedziałem.

– Podobają się panu?

– Bardzo.

– Miałam je obciąć, kiedy zginął.

– Nie!

– Chciałam coś dla niego zrobić. Bo widzi pan, mnie tamto było obojętne i mógł mieć wszystko. Gdybym wiedziała, mógł mieć, co by tylko chciał. Wyszłabym za niego albo co. Teraz już wiem. Ale wtedy nie wiedziałam, a on chciał iść na wojnę.

Milczałem.

– Wtedy nic nie rozumiałam. Myślałam, że tak mu będzie gorzej. Myślałam, że może tego nie wytrzyma, no a potem oczywiście zginął i tak się skończyło.

– Nie wiadomo.

– Och, tak – powiedziała. – Skończyło się.

Popatrzyliśmy na Rinaldiego, który rozmawiał z drugą sanitariuszką.

– Jak ona się nazywa? – spytałem.

– Ferguson. Helena Ferguson. Pana przyjaciel jest lekarzem, prawda?

– Tak. Bardzo dobrym.

– To świetnie. Tak blisko frontu rzadko spotyka się człowieka, który by był naprawdę do czegoś zdalny. Bo tu jest blisko frontu, prawda?

– I to bardzo.

– Jakiś głupi ten front – powiedziała. – Ale bardzo piękny. Czy zrobicie ofensywę?

– Tak.

– To będziemy miały zajęcie. Teraz nie ma nic do roboty.

– Dawno pani jest sanitariuszką?

– Od końca dziewięćset piętnastego. Zaczęłam jednocześnie z nim. Pamiętam, jak mi chodziły po głowie głupie myśli, że może go przywiozą do tego szpitala, gdzie ja będę. Prawdopodobnie z cięciem od szabli i obandażowaną głową. Albo z postrzałem w ramię. Z czymś malowniczym.

– Tu jest malowniczy front – powiedziałem.

– A tak – odparła. – Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak jest we Francji. Gdyby wiedzieli, to wszystko nie mogłoby dalej trwać. On nie dostał cięcia szabłą. Rozniosło go na kawałki.

Nic nie odpowiedziałem.

– Myśli pan, że to już zawsze tak będzie?

– Nie.

– A co może to przerwać?

– Gdzieś to wszystko pęknie.

– To my pękniemy. Pękniemy we Francji. Nie można dłużej robić takich rzeczy jak Somma i nie pęknąć.

– Tutaj nic nie pęknie – powiedziałem.

– Myśli pan, że nie?

– Nie. Zeszłego lata spisali się bardzo dobrze.

– Ale mogą pęknąć – odrzekła. – Każdemu może się to zdarzyć.

– I Niemcom także.

– Nie – powiedziała. – Nie zdaje mi się.

Podeszliśmy do Rinaldiego i panny Ferguson.

– Pani kocha Italię? – pytał po angielsku Rinaldi pannę Ferguson.

– Owszem, dosyć.

– Nie rozumieć – kręcił głową Rinaldi.

– *Abbastanza bene* – przetłumaczyłem mu. Nadal kręcił głową.

– To nie jest dobrze. Pani kocha Anglię?

– Nie zanadto. Widzi pan, ja jestem Szkotką. Rinaldi tępo popatrzył na mnie.

– Jest Szkotką, więc bardziej kocha Szkocję niż Anglię – powiedziałem po włosku.

– Ale Szkocja to Anglia.

Przetłumaczyłem te słowa pannie Ferguson.

– Pas encore* – odparła.

– Naprawdę?

– Nigdy. My nie lubimy Anglików.

– Nie lubi Anglików? Nie lubi panny Barkley?

– O, to co innego. Nie można wszystkiego brać tak dosłownie.

Po pewnym czasie pożegnaliśmy się. W drodze do domu Rinaldi powiedział:

– Panna Barkley woli pana ode mnie. To zupełnie wyraźne. Ale ta mała Szkotka jest bardzo miłutka.

– Bardzo – odpowiedziałem. W ogóle nie zwróciłem na nią uwagi. – Podoba się panu?

– Nie – odrzekł Rinaldi.

* Pas encore (fr.) - jeszcze nie.

Rozdział V

Następnego popołudnia wybrałem się znowu do panny Barkley. Nie było jej w ogrodzie, poszedłem więc do bocznych drzwi willi, przed które zajeżdżały sanitarki. Wewnątrz spotkałem naczelną siostrę, która powiedziała mi, że panna Barkley jest na służbie – “bo, wie pan, teraz jest wojna”.

Odpowiedziałem, że wiem.

– Pan jest tym Amerykaninem w armii włoskiej? – zapytała.

– Tak, proszę siostry.

– Jak to się stało? Dlaczego pan nie zaciągnął się do nas?

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Czy mógłbym to zrobić teraz?

– Chyba już nie. Niech mi pan powie, dlaczego pan służy u Włochów?

– Byłem we Włoszech – odparłem – i mówiłem po włosku.

– Aha – powiedziała. – Ja właśnie się uczę. Piękny język.

– Ktoś powiedział, że można się go nauczyć w dwa tygodnie.

– O, ja tam się nie nauczę w dwa tygodnie. Studiuję już od miesiący. Może pan zobaczyć się z nią po siódmej, jeżeli pan sobie życzy. Będzie wtedy wolna. Tylko niech pan nie sprowadza całej hurmy Włochów.

– Mimo ich pięknego języka?

– Tak. I mimo ich pięknych mundurów.

– Do widzenia – powiedziałem.

– *A rivederci, tenente**.

– *A rivederla**.

Zasalutowałem i wyszedłem. Niepodobna było salutować cudzoziemcom na sposób włoski bez uczucia zakłopotania. Salutowanie włoskie nigdy nie wydawało mi się przeznaczone na eksport.

Dzień był gorący. Pojechałem w górę rzeki do przyczółka mostowego pod Plawą. Tam miała zacząć się ofensywa. W ubiegłym roku nie można było posunąć się naprzód po drugiej stronie, bo tylko jedna droga prowadziła z przełęczy do mostu pontonowego i na blisko milowym odcinku znajdowała się pod ostrzałem broni maszynowej i artylerii. Nie była dostatecznie szeroka, by nią przerzucić wszystkie transporty potrzebne do ofensywy, i Austriacy mogli tam zrobić jatki. Ale Włosi przeprawili się i rozwinęli nieco

* *A rivederci, tenente* (wł.) - do widzenia, poruczniku.

dalej, obsadzając około półtorej mili brzegu po stronie austriackiej. Miejsce było paskudne i Austriacy nie powinni byli na to pozwolić. Przypuszczam, że wynikało to ze wzajemnej tolerancji, ponieważ Austriacy trzymali nadal przyczółek nieco dalej w dół rzeki. Okopy austriackie znajdowały się na zboczu, zaledwie o kilkanaście metrów od linii włoskich. Było tam małe miasteczko, ale całe leżało w gruzach. Zostały tylko resztki stacji kolejowej i rozwalony most, którego nie mogliśmy naprawić i używać, gdyż był całkowicie na widoku.

Pojechałem wąską drogą ku rzece, zostawiłem samochód przy punkcie opatrunkowym pod wzgórzem, przeszedłem przez most pontonowy, osłonięty garbem góry, i udałem się okopami do zrujnowanego miasteczka, a potem dalej skrajem wzniesienia. Wszyscy siedzieli tu w ziemiankach. Na stojakach ułożone były rakiety, które miały posłużyć do wezwania wsparcia artyleryjskiego albo do sygnalizacji, gdyby kable telefoniczne zostały zerwane. Było tu cicho, gorąco i brudno. Spojrzałem poprzez zasieki na linie austriackie. W jednej z ziemianek wypilem szklaneczkę ze znajomym kapitanem i wróciłem przez most.

Wykańczano tu nową drogę, która miała przechodzić przez górę i zbiegać zygzakami do mostu. Po ukończeniu tej drogi miała rozpocząć się ofensywa. Droga schodziła przez las ostrymi zakosami. Zamierzano przerzucić wszystko tą nową drogą, a starą kierować puste ciężarówki, wozy, sanitarki z rannymi i cały ruch powrotny. Punkt opatrunkowy był na austriackim brzegu pod zboczem wzgórza i sanitariusze mieli przenosić stamtąd rannych przez most pontonowy. To samo byłoby po rozpoczęciu ofensywy. O ile zdołałem się zorientować, Austriacy mogli stale trzymać pod ostrzałem mniej więcej ostatnią milę nowej drogi w tym miejscu, gdzie zaczynała biec poziomo. Wyglądało na to, że mogła tu być rzeź. Jednakże wyszukałem miejsce, gdzie po przebyciu tego ostatniego, najgorszego odcinka, mogły się schronić samochody i czekać, aż doniosą rannych przez most. Chętnie pojechałbym nową drogą, ale jeszcze nie była ukończona. Na oko wydawała się szeroka, dobrze wykonana, z prawidłowym spadkiem, a zakręty, widziane przez rzadsze miejsca w lesie porastającym zbocze, robiły imponujące wrażenie. Samochody wyposażone w dobre, metalowe hamulce mogły tu dać sobie radę, a zresztą zjeżdżając w dół nie byłyby obciążone. Zawróciłem wąską drogą.

Dwaj karabinierzy zatrzymali wóz. Właśnie padł tutaj granat, a kiedy czekaliśmy, trzy dalsze wybuchły na drodze. Były to siedemdziesiątki siódemki i nadleciały ze świszczącym pędem powietrza, wybuchły ostrym, jaskrawym błyskiem, a potem po drodze przetoczył się szary dym. Karabinierzy dali nam znak, że można jechać dalej.

* *A rivederla* (wł.) - do widzenia pani.

Przejeżdżając obok miejsc, gdzie padły granaty, omijałem niewielkie wyrwy, czując swąd materiału wybuchowego, zapach wyrwanej gliny i kamieni, i świeżo pokruszonego krzemienia. Dojechałem do Gorycji i naszej willi i, jak już wspomniałem, poszedłem odwiedzić pannę Barkley, która właśnie była na służbie.

Obiad zjadłem bardzo szybko i poszedłem do willi, w której Anglicy urządzili swój szpital. Była ona naprawdę bardzo duża i piękna, a dokoła rosły wspaniałe drzewa. Panna Barkley siedziała z panną Ferguson na ławce w ogrodzie. Najwyraźniej były zadowolone, że mnie widzą. Panna Ferguson po chwili przeprosiła i wstała z ławki.

– Zostawiam was – powiedziała. – Doskonale dajecie sobie radę beze mnie.

– Nie idź, Heleno – poprosiła panna Barkley.

– Kiedy naprawdę muszę. Mam do napisania parę listów.

– Dobranoc pani – powiedziałem.

– Dobranoc, panie Henry.

– Niech pani nie pisze nic takiego, co by uraziło cenzora.

– Proszę się nie martwić. Ja tylko opisuję, w jakiej pięknej okolicy mieszkamy i jacy dzielni są Włosi.

– W ten sposób dostanie pani odznaczenie.

– To byłoby bardzo przyjemne. Dobranoc, Catherine.

– Przyjdę do ciebie niedługo – powiedziała panna Barkley.

Ferguson zniknęła w ciemnościach.

– Miła jest – powiedziałem.

– O tak, bardzo miła. Jest sanitariuszką.

– A pani nie?

– Nie. Ja jestem tak zwana V.A.D.* Pracujemy bardzo ciężko, ale nikt nie ma do nas zaufania.

– Dlaczego?

– Nie mają do nas zaufania, kiedy nic się nie dzieje. Ale jak jest naprawdę robota, to owszem.

– A na czym polega różnica?

– Sanitariuszka to jest coś takiego jak doktor. Trzeba dużo czasu, żeby nią zostać.

A taką V.A.D. robi się raz dwa.

– Rozumiem.

– Włosi nie chcieli dopuścić kobiet tak blisko frontu. Toteż wszystkie mamy tu specjalny regulamin. Nie ruszamy się stąd nigdzie.

- Ale ja mogę tu przychodzić?
- O tak. Nie jesteśmy w klasztorze.
- Zostawmy już tę wojnę.
- To bardzo trudne. Nie ma jej gdzie zostawić.
- Ale jednak zostawmy.
- Dobrze.

Popatrzyliśmy na siebie w półmroku. Pomyślałem, że jest bardzo piękna, i wzięłem ją za rękę. Pozwoliła mi na to, więc przytrzymałem jej dłoń i objąłem ją w pól.

- Nie – powiedziała. Nie puściłem jej.
- Dlaczego?
- Bo nie.
- Tak – powiedziałem. – Proszę...

Pochyliłem się w mroku, żeby ją pocałować, i coś błysnęło mi ostro, piekąc pod powiekami. Uderzyła mnie silnie w twarz. Trafiła w nos i pod wpływem ciosu napłynęły mi do oczu łzy.

- Tak mi przykro – powiedziała. Poczulem, że mam pewną przewagę.
- Miała pani zupełną rację.
- Strasznie mi przykro – powtórzyła. – Po prostu nie mogłam znieść tej atmosferki “wolny wieczór sanitariuszki”. Nie chciałam zrobić panu krzywdy. Ale zrobiłam, prawda?

Patrzyła na mnie. Byłem zły, a jednak pewny siebie, i przewidywałem wszystko z góry, niczym posunięcia w grze w szachy.

- Postąpiła pani tak jak trzeba – powiedziałem. – Wcale nie mam o to żalu.
- Biedaczek.
- Widzi pani, ja ostatnio prowadzę śmieszne życie. I nawet nigdy nie rozmawiam po angielsku. A poza tym pani jest taka piękna. – Spojrzałem na nią.

– Nie musi pan mówić takich bzdur. Powiedziałam już panu, że mi przykro. Możemy rozmawiać dalej.

- Tak – odparłem. – I jakoś oddaliliśmy się od wojny.
- Roześmiała się. Po raz pierwszy usłyszałem jej śmiech. Obserwowałem jej twarz.
- Miły pan jest – powiedziała.
 - Wcale nie.
 - Owszem. Bardzo miły. Chętnie bym pana pocałowała, jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu.

* V.A.D. - *Voluntary Aid Detachment* (ang.) - Ochotnicza Służba Pomocnicza.

Spojrzałem jej w oczy, objąłem ją tak jak przedtem i pocałowałem. Pocałowałem ją mocno, przyciągając do siebie i usiłując rozerwać jej zaciśnięte wargi. Byłem wciąż zły i kiedy ją tak trzymałem, nagle zadrżała. Przycisnąłem ją silniej, poczułem bicie jej serca, wargi jej rozchyliły się, głowa opadła w tył na moją rękę i w następnej chwili Catherine szlochała na moim ramieniu.

– Och, kochanie – powiedziała. – Będziesz dla mnie dobry, prawda?

Co do cholery? – pomyślałem. Pogładziłem ją po włosach i poklepałem po ramieniu. Płakała nadal.

– Będziesz, prawda? – podniosła na mnie wzrok. – Bo będziemy mieli bardzo dziwne życie.

Po jakimś czasie odprowadziłem ją do drzwi willi, a kiedy weszła, wróciłem do domu i poszedłem na górę. Rinaldi leżał na łóżku. Popatrzył na mnie.

– Widzę, że pan robi postępy u panny Barkley.

– Zaprzyjaźniliśmy się.

– Ma pan to przyjemne wejrzenie psa, który się parzy.

Nie zrozumiałem tego słowa.

– Czego?

Wy tłumaczył mi.

– A pan – powiedziałem – ma to przyjemne wejrzenie psa, który...

– Niech pan da spokój – przerwał mi. – Za chwilę powiemy sobie coś obraźliwego. – Roześmiał się.

– Dobranoc – powiedziałem.

– Dobranoc, szczeniaczku.

Cisnąłem poduszką w jego świecę i położyłem się do łóżka po ciemku. Rinaldi podniósł świecę, zapalił ją i wziął się znowu do czytania.

Rozdział VI

Dwa dni spędziłem na placówkach. Kiedy wróciłem, było już za późno i zobaczyłem się z panną Barkley dopiero następnego wieczora. Nie zastałem jej w ogrodzie i musiałem czekać na nią w kancelarii szpitala. W pokoju przeznaczonym na kancelarię stały pod ścianami liczne marmurowe popiersia na pomalowanych drewnianych postumentach. Stały szeregiem także i w hallu, na który wychodziła kancelaria. Ich zimna marmurowość sprawiała, że wszystkie wyglądały podobnie. Rzeźba wydawała mi się dosyć nudna – chociaż brązy to było jeszcze coś. Natomiast marmurowe popiersia przypominały mi cmentarz. Istniał wprawdzie jeden wspaniały cmentarz – ten w Pizie. Za to w Genui można było naoglądać się kiepskich marmurów.

Willa należała do bardzo bogatego Niemca i te popiersia musiały go masę kosztować. Zastanawiałem się, kto je wykonał i ile za to dostał. Starłem się domyślić, czy przedstawiają członków rodziny, czy kogoś innego, ale wszystkie były jednolicie klasyczne. Nie można było nic o nich powiedzieć.

Usiadłem na krześle, trzymając czapkę w ręku. Mieliśmy rozkaz noszenia stalowych hełmów nawet w Gorycji, ale były niewygodne i zanadto teatralne w mieście, z którego nie wyewakuowano ludności cywilnej. Jadąc na placówkę włożyłem hełm i wziąłem maskę gazową. Zaczynaliśmy je właśnie dostawać. Były bardzo porządne. Poza tym mieliśmy obowiązek noszenia pistoletów – nawet lekarze i oficerowie sanitarni. Czułem, jak mój mnie uwiera, przyciśnięty do oparcia krzesła. Za nienoszenie pistoletu na widocznym miejscu groził areszt. Rinaldi nosił kaburę wypchaną papierem toaletowym. Ja miałem naprawdę pistolet i czułem się jak bandyta, dopóki go nie wypróbowałem. Był to pistolet Astra kalibru 7,65, miał krótką lufę i szarpał tak mocno przy strzelaniu, że nie było mowy o trafieniu czegokolwiek. Ćwiczyłem się, mierząc poniżej celu i usiłując opanować szarpnięcia śmiesznej, krótkiej lufy, póki nie nauczyłem się trafiać o metr od punktu, w który celowałem z odległości dwudziestu kroków, i wtedy uprzytomniłem sobie całą śmieszność noszenia broni, wkrótce przestałem o tym myśleć, chodziłem z pistoletem, który obijał mi się o biodro, i nie robiło to na mnie żadnego wrażenia, tyle tylko że czułem jakby niejasny wstyd, spotykając kogoś z Anglosasów.

Teraz siedziałem na krześle, jakiś ordynans spoglądał na mnie niechętnie zza biurka, a ja przypatrywałem się marmurowej posadzce, postumentom z marmurowymi popiersiami i freskom na ścianach i czekałem na pannę Barkley. Freski były nie najgorsze. Każdy fresk jest dobry, kiedy zaczyna łuszczyć się i odpadać.

Zobaczyłem Catherine Barkley idącą przez hall i wstałem z krzesła. Kiedy tak ku mnie szła, nie wydała mi się wysoka, ale wyglądała bardzo ładnie.

– Dobry wieczór panu – powiedziała.

– Dobry wieczór pani – odrzekłem. Ordynans przysłuchiwał się temu zza biurka.

– Usiądziemy sobie tutaj czy wyjdziemy do ogrodu?

– Może wyjdźmy. Na dworze jest o wiele chłodniej.

Poszedłem za nią do ogrodu, a ordynans odprowadził nas wzrokiem. Kiedy znaleźliśmy się na wyżwirowanym podjeździe, zapytała:

– Gdzie ty się podziewałeś?

– Byłem na placówce.

– Nie mogłeś mi przysłać kartki?

– Nie – odparłem. – Nie bardzo. Myślałem, że zaraz wrócę.

– Powinieneś był dać mi znać, kochanie.

Minęliśmy podjazd i szliśmy pod drzewami. Wziąłem Catherine za obie ręce, przystanąłem i pocałowałem ją.

– Czy nie moglibyśmy gdzieś pójść?

– Nie – odpowiedziała. – Możemy tylko tu spacerować. Długo cię nie było.

– Dziś trzeci dzień. Ale już jestem z powrotem. Przyjrzała mi się. – I kochasz mnie?

– Tak.

– Mówiłeś, że mnie kochasz, prawda?

– Tak – skłamałem. – Kocham cię. – Wcale tego przedtem nie powiedziałem.

– I będziesz do mnie mówił: Catherine?

– Catherine.

Przeszliśmy jeszcze kawałek i przystanęliśmy pod drzewem.

– Powiedz: "Wróciłem nocą do Catherine".

– Wróciłem nocą do Catherine.

– Och, kochanie, więc wróciłeś?

– Aha.

– Tak cię kocham i było mi okropnie. Ale już nie odejdziesz?

– Nie. Zawsze będę do ciebie wracał.

– Och, tak cię kocham! Proszę cię, obejmij mnie jeszcze raz.

– Nie puściłem cię ani na chwilę.

Obróciłem ją tak, żeby widzieć jej twarz, kiedy ją całowałem, i spostrzegłem, że oczy ma zamknięte. Pocałowałem ją w obie przymknięte powieki. Pomyślałem sobie, że

chyba jest trochę zwariowana. To mi nic nie przeszkadzało. Wszystko mi było jedno, w co się wdaję. Uważałem, że to lepsze od chodzenia co wieczór do burdelu oficerskiego, gdzie dziewczęta uwieszały się na człowieku i w dowód czułości przekręcały mu czapkę tyłem na przód pomiędzy jedną a drugą wędrówką na piętro z innymi oficerami. Wiedziałem, że nie kocham Catherine Barkley i że ani mi w głowie zakochać się w niej. Była to gra, podobna do brydża, w której mówiło się słowa zamiast wychodzić w karty. Tak jak w brydżu należało udawać, że gra się o pieniądze albo o jakąś stawkę. Żadne z nas nie wspominało, jaka jest owa stawka. To mi zupełnie dogadzało.

– Szkoda, że nie można nigdzie pójść – powiedziałem. Doświadczałem właściwej mężczyznom trudności zalecania się przez dłuższy czas w pozycji stojącej.

– Nie ma dokąd iść – odrzekła. Otrząsnęła się z jakiegoś zamyślenia.

– Możemy tu chwilkę posiedzieć.

Usiedliśmy na płaskiej, kamiennej ławce. Wziąłem Catherine za rękę. Nie pozwoliła mi się objąć.

– Bardzo jesteś zmęczony? – spytała.

– Nie.

Popatrzyła na trawę.

– Paskudna jest ta nasza gra, co?

– Jaka gra?

– Nie bądź niemądry.

– Nie jestem, przynajmniej świadomie.

– Miły z ciebie chłopak – powiedziała. – I grasz najlepiej, jak potrafisz. Ale to paskudna gra.

– Czy ty zawsze wiesz, co kto myśli?

– Nie zawsze. Ale z tobą tak. Nie musisz udawać, że mnie kochasz. Na dzisiaj dosyć. Chciałbyś jeszcze o czymś porozmawiać?

– Ależ ja cię kocham.

– Proszę cię, nie mówmy kłamstw, jeżeli nie musimy. Urządziłam sobie bardzo ładne małe przedstawienie i teraz jestem zadowolona. Widzisz, ja nie jestem wariatka ani nieprzytomna. Tylko czasem, tak troszkę.

Ścisnąłem jej rękę. – Kochana Catherine...

– Jak to teraz śmiesznie brzmi... Catherine. Wymawiasz to jakoś inaczej. Ale jesteś bardzo miły. I bardzo dobry chłopak.

– To właśnie powiedział mi kapelan.

– Tak, jesteś bardzo dobry. Przyjdiesz jeszcze do mnie?

– Oczywiście.

– I już nie musisz mówić, że mnie kochasz. Z tym koniec na jakiś czas. – Wstała i podała mi rękę. – Dobranoc.

Chciałem ją pocałować.

– Nie – powiedziała. – Jestem strasznie zmęczona.

– Ale pocałuj mnie.

– Okropnie jestem zmęczona, mój drogi.

– Pocałuj mnie.

– Bardzo tego chcesz?

– Bardzo.

Pocałowaliśmy się, po czym nagle odsunęła się ode mnie.

– Nie. Dobranoc. Proszę cię.

Odprowadziłem ją do drzwi i patrzyłem, jak szła przez hall. Z przyjemnością przyglądałem się jej ruchom. Zniknęła w głębi hallu. Zawróciłem do domu. Noc była gorąca i w górach działo się coś poważniejszego. Przypatrywałem się błyskom nad San Gabriele.

Przystanąłem przed Villa Rossa. Okiennice były zamknięte, ale w środku jeszcze trwała zabawa. Ktoś śpiewał. Poszedłem do domu. Kiedy się rozbierałem, wszedł Rinaldi.

– Aha! – powiedział. – Coś tam nie bardzo idzie. Dzieciątko jest speszzone.

– Gdzie pan był?

– W Villa Rossa. Ogromnie to było budujące, dziecinko. Wszyscyśmy śpiewali. A pan gdzie się podziewał?

– Byłem z wizytą u Anglików.

– Bogu dzięki, że ja się nie dałem w to ubrać.

Rozdział VII

Następnego popołudnia wróciłem z naszej wysuniętej górskiej placówki i zatrzymałem wóz przed *smistimento*, gdzie chorych i rannych sortowano według kart, na których zaznaczano skierowania do poszczególnych szpitali. Prowadziłem samochód i teraz, siedząc za kierownicą, czekałem na szofera, który zaniósł tam papiery. Dzień był gorący, niebo świetliste i błękitne, a droga biała od pyłu. Siedziałem na wysokim siedzeniu fiata i nie myślałem o niczym. Drogą przechodził jakiś pułk i przyglądałem się mu, kiedy mnie mijał. Ludzie byli zgrzani i spoceni. Niektórzy mieli na głowach stalowe hełmy, ale większość niosła je zawieszona na tornistrach. Na ogół hełmy były za duże i zachodziły żołnierzom prawie aż na uszy. Wszyscy oficerowie mieli hełmy, ale lepiej dopasowane. Pułk stanowił połowę brygady Basilicata. Rozpoznałem go po czerwono-białych odznakach na kołnierzach. W długi czas po przejściu pułku nadciągnęli maruderzy – żołnierze, którzy nie mogli dotrzymać kroku swoim plutonom. Byli spoceni, zakurzeni i wyczerpani. Niektórzy wyglądali bardzo niedobrze. Za ostatnim z maruderów ukazał się jakiś żołnierz. Szedł utykając. Przystanął i usiadł przy drodze. Wyskoczyłem z wozu i podszedłem do niego.

– Co wam jest?

Popatrzył na mnie i podniósł się z ziemi.

– Już idę dalej.

– Czy wam coś dolega?

– Ta wojna.

– Co wam jest w nogę?

– To nie noga. Mam rupturę.

– Dlaczego nie jedziecie z taborami? – zapytałem. – Dlaczego nie pójdziecie do szpitala?

– Nie chcą mnie puścić. Porucznik mówi, że naumyślnie zrzuciłem pas rupturowy.

– Pokażcie.

– Całkiem mi to wylazło.

– Po której stronie?

– Tutaj.

Pomacałem to miejsce.

– Kaszlnijcie – powiedziałem.

- Boję się, że jeszcze mi się powiększy. Już jest dwa razy większe niż rano.
 - Usiądźcie – powiedziałem. – Jak tylko odbiorę papiery moich rannych, podwiozę was do waszych sanitariuszy.
 - Porucznik powie, że zrobiłem to umyślnie.
 - Nic wam nie mogą zrobić – odparłem. – To nie jest rana. Mieliście to już przedtem, prawda?
 - Ale zgubiłem ten pas.
 - Odstawią was do szpitala.
 - Nie mógłbym tu zostać, *tenente*?
 - Nie. Nie mam dla was papierów.
- Z drzwi wyszedł kierowca, niosąc papiery rannych, którzy leżeli w samochodzie.
- Czterech do sto piątki. Dwóch do sto trzydziestki dwójki – powiedział. Były to numery szpitali za rzeką.
 - Prowadźcie wóz – odrzekłem. Pomogłem żołnierzowi z rupturą zająć miejsce obok nas.
 - Pan mówi po angielsku? – zapytał.
 - A jakże.
 - Jak panu się podoba ta cholerna wojna?
 - Parszywa.
 - No chyba, że parszywa. Jezu Chryste, ja myślę, że parszywa.
 - Byliście w Stanach Zjednoczonych?
 - Jasne. W Pittsburgu. Od razu poznałem, że pan Amerykanin.
 - A co? Nie mówię dość dobrze po włosku?
 - W każdym razie poznałem.
 - Jeszcze jeden Amerykanin – powiedział po włosku kierowca, spoglądając na żołnierza z rupturą.
 - Panie poruczniku, czy pan musi mnie wieźć do tego pułku?
 - Tak.
 - Bo kapitan–lekarz wiedział, że ja mam rupturę. Wyrzuciłem ten cholerny pas po to, żeby mi się pogorszyło i żeby mi już nie musiał wracać do linii.
 - Aha!
 - Nie mógłby pan zawieźć mnie gdzie indziej?
 - Gdybyśmy byli bliżej frontu, mógłbym was zabrać do pierwszego punktu sanitarnego. Ale tutaj trzeba mieć papiery.
 - Jeżeli wrócę, to mnie zoperują i potem odeślą na dobre do linii.

Zastanowiłem się.

– Pan przecież nie chciałby siedzieć stale w linii, prawda? – zapytał.

– Nie.

– Jezu Chryste, co to za cholerna wojna!

– Słuchajcie – powiedziałem. – Wsiądźcie, przewróćcie się gdzieś przy drodze i nabijcie sobie guza, to was zabiorę wracając i odwiozę do jakiegoś szpitala. Zatrzymajmy się, Aldo.

Stanęliśmy z boku drogi. Pomogłem mu wsiąść.

– Będę tu czekał, panie poruczniku.

– No to tymczasem – powiedziałem.

Samochód ruszył, minęliśmy pułk o milę dalej i przejechawszy na drugi brzeg rzeki zmętniałej od roztopionego śniegu i płynącej wartko między palami mostu, puściliśmy się drogą przez równinę, ażeby odstawić rannych do obu szpitali. Wracając siedziałem za kierownicą i jechałem szybko pustą sanitarką, żeby odszukać żołnierza z Pittsburga. Najpierw minęliśmy pułk, jeszcze bardziej zgrzany i wolniej maszerujący, a potem maruderów. Wreszcie zobaczyliśmy stojącą na drodze sanitarkę konną. Dwaj ludzie podnosili właśnie chorego na rupturę żołnierza, aby go wsadzić do środka. Wrócili po niego. Pokiwał do mnie głową. Był bez hełmu, czoło miał zakrwawione poniżej włosów, na nosie zdartą skórę, kurz na krwawej plamie i we włosach.

– Niech pan patrzy na ten guz, poruczniku! – zawołał. – Już nie ma co. Wrócili po mnie.

Kiedy dojechałem do willi, była godzina piąta i wyszedłem przed dom, żeby wziąć prysznic tam, gdzie myliśmy samochody. Potem napisałem raport u siebie w pokoju, siedząc w spodniach i podkoszulku przy otwartym oknie. Za dwa dni miała się zacząć ofensywa, a ja miałem jechać z sanitarkami do Plawy. Dawno już nie pisałem do Stanów i wiedziałem, że powinienem napisać, ale tak długo tego nie robiłem, że teraz było to dla mnie prawie niepodobieństwem. Nie miałem o czym pisać. Wysłałem kilka wojskowych kart *Zona di guerra**, skreślając wszystko z wyjątkiem słów: "Czuję się dobrze". To powinno im było wystarczyć. Te pocztówki na pewno zrobią duże wrażenie w Ameryce, bo są dziwne i tajemnicze. Nasza strefa frontowa też była dziwna i tajemnicza, ale uważałem, że wojna jest zupełnie dobrze prowadzona i groźniejsza od innych wojen przeciwko Austriakom. Armia austriacka stworzona została po to, żeby dostarczać zwycięstw Napoleonowi – każdemu Napoleonowi. Byłbym rad, gdybyśmy i my mieli jakiegoś Napoleona, ale zamiast niego mieliśmy tłustego, zadowolonego z siebie *il*

generale Cadorna i Wiktora Emanuela, owego małego człowieczka o długiej, cienkiej szyi i koziej bródce. Na prawym skrzydle stał książę Aosta. Możliwe, że był zanadto przystojny, aby być wielkim wodzem, ale przynajmniej wyglądał jak mężczyzna. Wielu chętnie widziałoby go królem. Miał wygląd królewski. Był stryjem króla i dowodził trzecią armią. My należeliśmy do drugiej armii. Przy trzeciej znajdowało się kilka baterii brytyjskich. W Mediolanie spotkałem dwóch ich kanonierów. Okazali się bardzo mili i spędziliśmy razem wspaniałą wieczór. Byli wysocy, nieśmiali i zakłopotani, i obaj odnosili się z wielkim uznaniem do wszystkiego, co się działo. Żałowałem, że nie służę z Anglikami. Tak byłoby o wiele prościej. Tylko że pewnie bym zginął. Chociaż przy sanitarkach może nie. A jednak tak, nawet przy sanitarkach. Kierowcy sanitarek brytyjskich czasem ginęli. Ale ja wiedziałem, że nie zginę. Przynajmniej nie w tej wojnie. Nie miałem z nią nic wspólnego. Nie wydawała mi się groźniejsza dla mnie osobiście niż wojna w kinie. Mimo to gorąco pragnąłem, żeby się już skończyła. Może się skończy tego lata. Może Austriacy się załamią. Zawsze załamywali się w innych wojnach. Co jest z tą wojną? Wszyscy mówili, że Francuzi już mają dosyć. Rinaldi opowiadał, że się zbuntowali i że wojska pomaszerowały na Paryż. Zapytałem go, co wtedy się stało, a on odpowiedział: "Ach, zatrzymali ich". Miałem chęć pojechać do Austrii bez wojny. Chciałem się wybrać do Szwarcwaldy. I w góry Harzu. A właściwie gdzie są te góry? Walki toczyły się w Karpatach. Tam w każdym razie nie miałem ochoty jechać. Chociaż to mogłoby być niezłe. Mógłbym pojechać do Hiszpanii, gdyby nie było wojny.

Słońce już zachodziło i robiło się chłodniej. Po kolacji pójde odwiedzić Catherine Barkley. Szkoda, że jej tu teraz nie ma. Chętnie pojechałbym z nią do Mediolanu. Chciałbym z nią coś zjeść w "Covie", potem przespacerować się w upalny wieczór po Via Manzoni, przejść na drugi brzeg, skrócić wzdłuż kanału i wrócić razem do hotelu. Może by się zgodziła. Może by sobie wmówiła, że jestem tym jej chłopcem, co zginął, i weszlibyśmy frontowymi drzwiami, odźwierny zdjąłby czapkę, ja przystanąłbym przed biurkiem portiera i poprosił o klucz, a ona czekałaby przy windzie i wsiadlibyśmy razem, i winda ruszyłaby bardzo powoli, szcękając przy każdym piętrze, a potem byłoby już nasze piętro i windziarz otworzyłby drzwi, i stanął przy nich, a Catherine wysiadłaby, za nią ja, i poszlibyśmy korytarzem, i włożyłbym klucz w zamek, otworzył drzwi, weszlibyśmy do środka, i wtedy zatelefonowałbym na dół, żeby nam przysłali butelkę *capri bianco* w srebrnym kubelku pełnym lodu, i później usłyszelibyśmy zbliżający się korytarzem chrobot lodu o ścianki kubelka, i zapukałby boy hotelowy, a ja bym odpowiedział: "Proszę to postawić pod drzwiami". Bo nie mielibyśmy już nic na sobie z

* *Zona di guerra* (wł.) - strefa wojenna.

powodu upału, a okna byłyby otwarte, jaskółki latałyby nad domami, a kiedy by się później ściemniło, widzielibyśmy przez okno malutkie nietoperze uganiające się nad dachami i wierzchołkami drzew – i pilibyśmy *capri* przy drzwiach zamkniętych na klucz, i byłoby gorąco, i tylko pod prześcieradłem przez całą noc, i kochalibyśmy się przez całą noc, tę gorącą noc w Mediolanie. Tak to powinno by być. Muszę szybko coś zjeść i iść do Catherine Barkley.

W mesie za wiele gadali, a ja piłem wino, bo tego wieczora nie potrafiłbym się z nimi zbratać, gdybym trochę nie wypił. Rozmawiałem z kapelanem o arcybiskupie Irlandzie, podobno szlachetnym człowieku, udając, że są mi znane wszystkie wyrządzone mu krzywdy, za które ponosiłem współodpowiedzialność jako Amerykanin, a o których nigdy w życiu nie słyszałem. Byłoby nieuprzejmie nic o nich nie wiedzieć, skoro słuchałem tak wspaniałego objaśnienia ich przyczyn polegających, jak się zdaje, właściwie na nieporozumieniu. Uważałem, że ma ładne nazwisko, a ponieważ pochodził z Minnesoty, tworzyło to razem piękny tytuł: Irland z Minnesoty, Irland z Wisconsin, Irland z Michigan. Tak, ojcze. To prawda, ojcze. Możliwe, ojcze. Nie, ojcze. No cóż, być może, ojcze. Ojciec zna tę sprawę lepiej ode mnie. Kapelan był dobry, ale nudny. Oficerowie nie byli dobrzy, ale też nudni. Król był i dobry, i nudny. Wino było złe, ale nienudne. Zmywało emalię z zębów i osadzało ją na podniebieniu.

– I tego księdza zamknęli – mówił Rocca – bo znaleźli przy nim trzyprocentowe bony. To było oczywiście we Francji. Tutaj nigdy by go nie zaarrestowali. Zaprzeczał, jakoby cośkolwiek wiedział o bonach pięcioprocentowych. To działo się w Beziers. Byłem tam wtedy i jak przeczytałem o tym w gazetach, poszedłem do więzienia i poprosiłem o widzenie z księdzem. Było całkiem oczywiste, że ukradł te bony.

– Nie wierzę w to ani trochę – powiedział Rinaldi.

– Jak sobie chcesz – odparł Rocca. – Ja to opowiadam dla naszego kapelana. Bardzo pouczające. On jest księdzem i potrafi to docenić.

Kapelan uśmiechnął się.

– Proszę, niech pan mówi dalej – powiedział. – Ja słucham.

– Oczywiście, pochodzenia niektórych bonów nie dało się ustalić, ale ksiądz miał wszystkie trzyprocentowe i jeszcze kilka lokalnych obligacji, nie pamiętam już dokładnie jakich. Więc poszedłem do więzienia – tu jest puenta całej historii – stanąłem przed jego celą i powiedziałem tak, jak gdybym przyszedł do spowiedzi: “Pobłogosław mi, ojcze, albowiem zgrzeszyłem”. Wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem.

– A co on na to? – zapytał kapelan.

Rocca zignorował pytanie i zabrał się do wyjaśniania mi dowcipu. – Rozumie pan, o co chodzi?

Dowcip był podobno bardzo zabawny, jeżeli się go należycie zrozumiało. Dolali mi wina i opowiedziałem anegdotę o angielskim szeregowcu, którego postawiono pod prysznic. Potem major opowiedział kawał o jedenastu Czechach i węgierskim kapralu. Wypiłem jeszcze trochę wina i odwzajemniłem się dowcipem o dżokeju, który znalazł pensa. Major odparł, że jest jakaś podobna historyjka o księżnej, która nie mogła sypiać po nocach. W tym momencie kapelan wyszedł, a ja opowiedziałem anegdotę o komiwojażerze, który przyjechał do Marsylii o piątej rano, podczas mistralu. Major oświadczył, że słyszał, jakoby potrafił dobrze pić. Zaprzeczyłem temu. Upierał się, że to prawda, i że na "martwego Bachusa" spróbujemy, czy tak jest, czy nie.

– Tylko nie Bachusa – odpowiedziałem. – Nie Bachusa.

– Owszem, Bachusa – odrzekł.

Kazał mi pić kieliszek w kieliszek i szklanka w szklankę z Filippem Vincenza Bassim. Bassi zaprotestował, że to żadna próba, bo już wypił dwa razy więcej ode mnie. Ja oświadczyłem, że to nikczemne kłamstwo i że Bachus czy nie Bachus, w każdym razie Filippo Vincenza Bassi czy też Bassi Filippo Vincenza nie tknął ani kropelki przez cały wieczór, i w ogóle jak właściwie brzmi jego nazwisko? On na to zapytał, czy ja się nazywam Federico Enrico, czy Enrico Federico? Odpowiedziałem, że wygra ten, kto jest lepszy, wyłączając Bachusa, i major zaczął w nas wlewać czerwone wino z dzbanków. Wypiwszy połowę, straciłem ochotę i przypomniałem sobie, dokąd się wybieram.

– Bassi wygrywa – oznajmiłem. – Ma mocniejszą głowę ode mnie. Muszę już iść.

– On naprawdę musi – powiedział Rinaldi. – Ma randkę. Znam całą sprawę.

– Muszę iść.

– No to kiedy indziej – rzekł Bassi. – Innego wieczoru, jak pan będzie się czuł bardziej na siłach. – Klepnął mnie po ramieniu. Na stole stały zapalone świece. Wszyscy oficerowie byli bardzo rozbawieni.

– Dobranoc panom – powiedziałem.

Rinaldi wyszedł ze mną. Stanęliśmy przed domem i wtedy powiedział:

– Niech pan lepiej tam nie idzie pijany.

– Kiedy ja nie jestem pijany, Rinin. Naprawdę.

– Może by pan pogryzł trochę kawy?

– Bzdura.

– Przyniosę ci, dziecinko. A ty sobie tu pospaceruj. – Wrócił z garścią palonych ziarenek kawy. – Pogryź to, dziecinko, i Bóg z tobą.

- Bachus – powiedziałem.
- Odprowadzę pana.
- Ale ja się zupełnie dobrze czuję.

Szliśmy razem przez miasto, a ja żułem kawę. Przy bramie wjazdowej do willi, którą zajmowali Anglicy, Rinaldi pożegnał się ze mną.

- Dobranoc – odpowiedziałem. – Może pan wejdzie?

Pokręcił głową.

- Nie – rzekł. – Wolę te prostsze przyjemności.

- Dziękuję za kawę.

- Głupstwo, dziecinko, głupstwo.

Wszedłem na podjazd. Sylwetki rosnących wzdłuż niego cyprysów rysowały się ostro i wyraźnie. Obejrzałem się i zauważyłem, że Rinaldi stoi i obserwuje mnie. Pomachałem mu ręką.

Usiadłem w hallu willi i czekałem na Catherine Barkley. Ktoś zbliżał się hallem. Wstałem, ale to nie była Catherine, tylko panna Ferguson.

– Dobry wieczór – przywitała mnie. – Catherine prosiła mnie, żeby panu powiedzieć, że bardzo żałuje, ale nie może się z panem dzisiaj zobaczyć.

- Strasznie mi przykro. Mam nadzieję, że nie jest chora?

- Nie najlepiej się czuje.

- Powtórzy jej pani, że mi bardzo przykro?

- Tak, powtórzę.

- Myśli pani, że można by spróbować odwiedzić ją jutro?

- Chyba tak.

- Dziękuję bardzo – powiedziałem. – Dobranoc.

Wszedłem na dwór i nagle poczułem się samotny i wewnętrznie pusty. Widywania się z Catherine nie traktowałem poważnie, dzisiaj podpiłem sobie trochę i omal nie zapomniałem przyjść, ale kiedy się okazało, że jej nie mogę zobaczyć, doznałem uczucia samotności i pustki.

Rozdział VIII

Następnego popołudnia dowiedzieliśmy się, że wieczorem ma się rozpocząć natarcie w górze rzeki i że trzeba tam pojechać czterema sanitarkami. Nikt nie wiedział o tym nic bliższego, chociaż wszyscy wypowiedali się z wielką pewnością i strategicznym znanstwem. Jechałem w pierwszym wozie i kiedy mijaliśmy wejście do szpitala brytyjskiego, kazałem kierowcy stanąć. Reszta wozów zatrzymała się także. Wysiadłem i powiedziałem kierowcom, żeby jechali dalej, a jeżeli ich nie dogonimy przed skrzyżowaniem z drogą do Cormons, żeby tam zaczekali. Przebiegłem przez podjazd i w hallu zapytałem o pannę Barkley.

– Jest teraz na służbie.

– Czy mógłbym zobaczyć się z nią na chwilę? Posłano ordynansa, który wrócił z Catherine.

– Zatrzymałem się po drodze, żeby zapytać, czy już lepiej się czujesz. Powiedzieli mi, że jesteś na służbie, więc poprosiłem, żeby mi pozwolili zobaczyć się z tobą.

– Czuję się zupełnie dobrze – odpowiedziała. – Myślę, że wczoraj zważył mnie z nóg ten upał.

– Muszę już iść.

– Wyjdę z tobą na chwilę przed dom.

– I nic ci nie jest? – spytałem na dworze.

– Nic, kochanie. Przyjdiesz wieczorem?

– Nie. W tej chwili wyjeżdżam za Plawę, do akcji.

– Do akcji?

– To chyba nie będzie nic wielkiego.

– A kiedy wrócisz?

– Jutro.

Zaczęła rozpinać coś, co miała zawieszona na szyi. Wcisnęła mi to w rękę.

– To święty Antoni – powiedziała. – Przyjdź do mnie jutro wieczorem.

– Chyba nie jesteś katoliczką?

– Nie. Ale mówią, że święty Antoni bardzo pomaga.

– Będę go pilnował dla ciebie. No to żegnaj.

– Nie – odparła. – Nie “żegnaj”.

– Dobrze.

– Bądź ostrożny i uważaj na siebie. Nie, nie możesz mnie tu pocałować. Nie można.

– Dobrze.

Obejrzałem się i zobaczyłem, że stoi na schodkach. Pomachała do mnie ręką, a ja posłałem jej od ust pocałunek. Znowu pomachała do mnie i w następnej chwili już byłem przed bramą i wsiadałem do sanitarki. Ruszyliśmy. Święty Antoni był zamknięty w małej kapsułce z białego metalu. Otworzyłem ją i wytrząsałem go na dłoń.

– Święty Antoni? – zapytał kierowca.

– Tak.

– Mam też takiego. – Prawą ręką puścił kierownicę, odpiął kurtkę i wyciągnął go spod koszuli.

– Widzi pan?

Włożyłem mojego Świętego Antoniego do kapsułki, opuściłem na dłoń cienki złoty łańcuszek i schowałem wszystko razem do górnej kieszeni.

– Nie nakłada go pan?

– Nie.

– Lepiej nałożyć. Na to jest.

– Dobrze.

Otworzyłem klamerkę złotego łańcuszka i założyłem go na szyję. Święty zwisał mi na mundur, więc rozpiąłem kołnierz kurtki, potem koszulę i wpuściłem go pod spód. Jadąc czułem na piersiach świętego w metalowej kapsułce. Potem zapomniałem o nim. Nie odnalazłem go już, kiedy zostałem ranny. Prawdopodobnie ktoś mi go zabrał na punkcie opatrunkowym.

Za mostem dodaliśmy gazu i wkrótce zobaczyliśmy przed sobą kurz naszych samochodów. Na zakręcie spostrzegliśmy trzy jadące sanitarki; wydawały się z daleka bardzo małe, a spod ich kół wzbijał się pył, który odpływał między drzewa. Dopędziliśmy je i wyminawszy skręciliśmy na drogę, która pięła się na wzgórze. Jazda w kolumnie nie jest przykra, jeżeli się jedzie pierwszym wozem, usadowiłem się więc wygodnie na siedzeniu i przyglądałem się okolicy. Byliśmy u podnóża wzgórz po tej stronie rzeki i w miarę jak wznosiliśmy się coraz wyżej, ukazywały się na północy wysokie góry z jeszcze ośnieżonymi szczytami. Obejrzałem się i zobaczyłem jadące pod górę trzy pozostałe wozy, przedzielone kłębami kurzu. Minęliśmy długą kolumnę obładowanych mułów, obok których szli poganiacze w czerwonych fezach. Byli to bersalierzy.

Za kolumną mułów droga była pusta i wspinaliśmy się coraz wyżej między wzgórze, a potem przez garb wzniesienia zjechaliśmy po długim zboczu w dolinę rzeki. Z

obu stron drogi rosły drzewa i za ich prawym szeregiem zobaczyłem rzekę, wartką, czystą i płytką. Woda w niej opadła, pełno tam było łach piasku i żwiru, między którymi płynęła wąskim kanałem, miejscami rozlewając się lśniąco po kamienistym łożysku. Przy brzegu widziałem głębokie sadzawki, gdzie woda była błękitna jak niebo. Ukazały się kamienne mosty łukowe na rzece, w miejscu gdzie ślady kół skręcały z drogi; minęliśmy kamienne zabudowania gospodarskie z gruszami rozpiętymi w kształt kandelabrow na południowych ścianach i niskimi murkami z kamieni na polach. Droga przez dłuższy czas biegła doliną, po czym skręciła i znowu zaczęliśmy jechać pod górę. Wiła się stromo przez kasztanowy las, aż wreszcie wyrównała na grzbiecie wyniosłości. Patrząc poprzez las widziałem daleko w dole oświetloną słońcem linię rzeki dzielącej obie armie. Jechaliśmy teraz nie wykończoną drogą wojskową, która biegła grzbietem wzniesienia, i patrzyłem ku północy na dwa łańcuchy górskie, ciemne i zielone poniżej linii śniegów, a wyżej białe i piękne w słońcu. Potem, w miarę jak droga wznosiła się wzdłuż grzbietu, zobaczyłem trzeci łańcuch gór, wyższych i ośnieżonych, kredowobiałych, o dziwnie płaskich stokach poranych bruzdami, a za nimi inne góry, tak daleko, że trudno było powiedzieć, czy się je naprawdę widzi. Te wszystkie góry należały do Austriaków i my nie mieliśmy podobnych. Przed nami ukazał się półokrągły zakręt w prawo i patrząc w dół widziałem, że droga opada między drzewami. Po tej drodze posuwało się wojsko i ciężarówki, i muły z górskimi działkami, a kiedy zjeżdżaliśmy, trzymając się jej skraju, widziałem rzekę daleko w dole, wzdłuż niej linię podkładów i szyn, stary most, po którym kolej przechodziła na drugi brzeg, a pod wzgórzem za rzeką porozwalane domy miasteczka, które mieliśmy zdobywać. Było już prawie ciemno, kiedy zjechaliśmy na dół i skręcili na główną drogę, biegnącą wzdłuż rzeki.

Rozdział IX

Droga była zatłoczona, po obu jej stronach ustawiono zasłony z mat uplecionych z naci kukurydzianej i słomy, a z wierzchu też ją przykryto matami, tak że przypominało to wejście do cyrku albo wioskę dzikich krajowców. Przejechaliśmy wolno przez ten tunel z mat i wynurzyliśmy się na gołą, oczyszczoną przestrzeń, gdzie dawniej była stacja kolejowa. Droga biegła tu poniżej brzegu rzeki i wszędzie na zboczu wykopane były rowy strzeleckie, w których siedziała piechota. Słońce zachodziło i kiedy jadąc spoglądałem w górę, widziałem ciemniejące na tle nieba austriackie balony obserwacyjne nad wzgórzami na drugim brzegu.

Zaparkowaliśmy wozy za jakąś cegielnią. Między piecami i w głębokich dołach urządzono punkty opatrunkowe. Zostałem tu trzech znajomych lekarzy. Porozmawiałem z majorem i dowiedziałem się, że po rozpoczęciu natarcia i załadowaniu rannych na sanitarki mamy wracać osłoniętą drogą do głównej szosy biegnącej grzbietem wzgórz, gdzie będzie placówka i inne wozy, które rozwiozą ich dalej. Major miał nadzieję, że na drodze nie powstanie zator. Mieliśmy tylko tę jedną drogę do dyspozycji. Osłonięto ją matami, bo była widoczna dla Austriaków z drugiego brzegu. Tutaj, w cegielni, chronił nas od ognia karabinów i broni maszynowej wysoki brzeg rzeki.

Na rzece był jeden rozwalony most. Mieli przerzucić drugi, kiedy się zaczęło bombardowanie, a niektóre oddziały miały przeprowić się po płycznach za zakrętem rzeki. Major był małym człowieczkiem z podkreconymi wąsami. Walczył niegdyś w Libii i nosił dwa paski na znak, że był dwukrotnie ranny. Powiedział, że jeżeli wszystko dobrze pójdzie, postara się, abym dostał odznaczenie. Odpowiedziałem, iż mam nadzieję, że pójdzie dobrze, ale jest dla mnie zanadto łaskawy. Spytałem, czy jest tu duża ziemianka, gdzie mogliby czekać kierowcy, a on wysłał ze mną żołnierza, żeby mi ją pokazał. Poszliśmy razem i znalazłem ziemiankę, która okazała się bardzo dobra. Podobała się kierowcom i zostawiłem ich tam. Major poprosił mnie, żebym coś wypił z nim i dwoma innymi oficerami. Piliśmy rum w bardzo przyjaznym nastroju. Na dworze zmierzchało się. Zapytałem, o której ma się rozpocząć natarcie, na co mi odpowiedzieli, że zaraz jak tylko się ściemni. Wróciłem do szoferów. Siedzieli w ziemiance i rozmawiali, ale zamilkli, kiedy wszedłem. Dałem każdemu po paczce papierosów macedońskich, za luźno nabijanych, tak że tytoń wysypywał się i trzeba było przed zapaleniem skręcać bibułkę na obu końcach. Manera zapalił zapalniczkę i podał ognia wszystkim po kolei. Zapalniczka miała kształt chłodnicy fiata. Powtórzyłem im, czego się dowiedziałem.

- A czemu jadąc tutaj nie widzieliśmy tamtej placówki? – zapytał Passini.
- Bo była zaraz za tym miejscem, gdzieśmy skręcili.
- Na tej drodze będzie parszywie – rzekł Manera.
- Za nas granatami.
- Prawdopodobnie.
- Może byśmy coś zjedli, panie poruczniku? Jak to się zacznie, nie będzie czasu.
- Pójdę zobaczyć – odpowiedziałem.
- Mamy tu zostać czy możemy się trochę rozejrzeć?
- Lepiej zostańcie.

Wróciłem do ziemianki majora. Powiedział mi, że niedługo przyjedzie kuchnia polowa i że szoferzy mogą wtedy przyjść po jedzenie. Jeżeli nie mają misek, to im pożyczą z mesy. Odrzekłem, że chyba mają. Wróciłem i powiedziałem kierowcom, że ich zawołam, jak tylko przywiozą jedzenie. Manera powiedział, iż ma nadzieję, że przywiozą, zanim się zacznie bombardowanie. Milczeli, dopóki nie wyszedłem. Wszyscy byli mechanikami i nienawidzili wojny.

Wyszedłem, żeby rzucić okiem na samochody i sprawdzić, co się dzieje, po czym wróciłem i usiadłem w ziemiance z czterema kierowcami. Siedzieliśmy na ziemi, oparci plecami o ściankę, i paliliśmy papierosy. Na dworze zrobiło się już prawie zupełnie ciemno. Ziemia była tu ciepła i sucha; oparłem się o ścianę ramionami i odpoczywałem.

- Kto idzie do natarcia? – zapytał Gavuzzi.
 - Bersalierzy.
 - Sami bersalierzy?
 - Zdaje się.
 - Za mało tu wojska do porządnego natarcia.
 - Bo pewnie trzeba tylko odwrócić uwagę od miejsca, gdzie zrobią prawdziwy atak.
 - A ci, co mają nacierać, wiedzą o tym?
 - Nie przypuszczam.
 - Jasne, że nie – powiedział Manera. – Nie nacieraliby, gdyby wiedzieli.
 - I owszem, nacieraliby – odparł Passini. – Bersalierzy to durnie.
 - Są odważni i dobrze zdyscyplinowani – powiedziałem.
 - Mają duży obwód w piersiach i są zdrowi. Ale mimo to durnie.
 - *Granatieri* są wysocy – rzekł Manera.
- Był to dowcip. Wszyscy się roześmiali.

– Był pan wtedy, *tenente*, jak nie chcieli iść do ataku i później trzeba było rozstrzelać co dziesiątego?

– Nie.

– To fakt. Potem ustawili ich rzędem i zabrali co dziesiątego. Rozstrzelali ich karabinierzy.

– Karabinierzy! – powiedział Passini i splunął na ziemię. – Ale to grenadierzy! Każdy ponad sześć stóp wzrostu. I nie chcieli atakować.

– Gdyby nikt nie chciał, byłby koniec z wojną – dorzucił Manera.

– To nie tak było z tymi grenadierami. Mieli stracha. Wszyscy oficerowie pochodzili z takich dobrych rodzin...

– Niektórzy oficerowie poszli sami.

– Jeden sierżant zastrzelił dwóch oficerów, którzy nie chcieli wyjść.

– Trochę żołnierzy też poszło.

– Tych, co poszli, nie ustawili potem w szeregu, jak wybierali co dziesiątego.

– Jeden z tych rozstrzelanych przez karabinierów pochodził z mojego miasteczka – rzekł Passini. – Taki duży, elegancki, wysoki chłopak, więc służył w grenadierach. Stale siedział w Rzymie. Stale z dziewczynami. I stale z karabinierami. – Roześmiał się. – A teraz przed jego domem postawili wartownika z bagnetem i nikomu nie wolno przyjść do jego ojca, matki i sióstr. Ojciec utracił prawa obywatelskie i nawet nie może głosować. Nie ma żadnego prawa, które by ich chroniło. Każdy może im zabrać ich własność.

– Gdyby nie to, co później robią z rodzinami, nikt by nie poszedł do natarcia.

– Owszem, *alpini** by poszli. I ci V.E. też. I niektórzy bersalierzy.

– Bersalierzy także już wiali. Teraz próbują o tym zapomnieć.

– Pan nie powinien pozwalać nam tak gadać, *tenente*. *Evviva l'esercito!** – powiedział sarkastycznie Passini.

– Znam wasze gadanie – odparłem. – Ale dopóki prowadzicie wozy i zachowujecie się jak należy...

– ... i nie gadamy tak, żeby inni oficerowie słyszeli – dokończył Manera.

– Uważam, że powinniśmy doprowadzić tę wojnę do końca – powiedziałem. – Nie skończy się, jeżeli tylko jedna strona przestanie walczyć. Byłoby jeszcze gorzej, gdybyśmy przestali się bić.

– Nie mogłoby być gorzej – powiedział z uszanowaniem Passini. – Nie ma nic gorszego od wojny.

* *alpini* (wł.) - strzelcy alpejscy.

* *Evviva l'esercito!* (wł.) - niech żyje armia!

– Klęska jest gorsza.

– Nie wierzę w to – mówił wciąż z uszanowaniem Passini. – Co to jest klęska? Idzie się do domu.

– A tamci idą za wami. Zabierają wam dom. Zabierają wasze siostry.

– Nie wierzę w to – powtórzył Passini. – Nie mogą zrobić tego wszystkim. Niech każdy broni swojego domu. Niech trzyma siostry w domu.

– Powieszają was. Przyjdą i znowu zrobią z was żołnierzy. Już nie w karetkach sanitarnych, a w piechocie.

– Nie mogą wszystkich wywieszać.

– Obce państwo nie może nikogo zmusić, żeby poszedł do wojska – oświadczył Manera. – W pierwszej bitwie wszyscy by zwiali.

– Jak te Pepiki.

– Zdaje mi się, że nie macie pojęcia, co to znaczy być pokonanym, i dlatego wydaje się wam, że to nie takie straszne.

– *Tenente* – powiedział Passini. – My widzimy, że pan pozwala nam mówić. Niech pan posłucha. Nie ma nic gorszego od wojny. My z sanitarek nawet sobie nie wyobrażamy, jaka jest straszna. A kiedy ludzie zdadzą sobie z tego sprawę, nie mogą nic zrobić, żeby ją przerwać, bo dostają bzika. Są tacy, którzy do końca nie zdają sobie sprawy. Inni boją się oficerów. To nimi robi się wojnę.

– Wiem, że jest straszna, ale musimy ją doprowadzić do końca.

– Ona się nie kończy. Wojna nie ma końca.

– Owszem, ma.

Passini potrząsnął głową.

– Wojny nie wygrywa się zwycięstwem. Co z tego, że weźmiemy San Gabriele? Co z tego, że weźmiemy Carso i Monfalcone, i Triest? Co nam to da? Widział pan dzisiaj tam daleko te wszystkie góry? Myśli pan, że też potrafimy je wziąć? Jedna strona musi przestać walczyć. Dlaczego my nie przestaniemy? Jak tamci wejdą do Włoch, to się zmęczą i pójdą precz. Mają swój własny kraj. Ale nie; zamiast tego ciągle jest wojna.

– Dobry z was mówca.

– My myślimy. Czytamy. My nie chłopci. Myśmy mechanicy. Ale nawet chłop jest za mądry, żeby wierzyć w wojnę. Wszyscy nienawidzą wojny.

– Każdym krajem rządzi jedna klasa, która jest głupia, nic nie rozumie i nigdy nie potrafi zrozumieć. Dlatego mamy tę wojnę.

– A poza tym zbijają na niej forszę.

– Większość nawet nie zbija – odpowiedział Passini. – Za głupi są. Robią to za darmo. Z głupoty.

– Musimy się zamknąć – rzekł Manera. – Za dużo gadamy, nawet jak dla naszego *tenente*.

– Jemu się to podoba – odparł Passini. – Jeszcze go nawrócimy.

– Ale na razie się zamknijmy – powtórzył Manera.

– Nie ma jeszcze jedzenia, *tenente*? – zapytał Gavuzzi.

– Pójdę zobaczyć – odpowiedziałem. Gordini wstał i wyszedł ze mną.

– Czy mogę coś zrobić, *tenente*? Mogę panu pomóc? – Był najspokojniejszy z całej czwórki.

– Chodźcie ze mną, jeżeli chcecie, to zobaczymy – odpowiedziałem.

Na dworze było ciemno i długie promienie reflektorów przesuwaly się po górach. Na tym froncie mieliśmy wielkie reflektory, zamontowane na ciężarówkach, które czasem mijalo się nocą tuż za liniami, stojące przy drogach, z oficerem kierującym światłami i z wystraszoną obsługą.

Przeszliśmy przez teren cegielni i zatrzymaliśmy się przy głównym punkcie opatrunkowym. Nad wejściem była niewielka osłona z zielonych gałęzi i w ciemnościach nocy wiatr szeleścił liśćmi zeschniętymi od słońca. Wewnątrz paliło się światło. Major siedział na skrzynce i rozmawiał przez telefon. Jeden z kapitanów–lekarzy powiedział, że natarcie przesunięte zostało o godzinę, i poczęstował mnie kieliszkiem koniaku. Popatrzyłem na zbite z desek stoły, na błyszczące w świetle narzędzia, miednice i zakorkowane buteleczki. Gordini stał za mną. Major podniósł się od telefonu.

– Zaraz się zaczyna – powiedział. – Przełożyli z powrotem.

Wyjrzałem na dwór. Było ciemno i austriackie reflektory przesuwaly się po wzgórzach za nami. Jeszcze przez chwilę było cicho, a potem zaczęło się bombardowanie ze wszystkich dział, które stały za nami.

– Savoia – powiedział major.

– A co z tą zupą, majorze? – spytałem. Nie dosłyszał mnie. Powtórzyłem pytanie.

– Jeszcze nie przyszła.

Nadleciał ciężki granat i wybuchł na zewnątrz, w cegielni. Potem rozerwał się drugi i poprzez huk usłyszeliśmy stłumione dudnienie opadających gradem cegieł i grud ziemi.

– A co jest do jedzenia?

– Mamy trochę *pasta asciutta** – odpowiedział major.

– Wezmę to, co pan może mi dać.

Major powiedział parę słów ordynansowi, który zniknął i po chwili wrócił z metalową miską zimnego gotowanego makaronu. Oddałem ją Gordiniemu.

– A nie ma pan sera?

Major niechętnie wydał polecenie ordynansowi, który znowu zniknął w otworze i ukazał się z ćwiartką białego sera.

– Dziękuję bardzo – powiedziałem.

– Niech pan lepiej nie wychodzi.

Na zewnątrz złożono coś przed wejściem do ziemianki. Jeden z dwóch ludzi, którzy to przynieśli, zajrzał do środka.

– Dajcie go tu – rozkazał major. – Co z wami jest? Chcecie, żebyśmy sami po niego wyszli?

Dwaj sanitariusze wzięli rannego pod pachy i za nogi i wnieśli go do środka.

– Rozciąć mundur – powiedział major. W ręku trzymał pęsetę z gazą. Obaj kapitanowie zrzucili kurtki.

– Wyjdźcie stąd – rozkazał major sanitariuszom.

– Chodźmy – powiedziałem do Gordiniego.

– Lepiej zaczekajcie, aż się skończy bombardowanie – rzekł major przez ramię.

– Tamci chcą jeść – odparłem.

– Jak pan woli.

Znalazszy się na dworze przebiegliśmy przez cegielnię. Tuż obok, nad brzegiem rzeki, rozerwał się granat. Potem wybuchnął drugi, którego nie było słyhać w powietrzu aż do chwili nagłej eksplozji. Obaj padliśmy plackiem na ziemię i jednocześnie z błyskiem, wstrząsem wybuchu i zapachem prochu usłyszeliśmy jękliwy świst odlatujących w przestrzeń odłamków i grzechot spadających cegieł. Gordini zerwał się i pognął ku ziemiance. Pobiegłem za nim, przytrzymując ser, którego gładka powierzchnia obsypana była pyłem ceglanym. W ziemiance siedzieli trzej kierowcy oparci plecami o ścianę i palili papierosy.

– Macie, patrioci – powiedziałem.

– A co z naszymi wozami? – zapytał Manera.

– Wszystko w porządku.

– Wystraszył się pan, *tenente*?

– Ja myślę, psiakrew – odpowiedziałem.

* *pasta asciutta* (wł.) - rodzaj makaronu.

Wyjąłem scyzoryk, otworzyłem go, otarłem ostrze i skrajałem zabrudzoną skórkę sera. Gavuzzi podał mi miskę z makaronem.

– Niech pan zacznie jeść, *tenente*.

– Nie – odrzekłem. – Postawcie to na ziemi. Będziemy jedli wszyscy razem.

– Nie ma widelców.

– Co za cholera! – powiedziałem po angielsku. Pokrajałem ser na kawałki i ułożyłem je na makaronie.

– Siadajcie – powiedziałem. Usiedli na ziemi i czekali. Wetknąłem palce w miskę i podniosłem rękę. Wyciągnąłem i trzymałem całą garść makaronu.

– Niech pan podniesie wysoko, *tenente*.

Podniosłem makaron na wysokość wyciągniętej ręki i wtedy jego pasma oderwały się od reszty. Opuściłem je do ust, wessałem końce i zacząłem żuć, potem ugryzłem kawałek sera, przeżulem go i popiłem winem. Miało to smak zardzewiałego metalu. Oddałem manierkę Passiniemu.

– Świństwo – powiedziałem. – Za długo było w manierce. Miałem ją w samochodzie.

Wszyscy jedli, pochylając brody nad samą miską, odrzucając głowy do tyłu i wysysając końce makaronu. Zjadłem go jeszcze trochę, potem kawałek sera i popłukałem to winem. Na dworze coś grzmotnęło, aż zatrzęsała się ziemia.

– Czteryśta dwudziestka albo *minnenwerfer* – powiedział Gavuzzi.

– W górach nie ma czterysta dwudziestek – odparłem.

– Ale mają duże działa skody. Widziałem leje.

– Trzysta piątki.

Jedliśmy dalej. Rozległo się głucho stęknienie podobne do odgłosu ruszającego parowozu, a potem eksplozja, od której znowu zatrzęsała się ziemia.

– Ta ziemianka nie jest głęboka – powiedział Passini.

– To był ciężki móździerz.

– Tak, panie poruczniku.

Dokończyłem swój kawałek sera i łyknąłem trochę wina. Poprzez inne odgłosy usłyszałem znowu stęknienie i nadlatujący dźwięk czu–szu–szu–szu, potem błysnęło tak, jak gdyby nagle rozwarło piec hutniczy, i rozległ się grzmot, najpierw biały, potem czerwony, toczący się w podmuchu powietrza. Spróbowałem odetchnąć, ale nie mogłem złapać powietrza i poczułem, że wylatuję z siebie coraz dalej, dalej i dalej, wciąż unoszony podmuchaem. Leciałem błyskawicznie, całym sobą, i wiedziałem już, że nie żyję i że to pomyłka myśleć, że się tylko umiera. Potem jakbym zatrzymał się w powietrzu i

zamiast lecieć dalej, poczułem, że opadam z powrotem. Zdołałem chwycić oddech i oprzytomniałem. Ziemia była rozorana, a przed moją twarzą leżała strzaskana belka. Szarpnąłem głową i usłyszałem czyjś krzyk. Wydało mi się, że ktoś wyje. Chciałem się poruszyć, ale nie mogłem. Słyszałem strzały z broni maszynowej i karabinów wzdłuż całej rzeki i na jej drugim brzegu. Rozległ się głośny plusk, zobaczyłem gwiaździste granaty świetlne, rozpryskujące się i świecące biało w powietrzu, i rakiety wystrzeliwane w górę, usłyszałem wybuchy pocisków – wszystko w jednej chwili – a potem czyjś głos tuż przy mnie: *Mamma mia! O mamma mia!**

Szarpnąłem się, przekręciłem, oswobodziłem wreszcie nogi, obróciłem się i dotknąłem jęczącego. Był to Passini. Kiedy go dotknąłem, wrzasnął. Leżał nogami do mnie i w przeblaskach światła dostrzegłem, że obie są zgruchotane powyżej kolan. Jednej w ogóle nie było, druga trzymała się na ścięgnach i strzępie spodni, a kikut drgał i poruszał się, jak gdyby nie był złączony z resztą ciała. Passini gryzł się w rękę i jęczał:

– *O mamma mia! Mamma mia!* – a potem: – *Dio te salvi, Maria**. *Dio te salvi, Maria!* O Jezu zastrzelcie mnie Chryste zastrzelcie mnie *o mamma mia o mamma mia* o najczystsza najśliczniejsza Mario zastrzelcie mnie. Dosyć, dosyć, dosyć. O Jezu Mario najśliczniejsza dosyć. Oooo! – i wreszcie, zdławionym głosem:

– *Mamma mamma mia!* – Potem zamilkł, tylko gryzł się w rękę, a kikut jego nogi wciąż drgał.

– *Portaferiti** – ryknąłem, przykładając do ust złożone w trąbkę dłonie. – *Portaferiti!*

Usiłowałem podsunąć się do Passiniego, żeby założyć mu na nogi opaski zaciskające, ale nie mogłem się poruszyć. Spróbowałem raz jeszcze i nogi lekko mi drgnęły. Zdołałem podciągnąć się tyłem na rękach i łokciach. Passini leżał teraz spokojnie. Usiadłem przy nim, rozpiąłem swoją kurtkę i spróbowałem urwać dół koszuli. Nie puszczała, więc przegryzłem brzeg materiału. Wtedy przypomniałem sobie o jego owijaczach. Ja miałem wełniane pończochy, natomiast Passini nosił owijacze, wszyscy kierowcy nosili owijacze, ale Passini miał już tylko jedną nogę. Zacząłem je odwijać, ale w tej chwili zauważyłem, że nie ma po co zakładać opaski, bo Passini już nie żyje. Upewniłem się, że skołał. Trzeba było odszukać trzech pozostałych. Wyprostowałem się na siedząco i poczułem, że coś przesunęło mi się pod czaszką jak ciężarki otwierające oczy lalki i uderzyło mnie od wewnątrz w gałki oczne. Nogi miałem ciepłe i wilgotne,

* *O mamma mia!* (wł.) - o matko!

* *Dio te salvi, Maria!* (wł.) - Boże, chroń Marię!

* *portaferiti* (wł.) - sanitariusze.

czułem ciepło i wilgoć w butach. Zrozumiałem, że jestem ranny, pochyliłem się i dotknąłem ręką kolana. Kolana nie było. Ręka wpadła mi gdzieś do środka, a kolano było niżej, na goleni. Otarłem rękę o koszulę i wtedy znowu rakietą opadła powoli na ziemię, a ja, spojrzawszy na swoją nogę, zląkłem się bardzo. "O Boże! – szepnąłem. – Zabierz mnie stąd!". Ale wiedziałem, że gdzieś jest jeszcze trzech kierowców. Było ich razem czterech. Passini zginął. Ktoś chwycił mnie pod pachy, ktoś inny podtrzymał nogi.

– Jest jeszcze trzech – powiedziałem. – Jeden nie żyje.

– To ja, Manera. Polecieliśmy po nosze, ale nie było. Jak pan się czuje, *tenente*

– Gdzie Gordini i Gavuzzi?

– Gordiniego bandażują na punkcie. Gavuzzi trzyma pana za nogi. Niech pan mnie weźmie za szyję. Mocno pan dostał?

– W nogę. A jak Gordini?

– Nic mu nie będzie. To był granat z ciężkiego moździerza.

– Passini zabity.

– Tak. Zabity.

Niedaleko wybuchł granat i obaj padli na ziemię, i upuścili mnie.

– Przepraszam, *tenente* – powiedział Manera. – Niech pan mnie trzyma za szyję.

– Jak mnie tak znowu rzucicie...

– Bośmy się złąkli.

– Nie jesteście ranni?

– Obaj lekko.

– Gordini może prowadzić wóz?

– Chyba nie.

Zanim dotarliśmy do punktu, upuścili mnie jeszcze raz.

– Ach, wy dranie! – jęknąłem.

– Przepraszam, *tenente* – powiedział Manera. – Już pana więcej nie rzucimy.

Przed punktem opatrunkowym wielu nas leżało w ciemnościach na ziemi. Wnoszono i wynoszono rannych. Kiedy uchylano przy tym zasłonę, widziałem światło padające ze środka. Nieżywych układano z boku. Lekarze pracowali z rękami zakasany aż po ramiona i byli umazani na czerwono niczym rzeźnicy. Brakowało noszy. Niektórzy ranni krzyczeli, ale większość leżała cicho. Wiatr poruszał liśćmi gałęzi zatkniętych nad wejściem do punktu opatrunkowego i noc robiła się chłodna. Wciąż przychodzili sanitariusze, kładli nosze na ziemi, zdejmowali z nich rannych i odbiegali. Gdy tylko doniesiono mnie do punktu, Manera wywołał stamtąd sierżanta służby sanitarnej, który nałożył mi bandaż na obie nogi. Powiedział, iż w ranę wbiło się tyle

ziemi, że nie miałem wielkiego krwotoku. Wezmą mnie na opatrunek, jak tylko będzie to możliwe. Wrócił do środka. Manera powiedział, że Gordini nie może prowadzić wozu, bo ma strzaskane ramię i ranę w głowie. Nie czuł się najgorzej, ale teraz ramię mu zeszywniało. Siedzi pod ścianą z cegieł. Manera i Gavuzzi odjechali z transportami rannych. Ci mogą prowadzić zupełnie dobrze. Anglicy przyjechali trzema sanitarkami z dwoma ludźmi na każdej. Gordini, bardzo blady i osłabiony, przyprowadził jednego z angielskich kierowców. Anglik pochylił się nade mną.

– Ciężko pan ranny? – zapytał. Był wysoki i miał okulary w stalowej oprawie.
– W nogi.
– Mam nadzieję, że to nic poważnego. Zapali pan papierosa?
– Tak, dziękuję.
– Podobno stracił pan dwóch kierowców?
– Tak. Jeden zabity, a drugi to ten, co pana przyprowadził.
– Cóż za paskudny pech! Chciałby pan, żebyśmy wzięli pańskie wozy?
– O to właśnie chciałem prosić.
– Zaopiekujemy się nimi dobrze i odstawimy je do willi. Pan z dwieście szóstki, prawda?

– Tak.
– Przemile miejsce. Widywałem tam pana. Podobno jest pan Amerykaninem?
– Tak.
– Ja jestem Anglikiem.
– Niemożliwe!
– Tak. Anglikiem. A pan myślał, że Włochem? Mieliśmy kilku Włochów przy jednej z naszych jednostek.

– Byłoby doskonale, gdybyście wzięli te sanitarki – powiedziałem.
– Będziemy się z nimi obchodzili jak najlepiej. – Wyprostował się. – Ten pański chłopak strasznie się domagał, żebym do pana przyszedł. – Poklepał Gordiniego po ramieniu. Gordini skrzywił się i uśmiechnął. Anglik zaczął mówić płynną doskonałą włoszczyzną: – Teraz już wszystko załatwione. Widziałem waszego *tenente*. Weźmiemy oba wozy. Nie macie już o co się martwić. – Przerwał. – Muszę coś zrobić, żeby pana stąd zabrali. Pomówię z tymi gośćmi ze służby sanitarnej. Zabierzemy pana z sobą.

Odszedł do punktu opatrunkowego, ostrożnie wymijając rannych. Zobaczyłem, że zasłona się unosi, błysnęło światło, a on zniknął w środku.

– On się panem zaopiekuje, *tenente* – powiedział Gordini.
– Jak się czujecie, Franco?

– Dobrze.

Usiadł przy mnie. Po chwili zasłona u wejścia do punktu uchyliła się i wyszli dwaj sanitariusze, a za nimi wysoki Anglik. Przeprowadził ich do mnie.

– To jest ten amerykański *tenente* – powiedział po włosku.

– Wolałbym zaczekać – rzekłem. – Tu są o wiele ciężiej ranni. Ze mną nie jest tak źle.

– No, no – powiedział. – Niech pan nie robi z siebie takiego cholernego bohatera.

– A potem po włosku: – *Weźcie go ostrożnie. Nogi ma bardzo obolałe. To jest prawowity syn prezydenta Wilsona.*

Dźwignęli mnie i wnieśli do punktu opatrunkowego. Na wszystkich stołach operowano rannych. Mały major popatrzył na nas z wściekłością. Poznał mnie i pomachał pęsetą.

– *Ça va bien?**

– *Ça va.* *

– Przyniosłem go tu – odezwał się po włosku wysoki Anglik. – To jest jedyny syn ambasadora amerykańskiego. Może tu zaczekać, aż panowie będą gotowi wziąć go na stół. Potem zabiorę go pierwszym transportem. – Pochylił się nade mną. – Pomówię z ich adiutantem, żeby przygotował dla pana papiery, to wszystko pójdzie o wiele szybciej.

Schylił głowę w progu i wyszedł. Major zdejmował pęsety i wrzucał je do miednicy. Wodziłem oczami za jego dłońmi. Teraz bandażował. Potem sanitariusze zdjęli rannego ze stołu.

– Ja wezmę tego amerykańskiego *tenente* – powiedział jeden z kapitanów.

Podnieśli mnie i położyli na stole. Był twardy i śliski. Czuję ostre zapachy różnych chemikaliów i słodkawą woń krwi. Ściągnęli mi spodnie i kapitan–lekarz zabrał się do roboty, jednocześnie dyktując sierżantowi–adiutantowi:

– Liczne powierzchowne rany lewego i prawego uda, lewego i prawego kolana oraz prawej stopy. Głębokie rany w prawym kolanie i stopie. Rany szarpane skóry na głowie (dotknął: "Czy to boli?". "Chryste, tak!") z możliwym pęknięciem czaszki. Rany odniesione w trakcie pełnienia służby. To pana chroni od sądu polowego za samookaleczenie – powiedział. – Napiłby się pan wódki? A w ogóle jakim sposobem pan tak dostał? Co pan chciał zrobić? Popęłnić samobójstwo? Proszę dać środek przeciwtężcowy i naznaczyć krzyżem obie nogi. Dziękuję. Troszkę to oczyszczę, przemyję i nałożę opatrunek. Pańska krew krzepnie znakomicie.

* *Ça va bien?* (fr.) - wszystko dobrze?

* *Ça va.* (fr.) - dobrze.

Adiutant, podnosząc głowę znad papierów:

– Co zadało rany?

Kapitan–lekarz:

– Co pana trafiło?

Ja, z zamkniętymi oczami:

– Granat z mózdzierza.

Kapitan, robiąc coś, co ostro bolało, i rozcinając tkanki:

– Na pewno?

Ja, usiłując nie ruszać się i czując, jak brzuch mi drga w chwili krajania ciała:

– Tak mi się zdaje.

Kapitan–lekarz (zaciekawiony czymś, co znalazł): – Odłamki granatu z nieprzyjacielskiego mózdzierza. Jeżeli pan sobie życzy, założę sondę, żeby poszukać dalszych, ale to niekonieczne. Zajodynuję wszystko i... Co, szczypie? Doskonale, to jeszcze nic w porównaniu z tym, co będzie później. Ból jeszcze się nie zaczął. Dajcie mu szklanekę wódki. Szok stępią ból, ale to głupstwo, nie ma pan się czym przejmować, jeżeli nie wda się infekcja, a to się teraz rzadko zdarza. A jak pana głowa?

– O Jezu! – jęknąłem.

– W takim razie niech pan za dużo nie pije. Jeżeli ma pan pęknięcie czaszki, trzeba wystrzegać się zapalenia. A tutaj boli?

Oblałem się potem.

– Jezu Chryste! – stęknąłem.

– Zdaje się, że pan jednak ma pęknięcie. Obandażuję pana i proszę nie szarpać głową. – Zaczął mnie bandażować szybkimi ruchami, naciągając bandaż pewnie i mocno. – No, w porządku. Wszystkiego dobrego i *Vive la France!*

– On jest Amerykaninem – powiedział któryś z kapitanów.

– A mnie się zdawało, żeście mówili, że to Francuz. Mówi po francusku – odparł kapitan. – Ja go znam. Zawsze myślałem, że jest Francuzem. – Wypił pół kubka koniaku. – Dajcie mi coś poważniejszego. I przynieście jeszcze trochę tego środka przeciwtężcowego.

Pomachał do mnie ręką. Dźwignęli mnie, a kiedy wynosili na zewnątrz, róg koca opadł mi na twarz. Na dworze ukląkł przy mnie sierżant–adiutant.

– Nazwisko? – zapytał łagodnie. – Imię? Drugie imię? Stopień? Gdzie urodzony? Z którego rocznika? Który korpus? – i tak dalej. – Tak mi przykro z powodu pana głowy, *tenente*. Mam nadzieję, że będzie lepiej. Teraz odsyłam pana angielską sanitarką.

– Nic mi nie jest – odpowiedziałem. – Dziękuję bardzo.

Ból, o którym mówił kapitan, już się zaczął i wszystko, co się działo, było nieciekawe i nie powiązane ze sobą. Po chwili zajechała angielska sanitarka, ułożyli mnie na noszach, podnieśli do poziomu drzwiczek sanitarki i wsunęli do środka. Obok były już drugie nosze, a na nich jakiś człowiek, którego nos woskowej barwy sterczał spomiędzy bandaży. Ranny oddychał ciężko. Dźwigano dalsze nosze i wsuwano je w umieszczone wyżej pierścienie. Do drzwiczek podszedł wysoki kierowca angielski i zajrzał do środka.

– Będę jechał bardzo ostrożnie – powiedział. – Mam nadzieję, że panu będzie tam wygodnie.

Poczułem, że zapuszcza motor, wdrapuje się na przednie siedzenie, zwalnia hamulec ręczny i włącza sprzęgło, po czym ruszyliśmy. Leżałem bez ruchu, poddając się bólowi.

Sanitarka wspinała się wolno pod górę wśród innych pojazdów, niekiedy przystawała, to znów cofała się na jakimś zakręcie, wreszcie ruszyła dość szybko. Poczułem, że coś na mnie kapie. Z początku kapało powoli i miarowo, potem zaczęło ciec strumyczkiem. Krzyknąłem do kierowcy. Zatrzymał wóz i zajrzał przez okienko umieszczone za siedzeniem.

– Co tam?

– Ten na noszach nade mną ma krwotok.

– Już niedaleko do szczytu. Sam jeden nie dam rady wyciągnąć noszy.

Wóz ruszył. Strumyczek lal się dalej. Po ciemku nie mogłem dojrzeć, z którego miejsca brezentu wycieka. Spróbowałem odsunąć się w bok, żeby na mnie nie spadał. Tam gdzie mi spłynął za koszulę, było ciepło i lepko. Zziąbłem, a noga bolała mnie tak, że robiło mi się niedobrze. Po pewnej chwili strumyczek z noszy zrzędł i znowu zaczęło kapać, a ja usłyszałem i poczułem, że brezent nade mną poruszył się, jak gdyby leżący na nim człowiek ułożył się wygodniej.

– No, jak on tam? – zawołał Anglik. – Już jesteśmy prawie na górze.

– Zdaje się, że skonał – odpowiedziałem.

Krople kapały bardzo powoli, tak jak kapią z sopła lodu po zachodzie słońca. Zimno było w tym samochodzie w nocy na wznoszącej się coraz wyżej drodze. Na górze przy placówce wyjęli tamte nosze, wsunęli inne na ich miejsce i ruszyliśmy dalej.

Rozdział X

Kiedy znalazłem się na sali szpitala polowego, powiedziano mi, że po południu ktoś ma mnie odwiedzić. Dzień był gorący, a w pokoju roiło się od much. Mój ordynans pociął papier na paski, uwiązał do kija i zrobił wiecheć do odganiania much. Przyglądałem się, jak siadały na suficie. Kiedy przestał machać i zasnął, przyleciały z powrotem, a ja odpędzałem je dmuchnięciami, aż w końcu zasłoniłem sobie twarz dłońmi i także usnąłem. Było bardzo gorąco i gdy się obudziłem, poczułem, że nogi mnie swędzą. Zbudziłem ordynansa, a on polał mi opatrunki wodą mineralną. Woda zwilżyła i ochłodziła łóżko.

Popołudnie minęło spokojnie. Ci z nas, którzy nie spali, rozmawiali z sobą. Rano doktor z trzema pielęgniarkami obeszli kolejno wszystkie łóżka; zdejmowali nas z nich i nosili do izby opatrunkowej, ażeby można było poprawić pościel, podczas gdy nam opatrywano rany. Wędrowka do izby opatrunkowej nie była przyjemna i dopiero później dowiedziałem się, że pościel można poprawiać, nie ruszając człowieka z łóżka. Mój ordynans skończył polewać bandaże wodą, w łóżku było chłodno i przyjemnie, i właśnie mówiłem mu, gdzie ma mnie drapać w swędzące podeszwy, gdy jeden z lekarzy wprowadził Rinaldiego. Wszedł szybkim krokiem, pochylił się nad łóżkiem i ucałował mnie. Zauważyłem, że jest w rękawiczkach.

– No, co słyhać, dziecinko? Jak się czujemy? Mam tu coś. – Była to butelka koniaku. Ordynans przyniósł krzesło i Rinaldi usiadł. – I są dobre nowiny. Dostanie pan odznaczenie. Chcą panu dać *medaglia d'argento**, ale możliwe, że uzyskają tylko brązowy.

– A za co?

– Bo pan został ciężko ranny. Mówią, że jeżeli pan potrafi udowodnić, że pan dokonał jakiegoś bohaterskiego czynu, to dadzą srebrny. W przeciwnym razie będzie brązowy. Proszę mi dokładnie opowiedzieć, jak to było. Dokonał pan jakiegoś bohaterskiego czynu?

– Nie – odpowiedziałem. – Rąbnęło mnie, kiedyśmy jedli ser.

– Mówmy poważnie. Musiał pan przecież zrobić coś bohaterskiego przedtem albo potem. Proszę sobie dobrze przypomnieć.

– Nic nie zrobiłem.

* *medaglia d'argento* (wł.) - srebrny medal.

– Nie niósł pan kogoś na plecach? Gordini mówił, że kilka osób, ale major z pierwszej placówki twierdzi, że to niemożliwe. A on musi podpisać wniosek o odznaczenie.

– Nikogo nie niosłem. Nie mogłem się ruszać.

– To wszystko jedno – powiedział Rinaldi.

Zdjął rękawiczki.

– Myślę, że uda się dostać dla pana srebrny. Nie odmówił pan przyjęcia pomocy lekarskiej przed innymi?

– Nie bardzo stanowczo.

– Obojętne. Trzeba pamiętać, jakie rany pan odniósł. I o tym, jak się dzielnie zachowywał, prosząc zawsze o wysłanie do pierwszej linii. Poza tym natarcie się udało.

– I nasi przeszli przez rzekę?

– Fantastycznie. Wzięli około tysiąca jeńców. Już to jest w biuletynie. Nie czytał pan?

– Nie.

– Przyniosę panu. Bardzo udany *coup-de-main*.*

– A w ogóle co słyszeć?

– Wszystko wspaniale. Każdy z nas jest wspaniały. Wszyscy są z pana dumni. Proszę mi dokładnie opowiedzieć, jak to się stało. Jestem przekonany, że pan dostanie srebrny. No, słucham. – Przerwał i namyślał się chwilę. – Możliwe, że panu dadzą także medal angielski. Tam był jeden Anglik. Pójdę pogadać z nim i zapytam, czy pana zarekomenduje. Powinien móc coś zrobić. Bardzo pan cierpi? Niech pan się napije. Ordynans! Idźcie po korkociąg. Ach, trzeba panu było widzieć, jak usuwałem trzy metry jelita cienkiego – a wszystko poszło dobrze jak nigdy. To jest coś do "Lancetu". Pan mi to przetłumaczy, a ja im pošlę. Co dzień jestem w lepszej formie. Biedna, kochana dziecinko, no jak tam? Gdzież ten cholerny korkociąg? Taki pan jest dzielny i spokojny, że zupełnie zapominam, że pan cierpi.

Strzepnął rękawiczkami o krawędź łóżka.

– Proszę korkociąg, *signor tenente* – powiedział ordynans.

– Otwórzcie butelkę. Przynieście szklanę. Wypij to, dziecinko. Jak tam biedna główka? Oglądałem pańską kartę. Nie ma pęknięcia czaszki. Ten major z pierwszej placówki to zwykły rzeźnik. Gdybym ja pana dostał, nie bolałoby ani trochę. Nigdy nie sprawiaam nikomu bólu. Uczę się, jak to robić. Dzień w dzień uczę się pracować sprawniej i lepiej. Proszę mi wybaczyć, że tyle gadam, dziecinko. Jestem okropnie

przejęty, że widzę pana ciężko rannego. O, proszę to wypić. Dobre. Kosztowało piętnaście lirów, więc powinno być dobre. Pięć gwiazdek. Stąd pójdę do tego Anglika, a on panu wyrobi angielski medal.

– Nie rozdają ich ot tak sobie.

– Pan jest taki skromny! Poślę do nich oficera łącznikowego. On umie gadać z Anglikami.

– Widział pan pannę Barkley?

– Przyprawdzą ją tutaj. Zaraz po nią pójdę.

– Niech pan nie idzie – powiedziałem. – Proszę mi opowiedzieć, co słycać w Gorycji. Jak tam dziewczyny?

– Nie ma żadnych dziewczyn. Już od dwóch tygodni ich nie zmieniają. Wcale tam teraz nie chodzę. Coś okropnego. To już nie dziewczyny, a starzy towarzysze broni.

– W ogóle pan tam nie bywa?

– Tylko po to, żeby zobaczyć, czy nie ma czegoś nowego. Wstępuję po drodze. Wszystkie wypyują o pana. To straszne, że je trzymają tak długo, aż się stają serdecznymi przyjaciółkami.

– Może dziewczyny już nie chcą jeździć na front?

– Oczywiście, że chcą. Dziewczyn jest dosyć. To tylko zła administracja. Trzymają je na tyłach dla przyjemności tych dekonników z ziemianek.

– Biedny Rinaldi – powiedziałem. – Sam jeden na wojnie, bez nowych dziewczynek. Rinaldi nalał jeszcze jedną szklaneczkę koniaku.

– Nie przypuszczam, żeby to panu zaszkodziło, dziecinko. Niech pan wypije.

Wypiłem koniak i poczułem, jak mnie rozgrzewa w środku. Rinaldi nalał znowu. Trochę się uspokoił. Podniósł szklaneczkę.

– Na cześć pańskich bohaterskich ran. I srebrnego medalu. Powiedz mi, dziecinko, nie podniecasz się, jak tu wciąż leżysz w tym upale?

– Czasami.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby mógł tak leżeć. Chybabym zwariował.

– Pan i tak jest zwariowany.

– Chciałbym, żeby pan już do nas wrócił. Nie ma nikogo, kto by wieczorem przychodził po jakiejś awanturce. Nie ma się z kogo nabijać. Nie ma nikogo, kto by mi pożyczył pieniędzy. Nie mam swojego wojennego brata i współlokatora. Dlaczego pan dał się poranić?

– Może pan się nabijać z kapelana.

* *coup-de-main* (fr.) - wypad.

– Ach, ten kapelan! To nie ja się z niego nabijam. To kapitan. Ja go lubię. Jeżeli już trzeba mieć księdza, to niech będzie ten. Ma tutaj przyjść do pana. Robi wielkie przygotowania.

– Ja go też lubię.

– O, wiem. Czasami zdaje mi się, że wy obaj jesteście z sobą trochę ten tego... Wie pan.

– Wcale pan tak nie myśli.

– I owszem, czasem. Trochę ten tego, jak ci z pierwszego pułku Brigata Ancona.

– Idź pan do diabła.

Wstał i naciągnął rękawiczki.

– Ach, uwielbiam przekomarzać się z panem, dziecinko. Na temat tego pańskiego księdza i tej młodej Angielki. A w gruncie rzeczy pan jest w środku taki sam jak ja.

– Wcale nie.

– I owszem, tak. Pan w gruncie rzeczy jest Włochem. Cały z ognia i dymu, a w środku pusto. Pan tylko udaje Amerykanina. Jesteśmy braćmi i kochamy się nawzajem.

– Niech pan się grzecznie zachowuje, póki mnie nie ma – powiedziałem.

– Przyślę tu pannę Barkley. Lepiej pan sobie z nią daje radę beze mnie. Wtedy jest pan czystszy i słodszy.

– Niech pana szlag trafi.

– Przyślę ją. Pańską śliczną, chłodną boginię. Angielską boginię. Boże kochany, co człowiek może robić z taką kobietą poza wielbieniem jej? I w ogóle do czego poza tym nadają się Angielki?

– Z pana jest ciemny makaroniarz o niewyparzonej gębie.

– Co takiego?

– Ciemny kataryniarz.

– Kataryniarz? Pan jest taki sam kataryniarz, tylko z lodowatą twarzą.

– Pan jest ciemny. Głupi. – Widziałem, że to go ubodło, i ciągnąłem dalej: – Nie znający się na rzeczy. Niedoświadczony. Głupi z braku doświadczenia.

– Naprawdę? To ja panu coś powiem o pańskich czystych niewiastach. O pańskich boginiach. Jest tylko jedna różnica między posiadaniem dziewczyny, która dotychczas była czysta, a posiadaniem kobiety. Z dziewczyną to jest bolesne. Tyle o tym wiem. – Strzepnął rękawiczką o łóżko. – I poza tym nigdy nie można przewidzieć, czy dziewczynie będzie to naprawdę smakowało.

– Niech pan się nie złości.

– Ja się nie złościę. Tylko mówię to, dziecinko, dla twojego własnego dobra.
Żeby ci zaoszczędzić przykrości.

– I to jest jedyna różnica?

– Jedyna. Ale miliony głupców takich jak pan nie wiedzą o tym.

– Miło mi to słyszeć.

– Nie będziemy się kłócić, dziecinko. Znadto pana lubię. Ale nie bądźże głupcem.

– Dobrze. Będę taki mądry jak pan.

– Nie złość się, dziecinko. Pośmiej się. Wypij sobie. No, muszę już naprawdę iść.

– Poczciwy chłop z pana.

– A widzi pan? Pod spodem jesteśmy tacy sami. Wojenni bracia. Buzi na do
widzenia!

– Pan jest ckliwy.

– Nie. Tylko po prostu serdeczniejszy.

Poczułem na twarzy jego oddech.

– Do widzenia. Niedługo znowu wpadnę. – Oddech cofnął się. – Nie pocałuję
pana, jeżeli pan nie chce. Przyślę tu tę pańską Angielkę. Do widzenia, dzieciątko. Koniak
jest pod łóżkiem. Proszę szybko wyzdrowieć.

Zniknął za drzwiami.

Rozdział XI

Był już zmierzch, kiedy przyszedł kapelan. Przynieśli nam zupe, potem zabrali miski i leżałem, spoglądając na rząd łóżek i na koronę drzewa za oknem, którą lekko poruszał wieczorny powiew. Wpadał przez okno i pod wieczór robiło się chłodniej. Muchy obsiadły teraz sufit i elektryczne żarówki wiszące na drutach. Światło zapalano tylko wtedy, gdy przynoszono kogoś w nocy albo gdy trzeba było coś zrobić przy rannych. To, że po zmierzchu w pokoju robiło się ciemno i już tak zostawało, dawało mi złudzenie, że jestem bardzo młody. Było to tak, jakby położono mnie do łóżka po wczesnej kolacji.

Wszedł ordynans i przystanął między łózkami. Przyprował kogoś. Był to kapelan. Stał przede mną, drobny, smagły i zmieszany.

– Jak pana zdrowie? – zapytał. Położył jakieś paczki na podłodze przy łóżku.

– Dobrze, ojcze.

Usiadł na krześle przyniesionym dla Rinaldiego i z zakłopotaniem wyjrzał przez okno. Zauważyłem, że twarz ma bardzo zmęczoną.

– Mogę posiedzieć tylko minutkę – powiedział. – Już jest późno.

– Wcale nie późno. Co słyhać w mesie?

Uśmiechnął się. – Wciąż bardzo ich bawię. – W jego głosie także brzmiało znużenie. – Bogu dzięki, nikomu z tamtych nic się nie stało.

– Tak się cieszę, że panu już lepiej – ciągnął. – Mam nadzieję, że pan nie cierpi. – Wydawał się bardzo wyczerpany, a ja nie przywykłem widzieć go zmęczonego.

– Już teraz nie.

– Brak mi pana w mesie.

– Chciałbym tam być. Zawsze lubiłem z ojcem rozmawiać.

– Przyniosłem panu kilka drobiazgów – rzekł i podniósł paczki z podłogi. – Tu jest moskitiera. A tu butelka wermutu. Lubi pan wermut? A to są angielskie gazety.

– Może ojciec rozpakuje.

Z zadowoleniem otworzył paczkę. Trzymałem moskitierę w rękach. Pokazał mi butelkę wermutu, a potem postawił ją na podłodze obok łóżka. Wziąłem pęk gazet angielskich. Obracając je tak, żeby na nie padło nikłe światło z okna, mogłem odczytać nagłówki. Były to "The News of the World".

– Te drugie są ilustrowane – powiedział.

– Z wielką przyjemnością przeczytam. Gdzie ojciec to dostał?

- Posłałem po nie do Mestre. Będę miał jeszcze więcej.
- Bardzo ojciec jest dobry, że do mnie przyszedł. Napije się ojciec wermutu?
- Dziękuję. Niech pan go sobie zachowa. To dla pana.
- Tylko szklaneczkę.
- No dobrze. W takim razie przyniosę panu więcej.

Ordynans podał szklanki i otworzył butelkę. Ułamał korek i trzeba było wepchnąć koniec do środka. Widziałem, że ksiądz jest zawiedziony, ale powiedział:

- Dobrze, dobrze. Nic nie szkodzi.
- Za zdrowie ojca.
- Za poprawę pańskiego zdrowia.

Wypił i trzymał dalej szklankę i patrzyliśmy na siebie. Czasem rozmawialiśmy po przyjacielsku, ale dzisiaj jakoś nam nie szło.

- Co się stało, ojcze? Ojciec jest wyraźnie zmęczony.
- Jestem zmęczony, chociaż właściwie nie mogę sobie na to pozwolić.

– To przez ten upał.

– Nie. To tylko wiosna. Jestem bardzo oklapnięty.

– Wojna ojcu obrzydła.

– Nie. Ale nienawidzę wojny.

– Mnie ona też nie bawi – powiedziałem. Pokiwał głową i spojrzał za okno.

– Panu ona nie przeszkadza. Pan jej nie widzi. Proszę mi darować; wiem, że pan jest ranny.

– To przypadek.

– Jednakże nie widzi jej pan nawet pomimo rany. Niech pan mi wierzy. Sam też jej nie widzę, ale ją trochę czuję.

– Rozmawialiśmy właśnie o wojnie na chwilę przed tym, kiedy zostałem ranny.

Mówił o tym Passini. Ksiądz odstawił szklankę. Myślał o czymś innym.

– Znam ich, bo jestem taki jak oni – powiedział.

– A jednak inny.

– Ale w gruncie rzeczy taki sam.

– Oficerowie nic nie widzą – powiedziałem.

– Niektórzy widzą. Niektórzy są bardzo wrażliwi i czują się jeszcze gorzej niż każdy z nas.

– Bo to na ogół inni ludzie.

– To nie jest sprawa wykształcenia ani pieniędzy. To coś innego. Tacy jak Passini nie chcieliby być oficerami, nawet gdyby mieli wykształcenie i pieniądze. Ja też bym nie chciał.

– Ojciec ma stopień oficerski. I ja także jestem oficerem.

– Ja właściwie nie. A pan nie jest nawet Włochem. Pan jest cudzoziemcem. Ale bliżej panu do oficerów niż do szeregowców.

– Na czym polega różnica?

– Niełatwo mi to powiedzieć. Istnieją ludzie, którzy chcą wojny. W naszym kraju jest wielu takich. A są też inni, którzy wojny nie chcą.

– Ale ci pierwsi każą im wojnę robić.

– Tak.

– A ja im pomagam.

– Pan jest cudzoziemcem. Pan jest patriotą.

– A ci, co nie chcą iść na wojnę? Czy mogą do niej nie dopuścić?

– Nie wiem.

Znowu popatrzył przez okno. Obserwowałem jego twarz.

– Czy kiedykolwiek potrafili nie dopuścić do wojny?

– Nie są zorganizowani, więc nie mogą tego powstrzymać, a kiedy się zorganizują, sprzedają ich przywódcy.

– Więc to beznadziejne?

– Nigdy nie jest beznadziejnie. Ale czasami nie mogę się zdobyć na nadzieję. Zawsze staram się ją mieć, ale czasem nie mogę.

– Może wojna się skończy.

– Daj Boże.

– Co ojciec będzie wtedy robił?

– Jeżeli będę mógł, to wrócę do Abruzji. Jego śniada twarz nagle się rozpromieniła.

– Ojciec kocha Abruzję?

– Tak, bardzo kocham.

– Więc ojciec powinien tam pojechać.

– Byłbym aż nadto szczęśliwy. Mógłbym tam sobie żyć, miłować Boga i służyć Mu.

– I cieszyć się ludzkim szacunkiem – dodałem.

– Tak, i cieszyć się szacunkiem. Czemu nie?

– Oczywiście, że tak. Ojcu należy się szacunek.

– To nieważne. Ale tam, w moich stronach, rozumieją, że człowiek może kochać Boga. I to nie jest żaden brudny dowcip.

– Rozumiem.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

– Pan rozumie, ale Boga nie kocha.

– Nie.

– Wcale pan Go nie kocha? – zapytał.

– Czasem, w nocy, boję się Go.

– Powinien pan Go pokochać.

– Nie bardzo umiem kochać.

– Tak – powiedział. – To prawda. To, co pan mi opowiada o nocach, to nie jest miłość. To tylko namiętność i chuć. Kiedy człowiek kocha, pragnie coś dla kogoś zrobić. Pragnie ponieść ofiarę. Pragnie służyć.

– Ja nie kocham.

– Będzie pan kochał. Ja to wiem. A wtedy będzie pan szczęśliwy.

– Jestem szczęśliwy. Zawsze byłem szczęśliwy.

– To co innego. Nie może pan wiedzieć, dopóki pan tego nie zaznał.

– No, powiem ojcu, jeżeli mnie to kiedyś spotka.

– Za długo tu siedzę i za dużo mówię. – Był tym naprawdę zmartwiony.

– Nie. Niech ojciec nie idzie. A co z miłością do kobiet? Czy gdybym naprawdę kochał jakąś kobietę, to byłoby to samo?

– Tego nie wiem. Nigdy nie kochałem kobiety.

– Matki też nie?

– Tak, matkę chyba kochałem.

– Czy ojciec zawsze kochał Boga?

– Od dziecka.

– No cóż – odrzekłem. Nie wiedziałem, co powiedzieć. – Z ojca jest wspaniały chłopak.

– Tak, jestem chłopak – powiedział. – A jednak pan mnie nazywa ojcem.

– To przez uprzejmość.

Uśmiechnął się.

– Naprawdę muszę już iść – powiedział. – Nie jestem panu potrzebny? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Nie. Tylko żeby pogadać.

– Przekażę od pana pozdrowienia kolegom w mesie.

- Dziękuję ojcu za tyle wspaniałych prezentów.
- Nie ma za co.
- Niech ojciec jeszcze do mnie wpadnie.
- Dobrze. Do widzenia. – Poklepał mnie po ręce.
- Cześć – powiedziałem w dialekcie.
- *Ciao* – powtórzył.

W pokoju było ciemno i ordynans, który przez cały czas siedział w nogach łóżka, wstał i wyszedł z kapelanem. Bardzo lubiłem tego księdza i miałem nadzieję, że kiedyś wróci do Abruzji. W mesie miał ciężkie życie i znosił to dzielnie, ale zastanawiałem się, jak mu będzie w rodzinnych stronach. Mówił mi, że koło Capracotty są pstrągi w strumieniu za miastem. W mieście nie wolno grać nocami na flecie. Młodzi ludzie urządzają serenady, ale flet jest zakazany. Pytałem dlaczego. Bo dla dziewcząt niedobrze jest słuchać fletu po nocach. Chłopi nazywają każdego "don" i przy spotkaniu zdejmują kapelusze. Jego ojciec poluje dzień w dzień i zachodzi na posiłek do chłopskich chat. Chłopi zawsze czują się tym zaszczytzeni. Cudzoziemiec, który chce polować, musi przedstawić zaświadczenie, że nigdy nie siedział w areszcie. W górach Gran Sasso d'Italia żyją niedźwiedzie, ale to jest bardzo daleko. Aquila to piękne miasto. W lecie bywa tam chłodno wieczorami, a wiosna w Abruzji jest najpiękniejsza w całych Włoszech.

Ale najmilej jest polować na jesieni w lasach kasztanowych. Wszystkie ptaki są smaczne, bo żywią się winogronami; nigdy nie trzeba zabierać z sobą śniadania, bo chłopi zawsze czują się zaszczytzeni, jeżeli ktoś zechce coś zjeść razem z nimi w ich domu.

Po pewnym czasie zasnąłem.

Rozdział XII

Pokój był podłużny, po prawej stronie miał okna, a w głębi drzwi prowadzące do izby opatrunkowej. Rząd łóżek, między którymi było moje, stał naprzeciw okien, a drugi, pod oknami, miał naprzeciwko ścianę. Leżąc na lewym boku widziałem drzwi izby opatrunkowej. Na przeciwległym końcu pokoju były drugie drzwi, przez które wchodzili czasem różni ludzie. Jeżeli ktoś konał, zasłaniano łóżko parawanem, żebyśmy nie widzieli, jak umiera, i tylko spod dolnej krawędzi parawanu pokazywały się buty i owijacze doktorów i pielęgniarzy, a czasem pod koniec rozlegały się szepty. Potem zza parawanu wychodził ksiądz, a następnie wchodzili tam pielęgniarze i przejściem między łóżkami wynosili umarłego przykrytego kocem, a ktoś składał i zabierał parawan.

Tego rana major opiekujący się naszą salą zapytał mnie, czy następnego dnia zdołam wytrzymać podróż. Odpowiedziałem, że tak. Wtedy powiedział, że wyślą mnie wcześniej nazajutrz. Twierdził, że lepiej zniosę drogę teraz, zanim się zrobi zbyt gorąco.

Kiedy nas zdejmowali z łóżek i nosili do izby opatrunkowej, można było zobaczyć przez okno świeże groby w ogrodzie. Pod drzwiami wychodzącymi na ogród siedział żołnierz, który zbijał krzyże i wymalowywał na nich nazwiska, stopnie i pułki tych, którzy byli tam pochowani. Załatwiał również sprawunki dla rannych z sali, a w wolnych chwilach robił dla mnie zapalniczkę z pustej łuski od austriackiego naboju karabinowego. Lekarze byli bardzo mili i sprawiali wrażenie zdolnych. Spieszyli się z wysłaniem mnie do Mediolanu, gdzie była lepsza aparatura rentgenowska i gdzie po operacji mogłem się poddać mechanoterapii. Ja także miałem ochotę jechać do Mediolanu. Chcieli nas wszystkich powysłać jak najdalej na tyły, bo łóżka były potrzebne na ofensywę, która się miała rozpocząć.

Ostatniego wieczora przed moim odjazdem ze szpitala polowego przyszedł do mnie Rinaldi z majorem z naszej mesy. Powiedzieli mi, że jadę do amerykańskiego szpitala, który właśnie założono w Mediolanie. Miało tu przybyć kilka amerykańskich jednostek sanitarnych i ten szpital przeznaczony był dla nich i dla wszystkich Amerykanów służących we Włoszech. W Czerwonym Krzyżu było ich wielu. Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Niemcom, ale nie Austrii.

Włosi byli przekonani, że Ameryka wypowie wojnę także i Austrii, i ogromnie się przejmowali każdym przyjeżdżającym Amerykaninem, nawet jeżeli był z Czerwonego Krzyża. Zapytali mnie, czy uważam, że prezydent Wilson wypowie wojnę Austrii, a ja odparłem, że to już tylko kwestia dni. Nie wiedziałem, co mamy przeciwko Austrii, ale

wydawało mi się logiczne, że skoro wypowiedzieliśmy wojnę Niemcom, musimy wypowiedzieć i jej. Pytali, czy wypowiemy wojnę Turcji. Odrzekłem, że to wątpliwe. Powiedziałem, że Turcja jest naszym narodowym drobiem*, ale ten dowcip był tak ciężki do przetłumaczenia, a oni tak zaskoczeni i podejrzliwi, że powiedziałem im, iż prawdopodobnie wypowiemy wojnę i Turcji. A Bułgarii? Wypiliśmy już kilka szklaneczek wódki, więc odparłem, że tak, jak Boga kocham, Bułgarii też i Japonii także. Na to oni, że Japonia jest przecież sojuszniczką Anglii. Nie można ufać tym cholernym Anglikom. Powiedziałem, że Japończycy chcą Hawajów. A gdzie są Hawaje? Na Oceanie Spokojnym. Dlaczego Japończycy ich chcą? – Właściwie nie chcą – odpowiedziałem. – To tylko takie gadanie. Japończycy to wspaniałe małe ludziki, rozmiłowane w tańcu i lekkim winie. – Tak jak Francuzi – powiedział major. – Francuzom odbierzemy Niceę i Sabaudię. – Rinaldi dodał, że odbierzemy także Korsykę i całe adriatyckie wybrzeże. Major oświadczył, że Italia powróci do świetności Rzymu. Na to ja, że Rzymu nie lubię. Bo tam gorąco i pełno pcheł. – Nie lubi pan Rzymu? – Owszem, kocham Rzym. Rzym to matka narodów. Nigdy nie zapomnę Romulusa ssącego Tyber. – Co takiego? – Nic. Jedźmy wszyscy do Rzymu. Jedźmy dziś jeszcze do Rzymu i więcej nie wracajmy. – Rzym to przepiękne miasto – oświadczył major. – Ojciec i matka narodów – odpowiedziałem. – Rzym po włosku jest rodzaju żeńskiego, więc nie może być ojcem – stwierdził na to Rinaldi. – W takim razie kto jest ojcem, Duch Święty? – Niech pan nie bluźni. – Ja nie bluźnię, tylko proszę o informację. – Pijany jesteś, dziecinko. – A kto mnie upił? – Ja pana upiłem – odparł major. – Upiłem pana, bo pana kocham i dlatego że Ameryka weszła do wojny. – Po rękojeść – odpowiedziałem. – Rano odjeżdżasz, dziecinko – rzekł Rinaldi. – Do Rzymu – odparłem. – Nie, do Mediolanu. – Do Mediolanu – powiedział major. – Do “Crystal Palace”, do “Covy”, do “Campari”, do Biffiego, do *galleria*. Ty szczęściarzu. – Powiedziałem, że do “Gran Italii”, gdzie pożyczę forsy od George'a. – Do “La Scali” – dodał Rinaldi. – Będzie pan chodził do “La Scali”. – Co wieczór – powiedziałem. – Nie będzie pan mógł sobie pozwolić na to, żeby chodzić co wieczór – rzekł major. – Bilety są bardzo drogie. – Wystawię weksel na okaziciela, na mojego dziadka – powiedziałem. – Co takiego? – Weksel na okaziciela. Dziadek musi zapłacić, bo inaczej wsadzą mnie do więzienia. W banku załatwia to niejaki pan Cunningham. Ja w ogóle żyję z weksli na okaziciela. Czyż dziadek może wsadzić do więzienia wnuka-patriotę, który ginie po to, żeby Italia żyła? – Niech żyje amerykański Garibaldi! – zawołał Rinaldi. – *Viva* weksle na okaziciela – odpowiedziałem. – Musimy ciszej gadać – powiedział major. – Już kilka razy proszono, żebyśmy byli ciszej. –

* Turcja jest naszym narodowym drobiem - Turcja ma w języku angielskim to samo brzmienie co "indyk" (Turkey)

Naprawdę pan jutro jedzie, Federico? – Mówię wam, że jedzie do amerykańskiego szpitala – odrzekł Rinaldi. – Do pięknych pielęgniarek. Nie takich z brodami jak ci sanitariusze ze szpitala polowego. – Tak, tak. – powiedział major. – Wiem, że jedzie do amerykańskiego szpitala. – Mnie ich brody nie przeszkadzają – oświadczyłem. – Jak ktoś chce zapuścić sobie brodę, to niech zapuszcza. Dlaczego pan nie zapuści brody, *signor maggiore*? – Bo nie zmieściłaby się w masce gazowej. – Owszem, zmieściłaby się. W masce gazowej zmieści się wszystko. Ja już nawet rzygałem do maski gazowej. – Nie mów tak głośno, dziecinko – poprosił Rinaldi. – Wszyscy wiemy, że pan był na froncie. Ach, ty kochana dziecinko, co ja będę robił bez ciebie? – Trzeba iść – powiedział major. – Zaczyna się sentymentalnie. Mam dla pana niespodziankę. Tę pańską Angielkę. Wie pan? Tę, do której pan co wieczór chodził do tego ich szpitala. Ona też jedzie do Mediolanu. Ma pracować z tą drugą w amerykańskim szpitalu. Nie dostali jeszcze pielęgniarek z Ameryki. Rozmawiałem dzisiaj z szefem ich *riparto**. Tu, na froncie, było za dużo kobiet. Część teraz odsyłają. Co pan na to? – W porządku. – Tak? Jedzie pan sobie do wielkiego miasta i będzie pan miał swoją Angielkę na pieszczotki. Dlaczego ja nie jestem ranny? – Może pan jeszcze będzie – powiedziałem. – Trzeba iść – rzekł major. – Pijemy tu, hałasujemy i przeszkadzamy Federikowi. – Nie idźcie. – Już musimy. Do widzenia. – Wszystkiego dobrego. – Najlepszego. – *Ciao*. – *Ciao*. – *Ciao*. – Wracaj niedługo, dziecinko. – Rinaldi ucałował mnie. – Pachnie pan lizolem. Do widzenia, dziecinko. – Do widzenia. Wszystkiego dobrego.

Major poklepał mnie po ramieniu. Wyszli na palcach. Stwierdziłem, że jestem zupełnie pijany, i zasnąłem.

Następnego dnia rano odjechaliśmy do Mediolanu i przybyliśmy tam w czterdzieści osiem godzin później. Podróż była niedobra. Przez długi czas staliśmy na boczniczy przed Mestre, zjawiły się tam dzieci i zagłądały do wagonu. Poprosiłem jakiegoś chłopaczka, żeby mi przyniósł butelkę koniaku, ale wrócił i powiedział, że można dostać tylko grappę. Powiedziałem, żeby ją kupił, a kiedy przyniósł, kazałem mu zatrzymać resztę i upiłem się z leżącym obok mnie żołnierzem, i spałem aż do Vincenzy, a obudziwszy się, zwymiotowałem na podłogę. Było to zresztą obojętne, bo ranny, który leżał z tej strony, wymiotował już kilka razy. Później myślałem, że nie wytrzymam z pragnienia, i na torach pod Weroną zawołałem jakiegoś żołnierza, który przechadzał się tam i z powrotem obok pociągu, i poprosiłem, żeby mi przyniósł trochę wody. Obudziłem Georgettiego, tego, razem z którym się upiliśmy, i poczęstowałem go wodą.

* *riparto* (wł.) - jednostka, oddział.

Powiedział, żeby mu połączyć ramię, i zasnął na powrót. Żołnierz nie chciał przyjąć ode mnie pieniędzy i przyniósł mi mięsistą pomarańczę. Ssałem ją, wypływając miąższ, i przyglądałem się żołnierzowi, który chodził tam i z powrotem koło wagonu towarowego. Po chwili pociąg szarpnął i ruszył z miejsca.

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział I

Do Mediolanu dojechaliśmy wcześniej rano i wyładowali nas na dworcu towarowym. Karetka sanitarna przewiozła mnie do szpitala amerykańskiego. Leżąc w niej na noszach nie mogłem zorientować się, przez którą część miasta przejeżdżamy, ale kiedy wyjęli moje nosze, zobaczyłem jakiś rynek i otwartą winiarnię, z której dziewczyna wymiatała śmieci. Polewano właśnie ulice i pachniało wczesnym porankiem. Sanitariusze ustawili nosze na ziemi i weszli do szpitala. Wrócili z portierem. Miał szpakowate wąsy, czapkę odźwiernego i był bez marynarki. Nosze nie chciały się zmieścić w windzie, więc zaczęli dyskutować, czy lepiej zdjąć mnie z nich i zawieźć na górę windą, czy wnieść na noszach schodami. Przysłuchiwałem się ich dyskusji. Zdecydowali się na windę. Dźwignęli mnie z noszy.

– Pomalutku – powiedziałem. – Ostrożnie. W windzie było ciasno i kiedy przygięli mi nogi, poczułem dotkliwy ból.

– Wyprostujcie mi nogi – poprosiłem.

– Nie możemy, *signor tenente*. Nie ma miejsca.

Ten, który to powiedział, obejmował mnie wpół, a ja trzymałem go za szyję. Czulem na twarzy jego oddech, pachnący metalicznie czosnkiem i czerwonym winem.

– Tylko delikatnie – powiedział drugi.

– Drań ten, kto niedelikatny.

– Delikatnie, powiadam – powtórzył sanitariusz trzymający mnie za nogi.

Drzwi windy zamknęły się, potem portier zasunął kratę i nacisnął guzik czwartego piętra. Miał strapioną minę. Winda powoli ruszyła w górę.

– Ciężko? – zapytałem tego, który pachniał czosnkiem.

– Nic, nic – odpowiedział. Twarz miał spoconą i stękał. Winda wznosiła się równo, wreszcie stanęła. Ten, który mnie trzymał za nogi, otworzył drzwi i wysunął się na zewnątrz. Znajdowaliśmy się na podeście. Było tu kilkoro drzwi z mosiężnymi gałkami. Niosący mnie za nogi nacisnął guzik dzwonka. Usłyszeliśmy za drzwiami brzęczenie. Nikt się nie zjawiał. Potem przyszedł po schodach portier.

– Gdzie one się podziały? – zapytali niosący mnie sanitariusze.

– A bo ja wiem – odrzekł portier. – Śpią na dole.

– Zawołaj pan kogoś.

Portier zadzwonił, potem zapukał do drzwi, wreszcie otworzył je i wszedł. Wrócił z jakąś starszą kobietą w okularach. Włosy jej się rozluźniły i opadły na twarz, a na głowie miała czepek pielęgniarki.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Nie rozumiem po włosku.

– Ja mówię po angielsku – odparłem. – Ci ludzie chcą mnie gdzieś położyć.

– Nie ma gotowego pokoju. Nie spodziewaliśmy się pacjentów. – Poprawiła sobie włosy i popatrzyła na mnie mrużąc krótkowzroczne oczy.

– Może pani im wskaże jakiś pokój, do którego mogliby mnie zanieść.

– Kiedy nie wiem gdzie – odparła. – Nie spodziewaliśmy się pacjentów. Nie mogę pana umieścić w pierwszym lepszym pokoju.

– Każdy będzie dobry – powiedziałem. A potem po włosku do portiera. – Niech pan znajdzie jakiś wolny pokój.

– Wszystkie są wolne – odrzekł. – Pan jest pierwszym pacjentem. – Trzymał czapkę w rękę i patrzył na podstarzałą pielęgniarkę.

– Na rany boskie, zanieście mnie do jakiegoś pokoju!

Ból w przegiętych nogach wzrastał się coraz bardziej i czułem, jak przenika kości na wylot. Portier wszedł w jakieś drzwi, a za nim szpakowata pielęgniarka. Po chwili wrócił pospiesznie.

– Chodźcie, panowie, za mną – powiedział.

Poniesli mnie długim korytarzem do pokoju, gdzie były zapuszczone żaluzje. Stało tu łóżko i duża szafa z lustrem. Położyli mnie na łóżku.

– Nie mogę dać pościeli – powiedziała pielęgniarka.

– Prześcieradła są zamknięte.

Nie odezwałem się do niej.

– W kieszeni mam pieniądze – powiedziałem do portiera. – W tej zapiętej. – Portier wyjął je. Obaj sanitariusze stali z czapkami w rękę przy łóżku. – Niech pan im da po pięć lirów i weźmie pięć dla siebie. Papiery mam w drugiej kieszeni. Może pan je dać siostrze. Sanitariusze zasalutowali i podziękowali.

– Do widzenia i bardzo dziękuję – powiedziałem. Zasalutowali raz jeszcze i wyszli.

– W tych papierach jest opisany mój przypadek i dotychczasowe leczenie – powiedziałem pielęgniarce.

Wzięła je i obejrzała przez okulary. Były tam trzy złożone arkusiki.

– Nie wiem, co robić – powiedziała. – Nie umiem czytać po włosku. A nie mogę nic zrobić bez polecenia lekarza. – Rozpląkała się i wetknęła papiery do kieszeni fartucha. – Pan jest Amerykaninem? – zapytała przez łyzy.

– Tak. Niech siostra położy te papiery przy łóżku.

W pokoju był półmrok i chłód. Leżąc na łóżku widziałem wielkie lustro na przeciwległej ścianie, ale nie mogłem dojrzeć, co się w nim odbija. Portier stał przy łóżku. Miał poczciwą twarz i był bardzo miły.

– Może pan już iść – powiedziałem do niego. – I siostra też. Jak siostry nazwisko?

– Walker.

– Może siostra już iść. Zdaje się, że teraz usnę.

Zostałem sam w pokoju. Było tu chłodno i wcale nie pachniało szpitalem. Materac był sprężysty i wygodny, leżałem bez ruchu, oddychając ostrożnie, szczęśliwy, że ból się zmniejszył. Po jakimś czasie zachciało mi się pić, więc odszukałem dzwonek wiszący przy łóżku na drucie i zadzwoniłem, ale nikt nie przyszedł. Usnąłem.

Kiedy się przebudziłem, rozejrzałem się po pokoju. Przez żaluzje wpadało światło słoneczne. Zobaczyłem dużą szafę, nagie ściany i dwa krzesła. Moje nogi w brudnych bandażach wyciągnięte były na łóżku. Starłem się nimi nie poruszać. Chciało mi się pić, więc sięgnąłem do dzwonka i nacisnąłem guzik. Usłyszałem, że drzwi otwierają się, i zobaczyłem inną pielęgniarkę. Była młoda i ładna.

– Dzień dobry – powiedziałem.

– Dzień dobry – odrzekła i podeszła do łóżka. – Nie udało nam się złapać doktora. Wyjechał nad Como. Nikt nie wiedział, że mają przysłać pacjenta. A w ogóle co panu dolega?

– Jestem ranny. W nogi i stopy i mam kontuzję głowy.

– Jak pana nazwisko?

– Henry. Fryderyk Henry.

– Zaraz pana obmyję. Ale z opatrunkami nie możemy nic zrobić, dopóki doktor nie wróci.

– Czy tutaj jest panna Barkley?

– Nie. Nie ma nikogo o tym nazwisku.

– A kto to była ta kobieta, która płakała, kiedy mnie przywieźli?

Pielęgniarka roześmiała się.

– To siostra Walker. Miała nocny dyżur i zasnęła. Nie spodziewała się nikogo.

Rozmawiając rozbierała mnie i kiedy nie miałem już nic na sobie prócz bandaży, obmyła mnie bardzo delikatnie i ostrożnie. Mycie było bardzo przyjemne. Na głowie miałem bandaż, ale obmyła ją wszędzie naokoło niego.

- Gdzie pan został ranny?
- Nad Isonzo, na północ od Plavy.
- Gdzie to jest?
- Na północ od Gorycji.

Widziałem, że ani jedno, ani drugie nic jej nie mówi.

- Bardzo pana boli?
- Nie. Teraz już nie bardzo. Wetknęła mi w usta termometr.
- Włosi go kładą pod pachę – powiedziałem.
- Proszę nie rozmawiać.

Wyjawszy termometr obejrzała go i strząsnęła.

- Jaka temperatura?
- Tego pan nie powinien wiedzieć.
- Niech siostra powie.
- Prawie normalna.
- Nigdy nie miewam gorączki. Ale w nogach mam pełno starego żelastwa.
- Jak to?

– Pełno w nich odłamków pocisku z mózdzierza, starych śrub, sprężyn od łóżek babci i tak dalej. Pokręciła głową i uśmiechnęła się.

– Gdyby panu tkwiły w nogach jakieś obce ciała, wdałoby się zapalenie i miałby pan gorączkę.

- No dobrze – powiedziałem. – Zobaczymy, co jeszcze wylezie.

Wyszła z pokoju i wróciła ze starą pielęgniarką, którą poznałem rano. Wspólnie posłały łóżko, nie zdejmując mnie z niego. Było to dla mnie nowe i godne podziwu.

- Kto tu jest kierowniczką?
- Panna Van Campen.
- Ile jest pielęgniarek?
- Tylko my dwie.
- I więcej nie będzie?
- Ma jeszcze przyjechać kilka.
- A kiedy?
- Nie wiem. Jak na chorego, zadaje pan masę pytań.
- Ja nie jestem chory – odpowiedziałem. – Jestem ranny.

Skończyły zaścielać łóżko i teraz leżałem na czystym, śliskim prześcieradle, przykryty drugim. Siostra Walker wyszła i wróciła z górą od pizamy. Nałożyła mi ją i poczułem się bardzo czysty i wystrojony.

– Siostry są dla mnie bardzo miłe – powiedziałem. Pielęgniarka nazwiskiem Gage zachichotała. – Mógłbym się napić wody? – zapytałem.

– Oczywiście. A potem dostanie pan śniadanie.

– Nie mam ochoty na śniadanie. Czy można by podnieść żaluzje?

W pokoju był półmrok, ale kiedy podniosły żaluzje, zrobiło się jasno od słońca i zobaczyłem balkon, a za nim dachówki i kominy domów. Nad dachami były białe obłoki i bardzo błękitne niebo.

– Czy nie wiadomo, kiedy mają przyjechać pielęgniarki?

– A bo co? Czy my się źle panem opiekujemy?

– Bardzo jesteście miłe.

– Chciałby pan załatwić się do basenu?

– Mogę spróbować.

Pomogły mi się podnieść i podtrzymały mnie, ale bez skutku. Potem położyłem się znowu i popatrzyłem przez otwarte drzwi na balkon.

– Kiedy przyjdzie doktor?

– Jak wróci. Próbowaliśmy telefonować po niego do Como.

– A nie ma tu innych lekarzy?

– On jest ordynatorem szpitala.

Panna Gage przyniosła karafkę z wodą i szklankę. Wypiłem trzy szklanki, po czym pielęgniarki zostawiły mnie samego. Chwilę wyglądałem przez okno, a potem znowu zasnąłem. Później zjadłem obiad, a po południu przyszła mnie odwiedzić panna Van Campen, kierowniczka szpitala. Nie podobałem się jej ani ona mnie. Była niska, wytwornie podejrzliwa i zanadto wyniosła jak na swoje stanowisko. Zadała mi wiele pytań i najwyraźniej uważała za rzecz poniekąd uwłaczającą, że służę w armii włoskiej.

– Czy mógłbym dostawać wino do posiłków? – zapytałem.

– Tylko z przepisu lekarza.

– A nie mogę dostać przed jego przyjściem?

– Wykluczone.

– Czy pani zamierza go w końcu sprowadzić?

– Telefonowaliśmy po niego do Como.

Wyszła, a po chwili panna Gage wróciła do pokoju.

– Dlaczego pan był nieuprzejmy dla panny Van Campen? – spytała, zakrzętnąwszy się przy mnie bardzo sprawnie.

– Nie miałem takiego zamiaru. Ale ona zachowała się paskudnie.

– Powiedziała, że pan ją traktuje z góry i jest niegrzeczny.

– Wcale nie. Ale co to za pomysł, żeby w szpitalu nie było lekarza?

– Ma przyjechać. Telefonowano po niego do Como.

– A co on tam robi? Pływa?

– Nie. Ma tam klinikę.

– Dlaczego nie sprowadzicie innego?

– Cicho, cicho. Niech pan będzie grzeczny, to doktor przyjdzie.

Posłałem po portiera, a kiedy się zjawiał, powiedziałem mu po włosku, żeby mi przyniósł z winiarni butelkę wermutu, *fiasco chianti** i wieczorne gazety. Wyszedł, przyniósł butelki zawinięte w gazety i rozwinął je, a ja wtedy poprosiłem, żeby je odkorkował i postawił wino i wermut pod łóżkiem. Zostałem sam i czytałem przez pewien czas gazety, wiadomości z frontu i listę poległych oficerów oraz nadanych im odznaczeń, a potem sięgnąłem pod łóżko, wyjąłem butelkę cinzano i oparłem ją sobie pionowo na brzuchu, czując na nim chłodne szkło, popijałem wermut małymi łykami, patrząc, jak na ciele robią mi się kółka od trzymania tam butelki między jednym haustem a drugim, i wyglądałem przez okno na niebo ciemniejące nad dachami miasta. Jaskółki latały w powietrzu, a ja patrzyłem na nie i na lelki, które krążyły nad dachami, i popijałem cinzano. Panna Gage przyniosła mi w szklance napój z żółtek zmieszanych z mlekiem i cukrem. Kiedy wchodziła, schowałem butelkę za łóżko.

– Panna Van Campen kazała dolać do tego trochę sherry – powiedziała. – Nie powinien pan być dla niej niegrzeczny. Nie jest już młoda, a praca w tym szpitalu to dla niej wielka odpowiedzialność. Siostra Walker jest za stara i nie ma z niej pożytku.

– Wspaniała kobieta – powiedziałem. – Proszę jej bardzo podziękować.

– Zaraz panu przyniosę kolację.

– Dobrze. Ale nie jestem głodny.

Kiedy przyniosła tacę i postawiła ją na stoliku przy łóżku, podziękowałem i zjadłem coś niecoś. Później zrobiło się ciemno na dworze i widziałem promienie reflektorów przebiegające po niebie. Przyglądałem się temu chwilę, po czym zasnąłem. Spałem twardo i tylko raz obudziłem się, zlany potem i przerażony, ale później zasnąłem znowu, starając się nie dopuścić do siebie tego samego snu. Zbudziłem się ostatecznie na

* *fiasco* (wł.) - oplatana flaszka.

długo przed świtem, usłyszałem piejące koguty i już nie spałem do chwili, gdy zaczęło dniać. Byłem zmęczony i kiedy rozwidniło się na dobre, zasnąłem ponownie.

Rozdział II

Kiedy się obudziłem, w pokoju było pełno słońca. Wydawało mi się, że znowu jestem na froncie, i przeciągnąłem się na łóżku. Zaboląły mnie nogi i zobaczywszy je, wciąż jeszcze owinięte brudnymi bandażami, przypomniałem sobie, gdzie jestem. Sięgnąłem do dzwonka zawieszzonego na sznurze i nacisnąłem guzik. Usłyszałem brzęczenie za drzwiami, a potem kogoś idącego na gumowych podszewkach korytarzem. Była to panna Gage, która w jasnym świetle słońca wydała mi się trochę starsza i nie tak ładna.

– Dzień dobry – powiedziała. – Dobrze się spało?

– Tak, dziękuję bardzo – odparłem. – Czy mogę prosić o fryzjera?

– Zajrzałam do pana i okazało się, że pan śpi z tym w łóżku.

Otworzyła szafę i wyjęła butelkę wermutu. Była prawie pusta.

– Wstawiłam tu także i tę drugą butelkę, co była pod łóżkiem – powiedziała. –

Dlaczego pan mnie nie poprosił o szklanekę?

– Myślałem, że siostra mi jej nie da.

– Bylibyśmy się razem napili.

– Siostra jest wspaniała.

– To dla pana niedobrze pić samemu – powiedziała. – Nie powinien pan tego robić.

– Już nie będę.

– Przyjechała pana znajoma, panna Barkley.

– Naprawdę?

– Tak. Nie podoba mi się.

– Będzie się siostrze podobała. Jest szalenie miła. Pokiwała głową.

– Na pewno jest wspaniała. Może pan się troszkę posunąć? Doskonale. Obmyję pana przed śniadaniem. Wmyła mnie namydloną myjką i ciepłą wodą.

– Niech pan podniesie rękę. O, tak.

– Czy mógłbym przed śniadaniem poprosić o fryzjera?

– Poślę portiera. – Wyszła i po chwili wróciła. – Już poszedł po niego – powiedziała, zanurzony myjkę w miednicy.

Portier przyszedł z fryzjerem. Był to mężczyzna około pięćdziesiątki, z podkręconym wąsikiem. Panna Gage skończyła mnie myć i wyszła, a fryzjer namydlił mi twarz i zabrał się do golenia. Był bardzo uroczy i nie wdawał się w rozmowę.

- Co się dzieje? Nie ma pan żadnych wiadomości?
- Jakich wiadomości?
- Jakichkolwiek. Co słyhać w mieście?
- Teraz jest czas wojenny – odpowiedział. – Wróg ma wszędzie uszy. Popatrzyłem

na niego.

- Proszę nie ruszać twarzą – powiedział i golił mnie dalej. – Nie powiem nic.
- Co się panu stało? – zapytałem.
- Jestem Włochem. Nie będę rozmawiał z wrogiem.

Dałem spokój. Pomyślałem, że jeśli jest nienormalny, to im prędzej wydostanę się spod jego brzytwy, tym lepiej. Raz spróbowałem mu się przyjrzeć.

– Uwaga – powiedział. – Brzytwa jest ostra. Kiedy skończył, zapłaciłem mu i dałem pół lira napiwku. Zwrócił mi monety.

- Nie chcę. Nie walczę na froncie, ale jestem Włochem.
- Wynoś się pan do diabła.
- Za pozwoleniem – powiedział i zawiął brzytwę w gazetę.

Wyszedł, zostawiwszy pięć miedzianych monet na nocnym stoliku. Zadzwoiłem.

Weszła panna Gage.

- Czy siostra zechciałaby wezwać tu portiera?
- Proszę bardzo.

Wszedł portier. Starał się powstrzymać od śmiechu.

- Czy ten fryzjer to wariat?
- Nie, *signorino*. On się pomylił. Nie bardzo jest bystry i z tego, co mówiłem, zrozumiał, że pan jest austriackim oficerem.

– Ach – powiedziałem.

– Ha! ha! ha! – śmiał się portier. – Ale on był zabawny! Powiedział, że jeden pana ruch, a byłby... – tu przeciągnął wskazującym palcem po gardle. – Ha! ha! ha! – starał się opanować śmiech. – Jak ja mu powiem, że pan nie Austriak... Ha! ha! ha!

– Hahaha – powiedziałem ze złością. – Strasznie byłoby śmiesznie, gdyby mi poderznął gardło. Hahaha.

- Nie, *signorino*, nie, nie. On tak się bał Austriaka! Ha! ha! ha!
- Hahaha – powiedziałem. – Idź pan sobie.

Wyszedł i słyszałem jego śmiech na korytarzu. Potem rozległy się czyjeś kroki. Spojrzałem na drzwi. Była to Catherine Barkley.

Weszła do pokoju i zbliżyła się do łóżka.

– Dzień dobry, kochanie – powiedziała. Wyglądała świeżo, młodo i bardzo pięknie. Przeleciało mi przez myśl, że nie widziałem nikogo równie pięknego.

– Dzień dobry – odpowiedziałem.

Kiedy ją zobaczyłem, zakochałem się w niej natychmiast. Wszystko się we mnie wywróciło. Spojrzała na drzwi, upewniła się, że nie ma nikogo, usiadła na brzegu łóżka, pochyliła się i pocałowała mnie. Przyciągnąłem ją do siebie, zacząłem całować i poczułem bicie jej serca.

– Najmilsza – powiedziałem. – Czy to nie cudowne, żeś przyjechała?

– To nie było takie trudne. Może być trudniej zostać.

– Musisz zostać – odparłem. – Ach, jesteś cudowna. – Straciłem dla niej głowę. Nie mogłem uwierzyć, że Catherine jest tu naprawdę i przyciskam ją mocno do siebie.

– Nie można – powiedziała. – Jesteś zbyt osłabiony.

– Wcale nie. Chodź.

– Nie. Nie masz dość sił.

– Owszem, mam. Mam. Proszę cię.

– Kochasz mnie?

– Kocham cię naprawdę. Szaleję za tobą. Błagam cię, chodź.

– Posłuchaj, jak nam biją serca.

– Co tam serca! Chcę ciebie. Wariuję za tobą.

– Naprawdę mnie kochasz?

– Nie powtarzaj tego wciąż. Chodź. Proszę cię. Proszę, Catherine.

– Dobrze, ale tylko na chwilę.

– Tak – odpowiedziałem. – Zamknij drzwi.

– Nie można. Nie powinienes.

– Chodź. Przestań mówić. Błagam cię, chodź.

Catherine siedziała na krześle przy łóżku. Drzwi na korytarz były otwarte. Szał minął i czułem się tak wspaniale jak nigdy.

Zapytała: – Teraz wierzysz, że cię kocham?

– Och, jesteś cudna – odparłem. – Musisz tu zostać. Nie mogą cię odesłać. Kocham cię jak wariat.

– Musimy być bardzo ostrożni. To było po prostu szaleństwo. Nie możemy tego robić.

– Możemy w nocy.

– Trzeba się strasznie pilnować. Będziesz musiał uważać przy ludziach.

- Będę uważał.
- Koniecznie. Jesteś najmilszy. Kochasz mnie, prawda?
- Nie powtarzaj tego znowu. Nawet nie wiesz, co się wtedy ze mną robi.
- Postaram się. Nie chcę, żeby ci się coś zrobiło. A teraz już naprawdę muszę iść,

kochanie.

- Wróc zaraz.
- Wrócę, jak będę mogła.
- Do widzenia.
- Do widzenia, kochanie.

Wyszła. Bóg świadkiem, że wcale nie chciałem się w niej zakochać. Nie chciałem się zakochać w nikim. Ale Bóg także świadkiem, że byłem zakochany i leżałem na łóżku w szpitalu w Mediolanie, i najróżniejsze rzeczy przelatowały mi przez głowę, i było mi cudownie. Wreszcie weszła panna Gage.

- Doktor przyjeżdża – powiedziała. – Telefonował z Como.
- Kiedy tu będzie?
- Dziś po południu.

Rozdział III

Do południa nie wydarzyło się nic szczególnego. Doktor był chudym, spokojnym człowieczkiem, najwyraźniej znękanym wojną. Powyciągał mi z ud pewną ilość drobnych stalowych odłamków, czyniąc to z delikatnym wykwinnym obrzydzeniem. Zastosował znieczulenie miejscowe noszące nazwę jakiegoś tam "śniegu", który zamrażał tkanki i zapobiegał bólowi, dopóki sonda, skalpel albo peseta nie dotarły pod zamrożoną warstwę ciała. Pacjent musiał wyraźnie określić przestrzeń, która ma być znieczulona. Po pewnym czasie wyczerpała się delikatna wrażliwość doktora, więc oświadczył, że trzeba zrobić prześwietlenie. Powiedział, że sondowanie nie daje zadowalających wyników.

Zdjęcie rentgenowskie wykonano w Ospedale Maggiore, a robiący je lekarz był pełen ożywienia, sprawny i wesoły. Podtrzymali mnie za ramiona, tak abym sam mógł zobaczyć w aparaturze co większe obce ciała. Klisze mieli przesłać do szpitala. Doktor poprosił mnie, żebym mu wpisał do notesu swoje nazwisko, pułk i kilka słów na pamiątkę. Powiedział, że obce ciała są paskudne, wstrętne i brutalne. Austriacy to dranie. A ilu ich zabiłem? Nie zabiłem ani jednego, ale chciałem mu zrobić przyjemność, więc powiedziałem, że całą masę. Była tam ze mną panna Gage i doktor objął ją wpół i oświadczył, że jest piękniejsza od Kleopatry. Czy ona to rozumie? Od Kleopatry, dawnej królowej egipskiej. Tak, jak Boga kocham, piękniejsza. Wróciliśmy sanitarką do naszego szpitalika i po dłuższej chwili i wielokrotnym dźwiganiu mnie w górę znalazłem się znowu na piętrze i w łóżku.

Zdjęcia przyszły po południu; doktor powiedział, że jak Boga kocha będzie je miał gotowe po południu, i dotrzymał słowa. Pokazała mi je Catherine Barkley. Były w czerwonych kopertach; wyjęła z nich klisze, nastawiła pod światło i obejrzała razem ze mną.

– To twoja prawa noga – powiedziała, po czym wsunęła kliszę z powrotem do koperty. – A to lewa.

– Odłóż to i chodź do łóżka – powiedziałem.

– Nie mogę. Przyniosłam zdjęcia tylko na sekundę, żeby ci pokazać.

Wyszła z pokoju. Było gorące popołudnie i miałem dosyć leżenia w łóżku. Posłałem portiera po gazety, wszystkie jakie tylko zdoła dostać.

Zanim wrócił, do pokoju weszło trzech doktorów. Zauważyłem, że lekarze, którym nie idzie praktyka, mają tendencję do wzajemnego szukania swego towarzystwa i pomocy przy konsultacji. Lekarz, który nie potrafi przyzwoicie wyciąć ślepej kiszki,

poleca innego, który nie umie prawidłowo usunąć migdałków. To właśnie byli trzej tacy doktorzy.

– To jest ten młody człowiek – powiedział nasz ordynator o delikatnych rękach.

– Dzień dobry panu – odezwał się wysoki, chudy doktor z brodą. Trzeci, który przyniósł zdjęcia rentgenowskie w czerwonych kopertach, nie mówił nic.

– Zdejmujemy opatrunki? – zapytał brodaty doktor.

– Oczywiście. Proszę zdjąć opatrunki, siostrze – powiedział ordynator do panny Gage.

Panna Gage zdjęła mi opatrunki. Spojrzałem na swoje nogi. W szpitalu polowym przypominały niezbyt świeży, zmielony befsztyk. Teraz pokrywała je skorupa, kolana miałem opuchnięte i sine, łydkę zapadniętą, ale ropy nie było.

– Bardzo czyściutkie – powiedział ordynator. – Czyściutkie i ładne.

– Uhm – rzekł doktor z brodą. Trzeci spojrzał przez ramię ordynatora.

– Proszę zgiąć kolano – powiedział brodaty doktor.

– Nie mogę.

– Zbadamy sprawność stawu? – zapytał brodaty doktor. Na rękawie miał pasek i trzy gwiazdki. To znaczyło, że był kapitanem.

– Oczywiście – odrzekł ordynator. Dwaj lekarze ujęli mnie bardzo delikatnie za prawą nogę i przegięli ją.

– To boli – powiedziałem.

– Tak, tak. Troszkę dalej, panie kolego.

– Dostyc. Dalej nie pójdzie – powiedziałem.

– Sprawność częściowa – rzekł kapitan. Wyprostował się.

– Można jeszcze raz obejrzeć zdjęcia, panie kolego? – Trzeci doktor podał mu jedno ze zdjęć. – Nie. Poproszę lewą nogę.

– To jest lewa, kolego.

– A, słusznie. Patrzyłem z innej strony. – Obrócił kliszę. Drugiej przyglądał się przez dłuższy czas. – Widzi kolega? – pokazał jedno z obcych ciał, które rysowało się kulisto i wyraźnie na tle światła. Przez chwilę przypatrywali się kliszy.

– Tylko jedno mogę powiedzieć – rzekł kapitan z brodą.

– To jest kwestia dłuższego czasu. Trzech miesięcy, a może i sześciu.

– Musi się na nowo wytworzyć płyn maziowy.

– Jasne. Na to trzeba czasu. Nie mógłbym ze spokojnym sumieniem otworzyć takiego kolana, dopóki odłamek się nie otorbi.

– Zgadzam się z panem, kolego.

– Sześć miesięcy na co? – spytałem.

– Na to, żeby odłamek się otorbił, bo dopiero wtedy można będzie spokojnie otworzyć kolano.

– Nie wierzę w to – powiedziałem.

– A chce pan zachować kolano?

– Nie.

– Co takiego?

– Chcę, żeby mi je odcięli – powiedziałem. – i żebym mógł zamiast niego nosić hak.

– Jak to hak?

– On sobie żartuje – powiedział ordynator. Poklepał mnie bardzo delikatnie po ramieniu. – Pan przecież chce zachować kolano. To bardzo dzielny młodzieniec. Przedstawiono go do srebrnego medalu za waleczność.

– Serdeczne gratulacje – powiedział kapitan. Uścisnął mi dłoń. – Mogę tylko powiedzieć, że dla bezpieczeństwa powinno się poczekać co najmniej sześć miesięcy z otwarciem takiego kolana. Oczywiście wolno panu mieć inne zdanie.

– Bardzo panu dziękuję – odrzekłem. – Cenię sobie pańską opinię. Kapitan spojrzał na zegarek.

– Musimy już iść – powiedział. – Najlepsze życzenia.

– Wszystkiego dobrego i bardzo dziękuję – odparłem. Uścisnąłem dłoń trzeciemu doktorowi.

– *Capitano Varini.*

– *Tenente Henry.*

Wszyscy trzej wyszli z pokoju.

– Siostrze Gage! – zawołałem. Weszła. – Proszę poprosić ordynatora, żeby tu wrócił na chwilę. Wszedł z czapką w rękę i stanął przy łóżku.

– Pan życzył sobie ze mną mówić?

– Tak. Nie mogę czekać sześciu miesięcy na operację. Boże kochany, czy pan doktor leżał kiedy sześć miesięcy w łóżku?

– Nie będzie pan leżał przez cały czas. Przede wszystkim trzeba wystawić rany na słońce. Później będzie pan mógł chodzić o kulach.

– Przez sześć miesięcy, a potem operacja?

– Tak będzie pewniej. Trzeba pozwolić, żeby te obce ciała się otorbiły, a płyn maziowy wytworzył się na nowo. Dopiero potem można spokojnie otworzyć kolano.

– Czy pan osobiście naprawdę uważa, że będę musiał tak długo czekać?

– Tak jest najbezpieczniej.
– Co to za jeden, ten kapitan?
– Znakomity chirurg z Mediolanu.
– W stopniu kapitana, prawda?
– Tak, ale to świetny chirurg.
– Nie chcę, żeby jakiś kapitan bawił się moją nogą. Gdyby był coś wart, zrobiliby go majorem. Wiem, co to jest kapitan, doktorze.

– To znakomity chirurg i bardziej polegam na jego zdaniu niż na opinii wszystkich znanych mi chirurgów.

– A nie mógłby tego obejrzeć jakiś inny?
– Naturalnie, jeżeli pan sobie życzy. Ale ja osobiście polegałbym na zdaniu doktora Varelli.

– Mógłby pan poprosić innego chirurga, żeby tu przyszedł i obejrzał to kolano?
– Poproszę Valentiniego.
– Kto to jest?
– Chirurg z Ospedale Maggiore.
– Dobrze. Bardzo będę zobowiązany. Rozumie pan, doktorze, ja nie mogę leżeć w łóżku sześć miesięcy.

– Kiedy pan wcale nie leżałby w łóżku. Najpierw przeprowadziłby pan kurację słoneczną. Potem mógłby pan robić lekkie ćwiczenia. A jakby się wytworzyła cysta, zrobilibyśmy operację.

– Ale ja nie mogę czekać sześć miesięcy. Doktor rozsunął delikatnie palce na trzymanej w ręce czapce i uśmiechnął się.

– Tak się panu spieszy z powrotem na front?
– A czemu nie?
– To bardzo pięknie – powiedział. – Pan jest szlachetnym młodzieńcem. – Pochylił się i delikatnie pocałował mnie w czoło. – Poślę po Valentiniego. Proszę się nie martwić, nie podniecać. Niech pan będzie grzeczny.

– Napije się doktor czegoś?
– Nie, dziękuję. Nie piję alkoholu.
– Tylko szklaneczkę. – Zadzwoń na portiera, żeby przyniósł szklanki.
– Nie, nie. Dziękuję. Czekają na mnie.
– Do widzenia – powiedziałem.
– Do widzenia.

W dwie godziny później do pokoju wszedł doktor Valentini. Spieszył się bardzo, a końce wąsów sterczały mu do góry. Był majorem, miał ogorzałą twarz i śmiał się bez przerwy.

– No, jakże pan się nabawił tego paskudztwa? – zapytał. – Proszę mi pokazać zdjęcia. Tak. Tak. O, właśnie. Wygląda pan zdrowo jak ryba. A kto to jest ta śliczna osóbką? Pańska dziewczyna? Tak myślałem. Piekielna ta wojna, co? A tu boli? Wspaniały z pana chłopak. Zrobię wszystko tak, że pan będzie jak nowy. To boli? Jasne, że boli. Jak to oni lubią zadawać ból, ci doktorzy! A co panu dotychczas robili? Czy ta panna mówi po włosku? Powinna się nauczyć. Jakaż to śliczna dziewczyna! Mógłbym jej dawać lekcje. Sam chciałbym tu być pacjentem. Nie, ale chętnie zrobię dla pana za darmo wszystkie zabiegi położnicze. Czy ona to zrozumiała? Urodzi panu wspaniałego chłopaka. Wspaniałego blondynka, takiego jak ona. No, świetnie. Doskonale. Jakaż to ładna dziewczyna! Niech pan się spyta, czy poszłaby ze mną na kolację. Nie, nie będę jej panu odbijał. Dziękuję panu. Bardzo pani dziękuję. To wszystko. Tyle chciałem wiedzieć. – Poklepał mnie po ramieniu. – Proszę na razie nie zakładać opatrunków.

– Wypije pan doktor kieliszek?

– Kieliszek? Oczywiście. Dziesięć kieliszków. A gdzie to jest?

– W szafie. Panna Barkley wyjmie butelkę.

– Zdrowie! Zdrowie pani. Co za śliczna dziewczyna. Przyniosę panu lepszego koniaku. – Otarł sobie wąsy.

– Kiedy pana zdaniem można by zrobić operację?

– Jutro rano. Nie wcześniej. Musi pan opróżnić sobie żołądek. I trzeba pana umyć. Rozmówię się z tą starą na dole i zostawię jej polecenia. Żegnam. Zobaczymy się jutro. Przyniosę panu lepszego koniaku. Bardzo tu panu wygodnie. Do widzenia. Do jutra. Niech pan się dobrze wyśpi. Przyjdę z samego rana.

Pomachał mi ręką od progu, wąsiki nastroszyły mu się, a opalona twarz uśmiechnęła. Na rękawie miał obwiedzioną galonem gwiazdkę, ponieważ był majorem.

Rozdział IV

Tej nocy przez otwarte drzwi balkonu, przez które wpatrywaliśmy się w mrok ponad dachami miasta, wleciał do pokoju nietoperz. W naszym pokoju było ciemno, przenikał tu tylko mdły odblask nocy nad miastem i nietoperz wcale się nie bał, ale latał po pokoju tak, jakby był na dworze. Leżeliśmy obserwując go i nie przypuszczam, żeby nas zauważył, bo nie poruszyliśmy się wcale. Kiedy wyleciał, zobaczyliśmy zbliżający się promień reflektora i patrzyliśmy, jak przesunął się po niebie i zniknął, i znowu zrobiło się ciemno. W nocy zerwał się lekki wiatr i usłyszeliśmy głosy ludzi z obsługi działka przeciwlotniczego, ustawionego na sąsiednim dachu. Było chłodno i nakładali peleryny. Niepokoilem się w nocy, czy ktoś nie wejdzie, ale Catherine powiedziała, że wszyscy śpią. W pewnej chwili zasnęliśmy, a kiedy się przebudziłem, nie było jej przy mnie, ale usłyszałem jej kroki na korytarzu, drzwi otworzyły się, Catherine wróciła do łóżka i powiedziała, że wszystko jest w porządku, bo była na dole i przekonała się, że śpią. Podeszła do drzwi panny Van Campen i słyszała, jak oddycha przez sen.

Przyniosła sucharki i zjedliśmy je, i napiliśmy się trochę wermutu. Byliśmy bardzo głodni, ale powiedziała, że do rana muszę wszystko z siebie wyrzucić. Nad ranem, kiedy się rozwidniło, zasnąłem znowu, a przebudziwszy się, nie znalazłem jej przy sobie. Wróciła świeża i śliczna i usiadła na łóżku; słońce wzeszło, kiedy trzymałem w ustach termometr, i czuliśmy zapach rosy na dachach, a potem kawy, którą piła obsługa działka na sąsiednim dachu.

– Tak bym chciała, żebyśmy mogli pójść na spacer – powiedziała Catherine. – Gdyby tu był fotel na kółkach, mogłabym cię przewieźć.

– A jak ja bym wlaź na fotel?

– Już my byśmy cię posadziły.

– Można by wyjść do ogrodu i zjeść śniadanie na powietrzu. – Spojrzałem przez otwarte drzwi balkonu.

– Ale na razie trzeba cię przygotować dla twojego przyjaciela, doktora Valentini – powiedziała.

– Uważam, że jest wspaniały.

– Mnie się tak nie podobał jak tobie. Ale zdaje się, że jest bardzo zdolny.

– Chodź jeszcze do łóżka, Catherine, proszę cię – powiedziałem.

– Nie mogę. Ale mieliśmy cudowną noc, prawda?

– A możesz dzisiaj wziąć nocny dyżur?

– Pewnie wezmę. Ale nie będziesz mnie chciał.

– Owszem, będę.

– Nie. Jeszcze nigdy nie byłeś operowany. Nie wiesz, jak będziesz się czuł.

– Doskonale.

– Zrobi ci się niedobrze i nie będę ci na nic potrzebna.

– To chodź teraz.

– Nie – odparła. – Muszę wypisać kartę, kochanie, i przygotować cię.

– Nie kochasz mnie naprawdę, bo inaczej byś przyszła.

– Jakiś ty głuptas! – Pocałowała mnie. – No, z kartą już załatwione. Temperaturę masz zawsze normalną. Taką śliczną temperaturę.

– A ty masz wszystko śliczne.

– Wcale nie. Ale rzeczywiście masz bardzo ładną temperaturę. Okropnie jestem dumna z twojej temperatury.

– Może wszystkie nasze dzieci będą miały ładne temperatury.

– Nasze dzieci będą prawdopodobnie miały okropne temperatury.

– A co ty musisz zrobić, żeby mnie przygotować dla Valentiniego?

– Nic wielkiego. Ale to bardzo nieprzyjemne.

– Wolałbym, żebyś nie musiała tego robić.

– A ja nie. Nie chcę, żeby cię dotykał ktoś inny. Jestem niemądra. Dostaję furii, jak cię ktoś dotyka.

– Nawet panna Ferguson?

– Szczególnie Ferguson i ta Gage, i ta trzecia, jak ona się nazywa?

– Panna Walker?

– Właśnie. Tu teraz mają za dużo pielęgniarek. Muszą przywieźć jakichś innych pacjentów, bo inaczej nas stąd odeślą. Obecnie są cztery pielęgniarki.

– Może kogoś przywiozą. Przecież potrzeba tylu pielęgniarek. To całkiem spory szpital.

– Mam nadzieję, że ktoś przyjedzie. Co ja bym zrobiła, gdyby mnie odesłali? A tak będzie, jeżeli nie zjawią się inni chorzy.

– Wtedy i ja też bym wyjechał.

– Nie bądź niemądry. Jeszcze nie możesz jechać. Ale wyzdrowiej szybko, kochanie, to razem gdzieś pojedziemy.

– A potem co?

– Może wojna się skończy. Nie może trwać wiecznie.

– Wyzdrowieję – powiedziałem. – Valentini mnie nareperuje.

– Ano powinien, z takimi wężami. Słuchaj kochanie, jak będą ci dawali eter, myśl o czym innym, nie o nas. Bo ludzie strasznie paplają pod narkozą.

– A o czym mam myśleć?

– O czymkolwiek. Byle nie o nas. Myśl o swoich bliskich. Albo nawet o jakiejś innej dziewczynie.

– Nie.

– W takim razie odmawiaj modlitwy. To powinno zrobić wspaniałe wrażenie.

– Może wcale nie będę gadał.

– To prawda. Często ludzie nic nie mówią.

– Ja nie będę.

– Nie przechwalaj się, kochanie. Proszę cię, nie przechwalaj się. Jesteś najmilszy i wcale nie musisz się chwalić.

– Nie powiem ani słowa.

– Znowu się chwalisz. A naprawdę nie potrzebujesz. Po prostu kiedy ci każą głęboko oddychać, zacznij się modlić albo mówić wiersze, albo coś takiego. Tak będzie bardzo ładnie, a ja będę ogromnie z ciebie dumna. Zresztą i tak jestem dumna. Masz ładną temperaturę i śpisz jak mały chłopczyk, obejmujesz ręką poduszkę i myślisz, że to ja. Czy może jakaś inna? Jakaś wspaniała włoska dziewczyna?

– Nie, ty.

– Oczywiście, że ja. Och, Kocham cię, a Valentini pięknie ci robi tę nogę. Cieszę się, że nie muszę na to patrzeć.

– I będziesz dziś na nocnym dyżurze?

– Tak. Ale tobie to będzie obojętne.

– Zobaczymy.

– No, kochanie, jesteś teraz czyściutki z wierzchu i w środku. Powiedz mi, ile kobiet dotąd kochałeś?

– Żadnej.

– Nawet mnie?

– Ciebie tak.

– A ile innych, naprawdę?

– Ani jednej.

– Z iloma innymi – jak to się mówi? – byłeś?

– Z żadną.

– Teraz kłamiesz.

– Tak.

– Niech będzie. Kłam dalej. Tego właśnie chcę. Ładne były?
– Nigdy z żadną nie byłem.
– Doskonale. A bardzo pociągające?
– Nic o tym nie wiem.
– Jesteś tylko mój. To jest prawda i nigdy do nikogo innego nie należałeś. Ale mnie wszystko jedno, nawet jeżeli należałeś. Nie boję się ich. Tylko mi o nich nie opowiadaj. A jak mężczyzna jest z dziewczyną, to kiedy ona mówi, ile trzeba zapłacić?
– Nie wiem.
– Jasne, że nie. A mówi, że go kocha? Powiedz mi. Chciałabym to wiedzieć.
– Mówi. Jeżeli on chce.
– A on jej mówi, że kocha? Proszę cię, powiedz. To ważne.
– Mówi, jeżeli ma ochotę.
– A tyś nigdy nie mówił? Naprawdę?
– Nie.
– Rzeczywiście nie? Powiedz mi prawdę.
– Nie – skłamałem.
– Nie mógłbyś tego powiedzieć – odrzekła. – Wiedziałam, że nie. Och, kocham cię, mój najdroższy.

Na dworze słońce weszło nad dachy i widziałem iglice katedry oświetlone jego promieniami. Byłem czysty od zewnątrz i od wewnątrz i czekałem na doktora.

– I to tak jest? – zapytała Catherine. – Ona mówi to, co on chce usłyszeć?
– Nie zawsze.
– Ale ja będę mówiła. Będę mówiła to, czego pragniesz, i robiła to, czego pragniesz, i potem już nigdy nie zachce ci się innych dziewczyn. – Popatrzyła na mnie uszczęśliwiona. – Zrobię, co zechcesz, i będę mówiła, co zechcesz, i wtedy będę ci się ogromnie podobała, prawda?

– Tak.
– A co byś chciał, żebym zrobiła teraz, kiedy już jesteś zupełnie gotowy?
– Połóż się do łóżka.
– Dobrze, położę się.
– Och, kochanie, kochanie, kochanie – zawołałem.
– Widzisz? – odpowiedziała. – Zrobię, co tylko chcesz.
– Taka jesteś śliczna.
– Boję się, że jeszcze nie bardzo to umiem.
– Cudowna jesteś.

– Chcę tego, czego ty chcesz. Już teraz nie ma mnie. Jest tylko to, czego ty pragniesz.

– Najmilsza!

– Jestem dobra, prawda? Już nie potrzeba ci innych dziewczyn?

– Nie.

– Widzisz? Jestem dobra. Robię to, czego chcesz.

Rozdział V

Kiedy zbudziłem się po operacji, nie miałem wrażenia, że gdzieś się zapadam. Człowiek wcale się nie zapada, tylko coś go dusi. Nie przypomina to śmierci; jest to po prostu chemiczne duszenie, które sprawia, że przestaje się czuć, a później jest tak, jakbyś się upił, tyle, że kiedy wymiotujesz, wychodzi jedynie żółć i po tym nie czujesz się wcale lepiej.

W nogach łóżka zobaczyłem woreczki z piaskiem. Zawieszane były na prętach sterczących z gipsu. Po chwili spostrzegłem pannę Gage, która zapytała:

- No jak tam?
- Lepiej – odpowiedziałem.
- Doktor zrobił coś wspaniałego z tym pańskim kolaniem.
- Długo to trwało?
- Dwie i pół godziny.
- Gadałem jakieś głupstwa?
- Nic a nic. Niech pan nie rozmawia. Trzeba leżeć spokojnie.

Zrobiło mi się niedobrze. Catherine miała rację; było mi najzupełniej obojętne, kto ma dziś nocny dyżur.

W szpitalu przebywali teraz trzech inni pacjenci: chudy chłopak z Georgii, który służył w Czerwonym Krzyżu i był chory na malarię, drugi, bardzo miły i także chudy, z Nowego Jorku, mający malarię i żółtaczkę, i jeszcze jeden, który próbował wykręcić na pamiątkę zapalnik z kombinowanego pocisku szrapnelowo–kruszącego. Był to granat używany przez Austriaków w górach i miał zapalnik, który działał po rozerwaniu się szrapnela i eksplodował przy dotknięciu.

Catherine Barkley była bardzo lubiana przez pielęgniarki, bo zgadzała się pełnić bez końca nocne dyżury. Miała sporo roboty z chorymi na malarię (ten chłopiec, który wykręcał zapalnik, zaprzyjaźnił się z nami i nigdy nie dzwonił w nocy, jeżeli to nie było konieczne), ale podczas przerw w jej pracy byliśmy razem. Kochałem ją bardzo, a ona kochała mnie. Sypiałem w dzień, a kiedy się budziłem, pisywaliśmy do siebie kartki i w ciągu dnia przesyłaliśmy je za pośrednictwem panny Ferguson. Ferguson była wspaniała. Nigdy nie zdołałem nic się o niej dowiedzieć prócz tego, że miała brata w pięćdziesiątej drugiej dywizji, a drugiego w Mezopotamii, i że była bardzo dobra dla Catherine Barkley.

– Przyjdzie pani na nasz ślub, Fergy? – zapytałem ją kiedyś.
– Wy się wcale nie pobierzecie.
– Owszem, pobierzemy się.
– Na pewno nie.
– Dlaczego?
– Przedtem się pokłócicie.
– Nigdy się nie kłócimy.
– Jeszcze macie czas.
– Nie pokłócimy się.
– To poumieracie. Pokłócicie się albo poumieracie. Tak bywa z ludźmi. Nie pobierają się.

Chciałem ją wziąć za rękę.

– Proszę mnie nie pocieszać – powiedziała. – Ja wcale nie płaczę. Może akurat wam się powie. Ale niech pan uważa, żeby jej nie narobić biedy. Bo wtedy bym pana zabiła.

– Nie zrobię jej nic złego.
– Niech pan aby uważa. Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku. Dobrze wam jest?

– Cudownie.
– Więc się nie kłóćcie i niech pan nie robi jej krzywdy.
– Nie zrobię.
– Tylko niech pan się pilnuje. Nie chcę, żeby miała takie wojenne dziecko.
– Pani jest wspaniała, Fergy.
– Wcale nie. Niech pan nie próbuje mi pochlebiać. Jak tam noga?
– Doskonale.
– A głowa? – Dotknęła jej czubka palcami. Głowa była łaskotliwa niczym zdrętwiała stopa.

– W ogóle mi nie dolega.
– Od takiego guza można dostać pomieszania zmysłów. Nigdy pana nie boli?
– Nie.
– Ma pan szczęście. Skończył pan ten list? Bo już schodzę.
– Proszę – powiedziałem.
– Powinien pan ją poprosić, żeby przez jakiś czas nie brała nocnego dyżuru. Już jest bardzo przemęczona.
– Dobrze, powiem.

– Ja chcę to za nią robić, ale mi nie pozwala. A innym to jest bardzo na rękę. Mógłby pan dać jej troszeczkę odpocząć.

– Dobrze.

– Panna Van Campen już wspominała, że pan co dzień sypia do południa.

– No, oczywiście, musiała!

– Byłoby lepiej, gdyby pan przez jakiś czas pozwolił Catherine odpocząć w nocy.

– Tego właśnie chcę.

– Wcale pan nie chce. Ale jeżeli pan ją namówi, będę pana za to szanowała.

– Namówię ją.

– Nie wierzę panu.

Zabrała karteczkę i wyszła. Zadzwoniłem i po chwili zjawiała się panna Gage.

– Co się stało?

– Nic, tylko chciałem z siostrą pomówić. Nie uważa siostra, że panna Barkley powinna mieć kilka nocy wolnych? Wygląda na bardzo przemęczoną. Dlaczego ona tak długo ma dyżury?

Panna Gage popatrzyła na mnie.

– Jestem panu życzliwa – powiedziała. – Nie musi pan mówić do mnie w ten sposób.

– Jak to?

– Niech pan nie będzie niemądry. To panu tylko o to chodziło?

– Napijemy się wermutu?

– Owszem. A potem muszę iść.

Wyjęła butelkę z szafy i przyniosła szklankę.

– Niech siostra weźmie szklankę – powiedziałem. – Ja się napiję z butelki.

– Pana zdrowie.

– Co to, panna Van Campen mówiła, że ja sypiam do południa?

– A, tylko tak sobie gadała. Nazywa pana naszym uprzywilejowanym pacjentem.

– Niech ją diabli wezmą.

– Ona nie jest zła – powiedziała panna Gage – tylko po prostu stara i postrzelona.

Nigdy nie miała do pana przekonania.

– Ano nie.

– A ja tak. Jestem panu życzliwa. Proszę o tym nie zapominać.

– Siostra jest strasznie, ale to strasznie miła.

– Nie. Ja wiem, kto dla pana jest miły. Ale jestem panu życzliwa. Jak tam pańska noga?

- Doskonale.
- Przyniosę zimnej wody mineralnej, to się ją poleje. Musi pana swędzić pod gipsem. Na dworze jest upał.
- Okropnie siostra dobra.
- Mocno swędzi?
- Nie. Wcale nie.
- Poprawię te worki z piaskiem. – Pochyliła się. – Mam dla pana dużo przyjaźni.
- Ja wiem.
- Nic pan nie wie. Ale jeszcze kiedyś pan się dowie.

Catherine Barkley przez trzy noce nie pełniła dyżuru, a potem zaczęła znowu. Było to tak, jak gdybyśmy się spotkali po długiej podróży.

Rozdział VI

Dobrze nam było tego lata. Kiedy już mogłem wychodzić, jeździliśmy dorożką po parku. Pamiętam tę dorożkę, stąpającego powoli konia, przed nami plecy woźnicy, który miał na głowie lakierowany cylinder, a obok mnie Catherine Barkley. Jeżeli nasze ręce zetknęły się, jeśli dotknąłem ręki Catherine choćby bokiem dłoni, ogarniało nas podniecenie. Później, kiedy mogłem chodzić o kulach, szliśmy na obiad do Biffiego albo do "Gran Italii" i siadaliśmy na zewnątrz, przy stoliku na *galleria*. Wbiegali tam i wybiegali kelnerzy, przechodzili różni ludzie, na obrusach stały świece z abażurkami i kiedy doszliśmy do wniosku, że najbardziej podoba nam się "Gran Italia", starszy kelner George zawsze rezerwował nam stół. Był doskonałym kelnerem i pozostawialiśmy mu wybór dań, a sami przyglądaliśmy się ludziom, wielkiej *galleria* o zmierzchu i sobie nawzajem. Piliśmy wytrawne białe capri, zamrożone w kubelku z lodem, ale próbowaliśmy też innych win, *fresa*, *barbera* i białych słodkich. Z powodu wojny nie mieli tam piwniczego i George uśmiechał się z zawstydzeniem, kiedy pytałem o takie wina jak *fresa*.

– Wyobrażają sobie państwo kraj, który robi wino o smaku truskawkowym? – mówił.

– Dlaczego nie? – spytała wtedy Catherine. – To musi być wyborne.

– Pani łaskawie spróbuje, jeżeli pani sobie życzy – odpowiedział George. – Ale niech mi będzie wolno przynieść buteleczkę *margaux* dla pana porucznika.

– Ja też spróbuję tamtego wina, George.

– Nie mogę go polecić szanownemu panu. W smaku nie przypomina nawet truskawek.

– A może – powiedziała Catherine. – To byłoby znakomite.

– Przyniosę to wino – odparł George – a jak szanowna pani już się przekona, zabiorę je z powrotem.

Wino nie było nadzwyczajne. Zgodnie z tym, co mówił, nie przypominało nawet truskawek. Wróciliśmy więc do capri. Któregoś wieczoru zabrakło mi pieniędzy i George pożyczył mi sto lirów.

– Nic nie szkodzi, *tenente* – powiedział. – Ja wiem, jak to jest. Wiem, że czasem człowiekowi zabraknie. Jeżeli któreś z państwa potrzebuje pieniędzy, to zawsze służę.

Po kolacji szliśmy przez *galleria*, mijając inne restauracje i sklepy z zapuszczonymi stalowymi żaluzjami, i wstępowaliśmy do małego barku, gdzie można

było dostać kanapki z szynką i zieloną sałatą albo z sardelami, zrobione z malutkich, przyrumienionych, lśniących bułeczek i długie mniej więcej na palec. Kupowaliśmy je sobie na noc, żeby mieć co jeść, jak będziemy głodni. Potem przed *galleria*, naprzeciw katedry, wsiadaliśmy do otwartej dorożki i jechaliśmy do szpitala. Kiedy zatrzymywaliśmy się przed wejściem, wychodził portier, aby mi pomóc wysiąść o kulach. Płaciłem dorożkarzowi i jechaliśmy windą na górę. Catherine wysiadała na niższym piętrze, gdzie mieszkały pielęgniarki, a ja jechałem wyżej i szedłem o kulach korytarzem do swojego pokoju. Czasem rozbierałem się i kładłem do łóżka, a kiedy indziej siadałem na balkonie i położywszy nogę na drugim krześle, przyglądałem się jaskółkom latającym nad dachami i czekałem na Catherine. Kiedy przyszła na górę, zdawało mi się, że wraca z długiej podróży, i chodziłem z nią o kulach po korytarzu, nosiłem baseny i czekałem pod drzwiami albo wchodziłem za nią do pokoiów, zależnie od tego, czy leżeli tam nasi przyjaciele, czy nie. Kiedy zrobiła wszystko, co miała do zrobienia, siadaliśmy na balkonie mojego pokoju. Później kładłem się do łóżka, a gdy już wszyscy zasnęli i Catherine była pewna, że nikt się nie zjawi, przychodziła do mnie. Lubiałem rozpuszczać jej włosy, a ona siedziała wtedy bardzo spokojnie na łóżku i tylko czasem pochylała się nagle, ażeby mnie pocałować. Wyjmowałem szpilki i układałem je na prześcieradle, włosy jej rozluźniały się, a ja patrzyłem na nią, gdy tak siedziała nieruchomo, potem wyjmowałem ostatnie dwie szpilki i wszystkie włosy rozsypywały się, Catherine pochylała głowę i okrywała nimi nas oboje, i wtedy mieliśmy wrażenie, że jesteśmy pod namiotem albo za kaskadą wodospadu.

Włosy jej były cudownie piękne. Czasami leżałem i przyglądałem się, jak je układała w świetle wpadającym przez otwarte drzwi. Lśniły nawet w nocy, podobnie jak czasem lśni woda, zanim się naprawdę rozwidni. Miała śliczną twarz i ciało, i piękną, gładką skórę. Leżeliśmy obok siebie i dotykałem czubkami palców jej policzków, czoła, miejsc pod oczami, brody i szyi, i mówiłem: "Gładkie jak klawisze fortepianu", a ona przesuwała mi palcem po brodzie i mówiła: "Gładkie jak tarka i bardzo trze te klawisze fortepianu".

– Drapie cię?

– Nie, kochanie. Tylko tak żartowałam.

Noce były cudowne i jeżeli tylko mogliśmy dotykać się wzajemnie, byliśmy szczęśliwi. Poza wielkimi chwilami mieliśmy jeszcze dużo drobnych sposobów okazywania sobie miłości i nawet kiedy przebywaliśmy w osobnych pokojach, staraliśmy się przyciągać nawzajem swoje myśli. Czasem to się udawało, ale najprawdopodobniej dlatego, że i tak oboje myśleliśmy o tym samym.

Mówiliśmy sobie, że zostaliśmy małżeństwem pierwszego dnia po przybyciu Catherine do szpitala, i liczyliśmy miesiące od daty naszego ślubu. Chciałem naprawdę ożenić się z Catherine, ale twierdziła, że wtedy odesłaliby ją stąd, a gdybyśmy zaczęli załatwiać formalności, pilnowaliby jej i rozdzieliliby nas. Trzeba by wziąć ślub według prawa włoskiego, a formalności były potworne. Chciałem, żebyśmy się naprawdę pobrali, bo kiedy zaczynałem nad tym rozmyślać, martwiłem się, że możemy mieć dziecko, ale przed sobą udawaliśmy małżeństwo, nie przejmowaliśmy się zbytnio i mam wrażenie, iż w gruncie rzeczy byłem rad, że nie jestem żonaty. Pamiętam, jak którejs nocy rozmawialiśmy o tym i Catherine powiedziała:

- Ależ, kochanie, mnie by stąd odesłali.
- A może jednak nie?
- Na pewno. Wysłaliby mnie do kraju i wtedy byłibyśmy z daleka od siebie aż do końca wojny.
- Przyjechałbym na urlop.
- Nie zdążyłbyś podczas urlopu dojechać do Szkocji i z powrotem. A poza tym ja ciebie nie chcę zostawić. Co by nam to dało, gdybyśmy się teraz pobrali? Przecież właściwie jesteśmy małżeństwem. Ja nie mogłabym już być bardziej zameżna.
- Chciałem tego tylko dla ciebie.
- Mnie nie ma. Ja jestem tobą. Nie rób jakiejś osobnej mnie.
- Zdawało mi się, że pannom zawsze zależy na tym, aby wyjść za mąż.
- Tak jest. Ale, kochanie, ja już mam męża. Ty jesteś moim mężem. Czy nie jestem dla ciebie dobrą żoną?
- Jesteś cudną żoną.
- Widzisz, kochanie, ja już raz spróbowałam, jak to jest, czekać na ślub.
- Nie chcę o tym słyszeć.
- Przecież wiesz, że nie kocham nikogo prócz ciebie. Nie powinieneś mieć za złe tego, że ktoś inny mnie kochał.
- Właśnie że mam.
- Nie powinieneś być zazdrosny o kogoś, kto nie żyje, jeżeli sam masz wszystko.
- Nie jestem zazdrosny, ale nie chcę o tym słyszeć.
- Biedaczek. A ja wiem, że bywałeś z najróżniejszymi dziewczynami, i nic mi to nie przeszkadza.
- Nie moglibyśmy jakoś pobrać się po cichu? Na wypadek, gdyby coś mi się stało albo gdybyś miała dziecko.

– Nie ma innego sposobu zawarcia małżeństwa jak w kościele albo przed władzami państwowymi. I tak jesteśmy już zaślubieni po cichu. Widzisz, kochanie, to by miało dla mnie ogromną wagę, gdybym była wierząca. Ale nie jestem.

– Przecież mi dałaś świętego Antoniego.

– To było na szczęście. Ktoś mi go podarował.

– Więc niczym się nie martwisz?

– Tylko tym jednym, żeby mnie nie zabrali od ciebie. Ty jesteś moją religią. Jesteś wszystkim, co mam.

– Dobrze, ale ożenię się z tobą, jak tylko zechcesz.

– Nie mów tak, jak gdybyś musiał zrobić ze mnie uczciwą kobietę. Ja jestem bardzo uczciwa. Nie można się czegoś wstydzić, jeżeli jest się z tego powodu tylko szczęśliwą i dumną. A ty nie jesteś szczęśliwy?

– Nie rzucisz mnie kiedyś dla kogo innego?

– Nie, kochanie. Nigdy cię nie rzucę dla kogoś innego. Pewnie przydarzą nam się jeszcze różne okropne rzeczy, ale o to jedno możesz być spokojny.

– Jestem spokojny. Ale kocham cię tak bardzo, a ty jednak kochałaś już innego mężczyznę.

– I co się z nim stało?

– Nie żyje.

– Właśnie; a gdyby żył, nie spotkałabym ciebie. Nie umiem być niewierna. Mam wiele wad, ale jestem bardzo wierna. Taka będę wierna, że aż ci się znudzę.

– Już niedługo będę musiał wrócić na front.

– Nie będziemy o tym myśleli aż do twojego wyjazdu. Przecież widzisz, kochanie, że jestem szczęśliwa i że nam dobrze razem. Dawno już nie czułam się szczęśliwa i kiedy cię spotkałam, byłam, zdaje się, bliska wariacji. Może nawet już byłam wariatką. Ale teraz jesteśmy szczęśliwi i kochamy się. Proszę cię, bądźmy po prostu szczęśliwi. Ty jesteś, prawda? Czy robię coś takiego, co ci się nie podoba? Czy mogę zrobić coś, co by ci sprawiło przyjemność? Chcesz, żebym rozpuściła włosy? Chcesz się nimi pobawić?

– Tak, i żebyś przyszła do łóżka.

– Dobrze. Ale najpierw pójde odwiedzić chorych.

Rozdział VII

Tak minęło lato. Niewiele zapamiętałem z poszczególnych dni oprócz tego, że były upalne i że w gazetach pisano o wielu zwycięstwach. Czułem się doskonale, a nogi goiły mi się tak szybko, że niedługo po pierwszym spacerze odrzuciłem kule i zacząłem chodzić z laską. Później rozpocząłem zabiegi w Ospedale Maggiore, stosowano mi mechaniczne zginanie kolan, smażyłem się w lustrzanym pudle pod promieniami fioletowymi, brałem masaże i kąpiele. Chodziłem tam po południu, a potem siadałem w kawiarni, wypijałem coś i czytałem gazety. Nie wałęsałem się po mieście; pilno mi było wracać z kawiarni do szpitala. Chciałem tylko jednego: być z Catherine. Przez resztę dnia starałem się jakoś zabić czas. Najczęściej sypiałem przed południem, a po obiedzie chodziłem niekiedy na wyścigi, później zaś na zabiegi mechanoterapeutyczne. Czasem zaglądałem do klubu anglo-amerykańskiego, siadałem pod oknem w głębokim, wyściełanym skórą fotelu i przeglądałem czasopisma. Odkąd przestałem używać kul, nie pozwalali mi wychodzić z Catherine, ponieważ nie wypadało, aby ludzie widzieli pielęgniarkę spacerującą sam na sam z pacjentem, który nie wyglądał na potrzebującego pomocy, więc po południu mało przebywaliśmy ze sobą. Jednakże czasem mogliśmy pójść na kolację, jeżeli wybrała się z nami Ferguson. Panna Van Campen pogodziła się z faktem, że jesteśmy w wielkiej przyjaźni, ponieważ Catherine brała na siebie ogromną ilość pracy. Uważała, że Catherine pochodzi z bardzo dobrego środowiska, i to ją ostatecznie do niej przekonało. Panna Van Campen wysoko ceniła dobre pochodzenie i sama wywodziła się ze świetnej rodziny. Poza tym w szpitalu było dużo roboty i to ją stale zaprzętało.

Lato było gorące. W Mediolanie miałem sporo znajomych, ale zawsze spieszyłem się do szpitala, gdy tylko kończyło się popołudnie. Na froncie posuwano się naprzód na Carso, wzięto Kuk po drugiej stronie Plawy i zdobywano płaskowyż Bainsizza. Sytuacja na froncie zachodnim nie przedstawiała się tak dobrze. Wyglądało na to, że wojna potrwa jeszcze długo. Stany Zjednoczone przystąpiły już do wojny, ale uważałem, że zwerbowanie większej liczby wojska i wyszkolenie go do boju musi potrwać przynajmniej rok. Następny rok powinien być być zły, a może właśnie dobry. Włosi tracili strasznie dużo ludzi. Nie wyobrażałem sobie, żeby to mogło trwać długo. Jeżeliby nawet wzięli całą Bainsizzę i Monte San Gabriele, Austriakom pozostawało jeszcze wiele gór. Sam to widziałem. Wszystkie najwyższe góry były dopiero dalej. Na Carso posuwaliśmy się naprzód, ale nad morzem były tam bagna i moczary. Napoleon pobili Austriaków

na równinie. Nigdy nie walczyliby z nimi w górach. Pozwoliłby im zejść na dół i dałby im baty pod Weroną. Natomiast na froncie zachodnim nikt nikomu nie dawał batów. Możliwe, że teraz nie wygrywało się już wojen. Może musiały trwać zawsze. A może to była nowa wojna stuletnia.

Powiesiłem gazetę na stojaku i wyszedłem z klubu. Ostrożnie zszedłem ze schodów i ruszyłem przez Via Manzoni. Przed "Grand Hotelem" spotkałem starego Meyersa i jego żonę wysiadających z dorożki. Wracali właśnie z wyścigów. Ona miała wielki biust i była ubrana w czarne atłasy. On był mały i stary, miał siwe wąsy i dreptał podpierając się laską.

– Dzień dobry panu. Dzień dobry panu – uściśnęła mi dłoń.

– Jak pan się miewa? – powiedział Meyers.

– A jak było na wyścigach?

– Wspaniale. Udały się świetnie. Miałam trzy wygrane.

– A panu jak poszło? – zapytałem Meyersa.

– Bardzo dobrze. Wygrałem raz.

– Nigdy nie wiem, jak on to robi – powiedziała pani Meyers. – Za nic mi nie chce powiedzieć.

– Jakoś robię – odparł Meyers. Był bardzo serdeczny.

– Powinien pan się kiedyś wybrać. – Rozmawiając z nim miałem zawsze wrażenie, że nie patrzy na mnie albo że mnie bierze za kogoś innego.

– Wybiorę się – powiedziałem.

– Przyjdę do szpitala odwiedzić was – rzekła pani Meyers.

– Mam coś dla moich chłopców. Bo wy wszyscy jesteście moimi chłopcami. Moimi kochanymi chłopakami.

– Ucieszą się, jak panią zobaczą.

– Kochane chłopaki! I pan też. Pan jest także jednym z moich chłopców.

– Muszę już wracać – powiedziałem.

– Niech pan ode mnie pozdrowi wszystkich tych drogich chłopaków. Mam masę rzeczy do przyniesienia. Jest trochę wybornej marsali i ciastka.

– Do widzenia – powiedziałem. – Wszyscy się strasznie ucieszą, jak pani przyjdzie.

– Do widzenia – odparł Meyers. – Niech pan zajdzie na *galleria*. Pan wie, który jest mój stolik. Zbieramy się tam wszyscy każdego popołudnia.

Poszedłem dalej ulicą. Chciałem coś kupić w "Covie" i zanieść Catherine. Wszedłem do środka, kupiłem pudełko czekoladek i podczas gdy ekspedientka je

zawijała, poszedłem do baru. Stało tam paru Anglików i jacyś lotnicy. Wypiłem jedno martini, zapłaciłem, odebrałem przy kontuarze pudełko czekoladek i poszedłem w stronę szpitala. Przed małym barem na ulicy idącej od "La Scali" spotkałem kilku znajomych – pewnego wicekonsula, dwóch młodych ludzi uczących się śpiewu i Ettore Moretti, Włocha z San Francisco, który służył w armii włoskiej. Wszedłem napić się z nimi. Jeden ze śpiewaków nazywał się Ralph Simmons i występował pod nazwiskiem Enrico Del Credo. Nie miałem pojęcia, czy umie śpiewać, ale zawsze sprawiał takie wrażenie, jak gdyby miało mu się przydarzyć coś bardzo ważnego. Był tusty i miał opierzchniętą twarz naokoło nosa i ust, jak gdyby cierpiał na katar sienny. Właśnie wrócił z występów w Piacenzy. Śpiewał w *Tosce* i powiodło mu się znakomicie.

– Pan oczywiście nigdy mnie nie słyszał? – powiedział.

– A kiedy pan tu zaśpiewa?

– Wystąpię w "La Scali" na jesieni.

– Założę się, że będą w ciebie ciskać ławkami – powiedział Ettore. – Słyszeliście, jak go obrzucili ławkami w Modenie?

– Wstrętne kłamstwo.

– Rzucali w niego ławkami – powtórzył Ettore. – Byłem przy tym. Sam rzuciłem sześć sztuk.

– Jesteś zwyczajny makaroniarz z Frisco.

– On nie umie mówić po włosku – odparł Ettore. – Gdzie się nie pokaże, zaraz w niego ciskają ławkami.

– Z całych północnych Włoch najciężej jest śpiewać w Piacenzy – rzekł drugi tenor. – Wierzcie mi, panowie, że w tamtejszym teatrzyku jest najtrudniej. – Ten tenor nazywał się Edgar Saunders, a występował pod pseudonimem Edoardo Giovanni.

– Chciałbym tam być i widzieć, jak w ciebie rzucają ławkami – powiedział Ettore.

– Nie umiesz śpiewać po włosku.

– On zupełnie zdurniał – odparł Edgar Saunders. – Nic, tylko gada o tym rzucaniu ławkami.

– Bo publiczność tylko to może robić, kiedy wy dwaj śpiewacie – powiedział Ettore. – A potem, jak pojedziecie do Ameryki, będziecie opowiadać o waszych triumfach w "La Scali". W "La Scali" nie pozwoliliby wam wyśpiewać pierwszej nutki.

– Ja będę tam śpiewał – rzekł Simmons. – Mam śpiewać *Toscę* w październiku.

– Pójdziemy, nie, Mac? – zwrócił się Ettore do wicekonsula. – Będą potrzebowali kogoś do obrony.

– Może przyjdzie armia amerykańska, żeby ich bronić – powiedział wicekonsul. – Napije się pan jeszcze, Simmons? A pan, panie Saunders?

– Dobrze – odrzekł Saunders.

– Słyszałem, że masz dostać srebrny medal – zwrócił się do mnie Ettore. – A za co ci go przyznają?

– Nie wiem. Nic mi nie wiadomo o tym, że mam go dostać.

– Dostaniesz, dostaniesz. Ojej, ale te dziewczyny z "Covy" będą się tobą zachwycały! Pomyślą, żeś zabił ze dwustu Austriaków albo sam zdobył całe okopy. Proszę mi wierzyć, że musiałem porządnie zapracować na swoje odznaczenie.

– A ile ty ich masz, Ettore? – zapytał wicekonsul.

– Ma wszystkie – odparł Simmons. – Dla tego chłopaczka prowadzi się właśnie wojnę.

– Dali mi dwukrotnie medal brązowy i trzy srebrne – odpowiedział Ettore. – Ale dostałem papiery tylko na jeden.

– A co z resztą? – zapytał Simmons.

– Akcja się nie udała – powiedział Ettore. – A jak się akcja nie uda, zatrzymują wszystkie medale.

– Ile razy byłeś ranny, Ettore?

– Trzy razy ciężko. Mam trzy paski, widzicie? – przekreślił rękaw. Były to równoległe srebrne galony na czarnym tle, naszyte na rękawie około ośmiu cali poniżej ramienia.

– Ty też masz taki! – powiedział do mnie Ettore. – Wierzcie mi, że przyjemnie je nosić. Wolę to niż medale. Doprawdy, jak się dostanie trzy, to ma się coś. Ten pasek dają tylko za taką ranę, po której trzeba leżeć trzy miesiące w szpitalu.

– Gdzieś ty był ranny, Ettore? – zapytał wicekonsul.

Ettore podciągnął rękaw.

– Tu – pokazał głęboką, gładką, czerwoną bliznę. – I tu, w nogę. Nie mogę wam pokazać, bo mam owijacze. I w stopę. Mam w stopie martwą kość, która teraz śmierdzi. Co rano wyciągam nowe kawałki i to mi cuchnie przez cały czas.

– Co cię trafiło? – zapytał Simmons.

– Granat ręczny. Taki tłuczek do kartofli. Wyrwał mi cały bok stopy. Znasz te tłuczki? – obrócił się do mnie.

– Jasne.

– Widziałem, jak ten drań go rzucał. – ciągnął Ettore. – Zwaliło mnie na ziemię i myślałem, że już po mnie, ale te cholerne tłuczki nie mają żadnej siły. Zastrzeliłem sukinsyna z karabinu. Zawsze noszę karabin, żeby nie poznali, że jestem oficerem.

– A jak tamten wyglądał? – zapytał Simmons.

– Miał tylko jeden granat – powiedział Ettore. – Nie wiem, dlaczego go rzucił. Pewnie zawsze o tym marzył. Prawdopodobnie nigdy nie widział porządnej walki. No i zastrzeliłem drania.

– Jak on wyglądał, kiedyś go zastrzelił? – spytał Simmons.

– A skąd mogę wiedzieć, do cholery? – odparł Ettore. – Strzeliłem mu w brzuch. Bałem się, że spudłuję, jak będę mierzył w głowę.

– Jak dawno jesteś oficerem, Ettore? – zapytałem.

– Od dwóch lat. Mam zostać kapitanem. A ty już dawno jesteś porucznikiem?

– Dobiegają trzy lata.

– Nie możesz zostać kapitanem, bo nie znasz dość dobrze włoskiego – powiedział Ettore. – Umiesz mówić, ale z czytaniem i pisaniem jest gorzej. Na to, żeby być kapitanem, trzeba mieć wykształcenie. Dlaczego nie wstąpisz do armii amerykańskiej?

– Może i wstąpię.

– Jak ja bym chciał to zrobić! O rany, ile tam dostaje kapitan, Mac?

– Nie wiem dokładnie. Zdaje się, że coś około dwustu pięćdziesięciu dolarów.

– Jezu Chryste! Czego ja bym nie zrobił z dwustu pięćdziesięcioma dolarami. Lepiej od razu wstąpić do armii amerykańskiej, Fred. Zobaczysz, czy nie można by mnie wciągnąć.

– Dobrze.

– Umiem dowodzić kompanią po włosku. Mógłbym się łatwo nauczyć i po angielsku.

– Zostałbyś generałem – powiedział Simmons.

– Nie, za mało umiem, żeby być generałem. Generał musi umieć diabelnie dużo. Wam się zdaje, że wojna to nic takiego. A nie macie dosyć rozumu, żeby zostać kapralami.

– Chwała Bogu nie muszę być kapralem – powiedział Simmons.

– Może jeszcze będziesz, jak wygarną was wszystkich, dekowników. O rety, jak ja bym chciał mieć was obu w moim plutonie! I Maca także. Zrobiłbym cię moim ordynansem, Mac.

– Z ciebie wspaniały chłop, Ettore – powiedział Mac – ale boję się, że jesteś militarystą.

– Zostanę pułkownikiem, zanim wojna się skończy – rzekł Ettore.

– Jeżeli cię nie zabiją.

– Nie zabiją mnie. – Dużym i wskazującym palcem dotknął gwiazdek na kołnierzyku. – Widzicie, co robię? Zawsze dotykam gwiazdek, jak tylko ktoś wspomina, że można zginąć.

– Chodźmy, Sim – powiedział Saunders, wstając.

– Idziemy.

– Do widzenia – powiedziałem. – Ja także muszę iść.

– Zegar w barze wskazywał za kwadrans szóstą. – Ciao, Ettore!

– Ciao, Fred – odpowiedział Ettore. – To świetnie, że masz dostać ten srebrny medal.

– Jeszcze nie wiem, czy dostanę.

– Dostaniesz, dostaniesz. Słyszałem, że masz dostać na pewno.

– No to tymczasem – powiedziałem. – Uważaj na siebie, Ettore.

– Nie martw się o mnie. Nie piję i nie włóczę się nigdzie. Nie jestem moczymordą ani kurwiarzem. Wiem, czego się wystrzegać.

– Tymczasem – powiedziałem. – Cieszę się, że dostaniesz awans na kapitana.

– Nie muszę czekać, aż mnie awansują. Będę kapitanem za zasługi bojowe. No wiesz: trzy gwiazdki ze skrzyżowanymi szablami, a z wierzchu korona. To ja.

– Wszystkiego dobrego.

– Wszystkiego dobrego. Kiedy wracasz na front?

– Już niedługo.

– No to się zobaczymy.

– Do widzenia.

– Do widzenia. Niech ci się aby coś nie przytrafi. – Poszedłem boczną uliczką w kierunku skrót, który prowadził do szpitala.

Ettore miał dwadzieścia trzy lata. Wychowywał się w San Francisco u stryja i właśnie przyjechał do Turynu w odwiedzinach do ojca i matki, kiedy wypowiedziano wojnę. Miał siostrę, którą razem z nim wysłali do Ameryki, do stryja, i która w tym roku miała ukończyć szkołę. Był typowym bohaterem, zanudzającym każdego, kogo napotkał. Catherine go nie znosiła.

– My także mamy bohaterów – powiedziała. – Ale zwykle są o wiele cichsi.

– Mnie on nie przeszkadza.

– Mnie by też nie przeszkadzał, gdyby nie był taki pewny siebie i gdyby tak nie nudził, nie nudził i nie nudził.

- Mnie on także nudzi.
 - Kochany jesteś, że to mówisz, ale nie musisz. Ty możesz go sobie wyobrazić na froncie i wiesz, że potrafi na coś się przydać, ale to jest bez wątpienia taki typ młodego człowieka, jakiego nie lubię.
 - Wiem.
 - Jesteś strasznie miły, że wiesz, a ja postaram się go polubić, ale on jest naprawdę okropny, okropny.
 - Dziś po południu mówił, że ma zostać kapitanem.
 - Bardzo się cieszę – odpowiedziała Catherine. – To mu powinno zrobić przyjemność.
 - Nie chciałabyś, żebym i ja miał jakiś wyższy stopień?
 - Nie, kochanie. Chcę dla ciebie tylko takiego stopnia, żeby nas wpuszczali do lepszych restauracji.
 - Taki właśnie mam.
 - Masz wspaniały stopień. Wcale nie chcę dla ciebie wyższego. Mogłoby ci to uderzyć do głowy. Och, kochanie, strasznie się cieszę, że nie jesteś zarozumiała. Wysłałabym za ciebie nawet i wtedy, ale to ogromnie uspokajające mieć niezarozumiałego męża.
- Rozmawialiśmy cicho na balkonie. Księżyc powinien był już wzejść, ale nad miastem wisiała mgła, więc się nie pokazał, a potem zaczęło mżyć i weszliśmy do pokoju. Na dworze mżawka zmieniła się w deszcz i po chwili rozpadało się na dobre, i słyszeliśmy krople bębniące po dachu. Wstałem i podszedłem do drzwi, żeby sprawdzić, czy woda nie wpada do pokoju, ale nie wpadała, więc je zostawiłem otwarte.
- I z kim się jeszcze widziałeś? – spytała Catherine.
 - Z państwem Meyers.
 - Dziwaczni ludzie.
 - Podobno on w kraju siedział w więzieniu. Wypuścili go, żeby mógł umrzeć na wolności.
 - A on sobie dalej żyje szczęśliwie w Mediolanie.
 - Nie wiem, czy tak bardzo szczęśliwie.
 - Myślę, że dosyć szczęśliwie po więzieniu.
 - Ona ma tutaj coś przynieść.
 - Zawsze przynosi wspaniałe rzeczy. Mówiła ci, że jesteś jej kochanym chłopcem?
 - Jednym z nich.

– Wy wszyscy jesteście jej kochanymi chłopcami – powiedziała Catherine. –
Uwielbia kochanych chłopców. Słyszysz, jak pada?

– Leje porządnie.

– I zawsze będziesz mnie kochał, prawda?

– Tak.

– Deszcz temu nie przeszkodzi?

– Nie.

– To dobrze. Bo ja się boję deszczu.

– Dlaczego? – Byłem senny. Na dworze padało ciągle.

– Nie wiem, kochanie. Zawsze bałam się deszczu.

– A ja go lubię.

– Ja lubię spacerować w deszcz. Ale on wcale nie sprzyja kochaniu.

– Będę cię kochał zawsze.

– A ja cię będę kochała w deszcz i w śnieg, i w grad, i... co tam jest jeszcze?

– Nie wiem. Zdaje się, że jestem śpiący.

– Idź spać, najmilszy, a ja i tak będę cię kochała.

– Ale naprawdę to chyba nie boisz się deszczu?

– Jak jestem z tobą, to nie.

– A czemu się boisz?

– Nie wiem.

– Powiedz mi.

– Nie każ mi mówić.

– Powiedz.

– Nie.

– Proszę cię.

– No dobrze. Boję się deszczu, bo czasem widzę się w nim nieżywą.

– Ech!

– A czasem znów widzę ciebie nieżywego w deszczu.

– To bardziej prawdopodobne.

– Wcale nie, kochany. Bo ja ciebie potrafię uchronić. Wiem na pewno. Ale nikt nie może uchronić samego siebie.

– Proszę cię, przestań. Nie chcę, żebyś dziś robiła z siebie zwariowaną Szkotkę. Już niewiele czasu nam zostało.

– Niewiele, tylko że ja jestem i Szkotka, i zwariowana. Ale przestanę. To wszystko bzdury.

– Tak, bzdury. Tylko bzdury. Wcale nie boję się deszczu. Nie boję się deszczu. O Boże, jakżebym chciała się nie bać!

Rozpłakała się. Zacząłem ją pocieszać i wkrótce przestała płakać. Ale na dworze ciągle padało.

Rozdział VIII

Któregoś popołudnia pojechaliśmy na wyścigi. Wybrali się z nami panna Ferguson i Crowell Rodgers, ten chłopak, który miał oczy uszkodzone od wybuchu zapalnika granatu. Obie dziewczyny przebierały się po obiedzie, a Crowell i ja siedzieliśmy na łóżku w jego pokoju, czytaliśmy w wyścigowej gazecie relacje o dotychczasowych wyczynach poszczególnych koni i przewidywane wyniki. Crowell miał obandażowaną głowę, wyścigi niewiele go obchodziły, ale czytywał systematycznie gazetę wyścigową i stale śledził wszystkie konie z braku lepszego zajęcia. Twierdził, że są bardzo marne, ale nie było innych. Stary Meyers lubił go i dawał mu typy. Wygrywał prawie w każdej gonitwie, ale typy dawał niechętnie, bo to obniżało wypłaty.

Wyścigi były bardzo nieuczciwe. We Włoszech jeździli ludzie wyrugowani z torów gdzie indziej. Meyers miał dobre informacje, ale nie lubiłem go pytać, bo czasem w ogóle nie odpowiadał, a zawsze było widać, że cierpi, jeżeli musi to zrobić, ale z jakiejś przyczyny czuł się zobowiązany nas informować i z dwojga złego wolał mówić Crowellowi. Crowell miał uszkodzone oczy, zwłaszcza jedno dość silnie, a ponieważ Meyers także miał coś z oczami, więc go lubił. Żonie nigdy nie mówił, na które konie stawia, toteż albo wygrywała, albo przegrywała – najczęściej to drugie – a przez cały czas gadała.

Do San Siro wybraliśmy się we czwórkę otwartym powozem. Dzień był piękny i przejechaliśmy przez park, a potem wzdłuż linii tramwajowej i wydostaliśmy się za miasto, na zakurzoną drogę. Były tam wille za żelaznymi parkanami, wielkie rozrośnięte sady, rowy z bieżącą wodą i zielone ogrody warzywne, gdzie na listkach leżała warstwa pyłu. Na równinie widzieliśmy zabudowania folwarczne, bogate zielone ферmy z rowami irygacyjnymi, a na północy góry. Na tor wyścigowy zajeżdżało wiele powozów, a nas strażnicy stojący u bramy wpuścili bez biletów, ponieważ byliśmy w mundurach. Wysiedliśmy z powozu i kupiwszy programy przeszliśmy przez plac wewnętrzny, a następnie przez pokryty miękką darnią tor wyścigowy do padoku. Trybuny były stare, drewniane, kasy totalizatora znajdowały się pod nimi i stały szeregiem w pobliżu stajen. Wzdłuż ogrodzenia wewnętrznego placu zebrał się tłum żołnierzy. Na padoku było też sporo ludzi; oprowadzano tam konie pod drzewami za trybuną. Zauważyliśmy kilku znajomych, przynieśliśmy krzesła dla panny Ferguson i Catherine i przypatrywaliśmy się koniom.

Chodziły ze spuszczoneymi łbami po kole, jeden za drugim, oprowadzane przez stajennych. Crowell przysięgał, że jeden z koni, fioletowoczarny, jest farbowany. Przyjrzelismy mu się i uznalismy, że to możliwe. Wyprowadzono go dopiero tuż przed dzwonkiem na siodłanie. Sprawdzilismy w programie według numeru, który stajenny miał na ramieniu, i okazało się, że ten koń jest zapisany jako kary wałach Japalac.

W gonitwie miały brać udział konie, które jeszcze nigdy nie zdobyły nagrody od tysiąca lirów wzwyż. Catherine była przekonana, że maść tego konia zmieniono. Ferguson powiedziała, że nie ma o tym wyrobionego zdania. Mnie wydawał się podejrzany. Zgodzilismy się wszyscy, że trzeba postawić na niego, i zebralismy sto lirów. Tablice wskazywały, że wypłata za tego konia będzie wynosiła trzydzieści pięć do jednego. Crowell poszedł kupić bilety, a my przyglądalismy się dżokejom, którzy jeszcze raz przejechali w koło, potem ruszyli pod drzewami na tor i z wolna podgalopowali do zakrętu, gdzie miał się odbyć start.

Weszliśmy na trybunę, aby się przyrzeć gonitwie. W San Siro nie mieli wówczas lin startowych i starter ustawił szeregiem konie, które z daleka wydawały się bardzo malutkie, i wypuścił je strzeleniem z długiego bata. Przebiegły obok nas, kary koń gnał dobrze w przedzie, a na zakręcie odsadził się od reszty. Przyglądałem im się przez lornetkę, gdy biegły po przeciwległej stronie toru i widziałem, że dżokej szamocze się z koniem chcąc go powstrzymać. Nie udało mu się to jednak i kiedy wypadli zza zakrętu na prostą, kary był o piętnaście długości przed pozostałymi. Po finiszu przebiegł jeszcze cały kawał za zakręt.

– Czy to nie cudowne? – zawołała Catherine. – Dostaniemy ponad trzy tysiące lirów. To musi być wspaniały koń.

– Mam nadzieję, że jego kolor nie puści, zanim wypłacą – powiedział Crowell.

– To był naprawdę pyszny koń – odrzekła Catherine.

– Ciekawe, czy pan Meyers postawił na niego.

– Miał pan zwycięzcę? – zawołałem do Meyersa. Kiwnął głową.

– Ja nie – powiedziała pani Meyers. – A wy, dzieci, na którego stawialiście?

– Na Japalaca.

– Naprawdę? Płacą za niego trzydzieści pięć do jednego.

– Podobał nam się jego kolor.

– Mnie nie. Wydawało mi się, że nędznie wygląda. Mówili mi, żeby na niego nie stawiać.

– Dużo nie wypłacą – powiedział Meyers.

– Na tablicach wywiesili, że będą wypłacać trzydzieści pięć do jednego – odparłem.

– Dużo za niego nie wypłacą – powtórzył Meyers. – W ostatniej chwili postawiono na tego konia masę pieniędzy.

– Kto?

– Kempton i jego ludzie. Zobacz pan. Nie wypłacą nawet dwóch do jednego.

– No to nie dostaniemy trzech tysięcy lirów – powiedziała Catherine. – Nie podobają mi się takie oszukane wyścigi!

– Dostaniemy dwieście lirów.

– To jest nic. To nam nic nie daje. Myślałam, że dostaniemy trzy tysiące.

– Oszustwo i obrzydliwość – rzekła Ferguson.

– Oczywiście, gdyby nie było oszustwa, w ogóle byśmy na niego nie postawili – powiedziała Catherine. – Ale jednak chciałabym dostać te trzy tysiące.

– Chodźmy się czegoś napić i zobaczymy, ile wypłacają – powiedział Crowell.

Podeszliśmy do miejsca, gdzie wywieszali wyniki, i kiedy zadzwonił dzwonek na wyplatę, wywiesili przy Japalacu osiemnaście pięćdziesiąt z góry. To oznaczało, że płacą za niego mniej niż równowartość stawki dziesięciolirowej.

Poszliśmy do bufetu pod główną trybuną i wypiliśmy po jednej whisky z wodą sodową. Natknęliśmy się na kilku znajomych Włochów i wicekonsula McAdamsa i wszyscy oni wrócili z nami do Catherine i panny Ferguson. Włosi byli pełni kurtuazji, a McAdams nawiązał rozmowę z Catherine, podczas gdy my poszliśmy postawić znowu. Pan Meyers stał w pobliżu *pari-mutuel*.

– Niech pan go spyta, na którego postawił – powiedziałem Crowellowi.

– Którego pan sobie wybrał? – zapytał Crowell.

Pan Meyers wyjął program i wskazał ołówkiem numer piąty.

– Nie miałby pan nic przeciwko temu, żebyśmy i my na niego postawili? – spytał Crowell.

– Proszę bardzo, proszę bardzo. Tylko nie mówcie mojej żonie, że go wam wskazałem.

– Napije się pan czegoś? – zapytałem.

– Nie, dziękuję. Nie piję nigdy.

Postawiliśmy na numer piąty sto lirów z góry i sto z dołu i wypiliśmy znowu po jednej whisky z wodą sodową. Czuję się znakomicie, spotkaliśmy jeszcze paru Włochów, którzy też z nami wypili, i wróciliśmy do obu dziewczyn. Ci Włosi byli także bardzo uprzejmi i prześcigali się w uprzejmościach z tymi dwoma, których

przyprawiliśmy wcześniej. Po chwili nikt już nie mógł usiedzieć na miejscu. Dałem bilety Catherine.

– Co to za koń?

– Nie wiem. Wybór pana Meyersa.

– Nawet nie wiesz, jak się nazywa?

– Nie. Można to znaleźć w programie. Zdaje się, że to numer piąty.

– Masz wzruszające zaufanie – powiedziała.

Numer piąty wygrał, ale nic za niego nie wypłacono. Pan Meyers był zły.

– Trzeba postawić dwieście lirów, żeby wygrać dwadzieścia – powiedział. – Dwanaście lirów za dziesięć. To się nie opłaca. Żona przegrała dwadzieścia.

– Pójdę tam z tobą – powiedziała do mnie Catherine. Wszyscy Włosi podnieśli się z miejsc. Zeszliśmy z Catherine na padok.

– Podoba ci się tutaj? – zapytała Catherine.

– Tak. Chyba tak.

– Rzeczywiście jest niezłe – odpowiedziała. – Tylko, kochanie, ja nie mogę znieść przebywania z tyloma ludźmi.

– Nie widujemy tak wielu.

– Nie. Ale ci Meyersowie i ten jegomość z banku ze swoją żoną i córkami...

– On mi realizuje weksle na okaziciela – powiedziałem.

– Dobrze, ale gdyby on ci nie realizował, robiłby to ktoś inny. Ci czterej młodzi ludzie, którzy przyszli ostatnio, są okropni.

– Możemy tu zostać i przyglądać się wyścigom zza ogrodzenia.

– Świetnie. I, kochanie, postawmy na jakiegoś konia, o którym nigdyśmy nie słyszeli i na którego nie postawi pan Meyers.

– Dobrze.

Postawiliśmy na konia, który nazywał się Promień Światła, i przyszedł czwarty z pięciu biegnących. Staliśmy oparci o ogrodzenie, patrzyliśmy, jak konie przebiegały obok, dudniąc kopytami, w oddali widzieliśmy góry i Mediolan za drzewami i polem.

– Czuję się teraz jakaś czystsza – powiedziała Catherine. Konie wracały przez bramkę mokre, spocone, dżokeje uspokajali je, podjeżdżając pod drzewa, ażeby tam zsiąść.

– Nie chciałbyś się czegoś napić? Moglibyśmy to zrobić tutaj, przyglądając się koniom.

– Przyniosę coś – powiedziałem.

– Kelner przyniesie – odparła Catherine. Podniosła rękę i z bufetu przy stajniach wyszedł kelner. Usiedliśmy przy okrągłym żelaznym stoliku.

– Nie wolisz, jak jesteśmy sami?

– Wolę – odpowiedziałem.

– Czułam się bardzo samotna przy nich wszystkich.

– Tu jest doskonale.

– Tak. Naprawdę przyjemne wyścigi.

– Bardzo.

– Nie pozwalaj mi psuć ci zabawy, kochanie. Wrócę, kiedy tylko zechcesz.

– Nie – powiedziałem. – Zostaniemy tutaj i wypijemy whisky. A potem pójdziemy stanąć przy przeszkodzie z wodą podczas biegu z przeszkodami.

– Jesteś dla mnie strasznie dobry – powiedziała. Posiedziawszy chwilę sam na sam, chętniej wróciliśmy do tamtych. Bawiliśmy się doskonale.

Rozdział IX

We wrześniu przysły pierwsze chłodne noce, potem i dni zrobiły się chłodne, liście na drzewach w parku zaczęły zmieniać barwę i wiedzieliśmy już, że lato się skończyło. Działania na froncie rozwijały się bardzo niedobrze i nie można było wziąć San Gabriele. Walki na płaskowzgórzu Bainsizza zakończyły się, a w połowie miesiąca bój o San Gabriele też już właściwie ustał. Nie udało się zdobyć tej góry.

Ettore wrócił na front. Konie odesłano do Rzymu i nie było już wyścigów. Crowell także pojechał do Rzymu, skąd mieli go wyprawić do Ameryki. W mieście dwa razy odbyły się antywojenne manifestacje, a w Turynie wybuchły poważne rozruchy. Pewien major angielski powiedział mi w klubie, że na płaskowzgórzu Bainsizza i na San Gabriele Włosi stracili sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Mówił, że oprócz tego stracili czterdzieści tysięcy na Carso. Piliśmy razem, a on mówił. Twierdził, że na ten rok walki są tutaj zakończone i że Włosi porwali się z motyką na słońce. Mówił, że ofensywa we Flandrii idzie niedobrze. Jeżeli dalej będzie ginęło tylu ludzi co tej jesieni, to alianci wykończą się w ciągu roku. Powiedział, że wszyscy już jesteśmy wykończeni, ale że to nie szkodzi, dopóki o tym nie wiemy. Wszyscy jesteśmy wykończeni; dowcip polega na tym, żeby nie przyjmować tego do wiadomości. Kraj, który ostatni zda sobie sprawę z faktu, że jest wykończony, wygra tę wojnę.

Wypiliśmy jeszcze po jednym. Pytał, czy jestem w czymś sztabie. Nie. A on tak. To wszystko jest do chrzanu. Siedzieliśmy sami w klubie, na wielkiej, obitej skórą kanapie. Miał gładko wyczyszczone ciemne buty. Bardzo piękne buty. Mówił, że wszystko jest do chrzanu. Myślą tylko kategoriami dywizji i materiału ludzkiego. Wyklócają się o dywizję, a wybijają je, jak je dostaną. Wszyscy są wykończeni. Każdy o tym wie. Zwycięstwa odnoszą Niemcy. To są dopiero żołnierze, jak Boga kocham! Hun jest naprawdę żołnierzem. Ale i oni są wykończeni. Wszyscy jesteśmy wykończeni. Zapytałem o Rosję. Odpowiedział, że już wykończona. Niedługo sam się przekonam. Austriacy też wykończeni. Gdyby dostali kilka dywizji Hunów, mogliby dać radę. A czy myśli, że zaatakują tej jesieni? Oczywiście, że tak. Włosi są wykończeni. Każdy o tym wie. Hunowie przejdą przez Trentino, przetną linię kolejową pod Vicenzą i co wtedy będzie z Włochami? Odpowiedziałem, że już tego próbowali w szesnastym roku. Ale nie z Niemcami.

– To prawda – potwierdziłem.

– Chociaż pewnie tego nie zrobią – powiedział.

– To zbyt proste. Spróbują czegoś skomplikowanego i wykończą się na całego. Powiedziałem, że muszę już iść. Muszę wracać do szpitala.

– Do widzenia – rzekł. A potem bardzo wesoło: – Wszystkiego, co tylko można najlepszego! – Był wielki kontrast między jego ogólnym pesymizmem a osobistą pogodą ducha.

Zaszedłem do fryzjera, ogoliłem się i wróciłem do szpitala. Nogi wydobrzały mi już na tyle, że przez dłuższy czas nie można było spodziewać się dalszej poprawy. Przed trzema dniami byłem na badaniu. Musiałem jeszcze poddać się pewnym zabiegom przed zakończeniem kuracji w Ospedale Maggiore. Szedłem boczną ulicą starając się nie kuleć. Pod arkadami jakiś staruszek wycinał sylwetki z papieru. Przystanąłem, żeby się temu przyjrzeć. Pozowały mu dwie dziewczyny, a on wykrawał ich sylwetki, szybko poruszając nożyczkami, i zerkał na dziewczęta, przekrzywiając głowę. Dziewczyny chichotały. Pokazał mi sylwetki, zanim je nakleił na białe kartoniki i wręczył dziewczynom.

– Bardzo piękne – odezwał się. – A może pan, *tenente*?

Dziewczyny odeszły, śmiejąc się i oglądając swoje sylwetki. Obie były przystojne. Jedna pracowała w winiarni naprzeciwko szpitala.

– Dobrze – odpowiedziałem.

– Może pan zdejmie czapkę?

– Nie. W czapce.

– To nie będzie takie piękne – powiedział. – Ale – tu twarz mu się rozjaśniła – bardziej wojskowe.

Wystrzygł czarny papier, rozdzielił dwie jego warstewki, przykleił profile na kartoniku i wręczył mi je.

– Ile płacę?

– Nic – machnął ręką. – Zrobiłem to dla pana.

– Ależ proszę – wyciągnąłem parę miedziaków. – Niech pan mi zrobi tę przyjemność.

– Nie. Wyciąłem to dla własnej przyjemności. Niech pan podaruje swojej dziewczynie.

– Bardzo dziękuję i do następnego razu.

– Do zobaczenia.

Poszedłem do szpitala. Zostałem tam kilka listów, jeden urzędowy i parę innych. Udzielono mi trzytygodniowego urlopu rekonwalescencyjnego, po czym miałem wrócić na front. Przeczytałem uważnie list. No tak. Urlop zaczynał się czwartego października, po zakończeniu mojej kuracji. Trzy tygodnie to było dwadzieścia jeden dni. Wpadało

dwudziestego piątego października. Powiedziałem, że wychodzę, poszedłem do restauracji, która była niedaleko szpitala, i przy stoliku przeczytałem listy i "Corriere della Sera". Dostałem list od dziadka, zawierający rodzinne wiadomości i patriotyczne słowa zachęty, czek na dwieście dolarów i kilka wycinków z gazet, dalej nudny list od naszego kapelana, inny od pewnego mojego znajomego, który służył w lotnictwie francuskim i opisywał mi, że wpadł w hulaszczę towarzystwo, i kartka od Rinaldiego z zapytaniem, jak długo myślę jeszcze ukrywać się w Mediolanie i co w ogóle słychać. Prosił mnie o przywiezienie płyt gramofonowych i załączał ich spis.

Wypiłem do kolacji małą butelkę chianti, potem kawę i kieliszek koniaku, skończyłem czytać gazetę, schowałem listy do kieszeni, zostawiłem na stoliku gazetę razem z napiwkami i wyszedłem. U siebie w pokoju szpitalnym rozebrałem się, włożyłem piżamę i szlafrok, zaciągnąłem zasłony na drzwiach od balkonu i siedząc w łóżku czytałem bostońskie gazety z pliku, który pani Meyers zostawiła w szpitalu dla swoich chłopców. "Białe Pończochy" z Chicago zdobyły proporzec Ligi Amerykańskiej, a "Olbrzymy" z Nowego Jorku prowadziły w Lidze Ogólnokrajowej. Babe Ruth grał wtedy dla Bostonu. Gazety były nudne, wiadomości lokalne i zwietrzałe, a wszystkie informacje o wojnie już przestarzałe. Z Ameryki donoszono tylko o obozach ćwiczebnych. Cieszyłem się, że nie jestem w takim obozie. Mogłem się zdobyć na czytanie wyłącznie wiadomości baseballowych, a nie ciekawiły mnie one ani trochę. Większa liczba gazet naraz ma to do siebie, że nie sposób ich czytać z zainteresowaniem. Wiadomości nie były zbyt aktualne, ale przez jakiś czas je przeglądałem.

Zastanawiałem się, czy zamkną główne ligi, jeżeli Ameryka naprawdę weźmie udział w wojnie. Najprawdopodobniej nie zamkną. W Mediolanie wciąż jeszcze urządzają wyścigi, a wojna nie może już być wiele gorsza. We Francji wyścigi przerwano. Stamtąd właśnie pochodził nasz koń, Japałac. Catherine miała zacząć dyżur dopiero o dziewiątej. Kiedy się zjawiała, usłyszałem jej kroki na piętrze i raz zobaczyłem ją na korytarzu. Obeszła kilka innych pokoi i wreszcie zajrzała do mnie.

– Spóźniłam się, kochanie – powiedziała. – Miałam masę roboty. Jak się czujesz?

Opowiedziałem jej o gazetach i o urlopie.

– To ślicznie – odrzekła. – Gdzie chcesz pojechać?

– Nigdzie. Chcę zostać tutaj.

– Bardzo niemądrze. Wybierz jakieś miejsce, to ja też pojedę.

– A jak to zrobisz?

– Nie wiem. Ale zrobię.

– Jesteś zupełnie wspaniała.

- Wcale nie. Ale nietrudno pokierować życiem, jak się nie ma nic do stracenia.
 - Co to znaczy?
 - Nic. Tylko myślałam sobie, jak małe wydają się przeszkody, które kiedyś były takie wielkie.
 - Mnie się zdaje, że to będzie trudne.
 - Nic podobnego, kochanie. Jeżeli będzie trzeba, po prostu wyjadę. Ale do tego nie dojdzie.
 - A gdzie byśmy wyjechali?
 - Wszystko mi jedno. Gdzie chcesz. Tam gdzie nie znamy nikogo.
 - Obojętne ci, dokąd pojedziemy?
 - Zupełnie. Wszędzie będzie mi dobrze.
- Była najwyraźniej zdenerwowana i wewnętrznie napięta.
- Co się stało, Catherine?
 - Nic. Nic się nie stało.
 - Owszem, coś jest.
 - Nie, nic. Naprawdę.
 - Przecież widzę. Powiedz mi, kochanie. Mnie możesz powiedzieć.
 - Nic takiego.
 - No powiedz.
 - Nie chcę. Boję się, że będziesz niezadowolony albo się zmartwisz.
 - Wcale nie.
 - Na pewno? Mnie to nie martwi, ale boję się zmartwić ciebie.
 - Nie zmartwię się, jeżeli ty się nie martwisz.
 - Kiedy ja nie chcę ci tego mówić.
 - Powiedz.
 - Muszę?
 - Tak.
 - Będę miała dziecko, kochanie. To już jest prawie trzeci miesiąc. Nie martwisz się? Błagam cię, błagam, nie martw się. Nie powinienes.
 - Dobrze.
 - I wszystko jest w porządku?
 - Oczywiście.
 - Zrobiłam, co mogłam. Zażyłam wszystko, ale bez skutku.
 - Wcale się nie martwię.

– Nie mogłam nic poradzić, kochanie, i zupełnie się tym nie dręcę. I ty też nie powinieneś się dręczyć ani przejmować.

– Ja tylko martwię się o ciebie.

– O właśnie. Tego nie wolno ci robić. Ludzie wciąż mają dzieci. Każdy ma dzieci. To zupełnie naturalne.

– Jesteś cudowna.

– Ależ nie. Tylko się nie przejmuj, kochanie. Postaram się nie robić ci zmartwienia. Wiem, że w tej chwili zrobiłam, ale czy dotąd nie byłam grzeczna? Przecież nic nie wiedziałeś, prawda?

– Nic.

– Wszystko pójdzie gładko. Po prostu nie masz się czym trapić. Ale już widzę, że się trapisz. Przestań. Przestań w tej chwili. Nie chciałbyś czegoś wypić, kochanie? Wiem, że jak się napijesz, zaraz jesteś weselszy.

– Nie. Zupełnie mi wesoło. A ty jesteś naprawdę cudowna.

– Wcale nie. Ale tak wszystko urządzę, żebyśmy mogli być razem, jak już się zdecydujesz, dokąd mamy jechać. W październiku powinno być ładnie. Spędzimy cudowne chwile, a potem, jak już pojedziesz na front, będę co dzień do ciebie pisywała.

– A gdzie wtedy będziesz?

– Jeszcze nie wiem. Ale w jakimś wspaniałym miejscu. Już się o to postaram.

Przez chwilę milczeliśmy. Catherine siedziała na łóżku, ja patrzyłem na nią, ale nie dotykaliśmy się wzajemnie. Odsunęliśmy się od siebie jak ludzie, którzy są skrępowani, kiedy ktoś wchodzi do pokoju. Wzięła mnie za rękę.

– Nie gniewasz się, najmilszy?

– Nie.

– I nie czujesz się jak w pułapce?

– Może troszeczkę. Ale nie z twojej winy.

– Nie o to mi idzie. Nie bądź niemądry. Pytałam, czy nie czujesz się w ogóle bez wyjścia.

– Zawsze czujemy się bez wyjścia pod względem biologicznym.

Odbiegła myślami gdzieś daleko, chociaż nie poruszyła się ani nie cofnęła ręki.

– "Zawsze" to nie bardzo ładne słowo.

– Przepraszam.

– Nic nie szkodzi. Ale widzisz, jeszcze nie miałam dziecka i nawet dotąd nie kochałam nikogo. Spróbowałam robić to, co chciałeś, a ty teraz mówisz: zawsze.

– Chętnie bym uciął sobie język – powiedziałem.

– Och, kochanie! – Ocknęła się z zamyślenia. – Nie zwracaj na mnie uwagi. – Znów byliśmy razem i uczucie skrępowania znikło. – My naprawdę jesteśmy jednym i tym samym i nie powinniśmy świadomie źle się rozumieć.

– Już nie będziemy.

– Ale ludzie tak robią. Kochają się, a jednak świadomie rozumieją się na opak i z tego wynikają kłótnie, i potem nagle już nie są jednością.

– Nie będziemy się kłócić.

– Nie trzeba. Bo jesteśmy tylko my dwoje, a na świecie cała reszta ludzi. Jeżeli coś nas rozdziela, zaraz jest z nami koniec i wtedy przegrywamy.

– Nie przegramy – powiedziałem – bo ty jesteś zbyt dzielna. Dzielnym nie przytrafia się nic złego.

– Oprócz tego, że umierają.

– Ale tylko raz.

– Czy ja wiem? Kto to powiedział?

– “Tchórz po tysiąckroć umiera, dzielny raz tylko”?

– Właśnie. Kto to powiedział?

– Nie wiem.

– Pewnie jakiś tchórz – rzekła. – Wiedział bardzo dużo o tchórzach, ale nie o dzielnych. Dzielny umiera ze dwa tysiące razy, jeżeli jest inteligentny. Tylko po prostu o tym nie mówi.

– Czy ja wiem? Trudno zajrzeć do mózgu człowieka dzielnego.

– Tak. Właśnie dlatego może być taki.

– Jesteś w tej sprawie autorytetem.

– Brawo, kochanie. To mi się należało.

– Naprawdę jesteś dzielna.

– Nie – odrzekła. – Ale chciałabym być.

– Ja nie jestem dzielny – powiedziałem. – Dość długo już żyję, żeby siebie znać. Jestem jak gracz w baseball, który podaje piłkę na dwieście trzydzieści i wie, że dalej nie potrafi.

– Co to znaczy, podaje na dwieście trzydzieści? To strasznie imponujące.

– Nic podobnego. To jest przeciętny gracz.

– Ale jednak gracz – docięła mi.

– Zdaje się, że oboje jesteśmy zarozumiali – powiedziałem. – Ale ty jesteś dzielna.

– Nie. Ale mam nadzieję, że będę.

– Oboje jesteśmy dzielni. Ja zwłaszcza wtedy, jak się napiję.

– Jesteśmy wspaniali – powiedziała Catherine. Podeszła do szafy i przyniosła mi koniak i szklanę. – Napij się, kochanie. Byłeś nadzwyczajny.

– Właściwie nie mam ochoty.

– Tylko jednego.

– Dobrze. – Napełniłem szklanę do jednej trzeciej i wypilem.

– To trochę dużo – powiedziała. – Wiem, że koniak jest dla bohaterów, ale nie powinieneś przesadzać.

– Gdzie zamieszkamy po wojnie?

– Prawdopodobnie w przytułku dla starców – odparła. – Przez trzy lata, jak dziecko spodziewałam się, że wojna skończy się na Boże Narodzenie. Ale teraz przypuszczam, że to nastąpi, kiedy nasz syn będzie komandorem–porucznikiem.

– A może generałem?

– Jeżeli to jest wojna stulecia, to będzie miał czas spróbować służby i w armii, i w marynarce.

– Nie chciałybyś się napić?

– Nie. Ciebie to zawsze rozwesela, kochanie, a mnie tylko otumania.

– Nigdy nie piłaś koniak?

– Nie, mój najmilszy. Jestem ogromnie staroświecką żoną.

Sięgnąłem po stojącą na podłodze butelkę i nalałem sobie jeszcze.

– Muszę zajrzeć do twoich rodaków – powiedziała Catherine. – Może do mego powrotu poczytasz gazety?

– Naprawdę musisz iść?

– Teraz albo później.

– No, dobrze. To teraz.

– Niedługo wrócę.

– Przez ten czas skończę gazety – powiedziałem.

Rozdział X

Tej nocy zrobiło się zimno, a nazajutrz padał deszcz. Kiedy szedłem z Ospedale Maggiore, padało porządnie i wróciłem przemoczony. Na balkon mojego pokoju lały się strumienie deszczu, a wiatr nawiewał je na szklane drzwi. Przebrałem się i wypilem trochę koniaku, ale mi nie smakował. W nocy zrobiło mi się niedobrze, a rano, po śniadaniu, dostałem torsji.

– Nie ma najmniejszej wątpliwości – powiedział miejscowy lekarz. – Niech siostra popatrzy na białka jego oczu.

Panna Gage popatrzyła. Kazali mi przejrzeć się w lustrze. Białka były żółtego koloru. Miałem żółtaczkę.

Chorowałem przez dwa tygodnie. Z tej przyczyny nie spędziliśmy razem urlopu rekonwalescencyjnego. Planowaliśmy sobie, że pojedziemy do Pallanzy nad Lago Maggiore. Na jesieni jest tam ładnie, kiedy żółkną liście. Można chodzić na spacery i łowić pstrągi w jeziorze. Byłoby to lepsze niż Stresa, bo w Pallanzy jest mniej ludzi. Do Stresy tak łatwo dojechać z Mediolanu, że zawsze są tam jacyś znajomi. Pallanza to ładne miasteczko, można popłynąć łodzią na wyspy, gdzie mieszkają rybacy, a na największej z nich jest restauracja. Ale nie pojechaliliśmy.

Któregoś dnia, kiedy leżałem chory na żółtaczkę, weszła panna Van Campen, otworzyła szafę i zobaczyła stojące tam puste butelki. Kazałem portierowi zabrać całe ich naręczę; musiała zauważyć, jak je wynosił, i przyszła na górę, żeby odszukać dalsze. Były to głównie butelki od wermutu, marsali i capri, puste flaszki po chianti i kilka butelek po koniaku.

Portier wyniósł co większe, te po wermucie i oplatane flaszki od chianti, a butelki po koniaku zostawił sobie na ostatek. Panna Van Campen znalazła właśnie te po koniaku i butelkę w kształcie niedźwiedzia, w której był *kümmel*. Ta doprowadziła ją do szczególnej pasji. Podniosła niedźwiedzia siedzącego na zadku, z podniesionymi łapami, korkiem w szklanym łbie i kilkoma lepкими kroplami na dnie. Roześmiałem się.

– To był *kümmel* – powiedziałem. – Najlepszy jest w tych niedźwiadkach. Sprowadza się go z Rosji.

– To wszystko są butelki po koniaku, prawda? – zapytała panna Van Campen.

– Nie widzę stąd wszystkich – odpowiedziałem. – Ale pewnie tak.

– Od jak dawna to trwa?

– Sam je kupiłem i przyniosłem tutaj – powiedziałem. – Często odwiedzali mnie włoscy oficerowie i miałem koniak, żeby ich poczęstować.

– A sam pan nie pił? – spytała.

– Owszem, piłem także.

– Koniak – powiedziała. – Jedenaście pustych butelek po koniaku i jeszcze ten niedźwiedzi trunek.

– *Kümmel*.

– Poślę po kogoś, żeby to zabrał. To wszystkie puste butelki jakie pan ma?

– Chwilowo tak.

– A ja się nad panem litowałam, że pan ma żółtaczkę! Nie warto mieć dla pana współczucia.

– Dziękuję bardzo.

– Rozumiem, że pana nie można potępiać za to, że pan nie chce wracać na front. Ale myślałam, że pan próbuje czegoś inteligentniejszego niż wywoływanie żółtaczki alkoholismem.

– Czym?

– Alkoholismem. Słyszał pan dobrze.

Milczałem.

– Obawiam się, że po tej żółtaczce będzie pan musiał wrócić na front, jeżeli pan nie wynajdzie czegoś innego. Nie przypuszczam, żeby rozmyślnie wywołana żółtaczka uprawniała pana do urlopu rekonwalescencyjnego.

– Nie przypuszcza pani?

– Nie.

– A czy pani miała kiedy żółtaczkę?

– Nie, ale często się z nią stykałam.

– Zauważyła pani, jakie to przyjemne dla chorych?

– Przypuszczam, że lepsze niż front.

– Proszę pani – powiedziałem. – Czy pani kiedy widziała mężczyznę, który by próbował okaleczyć się kopnięciem w jądra?

Panna Van Campen zignorowała to pytanie. Musiała je zignorować albo wyjść z pokoju. Nie chciała wyjść, bo nie cierpiała mnie już od dłuższego czasu i teraz mogła dać temu upust.

– Znałam wielu takich, którzy unikali frontu przez samookaleczenie.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Ja także widywałem samookaleczenia. Pytałem, czy pani kiedy spotkała mężczyznę, który próbowałby się okaleczyć przez

kopnięcie w jądra. Czegoś takiego, jak mi się zdaje, doświadczyło niewiele kobiet, i najbardziej przypomina mi to właśnie żółtaczkę. Dlatego pytałem, czy pani miała kiedy żółtaczkę, ponieważ...

Panna Van Campen wyszła z pokoju. Później zjawiła się panna Gage.

– Co pan jej nagadał? Była wściekła.

– Porównywaliśmy doznania. Zamierzałem napomknąć jej, że nigdy nie doświadczyła bólów porodowych...

– Niemądry pan jest. Ona teraz obdarłaby pana ze skóry.

– Już mnie obdarła – powiedziałem. – Utraciła mi urlop, a może i postara się oddać mnie pod sąd wojenny. Jest na to dostatecznie podła.

– Nigdy pana nie lubiła – rzekła panna Gage. – A o co to poszło?

– Twierdzi, że się upijałem, żeby dostać żółtaczki i nie wracać na front.

– Phi – powiedziała panna Gage. – Mogę zeznać pod przysięgą, że pan nie brał do ust alkoholu. Każdy na to przysięgnie.

– Ale ona znalazła butelki.

– Sto razy panu mówiłam, żeby je powyrzucać. I gdzie one teraz są?

– W szafie.

– Ma pan walizkę?

– Nie. Niech siostra je powsadza do plecaka.

Panna Gage zapakowała butelki do plecaka. – Dam portierowi – powiedziała i ruszyła do drzwi.

– Chwileczkę – odezwał się głos panny Van Campen. – Ja wezmę te butelki. – Przy niej stał portier. – Proszę to zabrać – powiedziała. – Chcę pokazać doktorowi, jak będę zdawała raport.

Wyszła na korytarz. Portier wziął plecak. Wiedział, co jest w środku.

Nie stało się nic, oprócz tego, że straciłem urlop.

Rozdział XI

Tego wieczora, kiedy miałem wrócić na front, posłałem portiera, żeby mi zajął miejsce w pociągu przychodzącym z Turynu. Pociąg odjeżdżał o północy. Wyruszał z Turynu, w Mediolanie był około wpół do jedenastej wieczorem i stał na stacji aż do godziny odjazdu. A żeby dostać miejsce, trzeba było czekać na peronie, kiedy zajeżdżał. Portier zabrał ze sobą znajomego, który służył przy karabinach maszynowych, a teraz był na urlopie i pracował u krawca. Uważał, że we dwóch na pewno utrzymają miejsce. Dałem im pieniądze na bilety peronowe i poprosiłem, żeby zabrali moje rzeczy. Miałem duży plecak i dwa chlebaki.

Około piątej pożegnałem się ze wszystkimi w szpitalu i wyszedłem. Portier miał u siebie mój bagaż i powiedziałem mu, że będę na dworcu przed samą północą. Żona portiera mówiła do mnie: *signorino*, i płakała. Otarła oczy, uścisnęła mi rękę i rozplakała się znowu. Poklepałem ją po plecach, a ona znowu wybuchnęła płaczem. Była bardzo mała, krępa, miała wesołą twarz i siwe włosy, a ja pamiętałem, że zawsze cerowała mi moje rzeczy. Kiedy płakała, cała twarz jej się kurczyła.

Poszedłem na róg do winiarni i czekałem tam, wyglądając cały czas przez okno. Na dworze było ciemno, zimno i mglisto. Zapłaciłem za kawę i grappę i przypatrywałem się ludziom przechodzącym w świetle, które padało z okna. Spostrzegłem Catherine i zapukałem w szybę. Spojrzała, zobaczyła mnie i uśmiechnęła się, a ja wyszedłem jej na spotkanie. Miała na sobie granatową pelerynkę i miękki filcowy kapelusz. Poszliśmy razem chodnikiem, mijając winiarnie, potem przez rynek i dalej ulicą i pod arkadami wyszliśmy na plac katedralny. Były tu tory tramwajowe, a za nimi katedra. We mgle było białe i wilgotno. Przeszliśmy przez tory. Po lewej widzieliśmy sklepy z oświetlonymi wystawami i wejście do *galleria*. Na placu była mgła; kiedy podeszliśmy do frontonu katedry, świątynia ta wydała nam się bardzo wielka, a jej kamienne ściany były mokre od deszczu.

– Chciałabyś wejść?

– Nie – odpowiedziała Catherine. Poszliśmy dalej. Przed nami, w cieniu jednej z kamiennych skarp, stał jakiś żołnierz z dziewczyną. Minęliśmy ich. Stali przyciśnięci do kamiennej ściany, a on okrywał dziewczynę peleryną.

– Tacy sami jak my – powiedziałem.

– Nikt nie jest taki jak my – odrzekła Catherine. Nie powiedziała tego radośnie.

– Żał mi ich, że nie mają dokąd iść.

- Może to by im nie dało.
- Czy ja wiem? Każdy powinien mieć gdzie iść.
- Mają katedrę – powiedziała Catherine.

Minęliśmy ją właśnie. Przeszedłszy na drugi koniec placu obejrzeliliśmy się. Katedra we mgle wyglądała pięknie. Staliśmy przed sklepem z wyrobami skórzanymi. Na wystawie były buty do konnej jazdy, plecak i buty narciarskie. Każdą rzecz rozmieszczono z osobną niczym eksponat; plecak pośrodku, z jednej strony buty do konnej jazdy, z drugiej narciarskie. Skóra ich była ciemna i wypolerowana jak wyjeżdżone siodło. Światło elektryczne zapalało na niej błyski.

- Wybierzemy się kiedyś na narty.
- Za dwa miesiące będzie już można jeździć w Mürren – powiedziała Catherine.
- Jedźmy tam.
- Dobrze – odparła.

Minęliśmy kilka innych wystaw i skręciliśmy w boczną ulicę.

- Nigdy tu nie byłam.
- Tędy chodzę do szpitala – objaśniłem.

Uliczka była wąska i szliśmy po jej prawej stronie. We mgle mijali nas ludzie. Były tu sklepy i wszystkie miały oświetlone wystawy. Przyjrzeliliśmy się stercie serów leżącej na jednej z nich. Zatrzymałem się przed sklepem rusznikarskim.

- Wejdzmy na chwilę. Muszę sobie kupić broń.
- Jaką broń?
- Pistolet.

Weszliśmy. Odpiąłem pas i położyłem go razem z pustą kaburą na kontuarze. Za kontuarem stały dwie ekspedientki. Pokazały mi kilka pistoletów.

– Musi być taki, żeby do tego pasował – powiedziałem otwierając kaburę. Była zrobiona z szarej skóry i kupiłem ją, używaną, do noszenia w mieście.

- A tutaj mają dobre pistolety? – spytała Catherine.
- Wszędzie są mniej więcej takie same. Czy mógłbym wypróbować ten? – zapytałem ekspedientkę.

– Teraz nie mamy gdzie przestrelować broni – odpowiedziała. – Ale ten jest bardzo dobry. Nie chybi pan z niego.

Nacisnąłem spust, a potem zarepetowałem. Sprężyna była trochę twarda, ale pistolet działał dobrze. Złożyłem się i znów nacisnąłem spust.

– On jest używany – powiedziała ekspedientka. – Należał do pewnego oficera, który był doskonałym strzelcem.

– To pani mu go sprzedała?

– Tak.

– A jak go pani dostała z powrotem?

– Od jego ordynansa.

– Może i ode mnie wróci do pani – powiedziałem. – Ile kosztuje?

– Pięćdziesiąt lirów. Bardzo niedrogo.

– Dobrze. Poproszę o dwa zapasowe magazynki i pudełko naboji.

Wyjęła je spod kontuaru.

– Nie potrzebuje pan szabli? – spytała. – Mam bardzo tanie używane szable.

– Ja jadę na front – odpowiedziałem.

– Ano tak, to szabla nie będzie panu potrzebna.

Zapłaciłem za naboje i pistolet, naładowałem i założyłem magazynek, wsunąłem pistolet do pustej kabury, napełniłem nabojami zapasowe magazynki i wetknąłem je do skórzanych tulejek przy kaburze, po czym zapiąłem pas. Czuję, jak pistolet obciąża go swoim ciężarem. A jednak lepiej jest mieć przepisową broń – pomyślałem. – Zawsze można dostać ładunki.

– Teraz jesteśmy w pełnym uzbrojeniu – powiedziałem. – To jedno miałem jeszcze do zrobienia. Ktoś zabrał mi pistolet, kiedy wieźli mnie do szpitala.

– Mam nadzieję, że ten będzie dobry – rzekła Catherine.

– Czy pan jeszcze coś sobie życzył – spytała ekspedientka.

– Chyba nie.

– Ten pistolet ma linewkę.

– Tak, widzę.

Ekspedientka najwyraźniej chciała sprzedać mi coś jeszcze.

– Nie potrzebuje pan gwizdka?

– Raczej nie.

Pożegnała się z nami i wyszliśmy na ulicę. Catherine spojrzała w okno wystawowe. Ekspedientka wyglądała na nas i ukłoniła się.

– Na co są te lustreczka oprawne w drewno?

– Do zwabiania ptaków. Włosi migoczą nimi w polu, na ten widok zlatują się skowronki i wtedy do nich strzelają.

– Pomysłowy naród – powiedziała Catherine. – Ale wy w Ameryce nie strzelacie chyba do skowronków, prawda, kochanie?

– Niespecjalnie.

Przeszliśmy przez ulicę i ruszyliśmy dalej po drugiej stronie.

– Teraz czuję się różnie – powiedziała Catherine. – Bo na początku było mi okropnie.

– Zawsze czujemy się dobrze, jak jesteśmy razem.

– I zawsze będziemy razem.

– Tak, tylko że o północy odjeżdżam.

– Nie myśl o tym, kochany.

Szliśmy dalej ulicą. Latarnie były żółte od mgły.

– Nie jesteś zmęczony? – spytała Catherine.

– A ty?

– Ja nie. Przyjemnie tak chodzić.

– Ale nie róbmy tego za długo.

– Nie.

Skręciliśmy w boczną uliczkę, na której nie było latarni. Przystanąłem i pocałowałem Catherine. Całując, poczułem jej rękę na ramieniu. Owinęła się moją peleryną, okrywając nią nas oboje. Staliśmy na ulicy oparci o wysoki mur.

– Chodźmy gdzieś – powiedziałem.

– Dobrze – odrzekła. Poszliśmy ku szerszej ulicy biegnącej wzdłuż kanału. Po drugiej stronie był ceglany mur i jakieś budynki. Dalej przed nami zobaczyłem tramwaj przejeżdżający przez most.

– Na tym moście możemy złapać dorożkę – powiedziałem.

Staliśmy na moście we mgle, czekając na dorożkę. Minęło nas kilka tramwajów pełnych ludzi wracających do domów. Potem nadjechała dorożka, ale zajęta. Mgła przemieniała się w deszcz.

– Możemy iść piechotą albo wsiąść do tramwaju – powiedziała Catherine.

– Niedługo zjawi się jakaś dorożka – odparłem. – Zawsze tędy przejeżdżają.

– O, jedzie – powiedziała Catherine.

Dorożkarz zatrzymał konia i opuścił metalową chorągiewkę licznika. Buda była postawiona, a na płaszczu dorożkarza błyszczały krople wody. Jego lakierowany cylinder lśnił od deszczu. Usiedliśmy obok siebie; pod budą było ciemno.

– Gdzie mu kazałeś jechać?

– Na dworzec. Tam naprzeciwko jest hotel, do którego możemy pójść.

– Tak jak jesteśmy? Bez bagażu?

– Tak – odpowiedziałem.

Do stacji jechaliśmy długo, w deszczu, bocznymi ulicami.

– Nie zjemy kolacji? – spytała Catherine. – Boję się, że będę głodna.

– Zjemy w numerze hotelowym.
– Nie mam co na siebie włożyć. Nawet nocnej koszuli.
– To ją kupimy – odpowiedziałem i zawołałem do dorożkarza: – Niech pan jedzie przez Via Manzoni.

Kiwnął głową i na najbliższym skrzyżowaniu skręcił w lewo. Na tej dużej ulicy Catherine zaczęła wypatrywać sklepu.

– Tu jest coś – powiedziała.

Kazałem dorożkarzowi stanąć, a Catherine wysiadła i przez chodnik przeszła do sklepu. Czekalem na nią w dorożce. Padało i poczułem zapach mokrej ulicy i konia parującego od deszczu. Catherine wróciła z paczką, wsiadła i ruszyliśmy dalej.

– To było szaleństwo, kochanie – powiedziała – ale koszula jest piękna.

Kiedy zajechaliśmy przed hotel, poprosiłem Catherine, żeby zaczekała w dorożce, a sam wszedłem do środka i rozmówiłem się z kierownikiem. Było dużo wolnych pokoi. Wróciłem, zapłaciłem dorożkarzowi i wszedłem z Catherine do hotelu. Mały boy w kurtce z guzikami niósł naszą paczkę. Kierownik z ukłonem wskazał nam windę. Wszędzie pełno tu było czerwonego pluszu i mosiądzu. Kierownik odwiózł nas windą na górę.

– *Monsieur i madame* życzą sobie zjeść kolację w numerze?

– Tak. Może pan każe przynieść menu.

– Czy państwo chcieliby coś specjalnego? Dzikiznę albo suflet?

Winda minęła trzy piętra, szcękając przy każdym, wreszcie szcęknęła jeszcze raz i stanęła.

– A co ma pan z dzikizny?

– Mógłbym podać bażanta albo słonkę.

– Słonkę – powiedziałem.

Poszliśmy korytarzem. Chodnik był wydeptany. Po obu stronach było wiele drzwi. Kierownik przystanął przed jednymi z nich, przekręcił klucz w zamku i otworzył.

– Proszę bardzo. Ładny pokój.

Mały boy w kurtce z guzikami położył paczkę na stole pośrodku pokoju. Kierownik rozsunał kotary.

– Mglisto na dworze – powiedział.

Pokój był wybity czerwonym pluszem. Wisiało tu dużo luster, stały dwa krzesła i duże łóżko przykryte atłasową kapą. Osobne drzwi prowadziły do łazienki.

– Przyślę państwu menu – powiedział kierownik. Ukłonił się i wyszedł.

Podszedłem do okna, wyjrzałem, a potem pociągnąłem za sznur, którym zsuwało się grube pluszowe kotary. Catherine siedziała na łóżku, wpatrując się w żyrandol ze rżniętego szkła. Zdjęła kapelusz i włosy jej lśniły w świetle. Zobaczyła swoje odbicie w jednym z lusterek i poprawiła uczesanie. Widziałem ją jeszcze w trzech innych lustrach. Nie miała radosnej miny. Zsunęła z ramion pelerynę i rzuciła na łóżko.

– Co ci jest, kochanie?

– Jeszcze nigdy nie czułam się jak dziwka – odpowiedziała.

Podszedłem do okna, uchyliłem kotarę i wyjrzałem na dwór. Nie myślałem, że to będzie tak.

– Nie jesteś dziwką.

– Wiem, mój drogi. Ale nie jest przyjemnie czuć się jak dziwka. – Głos jej był suchy i płaski.

– To najlepszy hotel, do jakiego mogliśmy się dostać – powiedziałem. Wyjrzałem przez okno. Po przeciwległej stronie placu błyszcząły światła dworca. Widziałem powozy przejeżdżające na dole i drzewa w parku. Światła hotelu odbijały się na mokrym chodniku. Ach, do diaska – pomyślałem. – Czyż teraz musimy się kłócić?

– Chodź do mnie, proszę cię – powiedziała Catherine. W jej głosie nie było już oschłości. – Chodź do mnie. Znów jestem grzeczna.

Spojrzałem na nią. Uśmiechała się. Podszedłem, usiadłem na łóżku i pocałowałem ją.

– Jesteś moją grzeczną dziewczynką.

– Jestem na pewno twoja – odrzekła.

Kiedy coś zjedliśmy, nastrój nam się poprawił, a później byliśmy bardzo szczęśliwi i wkrótce pokój wydał nam się naszym własnym domem. Mój pokój w szpitalu też był naszym domem i ten stał się nim w taki sam sposób.

Do kolacji Catherine zasiadła w mojej kurtce zarzuconej na ramiona. Byliśmy bardzo głodni, jedzenie podali dobre, wypiliśmy butelkę capri i butelkę *St. Estephe*. Ja wypilem większą część, ale Catherine także napiła się trochę i to jej doskonale zrobiło. Na kolację mieliśmy słonkę z ziemniakami *soufflé*, *purée* z kasztanów, a na deser *zabaione**.

– Tu jest doskonale – odezwała się Catherine. – Bardzo ładny pokój. Powinniśmy byli tu mieszkać przez cały czas pobytu w Mediolanie.

– Zabawny pokój, ale miły.

* *zabaione* (wł.) - gęsty, słodki krem z żółtkami i winem.

– Rozpusta to wspaniała rzecz – powiedziała Catherine. – Ludzie, którzy jej się oddają, najwyraźniej mają w tych sprawach dobry gust. Ten czerwony plusz jest naprawdę ładny. Taki jak trzeba. A lustra też bardzo ozdobne.

– Jesteś cudowna.

– Nie wiem, jak człowiek się czuje w takim pokoju rano po przebudzeniu. Ale doprawdy jest wspaniały. Nalałem jeszcze jeden kieliszek *St. Estephe*.

– Chciałabym, żebyśmy mogli zrobić coś naprawdę grzesznego – powiedziała Catherine. – Bo wszystko, co robimy, wydaje się takie niewinne i proste. Nie mogę uwierzyć, że jest w tym coś złego.

– Jesteś wspaniała.

– Nie, tylko głodna. Teraz mam straszny apetyt.

– Wspaniała i prosta – powiedziałem.

– Tak, jestem prosta. Nikt tego nigdy nie rozumiał oprócz ciebie.

– Kiedyś, jak cię poznałem, wyobrażałem sobie przez całe popołudnie, jak by to było, gdybyśmy poszli razem do hotelu "Cavour".

– To była straszna bezczelność z twojej strony. Ale tu nie jest "Cavour", prawda?

– Nie. Tam by nas nie wpuścili.

– Jeszcze kiedyś wpuszczą. Ale na tym polega różnica między nami. Ja nigdy nic sobie nie wyobrażałam.

– Nigdy w ogóle?

– Może troszkę.

– Ach, jesteś urocza! Dolałem jeszcze wina.

– Jestem zupełnie zwyczajną dziewczyną – powiedziała Catherine.

– Z początku wcale tak nie myślałem. Wydawało mi się, że jesteś zwariowana.

– Byłam trochę zwariowana. Ale nie w jakiś skomplikowany sposób. Chyba cię nie peszyłam, kochanie?

– Wino to cudowna rzecz – powiedziałem. – Zapomina się o wszystkim złym.

– Pyszne jest, ale przez nie mój ojciec dostał paskudnej podagry.

– Ty masz ojca?

– Tak – odrzekła. – Jest chory na podagrę. Nie będziesz musiał wcale go poznawać. A ty nie masz ojca?

– Nie – odpowiedziałem. – Ojczyrna.

– Będzie mi się podobał?

– Nie musisz go poznawać.

– Nam jest tak dobrze – powiedziała Catherine. – Nie interesuje mnie już nic poza tym. Czuję się taka szczęśliwa jako twoja żona.

Wszedł kelner i zabrał nakrycia. Po chwili zamilkliśmy i słychać było deszcz. Na dole na ulicy zatrał samochód.

Powiedziałem:

*I tylko ciągle słyszę, jak skrzydlata
Kwadryga czasu gdzieś za mną przelata.*

– Znam ten wiersz – odrzekła Catherine. – To Marvella. Ale to jest o pewnej dziewczynie, która nie chciała żyć z mężczyzną.

Umysł miałem jasny i chłodny i chciałem mówić o rzeczach konkretnych.

– Gdzie urodzisz dziecko?

– Nie wiem. W najlepszym miejscu, jakie uda mi się znaleźć.

– A jak to urządzisz?

– Najlepiej jak potrafię. Nie martw się o to, kochanie. Możemy mieć jeszcze kilkoro dzieci, zanim ta wojna się skończy.

– Już niedługo trzeba będzie iść.

– Wiem. Możemy zaraz, jeżeli chcesz.

– Nie.

– Ale nie martw się, kochanie. Do tej pory byłeś w dobrym nastroju, a teraz się martwisz.

– Już nie będę. Jak często będziesz pisała?

– Co dzień. Czy oni czytają twoją korespondencję?

– Nie znają na tyle angielskiego, żeby nam to przeszkadzało.

– Będę pisała w ogromnie powikłany sposób – powiedziała Catherine.

– Ale nie zanadto.

– Nie. Tylko troszeczkę.

– Niestety, trzeba już się zbierać.

– Dobrze, kochanie.

– Przykro mi wychodzić z naszego pięknego domu.

– Mnie też.

– Ale musimy iść.

– Dobrze. Nigdy nie możemy osiąść na dłużej w naszym domu.

– Jeszcze tak będzie.

- Kiedy wrócisz, przygotuję dla ciebie piękny dom.
- Może wrócę od razu.
- Może zostaniesz leciutko ranny w nogę.
- Albo w czubek ucha.
- Nie, chcę, żebyś miał takie uszy jak teraz.
- A w stopę?
- Już dostałeś w stopy.
- Naprawdę trzeba iść, kochanie.
- Dobrze. Ty wyjdź pierwszy.

Rozdział XII

Zeszliśmy po schodach zamiast zjechać windą. Chodnik na schodach był wydeptany. Za kolację zapłaciłem, kiedy ją przyniesiono na górę, i kelner, który ją podawał, siedział teraz na krześle przy wyjściu. Zerwał się, uklonił i obaj weszliśmy do bocznego saloniku, gdzie zapłaciłem rachunek za hotel. Kierownik pamiętał mnie jako dawnego znajomego i nie chciał przyjąć zapłaty z góry, a potem nie omieszkał posadzić przy drzwiach kelnera, ażeby przypadkiem nie wyszedł bez uregulowania rachunku. Przypuszczam, że takie rzeczy zdarzały mu się nawet z jego dobrymi znajomymi. Podczas wojny miało się tylu znajomych.

Poprosiłem kelnera, żeby sprowadził dorożkę, a on odebrał z moich rąk paczkę Catherine i wyszedł z parasolem. Z okna widzieliśmy go, jak w deszczu przechodził przez ulicę. Staliśmy w bocznym saloniku i wyglądaliśmy przez okno.

- Jak się czujesz, Cath? – spytałem.
- Śpiąca.
- A ja jestem jakiś pusty w środku i głodny.
- Masz coś do jedzenia?
- Tak, w chlebaku.

Zobaczyłem nadjeżdżającą dorożkę. Zatrzymała się; koń miał łeb zwieszony na deszczu, kelner wysiadł, otworzył parasol i podszedł do drzwi hotelu. Spotkaliśmy go w progu i przez mokry chodnik przeszliśmy pod parasolem do dorożki stojącej u krawężnika. Rynsztokiem płynęła woda.

– Paczka leży na siedzeniu – powiedział kelner. Czekał pod parasolem, dopóki nie wsiedliśmy, a ja nie dałem mu napiwku.

- Dziękuję uprzejmie. Szczęśliwej podróży – powiedział.

Woźnica zebrał lejce i koń ruszył. Kelner z parasolem zawrócił do hotelu. Oddaliliśmy się ulicą, skręcili w lewo, a potem od prawej strony zajechali przed dworzec. Pod latarnią, chroniąc się przed deszczem, stali dwaj karabinierzy. Światło błyszczało na ich kapeluszach. Na tle oświetlonego dworca deszcz wydawał się jasny i przezroczysty. Spod daszku wyszedł tragarz, kuląc ramiona pod deszczem.

- Nie, dziękuję – powiedziałem. – Nie potrzeba.

Cofnął się pod daszek przejścia. Odwróciłem się do Catherine. Twarz jej była ukryta w cieniu budy.

- Lepiej pożegnajmy się teraz.

- Nie mogłabym pójść z tobą?
- Nie. Do widzenia, Cath.
- Powiesz mu, żeby jechał do szpitala?
- Tak.

Podałem dorożkarzowi adres. Kiwnął głową.

- Do widzenia – powiedziałem. – Uważaj na siebie i na małą Catherine.
- Do widzenia, kochanie.

– Do widzenia – odpowiedziałem. Wsiadłem na deszcz, a dorożka ruszyła. Catherine wychyliła się i zobaczyłem jej twarz w świetle latarni. Uśmiechnęła się i pomachała mi ręką. Dorożka odjeżdżała ulicą. Catherine wskazała mi wejście na dworzec. Obejrzałem się; stali tam tylko obaj karabinierzy. Zrozumiałem, że chce, abym się schował przed deszczem. Wszedłem pod daszek, przystanąłem i patrzyłem, jak dorożka skręca za róg. Potem przeszedłem przez dworzec na perony i do pociągu.

Na peronie wypatrywał mnie portier ze szpitala. Wsiadłem za nim do pociągu, precyzyjnie się między ludźmi stojącymi na korytarzu i wszedłem do pełnego przedziału, gdzie w rogu siedział znajomy portiera, żołnierz z oddziału karabinów maszynowych. Nad jego głową na siatce leżał mój plecak i chlebaki. Na korytarzu stało wiele osób, a wszyscy siedzący w przedziale popatrzyli na nas, kiedyśmy weszli. W pociągu brakowało miejsc i każdy usposobiony był wrogo. Żołnierz wstał, żeby mi zrobić miejsce. Ktoś dotknął mojego ramienia. Obejrzałem się. Był to bardzo wysoki szczupły kapitan artylerii z czerwoną blizną na szczęcie. Zaglądał z korytarza przez oszklone drzwi i teraz wszedł do środka.

– O co chodzi? – spytałem. Odwróciłem się do niego. Był wyższy ode mnie, miał bardzo chudą twarz, na którą padał cień daszka, a blizna była świeża i błyszcząca. Wszyscy w przedziale patrzyli na mnie.

– Tego nie wolno robić – powiedział. – Nie może pan zajmować sobie miejsca przez żołnierza.

– A jednak to zrobiłem.

Przelknął ślinę i zauważyłem, jak grdyka podjeżdża mu do góry i opada. Żołnierz stał przed moim miejscem. Inni ludzie zagląдали przez szybę. W przedziale nikt się nie odzywał.

- Nie ma pan prawa tego robić. Byłem tu na dwie godziny przed panem.
- Czego pan chce?
- Miejsca.
- Ja też.

Patrzałem mu w twarz i czułem, że cały przedział jest przeciwko mnie. Nie miałem im tego za złe. Słuszność była po jego stronie. Ale ja chciałem mieć miejsce. Nadal nikt się nie odzywał.

Ach, do licha! – pomyślałem.

– Niech pan siada, *signor capitano* – powiedziałem.

Żołnierz usunął się z przejścia i wysoki kapitan usiadł. Popatrzył na mnie. Miał urażoną minę. Ale zdobył miejsce.

– Zabierzcie moje rzeczy – powiedziałem do żołnierza.

Wyszliśmy na korytarz. Pociąg był pełny i wiedziałem, że nie ma nadziei na miejsce siedzące. Dałem portierowi i żołnierzowi po dziesięć lirów. Wyszli korytarzem na peron i zaczęli zaglądać w okna, ale nigdzie nie było miejsc.

– Może ktoś wysiądzie w Bresci – powiedział portier.

– W Bresci jeszcze ich więcej powsiada – odrzekł żołnierz.

Pożegnałem się z nimi, uścisnęli mi dłoń i odeszli. Obaj byli w złym humorze. Kiedy pociąg ruszył, wszyscy staliśmy na korytarzu. Wyjeżdżając z dworca przyglądałem się światłom i torom. Padało ciągle i wkrótce nie było już nic widać przez zalane deszczem szyby. Później zasnąłem na podłodze w korytarzu, uprzednio wpuściwszy portfel z pieniędzmi i papierami za koszulę i spodnie, tak że zatrzymał się w nogawce. Spałem przez całą noc: budziłem się w Bresci i Weronie, kiedy wsiadali nowi pasażerowie, ale zaraz zasypiałem znowu. Głowę oparłem na jednym chlebaku, rękami objąłem drugi, czułem na sobie ciężar plecaka i wszyscy mogli przeze mnie przełazić, byleby tylko mnie nie nadepnęli. W całym korytarzu ludzie spali na podłodze. Inni stali, trzymając się prętów przyokiennych albo opierając się o drzwi. Ten pociąg był zawsze przepełniony.

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział I

Teraz, na jesieni, wszystkie drzewa były nagie, a drogi błotniste. Z Udine pojechałem do Gorycji ciężarówką. Mijaliśmy po drodze inne samochody, a ja wyglądałem na okolicę. Drzewa morwowe stały nagie, a pola były bure. Na drodze leżały mokre, zwiędłe liście, które opadły z rosnących wzdłuż niej drzew, i widać było robotników ubijających w koleinach tłuczony kamień z pryzm usypanych między przydrożnymi drzewami. Zobaczyliśmy miasto we mgle, która przesłaniała góry. Przejechaliśmy przez rzekę i zauważyłem, że jest wezbrana. W górach padały deszcze.

Wjechaliśmy do miasta mijając fabryki, a potem domy i wille, i zauważyłem, że przybyło wiele budynków trafionych przez pociski. W wąskiej uliczce spotkaliśmy sanitarkę Brytyjskiego Czerwonego Krzyża. Kierowca miał na głowie czapkę, jego twarz była chuda i mocno opalona. Nie znałem go. Wsiadłem na dużym placu przed domem burmistrza, szofer podał mi plecak, który nałożyłem, i zarzuciwszy na ramię oba chlebaki, poszedłem do naszej willi. Nie miałem uczucia, że wracam do domu.

Szedłem po mokrym żwirze podjazdu przyglądając się willi widocznej między drzewami. Wszystkie okna były pozamykane, ale drzwi zostawiono otwarte. Wszedłem i zastałem majora siedzącego przy biurku w pustym pokoju, gdzie na ścianach wisały mapy i zapisane na maszynie arkusiki papieru.

– Witam – powiedział. – Jak pan się miewa? – Wydawał się jakby starszy i bardziej zasuszony.

– Dobrze – odparłem. – Co słyhać?

– Już się skończyło – powiedział. – Niech pan zdejmie oporządzenie i siada.

Położyłem na podłodze plecak i oba chlebaki, a na plecaku czapkę. Wziąłem sobie krzesło spod ściany i usiadłem przed biurkiem.

– Niedobre było to lato – powiedział major. – Nabrał pan już sił?

– Owszem.

– Dostał pan te odznaczenia?

– Tak. Dostałem w zupełnym porządku. Bardzo panu dziękuję.

– Niech pan pokaże.

Rozchyliłem pelerynę i pokazałem mu obie wstążeczki.

– A dali panu pudełka z medalami?

– Nie. Tylko papiery.

– Pudełka przyjdą później. Na to trzeba więcej czasu.

– Co pan ma dla mnie do roboty?

– Wszystkie wozy wyjechały. Sześć jest na północy, pod Caporetto. Zna pan Caporetto?

– Tak – odpowiedziałem. Pamiętałem, że jest to niewielkie białe miasteczko z kampanią, położone w dolinie. Było bardzo czyste, a na placu stała piękna fontanna.

– Tam mają swoją bazę. Teraz jest sporo chorych. Walki się zakończyły.

– A gdzie reszta wozów?

– Dwa są w górach, a cztery jeszcze ciągle na Bainsizy. Dwie pozostałe sekcje sanitarek są na Carso przy trzeciej armii.

– Co pan mi da do roboty?

– Jeżeli pan chce, może pan przejąć te cztery wozy, co są na Bainsizy. Gino siedzi tam już od dłuższego czasu. Pan tam nie jeździł, prawda?

– Nie.

– Bardzo źle było. Straciliśmy trzy wozy.

– Słyszałem.

– Tak, Rinaldi panu pisał.

– A gdzie on teraz jest?

– Tutaj, w szpitalu. Naharował się przez całe lato i jesień.

– Wierzę.

– Ciężko było – ciągnął major. – Nie da pan wiary, jak bardzo ciężko. Nieraz sobie myślałem, jakie pan miał szczęście, że akurat wtedy oberwał.

– Wiem o tym.

– Następny rok będzie jeszcze gorszy – powiedział major. – Może teraz zaatakują. Mówią, że mają zaatakować, ale mnie się nie chce w to wierzyć. Już za późno. Widział pan rzekę?

– Tak. Już jest bardzo wezbrana.

– Nie wierzę, żeby atakowali teraz, kiedy zaczęły się deszcze. Niedługo będziemy mieli śnieg. A co z pańskimi rodakami? Przyjdą tu jacy Amerykanie poza panem?

– Szkołą dziesięciomilionową armię.

– Mam nadzieję, że coś z tego dostaniemy. Tylko że ich wszystkich zagarną Francuzi. Nam nikogo nie dadzą. No dobrze. Niech pan tu dziś przenocuje, a jutro pojedzie tym małym wozem i odeśle Gina z powrotem. Dam panu kogoś, kto zna drogę.

Gino wszystko panu opowie. Wciąż jeszcze trochę bombardują, ale już się właściwie skończyło. Pewnie pan ciekaw Bainsizy?

– Chętnie ją zobaczę. I cieszę się, że znowu jestem z panem, *signor maggiore*.

Uśmiechnął się.

– Bardzo mi miło, że pan to mówi. Jestem ogromnie zmęczony tą wojną. Gdybym stąd wyjechał, chyba bym już nie wrócił.

– To jest aż tak źle?

– Aha. Tak źle, a nawet jeszcze gorzej. Niech pan idzie się umyć i poszuka swojego przyjaciela Rinaldiego.

Wyszedłem i zaniósłem tobołki na górę. Rinaldiego nie było w pokoju, ale zastałem tam jego rzeczy. Usiadłem na łóżku, zdjąłem owijacze i but z prawej nogi. Potem położyłem się. Byłem zmęczony i bolała mnie prawa stopa. Wydawało mi się jakoś głupio leżeć na łóżku bez jednego buta, więc siadłem, rozwiązałem drugi, zrzuciłem go na podłogę i znów położyłem się na kocu. W pokoju było duszno, bo okno było zamknięte, ale czułem się za bardzo zmęczony, żeby wstać i je otworzyć. Zauważyłem, że wszystkie moje rzeczy złożono w jednym kącie.

Na dworze ściemniało się. Leżałem na łóżku, myślałem o Catherine i czekałem na Rinaldiego. Powiedziałem sobie, że będę myślał o Catherine tylko wieczorami, przed zaśnięciem. Ale teraz byłem zmęczony, nie miałem nic do roboty, więc leżałem i rozmyślałem o niej. Myślałem o Catherine, kiedy wszedł Rinaldi. Nic się nie zmienił. Może tylko był trochę chudszy.

– No jak tam, dziecinko? – zapytał. Siadłem na łóżku. Podszedł, usiadł i objął mnie. – Poczciwa starowina! – Klepnął mnie po plecach, a ja go przytrzymałem za obie ręce.

– Pokaże mi swoje kolano, staruszkule – powiedział.

– Musiałbym zdjąć spodnie.

– To zdejmij, dziecinko. Tu sami swoi. Chciałbym zobaczyć, jak to panu zrobili.

Wstałem, zdjąłem spodnie i ściągnąłem opaskę kolanową. Rinaldi usiadł na podłodze i delikatnie zgiął i rozprostował mi kolano. Przesunął palcami po bliźnie, przyłożył oba duże palce do rzepki i pozostałymi zaczął delikatnie poruszać kolaniem.

– Tylko tyle pan może zginać?

– Tak.

– To zbrodnia odsyłać pana z powrotem. Powinni byli uzyskać pełną sprawność stawu.

– I tak jest o wiele lepiej niż przedtem. Było sztywne jak drąg.

Rinaldi zgiął mocniej kolano. Przypatrywałem się jego rękoma. Miał wspaniałą rękę chirurga. Patrzyłem na jego ciemne, na włosy błyszczące i równo rozczesane. Przygiął kolano trochę za daleko.

– Aj! – syknąłem.

– Powinni byli panu zrobić więcej zabiegów mechanicznych – powiedział Rinaldi.

– Teraz jest lepiej niż przedtem.

– Ja widzę, dziecinko. Znam się na tym lepiej od pana.

– Podniósł się i usiadł na łóżku. – Samo kolano jest dobrze zrobione. – Najwyraźniej skończył już z kolanem. – Proszę mi opowiedzieć, co w ogóle słyszę.

– Nie ma nic do opowiadania – odparłem. – Prowadziłem spokojne życie.

– Zachowuje się pan jak człowiek żonaty – powiedział. – Co się panu stało?

– Nic – odrzekłem. – A panu?

– Ta wojna mnie zabija – powiedział Rinaldi. – Jestem nią bardzo zgnębiony. – Zaplótł ręce na kolanie.

– Aha – powiedziałem.

– A bo co? Nie mogę już nawet mieć ludzkich odruchów?

– Nie. Widzę, że panu dobrze się tu działa. Niech pan coś opowie.

– Przez całe lato i jesień robiłem operacje. Pracuję bez przerwy. Haruję za wszystkich. Ciężkie przypadki zostawiają mnie. Jak Boga kocham, dziecinko, robi się ze mnie świetny chirurg.

– No to już lepiej.

– Nigdy nie myślę. Jak Boga kocham, nie myślę; operuję.

– Słusznie.

– Ale teraz, dziecinko, już się skończyło. Teraz nie operuję i czuję się piekielnie. To straszna wojna, dziecinko. Proszę mi wierzyć. Teraz niech pan mnie rozweseli. Przywiózł pan płyty?

– Przywiozłem.

Miałem je w plecaku, w tekturowym pudełku zawiniętym w papier. Byłem zbyt zmęczony, żeby je wyjąć.

– A pan nie czuje się dobrze?

– Parszywie.

– Straszna ta wojna – powiedział Rinaldi. – No, chodźmy; urzniemy się i zaraz nam będzie wesoło. A potem pójdziemy się trochę wypstrykać i to nam świetnie zrobi.

– Miałem żółtaczkę i nie mogę się upijać – odparłem.

– Och, dziecinko, w jakimże stanie do mnie wracasz! Przyjeżdża pan poważny i z chorą wątrobą. Mówię panu, że ta wojna jest paskudna. Po cośmy ją w ogóle zrobili?

– Napijmy się. Nie chcę się urzynać, ale coś możemy wypić.

Rinaldi podszedł do umywalni stojącej w drugim końcu pokoju i przyniósł dwie szklanki i butelkę koniaku.

– Austriacki – powiedział. – Siedem gwiazdek. Tylko tyle zdobyli na San Gabriele.

– Był pan tam?

– Nie, nigdzie nie byłem. Przez cały czas siedziałem tutaj i operowałem. Patrz, dziecinko, to twoja stara szklanka do mycia zębów. Trzymałem ją do tej pory, żeby mi ciebie przypominała.

– Żeby panu przypominała, że trzeba myć zęby.

– Nie. Ja też mam swoją. Trzymałem ją tu, żeby mi przypominała, jak pan próbował rano zmyć sobie z zębów Villa Rossa, jak pan kłął, łykał aspirynę i przeklinał dziwki. Ile razy zobaczę tę szklankę, zaraz pana widzę próbującego oczyścić sobie sumienie szczoteczką do zębów. – Podszedł do łóżka. – Proszę mnie raz pocałować i powiedzieć, że pan nie jest w takim poważnym nastroju.

– Nigdy pana nie całuję. Małpa jedna!

– Wiem, pan jest wspaniałym, zacnym chłopcem anglosaskim. Ja wiem. Takim chłopcem z wyrzutami sumienia. Zaczekam, aż zobaczę Anglosasa zmywającego z siebie kurewstwo szczoteczką do zębów.

– Niech pan naleje koniaku.

Trąciliśmy się szklankami i wypiliśmy. Rinaldi zaczął śmiać się ze mnie.

– Urznę pana, wyjmę panu wątrobę, włożę na to miejsce porządną, włoską, i na powrót zrobię z pana mężczyznę.

Nadstawiłem szklankę, żeby mi jeszcze nalał koniaku. Na dworze było już ciemno. Trzymając w ręku szklankę z koniakiem podszedłem do okna i otworzyłem je. Deszcz przestał padać. Na dworze się ochłodziło i drzewa stały we mgle.

– Nie wylewaj pan koniaku za okno – powiedział Rinaldi. – Jeżeli pan nie może pić, to proszę dać mnie.

– Powieś się pan – powiedziałem. Byłem rad, że znowu widzę Rinaldiego. Od dwóch lat przekomarzał się ze mną i zawsze mnie to bawiło. Rozumieliśmy się doskonale.

– Ożenił się pan? – zapytał, siedząc na łóżku. Stałem przy oknie oparty o ścianę.

– Jeszcze nie.

– Zakochany pan jest?

- Tak.
 - W tej Angieleczce?
 - Aha.
 - Biedaczek. Dobra jest dla pana?
 - Oczywiście.
 - Mnie idzie o to, czy dobra w znaczeniu praktycznym?
 - Zamknij się pan.
 - Dobrze, zamknę się. Przekona się pan, że jestem człowiekiem w najwyższym stopniu delikatnym. A czy ona...?
 - Rinin – powiedziałem. – Zamknij się. Jeżeli chcesz być moim przyjacielem, siedź cicho.
 - Ja wcale nie chcę być twoim przyjacielem, dziecinko. Ja nim jestem.
 - No to już dość.
 - Dobrze.
- Podszedłem do łóżka i usiadłem obok Rinaldiego. Trzymał w ręku szklankę i wpatrywał się w podłogę.
- Rozumie pan, jak to jest, Rinaldi?
 - O tak. Przez całe życie natrafiam na uświęcone tematy. Ale z panem bardzo rzadko. Pewnie i pan musi jakieś mieć. – Popatrzył na podłogę.
 - A pan nie ma?
 - Nie.
 - Żadnych?
 - Żadnych.
 - I mógłbym coś powiedzieć na pańską matkę, a coś innego na siostrę?
 - Coś na tę pańską siostrę – odciął się szybko Rinaldi. Obaj roześmialiśmy się.
 - Zaczny nadczłowiek – powiedziałem.
 - Może jestem zazdrosny – rzekł Rinaldi.
 - Na pewno nie!
 - Nie taką zazdrość mam na myśli. Mnie idzie o co innego. Ma pan jakichś żonatych przyjaciół?
 - I owszem – odpowiedziałem.
 - Ja nie – rzekł Rinaldi. – W każdym razie nie takich, którzy się kochają.
 - Dlaczego?
 - Bo mnie nie lubią.
 - A czemu?

- Ja jestem wąż. Wąż rozumu.
- Coś się panu poplątało. Rozum to było jabłko.
- Nie, wąż. – Był już weselszy.
- Lepiej się panu udaje, jak pan nie rozmyśla tak głęboko – powiedziałem.
- Uwielbiam pana, dziecinko – rzekł. – Pan mnie nakłuwaj, jak zaczynam się stawać wielkim myślicielem włoskim. Ale wiem dużo rzeczy, których nie potrafię wypowiedzieć. Wiem więcej od pana.
- Tak. To prawda.
- Ale za to panu będzie lepiej. Nawet z wyrzutami sumienia.
- Nie przypuszczam.
- O, tak. To pewne. Ja teraz jestem szczęśliwy już tylko wtedy, kiedy pracuję. –
Znowu wpatrzył się w podłogę.
- To przejdzie.
- Nie. Lubię jeszcze tylko dwie rzeczy poza tym; jedna szkodzi mojej pracy, a druga kończy się w pół godziny albo w piętnaście minut. Czasem prędeż.
- Czasem dużo prędeż.
- Może porobiłem postępy, dziecinko. Pan tego nie wie. Ale mam tylko te dwie rzeczy i swoją pracę.
- Znajdzie pan sobie coś innego.
- Nie. Nigdy nic nie znajdujemy. Rodzimy się z tym wszystkim, co mamy, i nie uczymy się niczego. Nigdy nie znajdujemy nic nowego. Od początku wszyscy jesteśmy w pełni uformowani. Powinien pan się cieszyć, że pan nie jest łatyńskiego pochodzenia.
- Nie ma takiej rzeczy jak łatyńskie pochodzenie. To jest “łatyński” sposób myślenia. Wy jesteście tacy dumni ze swoich wad!
- Rinaldi podniósł wzrok i roześmiał się.
- Dajmy spokój, dziecinko. Zmęczyło mnie to myślenie. – Miał zmęczoną minę już wtedy, gdy wszedł do pokoju.
- Chyba pora coś zjeść. Cieszę się, że pan wrócił. Bo pan jest moim najlepszym przyjacielem i wojennym bratem.
- A kiedy wojenni bracia jadają? – zapytałem.
- Zaraz. Wypijmy jeszcze po jednym, bo to panu dobrze zrobi na wątrobę.
- Wzorem świętego Pawła.
- Pan jest nieściśły. Tam było wino i żołądek. Napij się pan trochę wina na żołądek.
- To, co jest w butelce – powiedziałem. – Na co pan tylko chce.

– Za zdrowie pana dziewczyny – rzekł Rinaldi i podniósł szklanę.

– Dobrze.

– Już więcej nie powiem o niej nic brzydkiego.

– To może być dla pana za duży wysiłek.

Wypił koniak.

– Ja jestem czysty – powiedział. – Taki jak pan. Też sobie znajdę jakąś Angielkę. Właściwie to ja pierwszy poznałem tę dziewczynę, tylko że była dla mnie trochę za wysoka. “Miał siostrę, wysoką dziewczynę” – zacytował.

– Pan ma piękną, czystą duszę – powiedziałem.

– Prawda? Dlatego mnie nazywają Rinaldo Purissimo.*

– Rinaldo Sporchissimo.*

– Chodźmy coś zjeść, dziecinko, dopóki mam czystą duszę.

Umyłem się, uczesałem i zeszedliśmy na dół. Rinaldi był trochę podchmielony. W sali, w której jadaliliśmy, powiedziano nam, że kolacja jeszcze nie gotowa.

– Pójdę po butelkę – oświadczył Rinaldi.

Poszedł na górę. Usiadłem przy stole, a Rinaldi wrócił z butelką i nalał nam obu po pół szklanki koniaku.

– Za dużo – powiedziałem i podniósłszy szklanę spojrzałem na nią pod światło.

– Ale nie na pusty żołądek. Cudowna rzecz. Wypala żołądek całkowicie. Nie może być dla pana nic gorszego.

– Niech będzie.

– Samounicestwienie dzień po dniu – rzekł Rinaldi. – To niszczy żołądek i powoduje drżenie rąk. W sam raz coś dla chirurga.

– Pan to zaleca?

– Z całego serca. Wypij, dziecinko, i czekaj, aż ci się zrobi niedobrze.

Wypiłem połowę. Usłyszałem ordynansa wołającego w hallu: “Zupa gotowa!”.

Wszedł major, kiwnął nam głową i usiadł. Przy stole wydawał się bardzo drobny.

– Tylko tyłu nas jest? – zapytał.

Ordynans postawił wazę z zupą i nalał warząchwą pełny talerz.

– Tylko tyłu – odrzekł Rinaldi. – Chyba że przyjdzie kapelan. Już by tu był, gdyby wiedział, że Federico przyjechał.

– A gdzie on jest? – zapytałem.

* *purissimo* (wł.) - najczystszy.

* *sporchissimo* (wł.) - najbrudniejszy.

– W trzysta siódemce – odrzekł major. Był zajęty zupą. Otarł usta, starannie osuszając siwe, podkreścone wąsy. – Myślę, że przyjdzie. Byłem tam i zostawiłem mu wiadomość, że pan już jest.

– Brak mi hałaśliwości mesy – powiedziałem.

– Tak, cicho tu teraz – odparł major.

– Jeszcze będzie hałaśliwie – rzekł Rinaldi.

– Niech pan się napije wina, Enrico – powiedział major.

Napełnił mi szklanę. Wniesiono spaghetti i wszyscy zabraliśmy się do jedzenia. Właśnie kończyliśmy spaghetti, kiedy wszedł kapelan. Był taki sam jak zawsze, drobny, śniady, zebrany w sobie. Wstałem i uściśnałem mu dłoń. Położył mi rękę na ramieniu.

– Przyszedłem, jak tylko się dowiedziałem – rzekł.

– Proszę siadać – powiedział major. – Spóźnił się ksiądz kapelan.

– Dobry wieczór, ksiądz – odezwał się Rinaldi, używając angielskiego słowa. Przejęli ten zwyczaj od kapitana, który zawsze przekomarzał się z kapelanem, a mówił trochę po angielsku.

– Dobry wieczór, Rinaldo – odrzekł ksiądz. Ordynans podał mu zupę, ale kapelan powiedział, że zacznie od spaghetti.

– Jak pan się czuje? – zapytał mnie.

– Doskonale – odpowiedziałem. – A jak tu było?

– Napij się ksiądz trochę wina – rzekł Rinaldi. – Odrobinę wina na żołądek. Wiesz ksiądz, tak mówił święty Paweł.

– Tak, wiem – odrzekł uprzejmie kapelan. Rinaldi napełnił mu szklanę.

– Ten święty Paweł! – ciągnął Rinaldi. – To on narobił całego zamieszania.

Kapelan spojrzał na mnie i uśmiechnął się. Widziałem, że docinki już go teraz nie bolą.

– Ten święty Paweł – mówił Rinaldi. – To był hulaka i dziwkarz, a potem, jak już przestał się grzać, oświadczył, że to wszystko do niczego. Kiedy był skończony, wymyślił reguły dla nas, którzy się jeszcze grzejemy. No, nie tak było, Federico?

Major uśmiechnął się. Jedliśmy teraz duszone mięso.

– Nigdy nie dyskutuję o świętych po zmierzchu – odpowiedziałem. Kapelan podniósł wzrok znad talerza i uśmiechnął się do mnie.

– No, patrzcie, przeszedł na stronę księdza – rzekł Rinaldi. – Gdzie się podzieli wszyscy dawni, poczciwi kpiarze? Gdzie jest Cavalcanti? Gdzie Brundi? Gdzie Cesare? Czy ja sam jeden mam drażnić się z księdzem bez niczyjego poparcia?

– To dobry ksiądz – powiedział major.

– Dobry, ale zawsze ksiądz – odparł Rinaldi. – Próbuję coś zrobić, żeby w mesie było tak jak za dawnych czasów. Chcę zabawić Federica. Do diabła z księdzem!

Zauważyłem, iż major patrzy na niego i widzi, że jest pijany. Chuda twarz Rinaldiego była biała. Włosy odcinały się linią mocnej czerni od białego czoła.

– Już dobrze, Rinaldo, już dobrze – powiedział kapelan.

– Do diabła z księdzem! – zawołał Rinaldi. – Do diabła z tym całym cholernym interesem! – Rozparł się w krzesło.

– Był w ciągłym napięciu i jest wyczerpany – powiedział do mnie major. Skończył jeść i wytarł sos z talerza kawałkiem chleba.

– Co mnie to wszystko obchodzi – powiedział Rinaldi patrząc w stół. – Do diabła z tym całym interesem! – Wyzywająco potoczył wzrokiem dokoła stołu, oczy miał mętne, twarz bladą.

– Słusznie – powiedziałem. – Do diabła z tym całym cholernym interesem.

– Nie, nie – odparł Rinaldi. – Nie można. Nie można. Mówię, że nie można. Bo człowiek jest wyschnięty i pusty, i nie ma nic innego. Powiadam panu, że nie ma. Ni cholery. Ja to czuję, jak przestaję pracować.

Kapelan pokiwał głową. Ordynans zabrał półmisek z mięsem.

– Dlaczego ksiądz je mięso? – zwrócił się Rinaldi do kapelana. – Nie wiesz ksiądz, że dziś piątek?

– Czwartek – odrzekł kapelan.

– Łgarstwo. Piątek. Ksiądz zjada ciało Pana Naszego. Boskie mięso. Ja wiem. To jest zabity Austriak. Ot, co ksiądz je.

– Białe mięso jest z oficerów – dokończyłem stary dowcip.

Rinaldi roześmiał się. Napełnił sobie szklanekę.

– Nie zwracajcie na mnie uwagi – powiedział. – Jestem trochę stuknięty.

– Powinien pan wziąć urlop – rzekł kapelan.

Major kiwnął do niego głową. Rinaldi spojrzał na kapelana.

– Ksiądz uważa, że powinienem dostać urlop?

Major kiwnął do niego głową. Rinaldi spojrzał na kapelana.

– Jak pan chce – odrzekł ksiądz. – Niekoniecznie, jeżeli pan nie ma ochoty.

– Do diabła z księdzem – powiedział Rinaldi. – Chcą się mnie pozbyć. Co wieczór próbują mnie się pozbyć. Muszę się bronić. Co z tego, jeżeli nawet to mam? Każdy to ma. Cały świat ma. Najpierw – ciągnął tonem wykładowcy – robi się mały pryszcz. Potem zauważamy wysypkę między łopatkami. A potem już nic nie zauważamy. Całą nadzieję pokładamy w rtęci.

– Albo w salwarsanie – przerwał spokojnie major.

– W preparacie rtęciowym – odrzekł Rinaldi. Był teraz bardzo podniecony. –
Wiem o tym coś niecoś. Poczciwy księżyna. On tego nigdy nie dostanie. A dziecinka
dostanie. To jest wypadek przy pracy. Zwykły wypadek przy pracy.

Ordynans wniósł deser i kawę. Deser był czymś w rodzaju budyniu z czarnego
chleba z gęstym sosem. Lampa kopciła; czarny dym snuł się w górę pod kloszem.

– Przynieście dwie świece, a zabierzcie tę lampę – powiedział major.

Ordynans przyniósł dwie zapalone świece na spodkach i zabrał lampę,
zdmuchnąwszy ją. Rinaldi uspokoił się. Wydawał się zupełnie trzeźwy. Porozmawialiśmy
jeszcze chwilę, a po kawie wyszliśmy wszyscy do hallu.

– Pan chce pogadać z księdzem. A ja muszę iść do miasta – powiedział Rinaldi. –
Dobranoc, ksiądz.

– Dobranoc, Rinaldi – odrzekł kapelan.

– Do zobaczenia, Fredi – powiedział Rinaldi.

– Do zobaczenia – odpowiedziałem. – Niech pan wcześniej wróci. Wykrzywił się
do mnie i odszedł do drzwi. Major stał z nami.

– On jest bardzo zmęczony i przepracowany – powiedział.

– Poza tym zdaje mu się, że ma syfilis. Nie przypuszczam, ale możliwe, że tak jest.
Leczy się na to. Dobranoc. Pan wyjeżdża przed świtem, Enrico?

– Tak.

– No to do widzenia. Wszystkiego dobrego. Peduzzi pana obudzi i pojedzie z
panem.

– Do widzenia, *signor maggiore*.

– Do widzenia. Gadają o austriackiej ofensywie, ale ja w to nie wierzę. Mam
nadzieję, że jej nie będzie. A w każdym razie nie tutaj. Gino wszystko panu opowie.
Telefon działa teraz dobrze.

– Będę dzwonił regularnie.

– Bardzo o to proszę. Dobranoc. Niech pan nie pozwoli tyle pić Rinaldiemu.

– Postaram się.

– Dobranoc księdzu.

– Dobranoc, *signor maggiore*.

Odszedł do swojego gabinetu.

Rozdział II

Podszedłem do drzwi i wyjrzałem na dwór. Przestało padać, ale była mgła.

- Pójdziemy na górę? – spytałem kapelana.
- Mogę zostać jeszcze tylko chwilę.
- Chodźmy.

Weszliśmy po schodach do mojego pokoju. Położyłem się na łóżku Rinaldiego. Książd usiadł na moim łóżku polowym, które rozstawił ordynans. W pokoju było ciemno.

- No – powiedział – a jak pan się naprawdę czuje?
- Zupełnie dobrze. Tylko dziś jestem zmęczony.
- Ja też, ale bez żadnego powodu.
- A co z wojną?
- Myślę, że niedługo się skończy. Nie wiem dlaczego, ale tak czuję.
- Na jakiej podstawie?
- Widział pan, jaki jest wasz major? Łagodny. Teraz wielu jest w podobnym usposobieniu.
- Ja sam tak się czuję – powiedziałem.
- To było straszne lato – rzekł kapelan. Miał teraz więcej pewności siebie, niż kiedy odjeżdżałem. – Nie uwierzy pan, co tu się działo. Tylko że pan tam był i wie, jak to może wyglądać. Wielu ludzi dopiero tego lata uświadomiło sobie, czym jest wojna. Oficerowie, o których myślałem, że nigdy nie potrafią zdać sobie z tego sprawy, teraz już rozumieją.
- I co będzie? – Przyglądałem koc dłonią.
- Nie wiem, ale nie sądzę, żeby to mogło trwać długo.
- A co się stanie?
- Przesaną walczyć.
- Kto?
- Obie strony.
- Daj Boże – powiedziałem.
- Nie wierzy pan w to?
- Nie wierzę, żeby obie strony jednocześnie zaprzestały walki.
- Może i nie. To byłoby za piękne. Ale kiedy widzę te zmiany w ludziach, nie zdaje mi się, żeby to mogło trwać.

- Kto tego lata wygrał?
- Nikt.
- Austriacy wygrali – powiedziałem. – Nie dopuścili do zdobycia San Gabriele.

Wygrali. Więc nie przestaną walczyć.

- Jeżeli czują się tak jak my, to mogą przestać. Przeszli przez to samo.
- Nikt jeszcze nie przerwał walki, kiedy zwyciężał.
- Pan mi odbiera otuchę.
- Mogę mówić tylko to, co myślę.
- Więc pan przypuszcza, że to będzie tak się ciągnęło i ciągnęło? I nic się nigdy

nie stanie?

- Nie wiem. Tylko uważam, że Austriacy nie przestaną walczyć, jeżeli zwyciężyli.

Dopiero w klęsce stajemy się chrześcijanami.

- Austriacy to chrześcijanie – z wyjątkiem Bośniaków.
- Mnie nie idzie o teoretyczną chrześcijańskość, a o naśladowanie Chrystusa.

Nie odpowiedział.

– Teraz wszyscy jesteśmy łagodniejsi, bo nas pobili. Jak by postąpił Pan Jezus, gdyby Piotr Go ocalił w Ogrójcu?

- Tak samo.
- Nie sędzę – powiedziałem.
- Pan mnie zniechęca – rzekł. – Wierzę i modłę się, żeby coś się stało. Miałem

wrażenie, że to już bardzo bliskie.

– Coś może się stać – odparłem. – Ale tylko z nami. Gdyby tamci czuli się tak jak my, wszystko byłoby w porządku. Ale oni nas pobili. Czują się zupełnie inaczej.

- Wielu żołnierzy zawsze czuło tak samo. Wcale nie dlatego, że zostali pobici.

– Zostali pobici na samym początku. Zostali pobici, kiedy ich oderwano od gospodarstw i wcielono do wojska. Dlatego właśnie chłop ma swoją mądrość, że jest pobity od początku. Dajcie mu siłę, a zobaczycie, jaki jest mądry.

Kapelan milczał. Zastanawiał się.

– Teraz i ja jestem przygnębiony – powiedziałem. – Dlatego nigdy nie myślę o tych rzeczach. Nie myślę nigdy, a jednak kiedy zacznę mówić, wypowiadam to wszystko, co znalazłem w głowie bez myślenia.

- Miałem przecież jakąś nadzieję.
- Na klęskę?
- Nie. Na coś więcej.

– Nie ma nic więcej – odparłem. – Z wyjątkiem zwycięstwa. A to może być jeszcze gorsze.

– Przez długi czas miałem nadzieję na zwycięstwo.

– Ja też.

– A teraz już nic nie wiem.

– Musi być jedno albo drugie – powiedziałem.

– Już nie wierzę w zwycięstwo.

– Ja także nie. Ale nie wierzę i w klęskę. Chociaż to może być lepsze.

– Więc w co pan wierzy?

– W sen – odpowiedziałem. Kapelan wstał.

– Przykro mi, że tak się zasiedziałem. Ale ogromnie lubię z panem rozmawiać.

– Bardzo mi miło móc znowu pogadać. O tym śnie to powiedziałem bez żadnej specjalnej myśli. Wstaliśmy i uścisnęliśmy sobie dłonie po ciemku.

– Teraz śpiam w trzysta siódemce – powiedział kapelan.

– Jutro z samego rana wyjeżdżam na placówkę.

– Zobaczymy się po pana powrocie.

– Pójdziemy sobie na spacer i pogadamy. – Odprowadziłem go do drzwi.

– Proszę nie schodzić – powiedział. – Dobrze, że pan jest już z powrotem. Tylko że nie tak dobrze dla pana. – Położył mi rękę na ramieniu.

– Ja jestem zupełnie zadowolony – odrzekłem. – Dobranoc.

– Dobranoc. *Ciao!*

– *Ciao!* – odpowiedziałem. Byłem śmiertelnie śpiący.

Rozdział III

Obudziłem się, kiedy przyszedł Rinaldi, ale ponieważ nic nie mówił, więc zasnąłem znowu. Rano ubrałem się i przed świtem już byłem w drodze. Rinaldi nie przebudził się, gdy wychodziłem.

Nie widziałem dotychczas Bainsizy i dziwnie mi było jechać po zboczach, na którym niedawno siedzieli Austriacy, za tamtym miejscem nad rzeką, gdzie zostałem ranny. Była tu nowa, stroma droga, a na niej wiele ciężarówek. Dalej droga biegła poziomo i we mgle zobaczyłem las i urwiste wzgórza. Ten las zdobyto szybko, więc nie był potrząskany. Jeszcze dalej, tam gdzie wzgórza nie chroniły drogi, osłonięto ją z boków i z wierzchu matami. Kończyła się w rozwalonej wiosce.

Linia frontu przebiegała za nią. Stało tu sporo artylerii. Domy były zniszczone, ale wszystko zorganizowano dobrze i wszędzie ustawiono drogowskazy. Odnaleźliśmy Gina, który dał nam trochę kawy; potem poszedłem z nim, poznałem różnych ludzi i obejrzałem placówki. Gino mówił, że sanitarki brytyjskie działają dalej na Bainsizy, pod Ravne. Miał wiele podziwu dla Brytyjczyków. Opowiadał, że wciąż jest dosyć silny ostrzał artyleryjski, ale rannych niewielu. Teraz, gdy zaczęły się deszcze, będzie dużo chorych. Podobno Austriacy mają atakować, ale on w to nie wierzy. My także jakoby mamy nacierać, ale nie ściągnięto żadnych świeżych oddziałów, więc przypuszcza, że i to jest odwołane. Żywności brakuje, toteż chętnie zjadłby porządny obiad w Gorycji. A co ja miałem na kolację? Opowiedziałem mu, on zaś oświadczył, że to coś wspaniałego. Specjalne wrażenie zrobiło na nim *dolce**. Nie opisywałem tego szczegółowo, powiedziałem tylko, że jadłem *dolce*, a on prawdopodobnie wyobraził sobie, że to było coś wymyślniejszego niż budyń z chleba.

Pytał, czy wiem, dokąd go teraz posłać. Odpowiedziałem, że nie wiem, ale kilka wozów jest pod Caporetto. Miał nadzieję, że też pojedzie w te strony. Miasteczko było ładne i Ginowi podobała się wyrastająca za nim wysoka góra. Był bardzo miły i wszyscy tutaj najwyraźniej go lubili. Twierdził, że prawdziwe piekło było na San Gabriele i podczas nieudanego natarcia za Lom. Mówił, że Austriacy mają bardzo dużo artylerii w lasach wzdłuż wyżyny Ternova przed i nad nami, i że po nocach silnie ostrzeliwują drogi. Jedna bateria artylerii okrętowej szczególnie działa mu na nerwy. Poznam ją po płaskim torze pocisków. Słyszysz się wystrzał i prawie zaraz potem świst. Zwykle dają ognia od razu

* *dolce* (wł.) - słodki.

z dwóch dział jedno po drugim, a odłamki granatów są olbrzymie. Pokazał mi jeden z nich, długi na kilkanaście cali, poszarpany kawał gładkiego metalu. Przypominało to stop babbityowy.

– Nie zdaje mi się, żeby one były bardzo skuteczne – mówił Gino – ale mi napędzają stracha. Jak człowiek je słyszy, to mu się zdaje, że walą prosto na niego. Najpierw jest huk, a zaraz potem wycie i wybuch. Co z tego, że nie jest się rannym, jeżeli się ma śmiertelnego pietra?

Mówił, że na linii naprzeciw nas są teraz Chorwaci i trochę Madziarów. Nasze oddziały wciąż stoją na pozycjach wyjściowych do natarcia. Nie ma porządných zasieków ani miejsca, gdzie by się można wycofać na wypadek ataku austriackiego. Na niższych górach wybiegających z płaskowyżu są doskonale pozycje obronne, ale nic nie zrobiono, żeby je przygotować do obrony. A co ja w ogóle myślę o Bainsizy?

Spodziewałem się, że jest bardziej płaska, podobniejsza do płaskowzgórza. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest tak poszarpana.

– *Alto piano* – powiedział Gino – ale nie *piano**.

Wróciliśmy do piwnicy domu, w którym kwaterował. Powiedziałem, że moim zdaniem łatwiej i praktyczniej byłoby utrzymać grzbiet górski spłaszczony z wierzchu i rozciągający się nieco w głąb niż łańcuch małychgórek. Dowodziłem, że nie jest trudniej nacierać pod górę niż po równym.

– Zależy pod jaką górę – powiedział. – Niech pan weźmie choćby San Gabriele.

– Tak – odrzekłem. – Ale zaczęło się źle dopiero na wierzchu, gdzie było płasko. Do szczytu doszli stosunkowo łatwo.

– Nie tak łatwo.

– Zgoda – odpowiedziałem – ale to specjalny przypadek, bo to właściwie była raczej twierdza niż góra. Austriacy od lat ją fortyfikowali.

Chodziło mi o to, że z taktycznego punktu widzenia podczas wojny w pewnym stopniu ruchomej nie warto trzymać łańcucha gór jako linii frontu, bo łatwo jest go obejść. Trzeba mieć swobodę ruchów, a góra nie jest zbyt ruchoma. Poza tym przy strzelaniu z góry zawsze przenosi się pociskami cele. Jeżeli nieprzyjaciel obejdzie skrzydło, najlepsi ludzie zostają na najwyższych szczytach. Nie wierzyłem w górską wojnę. Mówiłem, że dużo o tym myślałem. Uchwyci się jedną górę, tamci uchwycą drugą, ale jak naprawdę przyjdzie co do czego, to wszyscy muszą z nich zejść.

– A co by pan zrobił, gdyby pan miał górską granicę? – zapytał.

* *alto piano* ale nie *piano* - gra słów po włosku: *alto piano* - wysoki poziom; *piano* - tutaj: równy, płaski.

– Jeszcze sobie tego nie opracowałem – odrzekłem i obaj roześmialiśmy się. – Ale za dawnych czasów Austriacy zawsze dostawali baty na tym czworoboku dookoła Werony. Wpuszczano ich na równinę i tam dawano w skórę.

– Tak – powiedział Gini. – Ale to robili Francuzi, a jak się walczy w cudzym kraju, można lepiej rozwiązywać problemy wojskowe.

– I owszem – przyznałem. – Kiedy idzie o własny kraj, nie da się do tego podchodzić tak naukowo.

– Rosjanie to robili, żeby wciągnąć Napoleona w pułapkę.

– Tak, ale oni mieli dużo przestrzeni. Gdybyście wy we Włoszech chcieli się cofać, żeby wciągnąć Napoleona w pułapkę, oparlibyście się w Brindisi.

– Paskudne miejsce – powiedział Gino. – Był pan tam kiedy?

– Tylko przejazdem.

– Ja jestem patriotą – rzekł Gino – ale ani rusz nie mogę polubić Brindisi czy Taranto.

– A lubi pan Bainsizę? – spytałem.

– Ziemia jest tutaj święta – odpowiedział – ale wolałbym, żeby na niej rosło więcej kartofli. Wie pan, że jakeśmy tu przyszli, to zastaliśmy całe pola kartofli posadzonych przez Austriaków.

– Naprawdę było ciężko z wyżywieniem?

– Osobiście nigdy nie miałem dosyć, ale ja jestem okropnym żarłokiem, a jakoś nie umierałem z głodu. W mesie karmią średnio. Pułki liniowe dostają niezłe wyżywienie, ale odwody już nie takie. Coś tu jest nie w porządku. Powinno być jedzenia do licha.

– Te dranie sprzedają gdzie indziej.

– Tak. Batalionom liniowym dają, ile mogą, ale te, co są na tyłach, dostają bardzo mało. Powyjadali już wszystkie te austriackie kartofle i kasztany z lasu. Powinni ich lepiej żywić. Bo my mamy ogromny apetyt. Jedzenia jest na pewno dosyć. Dla żołnierza to bardzo niedobrze, jak nie ma co jeść. Zauważył pan kiedy, jak to wpływa na sposób myślenia?

– Tak – powiedziałem. – Przez to nie można wygrać wojny, ale można ją przegrać.

– Nie mówmy o przegrywaniu. Już dosyć się o tym gada. To, co się zrobiło tego lata, nie mogło być zrobione nadaremnie.

Nie odpowiedziałem nic. Słowa: “święty”, “chlubny”, “ofiara” i “nadaremnie” zawsze wprawiały mnie w zakłopotanie. Od dawna już słyszeliśmy je, czasem stojąc na deszczu niemal poza zasięgiem głosu mówcy, tak że docierało do nas tylko to, co

wykrzykiwał, i czytaliśmy je na proklamacjach, które nalepiano na innych proklamacjach. Nie zobaczyłem nic świętego, rzeczy chlubne nie miały w sobie żadnej chluby, a ofiary przypominały rzeźnie w Chicago, z tą różnicą, że nie było co robić z mięsem i tylko je grzebano. Istniało wiele słów, których nie sposób było słuchać, i w końcu jedynie nazwy miejscowości miały jakąś godność. Tak samo niektóre liczby i daty; dlatego tylko one wraz z nazwami miejscowości zyskiwały w ustach mówiącego pewien sens. Słowa abstrakcyjne, takie jak "chwała, honor, odwaga, świętość", wydawały się bezwstydne w porównaniu z konkretnymi nazwami wsi, numerami szos, nazwami rzek, cyframi pułków i datami. Gino był patriotą, więc mówił rzeczy, które niekiedy nas dzieliły, ale poza tym był pierwszorzędnym chłopakiem i rozumiałem jego patriotyzm. Taki się już urodził. Odjechał do Gorycji samochodem razem z Peduzzim.

Przez cały ten dzień trwała zawierucha. Wiatr zacinał deszczem i wszędzie stała woda i błoto. Tynk porozbijanych domów był szary i mokry. Przed wieczorem przestało padać, a ja spoglądałem sprzed placówki numer dwa na nagi, zmoczony krajobraz jesienny z chmurami na szczytach gór i ociekającymi wodą słomianymi matami nad drogą. Słońce pokazało się na chwilę przed zachodem i oświetliło nagie lasy za pasmem wzgórz. W tych lasach stało wiele dział austriackich, ale strzelało tylko kilka. Obserwowałem krągłe, puchate obłoczki szrapneli pojawiające się nagle na niebie nad zrujnowanym budynkiem folwarcznym w pobliżu pierwszej linii – miękkie obłoczki z żółtobiałym blaskiem pośrodku. Widziało się błysk, potem słyszało trzask, a później kula dymu rozpływała się i rozpraszała na wietrze. W gruzach domów i na drodze obok rozbitego budynku, w którym znajdowała się placówka, leżało mnóstwo żelaznych kulek z szrapneli, ale tego popołudnia nie kładli ognia nigdzie w pobliżu. Załadowaliśmy dwa samochody i ruszyliśmy drogą osłoniętą mokrymi matami; w lukach między jednym ich pasmem a drugim migały ostatnie promienie słoneczne. Zanim wydostaliśmy się na wolną drogę za wzgórzem, słońce już zaszło. Jechaliśmy pustą drogą, a kiedy skręciła na otwartą przestrzeń i wpadła w prostokątnie sklepiony tunel mat, deszcz zaczął padać znowu.

W nocy zerwał się wiatr, a o trzeciej nad ranem, w strumieniach deszczu, rozpoczęło się bombardowanie i Chorwaci podeszli do pierwszej linii przez górskie łąki i kępy lasu. Walczono po ciemku, w ulewie, i wreszcie odepchnęło ich przeciwnatarcie wystraszonych żołnierzy z drugiej linii. Był silny ostrzał artyleryjski, wiele rakiet wśród deszczu i ogień broni maszynowej i karabinów wzdłuż całego frontu. Nie przyszli już powtórnie, wszystko się uspokoiło i między jedną a drugą falą ulewy i wiatru słyszeliśmy odgłos ciężkiego bombardowania daleko w kierunku północnym.

Na placówkę napływali ranni, jedni na noszach, inni pieszo, jeszcze innych przynosili na plecach żołnierze wracający z pola. Wszyscy byli przemoczeni do suchej nitki i wystraszeni. Dwa samochody wylądowaliśmy ciężej rannymi, w miarę jak ich przynoszono z piwnicy naszej placówki, a kiedy zatrzaskałem i zaryglowałem drzwi drugiej sanitarki, poczułem, że deszcz na mojej twarzy przemienia się w śnieg. Płatki opadały gęsto i szybko wśród kropel deszczu.

Kiedy się rozwidniło, zawierucha wciąż jeszcze trwała, ale śnieg ustał. Stopniał, opadłszy na mokrą ziemię, i teraz znowu lał deszcz. Zaraz po świcie nastąpiło drugie natarcie, ale bez powodzenia. Przez cały dzień oczekiwaliśmy dalszego, ale przyszło dopiero o zachodzie słońca. Bombardowanie rozpoczęło się na południu, za długim, zalesionym wzniesieniem, gdzie były skoncentrowane armaty austriackie. My też spodziewaliśmy się ostrzeliwania, ale nie nastąpiło. Zaczęło się ściemniać. Nasze działa strzelały z pola za wsią i odgłos odlatujących pocisków miał w sobie coś pokrzepiającego.

Dostaliśmy wiadomość, że tamto natarcie na południu nie udało się. Tego wieczora nieprzyjaciel nie atakował, ale podobno przebił się na północ od nas. W nocy dano nam znać, że mamy gotować się do odwrotu. Powiedział mi o tym kapitan z placówki. Miał tę wiadomość ze sztabu brygady. Nieco później wrócił od telefonu i oświadczył, że to nieprawda. Brygada dostała rozkaz utrzymania linii Bainsizy za wszelką cenę. Zapytałem o tamto przebicie, na co mi odpowiedział, że w sztabie brygady słyszał, jakoby Austriacy przełamali front dwudziestego siódmego korpusu w rejonie Caporetto. Na północy przez cały dzień trwała wielka bitwa.

– Jeżeli te dranie ich przepuszczą, to leżymy – powiedział.

– Tam nacierają Niemcy – rzekł jeden z oficerów–lekarzy.

Słowo "Niemcy" miało w sobie coś, co budziło strach. Nie chcieliśmy mieć do czynienia z Niemcami.

– Jest tam piętnaście niemieckich dywizji – mówił lekarz.

– Przebili się, a my tu będziemy odcięci.

– W brygadzie mówią, że tę linię musi się utrzymać. Podobno to przebicie nie jest groźne, a my będziemy bronili linii biegnącej górami od Monte Maggiore.

– Skąd oni to wiedzą?

– Ze sztabu dywizji.

– Wiadomość, że mamy się cofać, pochodziła także ze sztabu dywizji.

– My podlegamy dowództwu korpusu – powiedziałem.

– Ale tutaj podlegam wam. Jeżeli mi każecie się wycofać, to naturalnie tak zrobię, ale ustalcie, jakie są rozkazy.

– Rozkaz brzmi, że mamy tu zostać. Pan niech przewiezie rannych do punktu rozdzielczego.

– Czasami przewozi się ich stamtąd także do szpitali polowych – odparłem. – Powiedzcie mi, panowie, bo jeszcze nigdy nie widziałem odwrotu, jak się ewakuuje rannych, jeżeli trzeba się wycofać?

– Nie ewakuuje się ich wcale. Zabiera się tyłu, ilu można, a resztę zostawia na miejscu.

– A co mam zabrać samochodami?

– Sprzęt szpitalny.

– Dobrze – powiedziałem.

Następnej nocy rozpoczął się odwrót. Słyszeliśmy, że Niemcy i Austriacy przedarli się na północy i schodzą dolinami ku Cividale i Udine. Odwrót był uporządkowany, ponury, zlany deszczem. Posuwając się wolno po zatłoczonych drogach, mijaliśmy oddziały maszerujące w ulewie, działa, zaprzęgi konne, muły, ciężarówki – a wszystko to oddalało się od frontu. Nie było więcej zamieszania niż podczas marszu naprzód.

Tej nocy pomagaliśmy przy opróżnianiu szpitali polowych, które pozakładano w najmniej zrujnowanych wioskach płaskowyżu. Rannych zabieraliśmy do położonej nad rzeką Plavy, a nazajutrz przez cały dzień jeździliśmy w deszczu, ewakuując szpitale i punkt rozdzielczy w Plawie. Padało bezustannie i armia obsadzająca Bainsizę schodziła z płaskowzgórza w październikowej ulewie i przeprowiała się przez rzekę, nad którą tej wiosny rozpoczęły się wielkie zwycięstwa. W południe następnego dnia weszliśmy do Gorycji. Deszcz ustał, a miasto było prawie puste. Kiedyśmy przejeżdżali ulicą, ładowano na ciężarówkę dziewczyny z żołnierskiego burdelu. Było ich siedem, miały na sobie palta i kapelusze, a w rękach małe walizki. Dwie dziewczyny płakały. Jedna z pozostałych uśmiechnęła się do nas, wysunęła język i poruszyła nim szybko w górę i w dół. Miała grube, pełne wargi i czarne oczy.

Zatrzymałem wóz, wysiadłem i zagadałem do ich szefowej. Powiedziała mi, że dziewczyny z burdelu oficerskiego wyjechały rankiem. A dokąd one jadą? Do Canegliano. Ciężarówka ruszyła. Dziewczyna z grubymi wargami znów wywiesiła do nas język. Szefowa pomachała ręką. Tamte dwie dalej płakały. Reszta z zaciekawieniem wyglądała na miasto. Wsiadłem na powrót do samochodu.

– Powinniśmy pojechać z nimi – rzekł Bonello. – Byłaby dobra jazda.

– I tak będziemy mieć dobrą jazdę – odparłem.

– Będziemy mieli cholerną jazdę.

– To właśnie chciałem powiedzieć.

Zajechaliśmy na podjazd przed willą.

– Chciałbym tam być, jak nasze chłopaki powiadają do wozu i będą próbowały wleźć na którą.

– Myślicie, że tak zrobią?

– No pewnie. Każdy z drugiej armii zna tę szefową. Staliśmy przed willą.

– Ją nazywają matką przełożoną – powiedział Bonello. – Dziewczyny są nowe, ale tę starą znają wszyscy. Musieli je tu ściągnąć przed samym odwrotem.

– To im się będzie dobrze działało.

– No chyba. Sam bym chciał popróbować ich za darmo. W burdelu każą za dużo płacić. Rząd nas kantuje.

– Odprowadźcie wóz, żeby go przejrzeni mechanicy – powiedziałem. – Zmieńcie oliwę i sprawdźcie dyferencjał. Napełnijcie bak, a potem idźcie się przespać.

– Tak jest, *signor tenente*.

Willa była pusta. Rinaldi odjechał razem ze szpitalem. Major zabrał personel szpitalny wozem dowództwa. Na oknie zostawili kartkę do mnie z poleceniem, żeby załadować do sanitarek sprzęt złożony w hallu i jechać do Pordenone. Mechaników już nie było. Poszedłem do garażu. Kiedy tam byłem, nadjechały dwa pozostałe samochody, a ich kierowcy wysiedli. Znów zaczynało padać.

– Taki jestem cholernie śpiący, że po drodze z Plawy zasnąłem trzy razy – powiedział Piani. – Co robimy, *tenente*?

– Zmienimy olej, nasmarujemy wozy, weźmiemy benzynę, a potem zajedziemy przed dom i załadujemy te kłamoty, które tu zostawili.

– A później jedziemy?

– Nie, prześpiemy się trzy godziny.

– O rany, jak to dobrze, że się prześpię! – powiedział Bonello. – Zasypiałem przy kierownicy.

– A jak tam wasz wóz, Aymo? – spytałem.

– W porządku.

– Dajcie mi kombinezon, to wam pomogę przy oliwieniu.

– Niech pan tego nie robi, *tenente* – powiedział Aymo. – To drobiazg. Niech pan idzie się spakować.

– Mam wszystko spakowane – odparłem. – Powynoszę te rzeczy, które nam zostawili. Podprowadźcie wozy, jak tylko będą gotowe.

Zajechali sanitarkami przed front willi, po czym załadowali do nich sprzęt szpitalny złożony na stos w hallu. Kiedy już wszystko znalazło się w samochodach, ustawiliśmy je rzędem na deszczu pod drzewami podjazdu. Weszliśmy do willi.

– Rozpalcie ogień w kuchni i wysuszcie swoje rzeczy – powiedziałem.

– Mnie nie zależy na tym, żeby mieć suche ubranie – rzekł Piani. – Ja chcę spać.

– A ja się prześpię w łóżku majora – powiedział Bonello. – Tam, gdzie stary chrapał.

– Mnie wszystko jedno, gdzie się położę – rzekł Piani.

– Tu są dwa łóżka. – Otworzyłem drzwi.

– Nigdy nie wiedziałem, co jest w tym pokoju – powiedział Bonello.

– To był pokój starego Rybiego Pyska – dorzucił Piani.

– Wy obaj śpicie tutaj – powiedziałem. – Obudzę was.

– Jeżeli pan zaśpi, *tenente*, obudzą nas Austriacy – odparł Bonello.

– Nie zaśpię. A gdzie Aymo?

– Poszedł do kuchni.

– Idźcie spać – powiedziałem.

– Zaraz zasnę – odrzekł Piani. – Spałem na siedząco od rana. Głowa cały czas opadała mi na piersi.

– Zdejmij buty – napomniął go Bonello. – To jest łóżko Rybiego Pyska.

– Rybi Pysk nic mnie nie obchodzi.

Piani leżał na łóżku, nogi w zabłoconych butach miał wyciągnięte, głowę złożoną na ręce. Wyszedłem do kuchni. Aymo rozpalił ogień pod blachą i ustawił na niej kociołek z wodą.

– Pomyślałem sobie, że zrobię trochę *pasta asciutta* – powiedział. – Będziemy głodni, jak się obudzimy.

– Nie chce wam się spać, Bartolomeo?

– Nie bardzo. Jak woda się zagotuje, to ją tak zostawię. Ogień nie wygaśnie.

– Lepiej prześpijcie się trochę – odparłem. – Możemy zjeść sera i mięsa z konserw.

– To będzie lepsze – powiedział. – Coś ciepłego dobrze zrobi tym dwóm anarchistom. Niech pan idzie spać, *tenente*.

– W pokoju majora jest łóżko.

– To niech pan tam się prześpi.

– Nie. Pójdę do swojego dawnego pokoju. Chcecie czegoś się napić, Bartolomeo?

– Jak będziemy jechać, *tenente*. Teraz nic by mi to nie pomogło.

– Jeżeli się obudzicie za trzy godziny, a ja was do tej pory nie zawołam, to zbudźcie mnie, dobrze?

– Nie mam zegarka, *tenente*.

– W pokoju majora wisi zegar na ścianie.

– Tak jest.

Przeszedłem przez jadalnię i hall, i po marmurowych schodach udałem się na górę, do pokoju, który przedtem zajmowałem z Rinaldim. Na dworze padał deszcz. Podeszedłem do okna i wyjrzałem. Zmierzchało się; widziałem trzy samochody stojące rzędem pod drzewami. Drzewa ociekały wodą. Było zimno i krople zwisały z gałęzi. Wróciłem do łóżka Rinaldiego, położyłem się i zapadłem w sen.

Przed odjazdem zjedliśmy kolację w kuchni. Aymo przygotował miskę spaghetti z cebulą i siekanym mięsem z konserw. Siedliśmy do stołu i wypiliśmy dwie butelki wina, które zostały w piwnicy. Na dworze było ciemno i ciągle padał deszcz. Piani siedział za stołem bardzo śpiący.

– Wolę odwrót od marszu naprzód – powiedział Bonello.

– Bo w odwrocie pije się *barberę*.

– Dziś pijemy *barberę*, a jutro może wodę deszczową – odparł Aymo.

– Jutro będziemy w Udine. Popijemy szampana. Tam siedzą dekownicy. Obudź się, Piani! Jutro pijemy szampana w Udine!

– Ja nie śpię – odpowiedział Piani. Nałożył sobie na talerz porcję spaghetti z mięsem. – Nie mogłeś gdzieś znaleźć sosu pomidorowego, Barto?

– Nigdzie nie było – odrzekł Aymo.

– Napijemy się szampana w Udine – rzekł Bonello. Nappełnił sobie szklanek klarownym, czerwonym *barbera*.

– Możliwe, że będziemy musieli pić... zanim dojedziemy do Udine – powiedział Piani.

– Podjadł pan, *tenente*? – zapytał Aymo.

– Aż nadto. Podajcie mi butelkę, Bartolomeo.

– Mam na drogę po jednej flaszcze dla każdego – oznajmił Aymo.

– A wyście w ogóle spali?

– Ja nie potrzebuję dużo snu. Zdrzemnąłem się trochę.

– Jutro prześpiemy się w łóżku króla – powiedział Bonello. Był w doskonałym humorze.

– Może jutro będziemy spali w – odparł Piani.

– Ja się prześpię z królową – rzekł Bonello. Spojrzał na mnie, by sprawdzić, jak przyjąłem ten dowcip.

– Prześpisz się z – odparł sennie Piani.

– To zdrada, *tenente* – powiedział Bonello. – Prawda, że zdrada?

– Siedźcie cicho – odparłem. – Robicie się zanadto weseli po odrobinie wina.

Na dworze padał ulewny deszcz. Spojrzałem na zegarek. Było wpół do dziesiątej.

– Czas jechać – powiedziałem wstając.

– Z kim pan pojedzie, *tenente*? – zapytał Bonello.

– Z Aymem. Za nami wy. Potem Piani. Jedziemy drogą do Cormos.

– Boję się, że zasnę – rzekł Piani.

– Dobrze. To pojedę z wami. Potem Bonello, a dalej Aymo.

– Tak będzie najlepiej – powiedział Piani. – Bo strasznie mi się chce spać.

– Ja poprowadzę wóz, a wy się trochę zdrzemniecie.

– Nie. Mogę prowadzić, bylebym tylko wiedział, że ktoś mnie obudzi, jeżeli zasnę.

– Ja was obudzę. Pogaście światła, Barto.

– Można zostawić – rzekł Bonello. – Ten dom już nam nie będzie potrzebny.

– Mam u siebie w pokoju mały kuferek – powiedziałem. – Możecie mi pomóc go znieść, Piani?

– My go weźmiemy – odparł Piani. – Chodź, Aldo.

Wyszedł do hallu z Bonellem. Słyszałem, jak wchodzili na górę.

– Dobrze tu było – oświadczył Bartolomeo Aymo. Wsadził do chlebaka dwie flaszki wina i pół sera. – Nie będzie już drugiego takiego miejsca. Dokąd oni się cofają, *tenente*?

– Podobno za Tagliamento. Szpital i cały sektor mają być w Pordenone.

– Tutaj jest lepiej niż w Pordenone.

– Nie znam Pordenone – odparłem. – Tylko przejeżdżałem tamtędy.

– Takie sobie miasto – powiedział Aymo.

Rozdział IV

Jechaliśmy przez miasteczko opustoszałe wśród mroku i deszczu; tylko główną ulicą posuwały się kolumny wojsk i działa. Było także sporo ciężarówek, a innymi ulicami ciągnęły wozy konne i spływały na główną szosę. Kiedy minąwszy garbarnie znaleźliśmy się na szosie, ujrzeliśmy wojsko, ciężarówki, zaprzęgi konne i działa, tworzące razem jedną szeroką, wolno posuwającą się kolumnę. W strumieniach deszczu jechaliśmy powoli, lecz stale naprzód, a korek naszej chłodnicy niemal dotykał tylnej klapy jakiejś ciężarówki, wyładowanej wysoko i przykrytej mokrą plandeką. Nagle ciężarówka stanęła. Zatrzymała się cała kolumna. Po chwili ruszyła, ujechaliśmy kawałek i stanęliśmy znowu. Wysiadłem i pomaszerowałem pieszo naprzód, przechodząc między ciężarówkami, wozami i pod mokrymi szyjami końskimi.

Zator był gdzieś dalej. Zszedłem z szosy, przelazłem po desce przez rów i ruszyłem polem po drugiej stronie. Idąc widziałem między drzewami zatrzymaną kolumnę, stojącą na deszczu. Uszedłem z milę. Kolumna nie ruszała z miejsca, chociaż po drugiej stronie szosy widziałem za pojazdami maszerujące oddziały.

Wróciłem do samochodów. Ten zator mógł rozciągać się aż po Udine. Piani spał za kierownicą. Usiadłem przy nim i także zasnąłem. W kilka godzin później usłyszałem, że szofer stojącej przed nami ciężarówki włącza bieg. Obudziłem Pianiego i ruszyliśmy z miejsca, ujechaliśmy kilka metrów, stanęli i znowu ruszyli. Padało ciągle.

Kolumna ponownie utknęła w ciemnościach i zatrzymała się. Wysiadłem i zawróciłem do Ayma i Bonella. W wozie Bonella siedziało dwóch sierżantów saperów. Wyprostowali się, kiedy podszedłem.

– Zostawili ich, żeby coś zrobili z jakimś mostem – powiedział Bonello. – Nie mogą znaleźć swojej jednostki, więc ich zabrałem na wóz.

– Za pozwoleniem pana porucznika.

– Pozwalam – odparłem.

– Pan porucznik jest Amerykaninem – wyjaśnił Bonello. – Każdego podwiezie.

Jeden z sierżantów uśmiechnął się. Drugi zapytał Bonella czy jestem Włochem z Północnej czy Południowej Ameryki.

– Wcale nie jest Włochem. To Anglik północnoamerykański.

Sierżanci zachowywali się uprzejmie, ale nie wierzyli. Zostawiłem ich i poszedłem do Ayma. Siedziały przy nim dwie dziewczyny; on sam odsunął się w kąt i palił papierosa.

– Oj, Barto, Barto? – powiedziałem.

Roześmiał się.

– Niech pan do nich zagada, *tenente* – rzekł – bo ja nie mogę się z nimi porozumieć. Hej! – położył dłoń na udzie jednej z dziewczyn i ścisnął je przyjaźnie. Dziewczyna owinęła się szczelniej szalem i odepchnęła jego rękę. – Hej! – powtórzył. – Powiedz panu porucznikowi, jak masz na imię i co tu robisz.

Dziewczyna spojrzała na mnie srogo. Druga miała oczy spuszczone. Patrząca na mnie powiedziała coś w dialekcie, z którego nie rozumiałem ani słowa. Była pulchna, smągła i wyglądała na szesnaście lat.

– *Sorella**? – zapytałem wskazując drugą dziewczynę.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

– W porządku – powiedziałem i poklepałem ją po kolanie. Poczułem, że zeszywniała pod moim dotknięciem. Jej siostra dalej nie podnosiła wzroku. Mogła być o rok młodsza. Aymo położył dłoń na udzie starszej, ale ją odtrąciła. Roześmiał się.

– Dobry człowiek – rzekł, wskazując na siebie. – Dobry człowiek – pokazał na mnie. – Nie martw się.

Dziewczyna spojrzała na niego surowo. Obie przypominały parkę dzikich ptaków.

– Po co ona ze mną jedzie, jeżeli jej się nie podobam? – zapytał Aymo. – Wsiadły do wozu, jak tylko na nie kiwnąłem. – Obrócił się do dziewczyny. – Nie martw się – powiedział. – Nie ma niebezpieczeństwa tu użył wulgarnego słowa. Nie ma miejsca na

Widziałem, że zrozumiała tylko ten wyraz i nic więcej. Jej oczy spojrzały na Ayma z wielkim przestrawieniem. Owinęła się szczelniej szalem.

– Wóz pełny – mówił Aymo. – Nie ma niebezpieczeństwa Nie ma miejsca na

Za każdym razem, gdy wymawiał to słowo, dziewczyna sztywniała coraz bardziej. A później, siedząc prosto i patrząc na niego, zaczęła płakać. Widziałem, że wargi jej zadrżały, potem łzy pociekły po krągłych policzkach. Siostra – nadal nie podnosząc wzroku – wzięła ją za rękę i tak siedziały obok siebie. Starsza, która przedtem była taka zadzierzysta, zaczęła szlochać.

– Zdaje się, że ją nastraszyłem – powiedział Aymo. – Wcale tego nie chciałem. Bartolomeo wyciągnął chlebak i ukrajał dwa kawałki sera.

* *sorella* (wł.) - siostra.

– Macie – rzekł. – Przestańcie beczeć. Starsza, wciąż płacząc, potrząsnęła głową, ale młodsza wzięła ser i zaczęła jeść. Po chwili dała siostrze drugi kawałek i obie zabrały się do jedzenia. Starsza ciągle pochlipywała.

– Zaraz się uspokoi – powiedział Aymo. Coś przyszło mu do głowy.

– Dziewica? – zapytał siedzącej obok niego dziewczyny. Energicznie przytaknęła głową. – Też dziewczica? – pokazał jej siostrę. Obie kiwnęły głowami, a starsza powiedziała coś w dialekcie.

– W porządku – oświadczył Bartolomeo. – W porządku.

Obie dziewczyny najwyraźniej się ucieszyły.

Zostawiłem je siedzące przy wsuniętym w kąt Aymie i wróciłem do samochodu Pianiego. Kolumna pojazdów stała w miejscu, ale wojsko nadal maszerowało wzdłuż niej. Wciąż lał ulewny deszcz i pomyślałem sobie, że przerwy w ruchu kolumny mogą być czasem powodowane przez samochody, którym zamokły przewody. Ale prawdopodobniejsze było, że powodują to zasypiające konie albo ludzie. Tylko że ruch uliczny może utknąć i w mieście, gdzie przecież nikt nie zasypia. Wszystko przez tę kombinację pojazdów konnych i motorowych. Nie pomagają one sobie nawzajem. Chłopskie wozy także nie ułatwiają sprawy. Barto ma z sobą dwie ładne dziewczyny. Odwrót to nie miejsce dla dwóch dziewczic. Prawdziwych dziewczic. Zapewne bardzo religijnych. Gdyby nie wojna, pewnie wszyscy leżelibyśmy w łóżkach. "W łóżu składam swoją głowę... Od łóża i od stołu... Łoże twarde jak stół..." Catherine leży teraz w łóżku, między dwoma prześcieradłami, jednym z wierzchu, a drugim pod sobą. Na którym boku śpi? Może wcale nie śpi. Może leży i myśli o mnie. "Wiej, wiej, zachodni wietrze!". No cóż, wiatr powiał, ale nie spadł mały deszczyk, tylko ulewa. Pada tak całą noc. Wiadomo, że jak już leje, to leje. Wystarczy spojrzeć. O Boże, gdybym mógł trzymać w objęciach moją ukochaną i znowu leżeć w łóżku! Tę moją ukochaną Catherine. Gdyby mogła spaść do mnie z deszczem, moja słodka, ukochana Catherine. Przywiej ją do mnie, wietrze. Cóż, wpadliśmy. Wszyscy wpadli i deszczyk tego nie złagodzi.

– Dobranoc, Catherine – powiedziałem na głos. – Śpij dobrze. Jeżeli ci niewygodnie, kochanie, przewróć się na drugi bok. Przyniosę ci trochę zimnej wody. Za chwilę zrobi się dzień, a wtedy nie będzie już tak źle. Przykro mi, że ono tak ci przeszkadza. Spróbuj zasnąć, najmilsza.

"Ja spałam przez cały czas. Mówiłeś coś przez sen. Nic ci nie dolega?"

"Naprawdę tu jesteś?"

"Naturalnie, że jestem. Nie odeszłabym od ciebie. To przecież nic nie zmienia między nami".

“Taka jesteś śliczna i kochana! Nie odeszłabyś w nocy, prawda?”

“Oczywiście, że nie. Zawsze jestem przy tobie. Przychodzę, gdy tylko mnie potrzebujesz”.

– O! – powiedział Piani. – Znowu ruszyli.

– Otumanilo mnie – rzekłem. Spojrzałem na zegarek. Była trzecia nad ranem. Sięgnąłem za siedzenie po butelkę barbery.

– Mówił pan coś na głos – powiedział Piani.

– Miałem sen po angielsku – odparłem.

Deszcz ustawał i posuwaliśmy się dalej. Przed świtem utknęliśmy znowu i kiedy się rozwidniło, zauważyłem, że stoimy na niewielkim wzniesieniu, i zobaczyłem wyciągniętą daleko przed nami drogę odwrotu, a na niej wszystko znieruchomiałe z wyjątkiem przesuwającej się piechoty. Ruszyliśmy znowu, ale widząc za dnia tempo naszego posuwania się naprzód, doszedłem do wniosku, że trzeba jakoś zjechać z głównej szosy i pchać się na przełaj, jeżeli w ogóle chcemy dotrzeć do Udine.

W nocy przyłączyło się do kolumny wielu chłopów, którzy napłynęli z bocznych dróg wiejskich, i teraz jechały w niej wozy wyładowane domowym dobytkiem; pomiędzy materaców sterczały lustra, a na wozach pouwiązane były kury i kaczki. Na tym, który stał przed nami w deszczu, leżała maszyna do szycia. Ludzie ratowali rzeczy najcenniejsze. Na niektórych wozach siedziały skulone pod ulewą kobiety, inne szły obok, trzymając się jak najbliżej pojazdów. W kolumnie były teraz i psy, które szły pod jadącymi wozami. Droga była błotnista, rowy po bokach pełne wody, a pola za obrzeżającymi ją drzewami tak rozmokłe i grząskie, że wydawały się nie do przebycia. Wysiadłem z auta i poszedłem kawałek naprzód, szukając miejsca, skąd mógłbym zobaczyć jakąś boczną drogę, na którą dałoby się zjechać. Wiedziałem, że jest ich tu wiele, ale nie chciałem wybrać takiej, która prowadziłyby do nikąd. Nie przypominałem ich sobie, bo zawsze je mijaliśmy pędząc po szosie, a wszystkie były bardzo do siebie podobne. Teraz wiedziałem, że jeżeli chcemy się przedostać, musimy znaleźć taką drogę. Nikt nie miał pojęcia, gdzie są Austriacy, ani co się dzieje, ale byłem pewny, że jeżeli deszcz ustanie, a przylecą samoloty i zabiorą się do tej kolumny, to będzie koniec. Wystarczy, że paru ludzi porzuci samochody albo że zabiją kilka koni, a ruch na szosie będzie sparaliżowany całkowicie.

Deszcz nie padał już teraz tak gęsto i pomyślałem, że może się przejaśnić. Szedłem dalej skrajem szosy i kiedy natrafiłem na małą drogę biegnącą między dwoma polami ku północy i z obu stron obrzeżoną żywopłotem, uznałem, że trzeba na nią zjechać, i

zawróciłem spiesznie do samochodów. Powiedziałem Pianiemu, żeby skręcił, a sam pobiegłem do Bonella i Ayma.

– Jeżeli ta droga nigdzie nie prowadzi, możemy zawrócić i znowu włączyć się do kolumny – powiedziałem.

– A co będzie z tymi? – zapytał Bonello. Obaj sierżanci siedzieli obok niego. Byli zarośnięci, ale w świetle wczesnego poranka wyglądali bardzo po wojskowemu.

– Przydadzą się do popychania – odparłem. Wróciłem do Ayma i powiedziałem mu, że spróbujemy pojechać na przełaj.

– Co zrobimy z moją dziewiczą rodziną? – zapytał. Obie dziewczyny spały.

– Nie będzie z nich wielkiego pożytku – powiedziałem. – Trzeba było wziąć kogoś, kto by potrafił pchać wóz..

– Mogłyby się w tyle – rzekł Aymo. – Tam jest dosyć miejsca.

– Dobrze, jeżeli chcecie – powiedziałem. – Ale dobierzcie sobie kogoś z szerokimi barkami, żeby mógł popchać.

– Bersalierów – uśmiechnął się Aymo. – Oni mają najlepsze plecy. Mierzają ich. Jak pan się czuje, *tenente*?

– Dobrze. A wy?

– Doskonale. Tylko jestem strasznie głodny.

– Przy tej drodze powinno być jakieś miejsce, gdzie się zatrzymamy i coś zjemy.

– Jak pana noga, *tenente*?

– Dobrze – odpowiedziałem. Stojąc na stopniu patrzyłem przed siebie i widziałem, że wóz Pianiego skręca w wąską boczną drogę i rusza nią migając między nagimi gałęziami żywopłotu. Za nim skręcił Bonello, potem zjechał z szosy Aymo i wreszcie podążyliśmy za nimi wąską drogą między żywopłotami.

Droga prowadziła do folwarku. Zastaliśmy Pianiego i Bonella na podwórzu. Dom był niski, podłużny, a nad wejściem miał drewnianą kratkę, po której pięła się winorośl. Na podwórku była studnia i Piani właśnie brał z niej wodę do chłodnicy. Wygotowała mu się na skutek długiej jazdy pierwszym biegiem. Dom był opustoszały. Obejrzałem się na drogę; budynek stał na niewielkim wzniesieniu nad równiną, widać stąd było całą okolice, drogę, żywopłoty, pola i linię drzew wzdłuż szosy, po której odbywał się odwrót. Obaj sierżanci przeszukiwali dom. Dziewczyny obudziły się i spoglądały na podwórko, studnię, dwie wielkie sanitarki stojące przed domem i trzech kierowców u studni. Jeden z sierżantów wyszedł, dźwigając zegar.

– Odniescie to z powrotem – powiedziałem.

Spojrzał na mnie, zawrócił do domu i wyszedł już bez zegara.

– Gdzie wasz kolega? – spytałem.

– Poszedł do latryny.

Sierżant wsiadł do sanitarki. Bał się, że go tu zostawimy.

– Co będzie ze śniadaniem, *tenente*? – zapytał Bonello. – Może by coś zjeść. To nie potrwałoby długo.

– Myślicie, że dojedziemy gdzieś tą drogą, co idzie dalej, z drugiej strony?

– Na pewno.

– W porządku. To zjedzmy coś.

Piani i Bonello weszli do domu.

– Chodźcie – powiedział do dziewczyn Aymo. Wyciągnął rękę, aby im pomóc wysiąść. Starsza pokręciła głową. Nie miały zamiaru wchodzić do pustego domu. Patrzyły na nas.

– Ciężko się z nimi dogadać – powiedział Aymo. Weszliśmy razem do środka. Dom był obszerny, ciemny, całkiem opustoszały. Bonello i Piani byli w kuchni.

– Nie ma wiele do jedzenia – oznajmił Piani. – Wyczyścili tu wszystko.

Bonello krajał wielki biały ser na masywnym kuchennym stole.

– Gdzie był ten ser?

– W piwnicy. Piani znalazł też wino i jabłka.

– Będzie dobre śniadanie.

Piani wyciągnął drewniany korek z dużego oplatanego gąsiora. Przechylił go i napełnił miedziany saganek.

– Dobrze pachnie – powiedział. – Poszukaj gdzieś kubków, Barto.

Weszli dwaj sierżanci.

– Poczęstujcie się serem, panowie – zaprosił Bonello.

– Powinniśmy jechać – rzekł jeden z sierżantów, gryząc ser i popijając winem.

– Pojedziemy, nie martwcie się – oparł Bonello.

– Pełny żołądek to podpora armii – powiedziałem.

– Słucham? – zapytał sierżant.

– Lepiej coś zjeść.

– Tak. Ale czas jest drogi.

– Widać dranie już się najadły – powiedział Piani. Sierżanci popatrzyli na niego.

Nie cierpieli nas wszystkich.

– Czy pan zna drogę? – spytał jeden z nich.

– Nie – odpowiedziałem.

Spojrzeli po sobie.

– Najlepiej będzie już jechać – rzekł pierwszy.

– Zaraz jedziemy – odparłem. Wypiłem jeszcze jeden kubek czerwonego wina. Smakowało wybornie po serze i jabłku.

– Zabierzcie ser – powiedziałem i wyszedłem. Bonello wyszedł za mną, niosąc wielki gąsior z winem.

– To za duże – powiedziałem. Z żalem popatrzył na gąsior.

– Ano chyba tak – odparł. – Dajcie mi manierki, to naleję.

Napełnił manierki rozlewając trochę wina na kamienne płyty podwórka. Potem podniósł gąsior i postawił go tuż za progiem.

– Austriacy będą mogli go znaleźć nie wywalając drzwi – powiedział.

– Jazda! – zakomenderowałem. – Piani i ja pojedziemy przodem.

Obaj saperzy siedzieli obok Bonella. Dziewczyny pogryzały ser i jabłka. Aymo palił papierosa. Ruszyliśmy wąską drogą. Obejrzałem się na jadące za nami samochody i na dom. Był to piękny, niski, masywny budynek z kamienia, a studnia miała ładną obudowę z kutego żelaza. Przed nami wąska, błotnista droga biegła między dwoma wysokimi żywopłotami. Z tyłu, tuż za naszym wozem, jechały pozostałe sanitarki.

Rozdział V

W południe utknęliśmy na grząskiej drodze w odległości – o ile mogliśmy się zorientować – około dziesięciu kilometrów od Udine. Przed południem deszcz ustał i trzy razy słyszeliśmy zbliżające się samoloty, widzieliśmy, jak przelatywały nad nami, kierując się gdzieś daleko w lewo, a potem słychać było, jak bombardują główną szosę. Przedzieraliśmy się przez sieć bocznych dróg i nieraz wjeżdżaliśmy na taką, która kończyła się ślepo, ale zawracając i znajdując inną, zbliżaliśmy się stale do Udine. W pewnej chwili samochód Ayma, który tylnym biegiem usiłował wydostać się ze ślepej drogi, zjechał na bok, na miękką ziemię i koła, buksując, zaczęły wrzynać się coraz głębiej i głębiej, aż wreszcie wóz siadł na dyferencjale. Trzeba było podkopać ziemię przed kołami, podłożyć trochę chrustu, żeby łańcuchy chwyciły, a potem wypchnąć wóz z powrotem na drogę. Staliśmy wszyscy przy samochodzie. Sierżanci popatrzyli na niego i obejrżeli koła. Potem bez słowa ruszyli drogą.

– Słuchajcie – powiedziałem. – Naścinajcie trochę gałęzi.

– Musimy iść – odparł jeden z nich.

– Do roboty! – zawołałem. – Ścinajcie gałęzie.

– Musimy iść – powtórzył tamten. Drugi nie mówił nic. Spieszyło im się w drogę.

Nie chcieli na mnie spojrzeć.

– Rozkazuję wam wrócić do samochodu i naścinać gałęzi – powiedziałem. Jeden z sierżantów odwrócił się.

– Musimy iść dalej. Za chwilę będziecie tu odcięci. Pan nie może nam rozkazywać. Pan nie jest naszym oficerem.

– Rozkazuję wam naścinać gałęzi – powiedziałem. Odwrócili się i ruszyli przed siebie.

– Stój! – zawołałem. Szli dalej błotnistą drogą między żywopłotami. – Rozkazuję wam stanąć! – krzyknąłem. Przyspieszyli kroku.

Rozpiąłem kaburę, wyciągnąłem pistolet, zmierzyłem do tego, który najwięcej gadał, i dałem ognia. Chybiłem, a oni zaczęli biec. Strzeliłem trzy razy i położyłem jednego. Drugi przedarł się przez żywopłot i zniknął mi z oczu. Strzeliłem do niego przez żywopłot, kiedy biegł polem. Pistolet szczęknął tylko, więc wepchnąłem świeży magazynek. Widziałem, że już za daleko strzelać do drugiego sierżanta. Biegł z pochyloną głową przez pole. Zacząłem ładować pusty magazynek. Podszedł Bonello.

– Niech mi pan pozwoli go dobić – poprosił. Dałem mu pistolet, a on podszedł do miejsca, gdzie sierżant saperów leżał na drodze twarzą do ziemi. Pochylił się, przyłożył mu pistolet do głowy i nacisnął spust. Pistolet nie wypalił.

– Trzeba zarepetować – powiedziałem.

Zrobił to i strzelił dwa razy. Wziął sierżanta za nogi i odciągnął go na bok, pod żywopłot. Wrócił i oddał mi pistolet.

– Sukinsyn – powiedział. Popatrzył w stronę, gdzie leżał sierżant. – Widział pan, jak go dostrzeliłem, *tenente*?

– Musimy szybko naścinać gałęzi – powiedziałem. – Czy ja w ogóle trafiłem tego drugiego?

– Chyba nie – rzekł Aymo. – Za daleko był, żeby go trafić z pistoletu.

– Wstrętna szumowina – powiedział Piani.

Ścinaliśmy gałęzie i wiklinę. Wyjeliśmy wszystko z samochodu, Bonello podkopywał ziemię przed kołami. Kiedy już byliśmy gotowi, Aymo zapuścił silnik i włączył bieg. Koła zaczęły buksować wyrzucając gałęzie i błoto. Obaj z Bonellem pchaliśmy tak, że o mało nam stawy nie pękły. Samochód ani drgnął.

– Rozhuśtajcie go w przód i w tył, Barto – powiedziałem.

Ruszył maszyną w tył, potem w przód. Koła tylko werżnęły się głębiej. Wóz znowu siadł na dyferencjale, a koła obracały się luzem w wygrzebanych dziurach. Wyprostowałem się.

– Spróbujemy wyciągnąć go liną – powiedziałem.

– Chyba nie warto, *tenente*. Tu nie można prosto pociągnąć.

– Trzeba spróbować. Inaczej nie wyjdzie.

Samochody Pianiego i Bonella mogły poruszać się tylko prosto po wąskiej drodze. Zwiążaliśmy linami oba wozy i pociągnęliśmy. Koła tarły bokiem o korzenie.

– Nie ma co – zawołałem. – Dajcie spokój.

Piani i Bonello wysiedli i podeszli do mnie. Aymo także wysiadł. Dziewczyny siedziały na kamiennym murku, o kilkadziesiąt kroków dalej przy drodze.

– Co mamy teraz robić, *tenente*? – zapytał Bonello.

– Jeszcze raz podkopiemy i spróbujemy z gałęziami – powiedziałem. To była moja wina. Ja ich tu przyprowadziłem. Spojrzałem na drogę. Słońce już prawie wyszło zza chmur, ciało sierżanta leżało pod żywopłotem.

– Podłożymy jego kurtkę i pelerynę – postanowiłem.

Bonello poszedł po nie. Naścinałem gałęzi, a Aymo i Piani podkopali ziemię pod kołami. Przeciąłem pelerynę, rozerwałem ją na dwoje i rozłożyłem pod nimi na błocie, a

potem narzuciłem chrustu, ażeby chwyciły. Byliśmy gotowi, Aymo usiadł za kierownicą i zapuścił silnik. Koła obracały się, a myśmy pchali i pchali. Ale wszystko na próżno.

– Nic z tego – powiedziałem. – Chcecie coś zabrać z wozu, Barto?

Aymo wdrapał się do samochodu Bonella, trzymając ser, dwie butelki wina i swoją pelerynę. Bonello, siedząc za kierownicą, przetrząsał kieszenie kurtki sierżanta.

– Lepiej wyrzucie tę kurtkę – powiedziałem. – A co z dziewczicami Barta?

– Mogą sięść w tyle – rzekł Piani. – Myślę, że nie zajedziemy daleko. Otworzyłem tylne drzwi sanitarki.

– Chodźcie! – zawołałem. – Wsiadajcie.

Obie dziewczyny wdrapały się do samochodu i usiadły w kącie. Wydawało się, że w ogóle nie zwróciły uwagi na strzały. Popatrzyłem na drogę. Sierżant leżał tam w brudnym podkoszulku z długimi rękawami. Usiadłem przy Pianim i ruszyliśmy. Zamierzaliśmy pojechać na przełaj. Kiedy droga dotarła do pola, wysiadłem i poszedłem przodem. Gdyby nam się udało tędy przedostać, mieliśmy za polem inną drogę. Ale nie udało się. Było za miętko i za grząsko dla samochodów. Gdy już ostatecznie i nieodwołalnie utknęły, a koła zaryły się aż po piasty, zostawiliśmy wozy w polu i ruszyliśmy pieszo do Udine.

Doszedłszy do drogi prowadzącej z powrotem do głównej szosy, wskazałem ją obu dziewczynom.

– Idźcie tędy – powiedziałem. – Kogoś w końcu spotkacie. Popatrzyły na mnie. Wyjąłem portfel i dałem każdej po banknocie dziesięcilirowym.

– Idźcie tędy – powtórzyłem, wskazując ręką. – Przyjaciele! Rodzina!

Nie zrozumiały, ale ruszyły drogą, ściskając w rękę banknoty. Oglądały się, jak gdyby w obawie, że im odbiorę pieniądze. Patrzyłem za nimi, jak szły, szczelnie owinięte szalami, oglądając się na nas niespokojnie. Trzej kierowcy śmiali się.

– A mnie ile pan da, żebym poszedł w tę samą stronę, *tenente*? – spytał Bonello.

– Jeżeli je złapią, bezpieczniej im będzie w kupie ludzi niż samym – powiedziałem.

– Niech mi pan da dwieście lirów, to zawrócę prosto do Austriaków – rzekł Bonello.

– Zabraliby ci pieniądze – wtrącił Piani.

– Może to już koniec wojny – powiedział Aymo.

Szliśmy drogą najszybciej jak mogliśmy. Słońce usiłowało przedrzeć się przez chmury. Przy drodze rosły drzewa morwowe. Za nimi widać było oba nasze wielkie samochody zaryte w polu. Piani też się obejrzał.

– Będą musieli zbudować drogę, żeby je wyciągnąć – powiedział.
– Boże, jak ja bym chciał, żebyśmy mieli rowery! – westchnął Bonello.
– Czy w Ameryce jeżdżą na rowerach? – zapytał Aymo.
– Dawniej jeździli.
– U nas to jest wielka rzecz – powiedział Aymo. – Rower to coś wspaniałego.
– Boże, gdybyśmy mieli rowery! – powtórzył Bonello. – Ja tam nie jestem dobry piechur.

– Czy to nie strzały? – spytałem. Wydało mi się, że gdzieś daleko usłyszałem strzelaninę.

– Nie wiem – odparł Aymo. Nadstawił ucha.
– Zdaje się, że tak – powiedziałem.
– Najpierw zobaczmy kawalerię – rzekł Piani.
– Oni chyba nie mają kawalerii.
– Mam w Bogu nadzieję, że nie – powiedział Bonello. – Nie chciałbym, żeby mnie nadział na lancę jakiś... kawalerzysta.

– Ale pan kropnął tego sierżanta, *tenente!* – Rzekł Piani. Szliśmy szybko.
– To ja go zabiłem – wtrącił Bonello. – Na tej wojnie nie zabiłem nikogo, a przez całe życie marzyłem, żeby zabić sierżanta.

– Strzelałeś jak do stodoły – rzekł Piani. – Przecież nie biegł, kiedyś go zabił.
– Mniejsza z tym. To jest przynajmniej coś, co mi na zawsze zostanie w pamięci. Zabiłem tego sierżanta.

– A co powiesz na spowiedzi? – spytał Aymo.
– Powiem: pobłogosław mi ojciec, bo zabiłem sierżanta.
Wszyscy się roześmiali.
– On jest anarchista – powiedział Piani. – Nie chodzi do kościoła.
– Piani też jest anarchista – rzekł Bonello.
– Czy wy naprawdę jesteście anarchistami? – zapytałem.
– Nie, *tenente*. My jesteśmy socjaliści. Pochodzimy z Imoli.
– Nigdy pan tam nie był?
– Nie.
– To jest fajne miejsce, jak Boga kocham, *tenente*. Niech pan tam przyjedzie po wojnie, to panu coś niecoś pokażemy.

– Wszyscy jesteście socjalistami?
– Co do jednego.
– I mówicie, że miasto ładne?

– Cudowne. Nigdy pan takiego nie widział.

– Jak do tego doszło, że zostaliście socjalistami?

– Wszyscy jesteśmy socjalistami. Każdy jest socjalistą. Zawsze byliśmy socjalistami.

– Niech pan przyjedzie, *tenente*. I z pana też zrobimy socjalistę.

Droga skręcała w lewo, dalej był mały wzgórek, a na nim, za kamiennym murem, ogród owocowy pełen jabłoni. Gdy droga zaczęła piąć się pod górę, przestali rozmawiać. Szliśmy szybko, usiłując nadrobić stracony czas.

Rozdział VI

Niedługo potem znaleźliśmy się na drodze prowadzącej do rzeki. Przed mostem stał długi sznur porzuconych ciężarówek i wozów konnych. Nigdzie nie było widać ludzi. Rzeka była wezbrana, a most wysadzony w środku; kamienny łuk spadł do rzeki i teraz przepływała po nim brunatna woda. Szliśmy wzdłuż brzegu szukając miejsca, gdzie można by się przeprawić. Wiedziałem, że dalej jest most kolejowy, i przypuszczałem, że uda nam się przejść tam na drugi brzeg. Ścieżka była rozmokła i błotnista. Nie widzieliśmy nigdzie wojska, tylko porzucone ciężarówki i sprzęt. Na brzegu rzeki nie było nikogo i nic oprócz mokrych krzaków i grząskiej ziemi. Szliśmy dalej, aż wreszcie zobaczyliśmy most kolejowy.

– Jaki piękny most! – powiedział Aymo.

Był to zwykły, długi most żelazny, przerzucony nad wyschniętym zazwyczaj łożyskiem rzeki.

– Trzeba się pospieszyć i przejść, zanim go wysadzą – powiedziałem.

– Nie ma kto wysadzać – odrzekł Piani. – Wszyscy już sobie poszli.

– Pewnie jest podminowany – powiedział Bonello. – Niech pan idzie pierwszy, *tenente*.

– Patrzcie go, tego anarchistę! – zawołał Aymo. – Niech pan jemu każe iść na pierwszego.

– Ja pójdę – odparłem. – Nie może być tak podminowany, żeby wylecieć w powietrze pod jednym człowiekiem.

– Widzisz? – rzekł Piani. – To jest rozum. Dlaczego ty nie masz rozumu, anarchisto?

– Gdybym miał rozum, toby mnie tu nie było – odparł Bonello.

– Nieźle powiedział, *tenente* – rzekł Aymo.

– Nieźle – przytaknałem.

Byliśmy już blisko mostu. Niebo znowu się zachmurzyło i zaczął kropić deszcz. Most wydawał się długi i solidny. Wdrapaliśmy się na nasyp.

– Po jednym – rozkazałem i wszedłem na most. Przypatrywałem się podkładom i szynom, szukając wzrokiem ukrytych drutów czy innych oznak obecności materiału wybuchowego, ale nie zauważyłem nic. W dole, w szczelinach między podkładami, widać było płynącą wartko mętną rzekę. Przed sobą, za rozmokłymi polami, widziałem poprzez deszcz Udine. Przeszedłszy przez most obejrzałem się. Obok był drugi most. Kiedy tak

patrzyłem, przejechał po nim samochód koloru błota. Tamten most miał po bokach wysoką obudowę i znalazłszy się na nim samochód zniknął mi z oczu. Widziałem tylko głowy kierowcy, jadącego przy nim żołnierza i dwóch ludzi na tylnym siedzeniu. Wszyscy mieli niemieckie hełmy. Potem samochód zjechał z mostu i skrył się za drzewami i porzuconymi na drodze pojazdami. Dałem znak Aymowi i pozostałym, żeby przechodzili. Opuściłem się z nasypu kolejowego i przykucnąłem pod nim. Aymo zszedł do mnie.

– Widzieliście to auto? – zapytałem.

– Nie. Patrzyliśmy na pana.

– Przez tamten most przejechał niemiecki wóz sztabowy.

– Wóz sztabowy?

– Matko Święta!

Nadeszli pozostali i wszyscy przypadliśmy w błocie za nasypem, spoglądając ponad torem kolejowym na most, rząd drzew, rów i drogę.

– To pan myśli, że nas odcięli, *tenente*?

– Nie wiem. Wiem tylko tyle, że tamtą drogą przejechał niemiecki wóz sztabowy.

– Nie jest panu jakoś śmiesznie, *tenente*? Nie przychodzą panu do głowy dziwne myśli?

– Nie wygłupiajcie się, Bonello.

– Może byśmy coś wypili? – zaproponował Piani. – Jeżeli jesteśmy odcięci, to możemy się napić.

Odpiał manierkę i odkorkował ją.

Patrzcie! Patrzcie! – szepnął Aymo, wskazując w stronę drogi. Nad kamienną obudową mostu dostrzeegliśmy przesuujące się hełmy niemieckie. Były pochylone do przodu i sunęły niemal nadnaturalnie równo. Kiedy znaleźli się za mostem, zobaczyliśmy ich. Był to oddział cyklistów. Dojrzałem twarze dwóch pierwszych. Byli ogorzali i wyglądali zdrowo. Hełmy zachodziły im aż na oczy i policzki. Karabiny mieli przytroczone do ram rowerów. Zza pasów sterczały zatknięte trzonkami w dół ręczne granaty. Hełmy i siwe mundury były mokre od deszczu; jechali wolno, spoglądając przed siebie i na boki. Najpierw pokazało się dwóch, potem czterech, jeden obok drugiego, potem znów dwóch, dalej kilkunastu, znów kilkunastu – wreszcie jeden. Nie rozmawiali z sobą, ale i tak nie mogliśmy ich dosłyszeć poprzez szum rzeki. Zniknęli nam z oczu na drodze.

– Matko Święta! – powtórzył Aymo.

– To byli Niemcy, nie Austriacy – powiedział Piani.

– Dlaczego ich nikt nie zatrzyma? – odezwałem się. – Dlaczego nie wysadzono mostu? Dlaczego na tym nasypie nie ma karabinów maszynowych?

– Niech pan sam na to odpowie, *tenente* – rzekł Bonello.

Byłem wściekły.

– To jest zupełny obłąd, psiakrew! Tam wysadzają mały mostek, a tu zostawiają most na głównej szosie. Gdzie się wszyscy podziali? Czy w ogóle nie mają zamiaru ich zatrzymać?

– Niech pan sam na to odpowie, *tenente* – powtórzył Bonello.

Zamilkłem. To nie była moja sprawa; miałem jedynie rozkaz doprowadzić do Pordenone trzy sanitarki. Nie wykonałem zadania. Teraz nie pozostało mi już nic innego jak dotrzeć do Pordenone. A prawdopodobnie nie zdołam dostać się nawet do Udine. Jasne, psiakrew, że nie. Trzeba tylko zachować spokój i nie dać się zastrzelić ani wziąć do niewoli.

– Nie macie tam otwartej manierki? – zapytałem Pianiego. Podał mi ją. Pociągnąłem długi łyk. – Możemy się ruszać. – powiedziałem. – Ale nie ma gwałtu. Chcecie coś zjeść?

– Tu nie jest odpowiednie miejsce.

– Dobrze. To idziemy.

– Mamy się trzymać po tej stronie... żeby nas nie było widać?

– Lepiej będzie na górze. Mogą nadjechać także i tym mostem. Nie można pozwolić, żeby się na nas napatoczyli, zanim ich zobaczymy.

Szliśmy dalej torem kolejowym. Po obu stronach rozpościerała się zmoczona deszczem równina. Za nią, na wzgórzu, widać było Udine. Dachy miasta opadały po zboczu od stojącego na szczycie zamku. Widzieliśmy kampanilę i wieżę zegarową. Na polach rosło sporo drzew morwowych. Przed nami zauważyłem miejsce, gdzie szyny były zerwane. Wykopano także podkłady i zrzucono je z nasypu.

– Padnij! Padnij! – wykrzyknął Aymo. Przypadliśmy za nasypem. Droga jechała druga grupa cyklistów. Wyrzałem na nich zza krawędzi nasypu.

– Widzieli nas, ale przejechali – powiedział Aymo.

– Pozabijają nas tutaj, *tenente* – rzekł Bonello.

– My ich nie obchodzimy – odparłem. – Szukają czegoś innego. Byłoby gorzej, gdyby się nagle na nas natknęli.

– Ja bym wolał iść tędy, gdzie nas nie widać – powiedział Bonello.

– Dobrze. A my pójdziemy torami.

– Myśli pan, że się przedostaniemy? – zapytał Aymo.

- Jasne. Jeszcze ich nie ma tak wielu. Przejdziemy po ciemku.
- A co tu robił ten wóz sztabowy?
- Bóg go wie – odparłem.

Poszliśmy torem. Bonella zmęczyło brnięcie po błocie nasypu, więc przyłączył się do nas. Tor kolejowy odbiegał tu od szosy w kierunku południowym i nie mogliśmy zobaczyć, co po niej jedzie. Krótki mostek na jakimś kanale był wysadzony w powietrze, ale przeleźliśmy na drugą stronę po resztkach przęsła. Przed sobą słyszeliśmy strzały.

Za kanałem wróciliśmy na linię kolejową. Szła prosto do miasta poprzez nizinne pola. Przed sobą widzieliśmy tor drugiej linii. Na północ od nas była główna szosa, na której przedtem zobaczyliśmy cyklistów, a na południe biegła przez pola mała boczna droga, wysadzana gęsto drzewami. Pomyślałem, że lepiej byłoby skręcić na południe i obejść tamtędy miasto, a potem puścić się na przełaj ku Campofornino i traktowi wiodącemu do rzeki Tagliamento. Mogliśmy ominąć główny szlak odwrotu trzymając się za Udine bocznych dróg. Wiedziałem, że na równinie jest ich tam dużo. Zacząłem opuszczać się z nasypu.

– Chodźcie – powiedziałem. Chciałem dojść do bocznej drogi i przedostać się na południe od miasta.

Wszyscy zaczęliśmy schodzić z nasypu. Z bocznej drogi padł strzał w naszym kierunku. Kula utkwiała w błotnistym stoku nasypu.

– Z powrotem! – krzyknąłem. Zacząłem wspinać się na nasyp ślizgając się po błocie. Przede mną czołgali się kierowcy. Wydostałem się na wierzch, najszybciej jak mogłem. Dwa dalsze strzały padły z gęstych zarośli i Aymo, przechodząc przez szyny, potknął się, zachwiał i upadł na twarz. Przeciągnęliśmy go na drugą stronę i odwróciliśmy na wznak.

– Trzeba go położyć głową w górę – powiedziałem. Piani przekreślił go. Aymo leżał na błotnistym zboczu nasypu nogami w dół i oddychał nieregularnie, wyrzucając ustami krew. Wszyscy trzej przykucnęliśmy nad nim w deszczu. Dostał w nasadę karku i kula, przebiwszy się skosem do góry, wyszła pod prawym okiem. Skonał w chwili, gdy tamowałem krew płynącą z obu otworów. Piani złożył jego głowę na ziemi, otarł mu twarz kawałkiem podręcznego opatrunku i wstał.

- A sukinsyny! – powiedział.
- To nie byli Niemcy – odezwałem się. – Tam nie może być Niemców.
- Włosi! – rzekł Piani używając tego słowa jak epitetu. – *Italiani!*

Bonello milczał. Siedział przy Aymie, nie patrząc na niego. Piani podniósł czapkę Ayma, która stoczyła się z nasypu, i przykrył nią twarz zabitego. Wyciągnął manierkę.

– Chcesz się napić? – podał ją Bonellowi.
– Nie – odparł Bonello. Odwrócił się do mnie. – To mogło każdej chwili zdarzyć się nam na torach.

– Nie – powiedziałem. – To dlatego, że poszliśmy przez pole.

Bonello pokręcił głową.

– Aymo zabity – rzekł. – Kto następny, *tenente*? Gdzie teraz pójdziemy?

– To strzelali Włosi – powiedziałem. – To nie byli Niemcy.

– Gdyby tam byli Niemcy, to pewnie wybiliby nas wszystkich – rzekł Bonello.

– Więcej nam grozi od Włochów niż od Niemców – powiedziałem. – Straż tylna boi się własnego cienia. Niemcy wiedzą, o co im chodzi.

– Dobrze pan rozumuje, *tenente* – odparł Bonello.

– Gdzie teraz idziemy? – spytał Piani.

– Najlepiej poleźmy gdzieś, dopóki się nie ściemni. Gdybyśmy mogli przedostać się na południe, wszystko byłoby w porządku.

– Pewnie by nas powystrzelali co do jednego, aby dowieść, że mieli rację za pierwszym razem – rzekł Bonello. – Nie mam zamiaru próbować.

– Znajdziemy jakieś miejsce możliwie najbliżej Udine, przeczekamy tam, a jak się ściemni, pójdziemy dalej.

– No to chodźmy – powiedział Bonello. Zeszliśmy z północnego stoku nasypu. Obejrzałem się. Aymo leżał w błocie na pochyłości. Wydawał się zupełnie mały, ręce miał wyciągnięte wzdłuż boków, nogi w owijaczach i zabłoconych butach złożone razem, twarz przykrytą czapką. Był jakiś strasznie martwy. Padał deszcz. Lubilem Ayma może najbardziej ze wszystkich. Miałem w kieszeni jego papiery i zamierzałem napisać do rodziny.

Przed nami, za polem, widać było folwark. Wokoło rosły drzewa, a budynki gospodarskie przylegały do domu mieszkalnego. Wzdłuż piętra biegł balkon wsparty na kolumnach.

– Lepiej się trochę rozejdźmy – powiedziałem. – Ja pójdę pierwszy.

Ruszyłem w kierunku folwarku. Przez pola biegła ścieżka.

Idąc polem nie wiedziałem, czy ktoś nie strzeli do nas zza drzew rosnących przy budynkach albo z samego domu. Szedłem ku niemu, widząc go bardzo dokładnie. Balkon na piętrze łączył się ze stodołą i spomiędzy kolumn wylażała słoma. Podwórze było wykładane kamiennymi płytami, a wszystkie drzewa ociekały wodą. Stał tam duży, pusty wózek dwukołowy, którego dyszle sterczały wysoko w deszczu.

Minąłem podwórze i przystanąłem pod balkonem. Drzwi domu były otwarte, więc wszedłem do środka. Bonello i Piani zjawili się za mną. W domu było ciemno. Poszedłem do kuchni. Na wielkim kominie leżał popiół. Nad nim wisiały sagany, ale były puste. Rozglądałem się, lecz nie mogłem znaleźć nic do jedzenia.

– Trzeba położyć się w stodole – powiedziałem. – Może wam się uda znaleźć coś do jedzenia, Piani, i przynieść do stodoły.

– Poszukam – odparł Piani.

– I ja też – dodał Bonello.

– Dobrze – powiedziałem. – A ja pójdę obejrzeć stodołę.

Znalazłem kamienne schody prowadzące na górę z obory. Po deszczu pachniało w oborze sucho i przyjemnie. Bydła nie było; zapewne je wypędzili, wyjeżdżając. Stodoła była do połowy wypełniona sianem. Miała dwa okna w dachu; jedno zabite deskami i drugie wąskie, mansardowe, od strony północnej. Była tu także zsuwnia do zrzucania siana dla bydła. Belki przechodziły na dół przez otwór w podłodze, pod który podjeżdżały fury z sianem, aby je podawać na górę. Słyszałem dudnienie deszczu po dachu, czułem woń siana, a zszedłszy na dół – czysty zapach suchego nawozu w oborze. Mogliśmy podważyć jedną z desek w południowym okienku i wyrzeć na podwórze. Drugie okno wychodziło na pole po stronie północnej. Gdyby nie dało się zejść schodami, moglibyśmy wydostać się przez jedno albo drugie na dach, a stamtąd na ziemię, albo też ześliznąć się po zsuwni. Stodoła była duża i usłyszawszy czyjeś kroki mogliśmy zakopać się w sianie. Miejsce wydawało mi się dobre. Byłem przekonany, że mogliśmy się przedrzeć na południe, gdyby nie to, że zaczęli do nas strzelać. Niemożliwe, żeby tam byli Niemcy. Nadchodzili z północy, drogą od Cividale. Nie mogli się przebić od południa. Włosi byli jeszcze niebezpieczniejsi. Mieli stracha i strzelali do wszystkiego, co się pokazało.

Poprzedniego wieczora podczas odwrotu słyszeliśmy, że na północy wielu Niemców w mundurach włoskich wmieszało się do kolumn marszowych. Nie wierzyłem w to. Była to jedna z rzeczy, które zawsze słyszy się na wojnie. Jedna z rzeczy, które zawsze robi nam nieprzyjaciel. Nikt u nas nie słyszał, żeby ktoś przeszedł na tamtą stronę w mundurze niemieckim, aby wprowadzić u nich zamęt. Nie wierzyłem, żeby Niemcy to robili. Nie uważałem, żeby musieli. Nie mieli potrzeby wprowadzać zamętu w nasz odwrot. Sprawiała to już liczebność naszej armii i skąpa liczba szos. Nikt nam nie wydawał rozkazów, a już tym bardziej Niemcy. Mimo to mogli nas zastrzelić jako Niemców. Zastrzelili przecież Ayma. Siano pachniało przyjemnie i to leżenie w stodole na sianie jakby przenosiło człowieka wiele lat wstecz. Kiedyś leżało się tak na sianie, gadało i strzelało z wiatrówki do wróbli, które siadały w trójkącie wyciętym w ścianie

stodoły. Teraz ta stodoła już nie istniała, pewnego roku wycięli lasy jodłowe i tam, gdzie był las, zostały tylko pniaki, uschnięte korony drzew, gałęzie i chwasty.

Nie sposób było zawrócić. Co by się stało, gdybyś nie poszedł naprzód? Nie wróciłbyś do Mediolanu. A gdybyś wrócił do Mediolanu, to co wtedy? Słuchałem strzelaniny w kierunku północnym, pod Udine. Słyszałem karabiny maszynowe. Artyleria milczała. W tym coś było. Jakieś oddziały musiały przedostać się do szosy. Spojrzałem w dół i w półmroku stodoły zobaczyłem Pianiego stojącego na klepisku. Trzymał długą kielbasę, dzbanek pełen czegoś i dwie butelki wina pod pachą.

– Wejdźcie na górę – powiedziałem. – Tam jest drabina. – Potem uświadomiłem sobie, że powinienem mu pomóc, więc zszedłem na dół. Byłem otumaniony od leżenia w sianie. O mało nie zasnąłem. – Gdzie Bonello? – spytałem.

– Zaraz panu powiem – odrzekł.

Weszliśmy na górę po drabinie. Rozłożyliśmy jedzenie na sianie. Piani wyjął scyzoryk z korkociągiem i odkorkował butelkę.

– Zalakowana – powiedział. – To musi być coś dobrego. – Uśmiechnął się.

– Gdzie Bonello? – powtórzyłem.

Piani popatrzył na mnie.

– Poszedł sobie, *tenente* – odpowiedział – Chciał oddać się do niewoli.

Milczałem.

– Bał się, że go zabiją.

Trzymałem butelkę wina, nic nie mówiąc.

– Widzi pan, my nie wierzymy w wojnę, *tenente*.

– A dlaczegoście wy sami nie odeszli? – spytałem.

– Nie chciałem pana zostawić.

– Dokąd on poszedł?

– Nie wiem, *tenente*. Poszedł sobie.

– Dobrze – powiedziałem. – Pokroicie tę kielbasę?

Piani popatrzał na mnie w półmroku.

– Pokroiłem ją, kiedyśmy rozmawiali – odparł.

Siedzieliśmy na sianie, jedząc kielbasę i popijając winem. Musiało to być wino, które tu chowali na wesele. Było tak stare, że już traciło kolor.

– Wyjrzyjcie przez to okno, Luigi – powiedziałem. – Ja wyjrzę przez drugie.

Piliśmy z osobnych butelek, zabrałem więc swoją, odszedłem na bok, położyłem się płasko na sianie i przez wąskie okienko wyjrzałem na mokre pola. Nie wiem, co spodziewałem się zobaczyć, ale nie ujrzałem nic oprócz pól, nagich drzew morwowych i

padającego deszczu. Wypiłem wino, ale nie poczułem się lepiej. Za długo je trzymali i popsuło się, straciło smak i kolor. Patrzyłem, jak na dworze się zmierzcha; mrok zapadał bardzo szybko. Przy takim deszczu noc powinna być bardzo ciemna. Kiedy się już ściemniło, nie było celu dłużej wypatrywać, toteż wróciłem do Pianiego. Zasnął, więc nie budziłem go, tylko siedziałem przy nim przez chwilę. Był tęgim mężczyzną i sen miał twardy. Po pewnym czasie zbudziłem go i ruszyliśmy w drogę.

Była to bardzo dziwna noc. Nie wiem, czego się spodziewałem, może śmierci i strzelaniny w ciemnościach, i uciekania, ale nie zdarzyło się nic. Leżąc płasko za rowem przy głównej szosie, odczekaliśmy, aż przeszedł jakiś batalion niemiecki, potem przekroczyliśmy szosę i udaliśmy się ku północy. Dwa razy wśród deszczu znaleźliśmy się blisko Niemców, ale nas nie zauważyli. Wyminąwszy miasto, szliśmy na północ, nie spotykając żadnych Włochów, a po jakimś czasie natrafiiliśmy na główne szlaki odwrotu i przez całą noc maszerowaliśmy w stronę Tagliamento. Nie zdawałem sobie dotychczas sprawy, jak gigantyczny jest ten odwrót. Razem z armią odpływał cały kraj. Maszerowaliśmy przez całą noc w tempie lepszym niż pojazdy. Bolała mnie noga, byłem zmęczony, ale czas mieliśmy dobry. Wydawało się strasznie głupie, że Bonello postanowił iść do niewoli. Nie było żadnego niebezpieczeństwa. Przeszliśmy bez wypadku poprzez dwie armie. Gdyby nie to, że zginął Aymo, nie mielibyśmy w ogóle wrażenia, że coś nam grozi. Nikt nas nie zaczepiał, kiedyśmy szli, dobrze widoczni, po torze. Śmierć przyszła nagle i bezsensownie. Zastanawiałem się, gdzie teraz jest Bonello.

– Jak pan się czuje, *tenente*? – zapytał Piani.

Szliśmy skrajem drogi zatłoczonej pojazdami i wojskiem.

– Doskonale.

– Ja mam już dość tego chodzenia.

– No cóż; teraz nie mamy nic innego do roboty. Nie musimy o nic się martwić.

– Bonello był głupi.

– Ano tak, głupi.

– Co pan robi w jego sprawie, *tenente*?

– Nie wiem.

– Nie mógłby pan zwyczajnie podać, że został wzięty do niewoli?

– Nie wiem.

– Bo widzi pan, jeżeli wojna jeszcze potrwa, mogą narobić grubych przykrości jego rodzinie.

– Wojny już nie będzie – odezwał się jakiś żołnierz. – Idziemy do domu. Wojna skończona.

– Każdy z nas pójdzie do domu.
– Wszyscy idziemy.
– Chodźmy, *tenente* – rzekł Piani. Chciał ich wyminąć.
– *Tenente?* Który tu jest *tenente*? *A basso gli ufficiali!* Precz z oficerami!
Piani wziął mnie pod rękę.
– Lepiej, żebym do pana mówił po nazwisku – powiedział. – Mogą zrobić jakąś awanturę. Już zastrzelili kilku oficerów.
Wyminęliśmy tamtych.
– Nie złożę takiego raportu, który by spowodował przykrości dla jego rodziny – podjąłem naszą rozmowę.
– Jeżeli wojna jest skończona, to i tak wszystko jedno – odrzekł Piani. – Ale nie wierzę, żeby się skończyła. To byłoby za piękne.
– Niedługo się dowiemy – powiedziałem.
– Nie wierzę, żeby się skończyła. Wszyscy myślą, że tak, ale ja w to nie wierzę.
– *Viva la pace!** – krzyknął jakiś żołnierz. – Idziemy do domu!
– Dobrze byłoby, gdybyśmy wszyscy poszli – rzekł Piani.
– A pan nie chciałby pójść do domu?
– Chciałbym.
– Ale nie pójdziemy. Nie zdaje mi się, żeby już było po wszystkim.
– *Andiamo a casa!** – zawołał inny żołnierz.
– Rzucają karabiny – zauważył Piani. – Zdejmują je i upuszczają na ziemię podczas marszu. A potem krzyczą.
– Powinni je zachować.
– Myślą, że jak rzuca broń, to ich nie zmuszą do walki.
Maszerując tak bokiem szosy, pośród ciemności i deszczu, widziałem, że wielu żołnierzy wciąż jeszcze ma karabiny. Sterczały im nad pelerynami.
– Wy z której brygady? – zawołał jakiś oficer.
– *Brigata di Pace!* – odkrzyknął ktoś. – Brygada Pokoju.
Oficer nic nie odpowiedział.
– Co on mówi? Co mówi ten oficer?
– Precz z oficerem! *Viva la pace!*
– Chodźmy – powiedział Piani. Minęliśmy dwie sanitarki brytyjskie porzucone w zatorze pojazdów.

* *viva la pace!* (wł.) - niech żyje pokój!

* *andiamo a casa* (wł.) - idziemy do domu.

- One są z Gorycji – rzekł Piani. – Znam te wozy.
- Dojechali dalej niż my.
- Bo wcześniej wyruszyli.
- Ciekawe, gdzie są kierowcy.
- Pewnie dalej przed nami.
- Niemcy zatrzymali się przed Udine – powiedziałem. – Ci wszyscy przedostaną się za rzekę.
- Tak – odparł Piani. – Dlatego myślę, że wojna będzie trwała dalej.
- Niemcy mogliby tu przyjść – powiedziałem. – Ciekawy jestem, dlaczego tego nie robią.
- Nie wiem. W ogóle nie rozumiem się na takiej wojnie.
- Pewnie muszą zaczekać na tabory.
- Czy ja wiem – odpowiedział Piani. W pojedynkę zachowywał się znacznie spokojniej. Przy kolegach był wielkim krzykaczem.
- Czy wy jesteście żonaci, Luigi?
- Pan wie, że tak.
- Dlatego nie chcieliście dostać się do niewoli?
- To jedna z przyczyn. A pan jest żonaty, *tenente*?
- Nie.
- Bonello też nie.
- Z tego, że ktoś jest żonaty, jeszcze nic nie wynika. Ale przypuszczam, że żonaty mężczyzna musi chcieć wrócić do żony – powiedziałem. Przyjemnie mi było rozmawiać o żonach.
- Aha.
- Jak wasze nogi?
- A bolą porządnie.

Przed świtem dotarliśmy do brzegu Tagliamento i ruszyliśmy wzdłuż wezbranej rzeki do mostu, przez który przeprawiała się cała kolumna.

– Powinni jakoś utrzymać się na tej rzece – rzeki Piani. Po ciemku wody wydawały się silnie wezbrane. Kłębiły się i rozlewały szeroko. Drewniany most miał prawie trzy czwarte mili długości, a rzeka, zazwyczaj płynąca wąskimi kanałami po szerokim kamienistym łóżysku daleko w dole pod mostem, teraz nieomal sięgała jego desek. Podeszliśmy brzegiem, a potem wcisnęliśmy się w tłum przechodzący przez most. Idąc powoli w deszczu, o kilka stóp ponad wezbraną wodą, ściśnięty w tłoku, mając tuż przed sobą pudło jaszczka artyleryjskiego, patrzyłem przez poręcz na rzekę. Teraz, kiedy

nie można już było iść swobodnie, czułem wielkie zmęczenie. Nie było nic radosnego w tym przekraczaniu mostu. Zastanawiałem się, co by się stało, gdyby w dzień zbombardował go samolot.

– Piani – powiedziałem.

– Jestem, *tenente*.

Szedł w ścisku, nieco przede mną. Nikt nie rozmawiał. Wszyscy starali się przejść jak najprędzej na drugą stronę i myśleli jedynie o tym. Byliśmy już prawie za mostem. Na jego drugim końcu stali z obu stron oficerowie i karabinierzy, błyskając latarkami. Widziałem ich sylwetki na tle nieba. Kiedy podeszliśmy bliżej, zauważyłem, że jeden z oficerów wskazuje kogoś z kolumny. Karabinier wcisnął się w tłum i wrócił, trzymając tamtego za ramię. Sprowadził go na bok z drogi. Byliśmy już prawie naprzeciw nich. Oficerowie obserwowali każdego z przechodzących, czasem zagadywali coś do siebie, podchodzili, aby błysnąć latarką w czyjąś twarz. Zanim doszliśmy do nich, wyciągnęli jeszcze kogoś z kolumny. Zobaczyłem tego człowieka. Był to podpułkownik. Kiedy go oświetlili latarką, dojrzałem gwiazdki na rękawie. Włosy miał siwe, był przysadzisty i tłusty. Karabinier wciągnął go poza szereg oficerów. Gdy znaleźliśmy się przed nimi, zauważyłem, że paru spojrzęło na mnie. A potem któryś wskazał mnie palcem i powiedział coś do karabiniera. Spostrzegłem, że karabinier rusza do mnie; przecisnął się przez skraj kolumny i poczułem, że chwyta mnie za kołnierz.

– Co wy sobie myślicie? – zawołałem i trzasnąłem go na odlew. Pod kapeluszem zobaczyłem jego twarz, podkręcone wąsiki i krew ściekającą po policzku. Drugi skoczył w tłum ku nam.

– Co wy sobie myślicie? – powtórzyłem. Nie odpowiedział. Szukał sposobności, żeby mnie pochwycić. Sięgnąłem za siebie po pistolet.

– Nie wiecie, że wam nie wolno tknąć oficera?

Drugi złapał mnie z tyłu za rękę i szarpnął tak, że wykręcił ją w stawie. Obróciłem się razem z nim, a wtedy tamten chwycił mnie za szyję. Kopnąłem go w goleń i uderzyłem lewym kolaniem w pachwinę.

– Zastrzelić go, jeżeli będzie się opierał! – usłyszałem czyjś głos.

– Co to znaczy?! – usiłowałem krzyknąć, ale mój głos nie zabrzmiał zbyt donośnie. Ściągnęli mnie już z drogi.

– Zastrzelić go, jeśli będzie się opierał – powtórzył jakiś oficer. – Odprowadzić go do tyłu.

– Kto wy jesteście?

– Zaraz się dowiecie.

– Kto jesteście?

– Żandarmeria polowa – odpowiedział inny oficer.

– Dlaczego nie poprosicie, żebym wystąpił, zamiast nasyłać na mnie tych aeroplanów*?

Nie odpowiedzieli. Nie musieli odpowiadać. Byli żandarmerią polową.

– Odprowadzić go do tamtych – rzekł pierwszy oficer. – Widzicie? Mówi po włosku z akcentem.

– Ty też, draniu jeden – odparłem.

– Odprowadźcie go do tamtych – powtórzył pierwszy oficer.

Poprowadzili mnie za szereg oficerów, ku grupce stojącej poniżej drogi, na polu nad brzegiem rzeki. Kiedyśmy szli ku nim, rozległy się strzały. Ujrzałem błyski i usłyszałem huk.

Podeszliśmy do grupki. Stało tu czterech oficerów, a przed nimi jakiś mężczyzna między dwoma karabinierami. Nieopodal karabinierzy pilnowali kilku ludzi. Czterech innych karabinierów, opartych na broni, stało przy prowadzących śledztwo oficerach. Mieli szerokie kapelusze. Ci dwaj, którzy mnie trzymali, popchnęli mnie do grupy czekającej na śledztwo. Spojrzałem na mężczyznę, którego przesłuchiwali oficerowie. Był to ten tłusty, siwy, niski podpułkownik, którego wyciągnęli z kolumny. Przesłuchujących cechowała sprawność, chłód i opanowanie właściwe Włochom, którzy sami strzelają, a nie są narażeni na strzały.

– Z której brygady?

Odpowiedział.

– Który pułk?

Odpowiedział.

– Dlaczego pan nie jest przy swoim pułku?

Odpowiedział.

– Nie wie pan, że oficer powinien być przy swoim oddziale?

Odparł, że wie.

To było wszystko. Odezwał się inny oficer:

– To właśnie pan i tacy jak pan wpuścili barbarzyńców na naszą świętą ziemię ojczystą.

– Przepraszam... – zaczął podpułkownik.

– To przez taką zdradę jak pańska utraciliśmy owoce zwycięstwa.

* aeroplanów - "Aeroplanami" przezywano karabinierów z powodu noszonych przez nich kapeluszy o szerokich kresach.

– A czy pan kiedy się cofał? – zapytał podpułkownik.

– Italia nie powinna cofać się nigdy.

Staliśmy na deszczu, przysłuchując się temu, co się działo. Mieliśmy naprzeciw siebie oficerów, a zatrzymany stał przed nami, nieco z boku.

– Jeżeli macie mnie rozstrzelać – powiedział podpułkownik – proszę zrobić to od razu, bez dalszych pytań. To przesłuchiwanie jest głupie.

Przeżegnał się. Oficerowie naradzili się; jeden napisał coś na bloczku papieru.

– Opuścił swój oddział, skazany na rozstrzelanie – powiedział.

Dwaj karabinierzy odprowadzili podpułkownika nad rzekę. Szedł w deszczu, stary, z obnażoną głową, pomiędzy dwoma karabinierami. Nie patrzyłem, jak go rozstrzelali, ale słyszałem strzały. Tamci przesłuchiwali już innego. I ten oficer także odłączył się od swoich oddziałów. Nie pozwolono mu złożyć wyjaśnień. Płakał, kiedy odczytywali mu wyrok z owego bloczka papieru, a gdy go rozstrzelano, tamci odbierali już zeznania od kogoś innego. Umyślnie starali się skupić na przesłuchiwaniu następnego, kiedy rozstrzelano tego, którego badano przed chwilą. W ten sposób stwarzali wrażenie, że nic na to nie mogą poradzić.

Nie wiedziałem, czy czekać na przesłuchanie, czy wyrwać się od razu. Najwyraźniej brali mnie za Niemca we włoskim mundurze. Widziałem jasno, jak pracowały ich mózgi, jeżeli mieli mózgi i jeżeli te mózgi pracowały. Byli to wszystko ludzie młodzi i zbawiali swoją ojczyznę. Druga armia reorganizowała się za Tagliamento. Dokonywali egzekucji na oficerach od stopnia majora, którzy odłączyli się od swoich oddziałów. Prócz tego załatwiali się krótko z niemieckimi prowokatorami we włoskich mundurach. Na głowach mieli stalowe hełmy. Z nas tylko dwóch miało hełmy. Mieli je także niektórzy karabinierzy. Inni nosili szerokie kapelusze. Dlatego nazywaliśmy ich aeroplanami. Staliśmy na deszczu, a karabinierzy prowadzili nas po jednym na przesłuchanie. Jak dotąd, rozstrzelali wszystkich przesłuchanych. Prowadzących śledztwo cechowała ta piękna obojętność i żarliwe oddanie surowej sprawiedliwości, właściwe ludziom, którzy obcuja ze śmiercią, nie będąc na nią narażeni. Przepytawali właśnie pułkownika z pułku liniowego. Przed chwilą przyprowadzono do nas trzech następnych oficerów.

– Gdzie pański pułk?

Spojrzałem na karabinierów. Patrzyli na nowo przybyłych. Inni przyglądali się pułkownikowi. Schyliłem się nagle, rozepchnąłem dwóch ludzi i pognałem ku rzece, z głową wtuloną w ramiona. Na krawędzi brzegu potknąłem się i chlupnąłem w wodę. Była bardzo zimna, ale pozostałem pod nią, najdłużej jak mogłem. Czuję, że okręcił mną

prąd, ale siedziałem pod wodą póty, póki nie wydało mi się, że za chwilę nie zdołam wypłynąć. Wynurzywszy się, zaczerpnąłem tchu i natychmiast zanurkowałem znowu. Łatwo było utrzymać się pod wodą w tak ciężkim ubraniu i butach. Gdy wypłynąłem po raz drugi, zobaczyłem przed sobą kawał pnia, więc uchwyciłem go jedną ręką. Nie wystawiałem zza niego głowy i nawet nie zerknąłem ponad nim ani razu.

Nie miałem ochoty patrzeć na brzeg. Słyszałem strzały, kiedy biegłem, i później, kiedy wypłynąłem po raz pierwszy. Słyszałem je, wynurzając się nad wodę. Teraz już nie strzelali. Pień kołysał się w prądzie, a ja trzymałem się go jedną ręką. Spojrzałem na brzeg. Wydawało mi się, że szybko ucieka w tył. Rzeką płynęło sporo drewna. Woda była bardzo zimna. Minąłem zarośla jakiejś wysepki sterczącej nad wodą. Trzymałem pień oburącz i pozwalałem mu się unosić. Brzeg zniknął mi już z oczu.

Rozdział VII

Nie wiadomo, jak długo przebywa się w wodzie, kiedy prąd płynie wartko. Wydaje się to długo, a może być bardzo krótko. Woda była zimna i wezbrana, a obok mnie przepływało wiele przedmiotów, które rozlana rzeka zmyła z brzegów. Na szczęście mogłem trzymać się ciężkiego pnia; wyciągnąłem się w lodowatej wodzie, oparłem brodę o pień i trzymałem się oburącz, najswobodniej jak mogłem. Obawiałem się kurczów i miałem nadzieję, że podpłyniemy razem do brzegu.

Zatoczyłem długi łuk spływając rzeką. Zaczynało się już na tyle rozwidniać, że widziałem rosnące wzdłuż niej krzaki. Przedemną ukazała się jakaś kępa i prąd zniósł mnie ku niej. Zastanawiałem się, czyby nie zrzucić butów i ubrania i nie spróbować dopłynąć do brzegu, ale postanowiłem tego nie robić. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że jakimś sposobem dostanę się na brzeg, a byłbym w niekorzystnym położeniu, gdybym wylądował boso. Musiałem przecież dojść jakoś do Mestre.

Patrzyłem, jak brzeg się zbliża, potem oddala, potem przybliża znowu. Znosiło mnie teraz dużo wolniej i był już bardzo blisko. Widziałem gałązki wierzby. Mój pień okręcił się powoli, tak że brzeg znalazł się za mną, i pojąłem, że wpadłem w wir. Z wolna okręciliśmy się w koło. Ujrawszy znowu brzeg, teraz już zupełnie blisko, spróbowałem przytrzymać się pnia jedną ręką i podpłynąć, zagarniając wodę drugą i pomagając sobie nogami. Jednakże nie zbliżyłem się ani trochę. Obawiałem się, że pień wypadnie z wiru, więc trzymając go jedną ręką, podciągnąłem do niego stopy i odepchnąłem się mocno w stronę brzegu. Widziałem już zarośla, ale choć płynąłem z rozpędu co sił, prąd wciąż mnie znosił. Przyszło mi wtedy do głowy, że utonę przez swoje buty, ale dalej zagarniałem gwałtownie wodę i parłem naprzód, a kiedy podniosłem głowę, spostrzegłem, że brzeg jest coraz bliżej, więc zacząłem bić rękami, ogarnięty popłochem, ciężkonogi, póki do niego nie dotarłem. Uwiesiłem się u gałęzi wierzby i choć nie miałem siły podciągać się w górę, wiedziałem już, że nie utonę. Kiedy płynąłem z pniem, ani razu nie przyszło mi do głowy, że mogę utonąć. W żołądku i w piersiach czułem pustkę, mdliło mnie z wysiłku, trzymałem się więc gałęzi i czekałem. Kiedy minęły mdłości, wciągnąłem się między wierzbinę i znowu chwilę odpocząłem, obejmując oburącz jakiś krzak i ściskając mocno gałęzie. Potem wyczołgałem się i przecisnąłem przez zarośla na brzeg. Było jeszcze szaro i nie zobaczyłem nikogo. Wyciągnąłem się na ziemi, słuchając szumu rzeki i deszczu.

Po jakimś czasie wstałem i ruszyłem brzegiem przed siebie. Wiedziałem, że na rzece nie ma mostu aż do Latisany. Przypuszczałem, że muszę być gdzieś na wysokości San Vito. Zacząłem się zastanawiać, co robić. Przede mną był rów biegnący do rzeki. Poszedłem ku niemu. Jak dotąd nie widziałem nikogo; usiadłem pod krzakami rosnącymi nad rowem, zdjąłem buty i wylałem z nich wodę. Ściągnąłem mundur, wyjąłem z wewnętrznej kieszeni przemoczony portfel z dokumentami i pieniędzmi, po czym wyjąłem kurtkę. Zdjąłem też i wyjąłem spodnie, a potem koszulę i bieliznę. Zacząłem klepać się dłońmi po ciele, następnie roztarłem się i ubrałem na powrót. Zgubiłem gdzieś czapkę.

Zanim włożyłem kurtkę, odprułem z rękawów sukienne gwiazdki i schowałem je do wewnętrznej kieszeni razem z pieniędzmi. Pieniądze były mokre, ale nie uszkodzone. Przeliczyłem je. Miałem z górą trzy tysiące lirów. Przemoczone ubranie lepiło się do ciała, więc zabijałem ręce, żeby podtrzymać krążenie. Miałem wełnianą bieliznę i przypuszczałem, że się nie przeziębnię, jeżeli będę wciąż w ruchu. Tamci na szosie odebrali mi pistolet, więc schowałem kaburę pod kurtkę. Nie miałem peleryny i było mi zimno na deszczu. Zrobiło się widno, okolica była wilgotna, nizinna i ponura, pola gołe i mokre, a w oddali widziałem kampanilę sterczącą nad równiną.

Doszedłem do jakiejś drogi. Zobaczyłem idące nią wojsko. Powlokłem się jej skrajem, a tamci przeszli, nie zwracając na mnie uwagi. Mieli ze sobą karabiny maszynowe i zmierzali ku rzece. Ruszyłem dalej drogą.

Tego dnia przeszedłem przez równinę wenecką. Jest to kraj nizinny i poziomy, a w deszczu wydaje się jeszcze bardziej płaski. Bliżej morza są tam saliny i bardzo mało dróg. Wszystkie biegną ku morzu wzdłuż ujść rzek i aby przedostać się przez te tereny, trzeba iść ścieżkami obok kanałów. Posuwałem się na przełaj z północy na południe, przekroczyłem dwie linie kolejowe i kilka dróg i wreszcie na końcu jakiejś ścieżki natrafiłem na tor kolejowy przechodzący obok bagien. Była to główna linia Wenecja – Triest, zbudowana na masywnym, wysokim nasypie, dobrze wyźwirowana, dwutorowa. Nieco dalej przy torze był przystanek i dostrzegłem tam żołnierzy stojących na warcie. Po przeciwnej stronie widziałem mostek na strumieniu, który wpływał w bagna. Na tym mostku też stał wartownik. Idąc polami na północ zauważyłem przejeżdżający tą linią pociąg, widoczny z daleka nad płaską równiną, i pomyślałem, że może tu przyjeść pociąg z Portogruaro. Obserwowałem wartowników, położywszy się tak na nasypie, żeby mieć widok w obie strony wzdłuż toru.

Wartownik stojący na moście przeszedł kawałek torem ku miejscu, gdzie leżałem, po czym zawrócił. Byłem głodny; leżałem, czekając na pociąg. Ten, który widziałem

przedtem, był tak długi, że lokomotywa ciągnęła go bardzo powoli i z pewnością udałoby mi się wskoczyć. Kiedy już prawie straciłem nadzieję, zobaczyłem, że nadjeżdża. Parowóz szedł prosto na mnie i z wolna rósł w oczach. Spojrzałem na wartownika przy moście. Przechadzał się przy jego bliższym końcu, ale po drugiej stronie torów. Dzięki temu przejeżdżający pociąg musi mnie przed nim zasłonić. Patrzyłem na zbliżającą się lokomotywę. Pracowała z wysiłkiem. Widziałem, że ciągnie wiele wagonów. Zdawałem sobie sprawę, że w pociągu będą strażnicy i usiłowałem ich wypatrzeć, ale nie mogłem, ponieważ sam nie chciałem się pokazywać. Lokomotywa była już blisko miejsca, gdzie leżałem. Kiedy znalazła się nade mną, dysząc i sapiąc, choć tor był tutaj poziomy, i kiedy minął mnie już maszynista, wstałem i podsunąłem się do przejeżdżających wagonów. Jeżeli strażnicy czuwali, powinienem był wydać się im mniej podejrzany, stojąc przy torze. Przejechało kilka wagonów towarowych. A potem dostrzegłem niską, przykrytą brezentem, otwartą platformę tego typu, który nazywają gondolami. Wczekałem do chwili, gdy już mnie prawie minęła, i wtedy skoczyłem, uchwyciłem się tylnych poręczy i podciągnąłem w górę. Wpełzłem między gondolę a jadący za nią wysoki wagon towarowy. Nie przypuszczałem, żeby mnie ktoś zauważył. Trzymałem się poręczy, przykucnąwszy na złączu. Byliśmy już prawie na moście. Przypomniałem sobie o wartowniku. Kiedyśmy go mijali, spojrzał na mnie. Był to młody chłopiec i miał za duży hełm. Popatrzyłem na niego pogardliwie, a on odwrócił wzrok. Prawdopodobnie myślał, że należę do obsługi pociągu.

Przejechaliśmy. Widziałem, że wartownik wciąż przypatruje się niepewnie innym mijającym go wagonom. Pochyliłem się, aby sprawdzić, jak jest umocowana plandeka. Miała u brzegów pierścienie i przywiązana była przewleczoną przez nie linką. Wyjąłem scyzoryk, przeciąłem linkę i wsunąłem pod spód rękę. Coś twardego sterczało pod plandeką naprężoną od deszczu. Rozejrzałem się. Na sąsiednim wagonie towarowym stał strażnik, ale patrzył przed siebie. Puściłem poręczę i dałem nura pod plandekę. Uderzyłem o coś gwałtownie czołem, na twarzy poczułem krew, ale wpełzłem do środka i położyłem się płasko. Potem odwróciłem się i przymocowałem plandekę na powrót.

Znalazłem się pod nią obok dział. Pachniało czysto oliwą i smarem. Leżałem, przysłuchując się bębnieniu deszczu o brezent i stukotowi kół na szynach. Przenikało tu trochę światła, a ja patrzyłem na działa. Stały w brezentowych pokrowcach. Pomyślałem, że pewnie wysłali je na linię z trzeciej armii. Guz na czole obrzmiał; powstrzymałem krwawienie, leżąc bez ruchu, ażeby zakrzepło, a potem usunąłem zaschniętą krew z okolic skaleczenia. To było głupstwo. Nie miałem chusteczki, ale palcami obmyłem czoło z resztek zaschniętej krwi wodą deszczową, która skapywała z plandeki i wytarłem do

sucha rękawem. Nie chciałem rzucać się w oczy. Wiedziałem, że trzeba będzie wysiąść przed Mestre, bo przyjdą zająć się tymi działami. Nie mieli tylu dział, żeby móc o nich zapomnieć czy machnąć na nie ręką. Byłem straszliwie głodny.

Rozdział VIII

Leżałem pod plandeką na podłodze wagonu obok armat, byłem przemoczony, zziębnięty i bardzo głodny. Wreszcie przekręciłem się, wyciągnąłem płasko na brzuchu i złożyłem głowę na rękach. Kolano mi zeszywniało, ale spisało się zupełnie dobrze. Valentini zrobił pierwszorzędną robotę. Z tym jego kolaniem dokonałem połowy odwrotu pieszo i przepłynąłem kawał Tagliamento. Bo było to niewątpliwie jego kolano. Drugie było moje. Doktorzy robią nam różne rzeczy i potem to już nie jest nasze ciało. Moja była głowa i wnętrze żołądka. Tam czułem wielki głód. Czułem, jak wszystko się we mnie skręca. Głowa była moja, ale niezdatna do posługiwania się nią, do myślenia, tylko do wspomnienia i to nie za wiele.

Mogłem wspominać Catherine, ale wiedziałem, że zwariuję, jeżeli będę o niej myślał, nie mając jeszcze pewności, czy ją zobaczę, więc nie chciałem myśleć, tylko tak trochę, tak o niej, w takt jadącego wolno, stukoczącego pociągu, w półmroku pod plandeką z Catherine obok mnie na podłodze wagonu. Twardo mi było leżeć na tej podłodze, nie myśląc, tylko czując, ze świadomością, że zbyt długo byłem z dala od Catherine; podłoga co chwila poruszała się lekko, a ja leżałem samotny, pusty wewnątrz, w przemoczonym ubraniu, mając tę twardą podłogę za żonę.

Nie można kochać podłogi wagonu ani dział obciążonych brezentem, ani zapachu nawazelinowanego metalu, ani plandeki, przez którą przecieka deszcz, choć bardzo dobrze jest pod plandeką i miło przy działach. Ale kochasz przecież kogoś innego i już wiesz, iż niepodobna udawać nawet przed samym sobą, że ten ktoś tu jest; dostrzegasz to teraz bardzo jasno i chłodno – czy może nie tyle chłodno, co jasno i z uczuciem pustki. Odczuwasz tę pustkę, leżąc na brzuchu, po obejrzeniu na własne oczy odwrotu jednej armii i marszu naprzód drugiej. Straciłeś samochody i ludzi, podobnie jak kierownik wielkiego magazynu traci towary w pożarze. Tylko że tu nic nie było ubezpieczone. Teraz nie masz z tym nic wspólnego. Nie ma żadnych dalszych zobowiązań. Jeżeli po pożarze wielkiego magazynu rozstrzeliwuje się kierowników za to, że mówią akcentem, który zawsze mieli, to z pewnością nie można się spodziewać ich powrotu po ponownym otwarciu przedsiębiorstwa. Mogą poszukać innego zajęcia, jeżeli takie istnieje, a ich samych nie zatrzyma policja.

Rzeka zmyła gniew wraz ze wszelkimi zobowiązaniami. Chociaż właściwie ustały one z chwilą, gdy karabinier położył mi rękę na kołnierzu. Chętnie zrzuciłbym mundur, mimo że nie bardzo dbałem o zewnętrzne pozory. Zerwałem już gwiazdki, ale zrobiłem

to dla wygody. Nie był to żaden punkt honoru. Nie byłem przeciwko tamtym. Ja tylko z nimi skończyłem. Życzyłem im wszystkiego dobrego. Bo oni byli ci dobrzy, ci dzielni, spokojni i rozsądni, i to im się należało. Ale tamto wszystko nie było już moją sprawą i pragnąłem, żeby ten przeklęty pociąg dojechał wreszcie do Mestre i żebym mógł coś zjeść i przestać myśleć. Musiałbym wtedy przestać.

Piani pewnie im powie, że mnie zastrzelili. Przeszukiwali kieszenie i zabrali papiery tych, których rozstrzelili. Moich papierów nie mieli. Mogli uznać, że utonąłem. Byłem ciekaw, czego się o mnie dowiedzą w Stanach. Zmarł z ran i innych przyczyn. Chryste Panie, ależ byłem głodny! Rozmyślałem, co się stało z księdzem z mesy. I z Rinaldim. Pewnie był w Pordenone. Jeżeli nie wycofali się jeszcze dalej. No cóż; już go więcej nie zobaczę. Nie zobaczę więcej żadnego z nich. Tamto życie się skończyło. Nie przypuszczałem, żeby Rinaldi miał syfilis. A zresztą to podobno nie jest groźna choroba, jeżeli się ją w porę uchwyci. Ale będzie się martwił. Ja też bym się martwił, gdybym to miał. Każdy by się martwił.

Nie byłem stworzony do myślenia. Byłem stworzony do jedzenia. Mój Boże, tak. Do jedzenia, picia i spania z Catherine. Może jeszcze dziś wieczorem. Nie, to niemożliwe. Ale jutro wieczorem i żeby było dobre jedzenie, i prześcieradła, i żeby już nigdy nie wyjeżdżać osobno. Prawdopodobnie trzeba by wyjechać diabło szybko. Ona wyjedzie. Wiedziałem, że tak. Kiedy byśmy wyjechali? Nad tym warto się zastanowić. Ściemniło się. Leżałem i rozmyślałem, gdzie pojedziemy. Wiele było różnych miejsc.

CZEŚĆ CZWARTA

Rozdział I

O świcie, jeszcze zanim się rozwidniło, wyskoczyłem z pociągu w Mediolanie, kiedy zwolnił, aby wjechać na stację. Przeszedłem przez tory, potem między jakimiś budynkami i wydostałem się na ulicę. Otwarta tu była winiarnia i wszedłem napić się kawy. Pachniało wczesnym porankiem, zamiatanym kurzem, łyżeczkami w szklankach od kawy i mokrymi kólkami, pozostałymi po kieliszkach wina. Właściciel stał za bufetem. Przy stoliku siedzieli dwóch żołnierzy. Podeszedłem do bufetu, wypłem szklankę kawy i zjadłem kawałek chleba. Kawa była żółtawa od mleka; zebrałem chlebem kożuch z wierzchu. Właściciel patrzył na mnie.

– Życzy pan sobie kieliszek grappy?

– Nie, dziękuję.

– Na mój koszt – powiedział, napełnił mały kieliszek i podsunął mi go. – Co tam słyszeć na froncie?

– Nie mam pojęcia.

– Oni są pijani – powiedział, wskazując ruchem ręki obu żołnierzy. Można mu było wierzyć. Wyglądali na pijanych.

– No, niech pan powie, co tam się dzieje na froncie? – rzekł.

– Skąd ja mogę coś wiedzieć o froncie?

– Widziałem, jak pan przelazł przez mur. Wyskoczył pan z pociągu.

– Tam trwa wielki odwrót.

– Czytałem w gazetach. Co się dzieje? Czy to już koniec?

– Nie przypuszczam.

Napełnił kieliszek grappą z małej butelki.

– Jeżeli pan jest w kłopotcie – powiedział – to mogę pana przechować.

– Nie jestem w żadnym kłopotcie.

– Ale jeżeli pan jest, to proszę zostać u mnie.

– A gdzie?

– W tym domu. Wielu się tu zatrzymuje. Wszyscy, którzy mają kłopoty.

– Dużo jest takich?

– To zależy od kłopotów. Pan z Południowej Ameryki?

– Nie.

– Mówi pan po hiszpańsku?

– Trochę.

Wytarł kontuar.

– Ciężko teraz wydostać się z kraju, ale to wcale nie niemożliwe.

– Nie mam zamiaru wyjeżdżać.

– Może pan tu siedzieć, jak długo pan zechce. Przekona się pan, co ze mnie za człowiek.

– Dziś muszę iść dalej, ale zapamiętam sobie adres, jak będę wracał.

Pokręcił głową.

– Jeżeli pan tak mówi, to znaczy, że pan nie wróci. Myślałem, że pan naprawdę ma kłopoty.

– Nie mam żadnych. Ale cenię sobie adres przyjaciela.

Położyłem na kontuarze banknot dziesięciolirowy, chcąc zapłacić za kawę.

– Niech pan się ze mną napije grappy – powiedziałem.

– To niekonieczne.

– No, po kieliszku.

Nalał dwa kieliszki.

– Niech pan pamięta – powiedział. – Proszę przyjść tutaj. Nie trzeba dać się wciągnąć komuś innemu. Tu będzie panu dobrze.

– Na pewno.

– Taki pan pewny?

– Tak.

Spowaźniał.

– To panu coś powiem. Niech pan nie chodzi w tym mundurze.

– Dlaczego?

– Bo na rękawach wyraźnie widać, gdzie były gwiazdki. Sukno ma inny kolor.

Nic nie odpowiedziałem.

– Jeżeli pan nie ma papierów, to mogę dostarczyć.

– A jakie papiery?

– Kartę urlopową.

– Nie trzeba mi papierów. Mam dokumenty.

– W porządku – odparł. – Ale jakby pan potrzebował, to mogę się panu wystarać.

– Ile taka rzecz kosztuje?

– To zależy, jakie mają być papiery. Cena jest umiarkowana.

– W tej chwili nic mi nie potrzeba.

Wzruszył ramionami.

– Jestem w zupełnym porządku – oświadczyłem. Kiedy wychodziłem, powiedział:

– Proszę nie zapominać, że ma pan we mnie przyjaciela.

– Nie zapomnę.

– Jeszcze się zobaczymy – rzekł.

– Doskonale – odpowiedziałem.

Wyszedłem, ominąłem dworzec, gdzie była żandarmeria, i złapałem dorożkę na skraju małego parku. Podałem woźnicy adres szpitala. Zajechawszy przed szpital poszedłem do portiera. Żona portiera objęła mnie, a on uścisnął mi rękę.

– No, wrócił pan! Nic się panu nie stało?

– Nic.

– Jadł pan śniadanie?

– Jadłem.

– Jakże pan się czuje, *tenente*? Jak pan się czuje? – pytała żona portiera.

– Doskonale.

– Nie zje pan z nami śniadania?

– Nie, dziękuję. Powiedźcie mi, czy panna Barkley jest teraz tu, w szpitalu?

– Panna Barkley?

– Ta pielęgniarka, Angielka.

– Jego dziewczyna – powiedziała żona portiera. Poklepała mnie po ręce i uśmiechnęła się.

– Nie ma jej – odparł portier. – Wyjechała.

Serce mi się ścisnęło.

– Na pewno? Ja mówię o tej wysokiej blondynce, Angielce.

– Na pewno. Pojechała do Stresy.

– A kiedy?

– Dwa dni temu, z tą drugą panią, Angielką.

– No dobrze – powiedziałem. – Chcę pana o coś prosić. Niech pan nikomu nie mówi, że pan mnie widział. To bardzo ważne.

– Nie powiem nikomu – odrzekł portier.

Podąłem mu banknot dziesięciolirowy. Odsunął go.

– Obiecuję panu, że nikomu nie powiem – rzekł. – Nie chcę od pana pieniędzy.

– Co możemy dla pana zrobić, signior *tenente*? – zapytała jego żona.

– Tylko to jedno – odparłem.

– Jesteśmy niemi – powiedział portier. – Da mi pan znać, jak będę mógł w czymś pomóc?

– Tak – odrzekłem. – Do widzenia. Zobaczymy się jeszcze.

Stali w progu, spoglądając za mną.

Wsiadłem do dorożki i podałem adres Simmonsa, tego mojego znajomego, który uczył się tutaj śpiewu.

Simmons mieszkał daleko, w stronie Porta Magenta. Kiedy wszedłem, leżał jeszcze zaspany w łóżku.

– Strasznie wcześnie pan wstaje – powiedział.

– Przyjechałem rannym pociągiem.

– Co to znaczy ten cały odwrót? Był pan na froncie? Może papierosa? Są w tym pudełku na stole.

Pokój był duży, pod ścianą stało łóżko, na drugim końcu pianino, a poza tym kredens i stół. Usiadłem na krześle przy łóżku. Simmons leżał oparty na poduszkach i palił papierosa.

– Mam kłopoty, Sim – powiedziałem.

– Ja też – odparł. – Zawsze mam kłopoty. Nie zapali pan?

– Nie – odrzekłem. – Co trzeba zrobić, żeby przedostać się do Szwajcarii?

– Pan? Włosi nie wypuszczą pana z kraju.

– Tak. Wiem o tym. Ale Szwajcarzy. Co oni zrobią?

– Będą pana internowali.

– Wiem. Ale jak to się odbywa?

– Nijak. Bardzo prosto. Można jechać dokąd się chce. Pewnie będzie pan tylko musiał meldować się albo coś takiego. A bo co? Wieje pan przed żandarmerią?

– Jeszcze nic pewnego.

– Niech pan nie mówi, jak pan nie chce. Ale to byłoby ciekawe. Tu nic się nie dzieje. Zrobiłem okropną klapę w Piacenzy.

– Strasznie mi przykro.

– O tak, fatalnie mnie przyjęli. A dobrze śpiewałem. Jeszcze spróbuję tutaj, w "Lyrico".

– Chętnie bym przyszedł.

– Strasznie pan jest uprzejmy. Ale to nic poważnego, co?

– Nie wiem.

– Niech pan nie mówi, jeżeli pan nie chce. Jak to się stało, że pan nie jest na tym cholernym froncie?

– Zdaje się, że już z tym skończyłem.
– Mądry chłop. Zawsze wiedziałem, że pan ma olej w głowie. Mógłbym w czymś pomóc?

– Pan jest ogromnie zajęty.
– Wcale nie, mój kochany, wcale nie. Z przyjemnością coś zrobię.
– Pan jest mniej więcej mojego wzrostu. Czy mógłby pan wyjść na miasto i kupić mi cywilny garnitur? Mam ubranie, ale zostało w Rzymie.

– Pan tam mieszkał, prawda? Parszywe miasto. Skąd pan się tam w ogóle wziął?
– Chciałem zostać architektem.
– To nie jest odpowiednie miejsce. A ubrania nie trzeba kupować. Dam panu, co pan zechce. Tak pana wystroję, że będzie pan się ogromnie podobał. Proszę przejść do tamtego pokoju. Tam jest szafa. Niech pan sobie wybierze, na co ma ochotę. Nie potrzeba kupować ubrania, mój kochany.

– Wolalbym kupić, Sim.
– Mój drogi, mnie jest łatwiej coś podarować, niż wychodzić po to na miasto. Ma pan paszport? Nie zajedzie pan daleko bez paszportu.

– Tak, paszport jeszcze mam.
– No to ubieraj się, mój kochany, i jazda do starożytnej Helwecji.
– To nie takie proste. Najpierw muszę pojechać do Stresy.
– Idealnie, mój drogi. Po prostu trzeba przepłynąć łodzią na drugi brzeg. Gdyby nie to, że usiłuję śpiewać, machnęlibyśmy się razem. Jeszcze tam przyjadę.

– Mógłby pan uczyć się jodłowania.
– Jeszcze będę się uczył. Ale ja naprawdę umiem śpiewać. To jest najdziwniejsze.
– No chyba, że pan umie!

Wyciągnął się na łóżku paląc papierosa.
– Niech pan nie będzie taki pewny. Ale śpiewać potrafię. Diabło to śmieszne, ale potrafię. I lubię śpiewać. Proszę posłuchać.

Zaryczał *Africanę*, aż mu obrzmiała szyja, a żyły wystąpiły na wierzch.

– Umie śpiewać – powiedział. – Czy im się to podoba, czy nie.

Wyjrzałem przez okno.

– Zejdę odesłać dorożkę – rzekłem.
– Wracaj, mój drogi, to zjemy śniadanie.

Wstał z łóżka, wyprostował się, nabrał głęboko tchu i zaczął się gimnastykować. Zszedłem na dół i zapłaciłem dorożkarzowi.

Rozdział II

W cywilnym ubraniu czułem się jak przebieraniec. Długo nosiłem mundur i teraz brak mi było poczucia, że jestem w nim ściśnięty. Spodnie wydawały mi się bardzo luźne. W Mediolanie kupiłem bilet do Stresy. Kupiłem sobie także nowy kapelusz. Kapelusz Sima nie pasował na mnie, ale ubranie było doskonałe. Pachniało tytoniem; siedziałem w przedziale wyglądając przez okno, kapelusz wydawał mi się bardzo nowy, a ubranie bardzo stare. Czułem się równie smutny jak zmoczony deszczem krajobraz lombardzki za oknem.

W przedziale było paru lotników, którzy najwyraźniej nie mieli o mnie wysokiego mniemania. Starali się na mnie nie patrzeć i zdradzali głęboką pogardę dla cywila w moim wieku. Nie czułem się obrażony. Dawniej byłbym ich znieważył i wywołał bójkę. Wysiedli w Gallarate, a ja z radością zostałem sam. Miałem gazetę, ale nie czytałem jej, bo nie chciało mi się czytać o wojnie. Postanowiłem o niej zapomnieć. Zawarłem odrębny pokój. Czułem się piekielnie samotny i ucieszyłem się, kiedy pociąg dojechał do Stresy.

Spodziewałem się, że na stacji będą portierzy z hoteli, ale nie było nikogo. Sezon już dawno się skończył i nikt nie przychodził na dworzec. Wsiadłem z walizką w rękę; była to walizka Sima, bardzo lekka, bo nie miałem w niej nic oprócz dwóch koszul. Stałem w deszczu pod daszkiem peronu, a pociąg ruszył dalej.

Na stacji znalazłem jakiegoś człowieka i zapytałem, czy nie wie, które hotele są czynne. Otwarty był "Grand-Hotel & des Iles Borromées", a także kilka mniejszych, czynnych przez cały rok. Ruszyłem w deszczu do "Iles Borromées", niosąc walizkę. Na ulicy spostrzegłem jadącą dorożkę i skinąłem na woźnicę. Lepiej było zajechać do hotelu dorożką. Zatrzymaliśmy się przed wejściem do wielkiego budynku, odźwierny wyszedł z parasolem i przywitał mnie bardzo uprzejmie.

Wziąłem sobie dobry pokój. Był bardzo duży, widny i wychodził na jezioro. Nisko nad jeziorem wisiały chmury, ale przy słońcu musiało tu być pięknie. Powiedziałem, że oczekuję żony. W pokoju stało wielkie, podwójne łóżko, *letto matrimoniale** z atlasową kapą. Hotel był bardzo luksusowy. Minąłem długie korytarze, zszedłem po szerokich schodach i przez salony udałem się do baru. Barmana znałem; usiadłszy na wysokim stołku, zacząłem pogryzać solone migdałki i frytki. Martini było chłodne i orzeźwiające.

* *letto matrimoniale* (wł.) - łożo małżeńskie.

– Co pan tu robi *in borghese**? – zapytał barman, mieszawszy mi drugi cocktail.
– Mam urlop. Urlop rekonwalescencyjny.
– U nas nie ma nikogo. Nie wiem, po co ten hotel jest otwarty.
– Był pan na rybach?
– Złowiłem kilka pięknych sztuk. O tej porze roku łapie się z łodzi doskonale okazy.

– Dostał pan ten tytoń, który panu posłałem?

– To pan nie otrzymał mojej kartki?

Roześmiałem się. Tego tytoniu nie udało mi się dostać. Chodziło o amerykański, fajkowy, ale moi krewni przestali go wysyłać albo też został gdzieś zatrzymany. W każdym razie nie przyszedł w ogóle.

– Gdzieś go wyszukam – obiecałem. – Niech pan mi powie, czy pan nie widział w mieście dwóch Angielek? Przyjechały przedwczoraj.

– W hotelu ich nie ma.

– To są pielęgniarki.

– Widziałem dwie takie. Chwileczkę, zaraz się dowiem, gdzie mogą być.

– Jedna z nich jest moją żoną – powiedziałem. – Przyjechałem tu, żeby się z nią spotkać.

– A ta druga to znowu moja żona.

– Ja wcale nie żartuję.

– Proszę mi wybaczyć ten głupi dowcip – powiedział. – Nie zrozumiałem pana.

Odszedł i nie było go przez dłuższą chwilę. Jadłem oliwki, solone migdały i frytki i przyglądałem się sobie w cywilnym ubraniu w lustrze za barem. Barman wrócił.

– Mieszkają w tym hoteliku przy stacji – powiedział.

– Można by dostać sandwicza?

– Zaraz zadzwonię, żeby przynieśli. Widzi pan, my tu nic nie mamy, bo nikt u nas nie mieszka.

– Naprawdę nie ma nikogo?

– Tylko parę osób.

Przyniesiono sandwicze: zjadłem trzy i wypilem jeszcze kilka martini. Nigdy nie miałem w ustach nic równie orzeźwiającego i czystego. Poczulem się cywilizowanym człowiekiem. Miałem już dosyć czerwonego wina, chleba, sera, lichej kawy i grappy. Siedziałem na wysokim stołku, przed sobą miałem gładki mahoń, mosiądz i lustra i nie myślałem o niczym. Barman zadał mi jakieś pytanie.

* *in borghese* (wł.) - po cywilnemu.

– Nie mówmy o wojnie – powiedziałem.

Wojna była daleko. Może nie było jej wcale. Tu nie czuło się wojny. I wtedy uświadomiłem sobie, że dla mnie już się skończyła. Ale nie miałem poczucia, że jest naprawdę skończona. Doznawałem wrażeń chłopaka rozmyślającego o tym, co dzieje się o danej godzinie w szkole, z której zwagarował.

Catherine i Helena Ferguson siedziały przy kolacji, kiedy wszedłem do ich hotelu. Z hallu zobaczyłem je obie przy stoliku. Catherine była właśnie odwrócona i widziałem zarys jej włosów, policzek, śliczną szyję i ramiona. Helena Ferguson coś mówiła. Przerwała, kiedy wszedłem.

– Boże! – zawołała.

– Hello! – powiedziałem.

– To ty?! – wykrzyknęła Catherine. Twarz jej się rozpromieniła. Była tak uszczęśliwiona, że nie wierzyła własnym oczom.

Pocałowałem ją. Zarumieniała się, a ja usiadłem przy stole.

– Dobry z pana numer! – powiedziała Ferguson. – Co pan tu robi? Jadł pan coś?

– Nie.

Podeszła kelnerka i poprosiłem, aby przyniosła dla mnie nakrycie. Catherine bez przerwy wpatrywała się we mnie rozradowanymi oczami.

– Co pan tu robi po cywilnemu? – spytała Ferguson.

– Zostałem członkiem rady ministrów.

– Pan się w coś wpakował.

– Rozpogódź się, Fergy. Rozpogódź się choć troszkę.

– Pański widok wcale mnie nie rozpogadza. Wiem, co pan narobił tej dziewczynie.

Wcale mi nie jest przyjemnie na pana patrzeć.

Catherine uśmiechnęła się i trąciła mnie stopą pod stołem.

– Nikt mi nic nie narobił, Fergy. Sama sobie robię różne rzeczy.

– Nie mogę go znieść – powiedziała Ferguson. – Tylko tyle zdziałał, że cię zgubił tymi swoimi przebiegłymi sztuczkami włoskimi. Amerykanie są jeszcze gorsi niż Włosi.

– Szkoci to taki moralny naród – powiedziała Catherine.

– Nie o to mi idzie. Mam na myśli tę jego włoską przebiegłość.

– Czy ja naprawdę jestem taki przebiegły, Fergy?

– Tak! Gorzej niż przebiegły. Pan jest jak wąż. Wąż we włoskim mundurze, z peleryną na plecach.

– Teraz nie mam na sobie włoskiego mundurku.

– To tylko jeszcze jeden dowód pańskiej przebiegłości. Przez całe lato miał pan romansik, zrobił pan dziecko tej dziewczynie, a teraz pan pewno czmychnie.

Uśmiechnąłem się do Catherine, a ona do mnie.

– Oboje czmychniemy – powiedziała.

– Jesteście siebie warci – oświadczyła Ferguson. – Wstydzę się za ciebie, Catherine. Nie masz ani wstydu, ani honoru i jesteś równie przebiegła jak on.

– Przestań, Fergy – powiedziała Catherine i poklepała ją po dłoni. – Nie napadaj tak na mnie. Przecież wiesz, że się lubimy.

– Zabierz tę rękę – odparła Ferguson. Była zaczerwieniona. – Gdybyś miała choć odrobinę wstydu, to byłoby co innego. Ale ty jesteś już Bóg wie w którym miesiącu ciąży i myślisz, że to żarty, i szczerzysz zęby dlatego, że przyjechał twój uwodziciel. Nie masz ani wstydu, ani serca.

Rozpłakała się. Catherine podeszła i objęła ją. Kiedy tak stała, pocieszając Helenę Ferguson, nie mogłem dostrzec żadnej zmiany w jej figurze.

– I co mi z tego? – szlochała Ferguson. – To przecież straszne!

– No, no, Fergy – pocieszała ją Catherine. – Już będę się wstydziła. Nie płacz. No nie płacz, staruszeko.

– Nie płaczę – szlochała Ferguson. – Wcale nie płaczę. Chyba tylko nad tym strasznym położeniem, w jakim się znalazłaś. – Spojrzała na mnie. – Nie cierpię pana – powiedziała. – Ona nie może zmienić tego, że pana nie cierpię. Wstrętny, przebiegły amerykański Włoch! – Oczy i nos miała zaczerwienione od płaczu.

Catherine uśmiechnęła się do mnie.

– Przestań się do niego uśmiechać, jak mnie obejmujesz!

– Niemądra jesteś, Fergy.

– Wiem – szlochała tamta. – Nie powinniście zwracać na mnie uwagi. Taka jestem zdenerwowana. I niemądra. Wiem o tym. Bo chciałabym, żebyście byli szczęśliwi.

– Kiedy my jesteśmy szczęśliwi – odrzekła Catherine.

– Kochana jesteś, Fergy.

Ferguson rozpłakała się znowu.

– Nie takiego szczęścia chcę dla was. Dlaczego się nie pobierzecie? Chyba pan nie jest żonaty z kim innym, co?

– Nie – odrzekłem.

Catherine roześmiała się.

– Nie ma się z czego śmiać – powiedziała Helena Ferguson. – Cała masa ich ma już żony.

– Pobierzemy się, Fergy, jeżeli to ci sprawi przyjemność – zapewniła ją Catherine.

– Nie po to, żeby mi sprawić przyjemność. Powinniście sami chcieć się pobrać.

– Byliśmy bardzo zajęci.

– Tak. Wiem. Robieniem dzieci. – Myślałem, że znowu się rozpłaczę, ale zamiast tego wpadła w rozgoryczenie. – Pewnie pójdziesz z nim dziś wieczorem?

– Tak – odrzekła Catherine. – Jeżeli będzie chciał.

– A co ze mną?

– Boisz się zostać tu sama?

– I owszem, boję się.

– To zostanę z tobą.

– Nie, idź sobie z nim. Idź z nim zaraz. Mam was obojga powyżej uszu.

– Musimy dokończyć kolacji.

– Nie. Idźcie sobie od razu.

– Fergy, bądźże rozsądna.

– Powtarzam: idźcie sobie od razu. Jedno i drugie.

– No to chodźmy – powiedziałem. Miałem już dość tej Fergy.

– Ty naprawdę chcesz odejść. Widzisz? Chcesz mnie zostawić, żebym sama jadła kolację. Zawsze marzyłam, żeby przyjechać nad włoskie jeziora i proszę, jak to teraz wygląda. Och, och – zaszlochała, spojrzała na Catherine i zakrztusiła się.

– Zaczekamy do końca kolacji – powiedziała Catherine.

– Nie zostawię cię samej, jeżeli chcesz, żebym była z tobą. Nie zostawię cię samej, Fergy.

– Nie, nie. Ja chcę, żebyście sobie poszli! – Otarła oczy.

– Taka jestem niemądra! Proszę was, nie zwracajcie na mnie uwagi.

Usługującą dziewczynę najwyraźniej denerwowały te płacze. Teraz, kiedy przyniosła następne danie, widać było, że z ulgą przyjęła poprawę sytuacji.

Tej nocy, w pokoju hotelowym przy długim, pustym korytarzu, na którym stały pod drzwiami nasze buty – kiedy za oknem padał deszcz, a w naszej sypialni, gdzie leżał puszysty dywan, było widno, miło i wesoło – gdy potem zgasiliśmy światło i było nam cudownie na śliskiej pościeli w wygodnym łóżku – kiedy czuliśmy, że znów jesteśmy w domu, że już koniec samotności, i budząc się w nocy odnajdowaliśmy się wzajemnie – wszystko poza tym było nierzeczywiste. Zasypialiśmy, kiedy nas ogarnęło zmęczenie, a jeżeli któreś z nas się budziło, budziło się też i drugie, więc już nie byliśmy osamotnieni. Często mężczyzna pragnie być sam i dziewczyna także pragnie być sama, i jeżeli się

kochają, są o to nawzajem bardzo zazdrośni, ale ja mogę naprawdę powiedzieć, że ani przez chwilę tego nie czuliśmy. Potrafiliśmy czuć się samotni, kiedy byliśmy razem – samotni przeciw innym. Coś podobnego zdarzyło mi się tylko raz. Czułem się osamotniony, będąc z wieloma dziewczynami, a wtedy właśnie można być samotnym najbardziej. Ale my dwoje nie odczuwaliśmy nigdy samotności ani lęku, kiedy byliśmy ze sobą. Wiem, że w nocy nie jest tak samo jak w dzień, że wszystko wydaje się inne, że nocnych spraw nie sposób wytłumaczyć za dnia, bo wtedy nie istnieją, i że noc może być straszna dla ludzi samotnych, gdy już zaczęła się ich samotność. Ale z Catherine nie czułem w nocy prawie żadnej różnicy, chyba tylko tę, że było mi jeszcze lepiej. Jeżeli ludzie przynoszą z sobą na świat dużo odwagi, to świat musi ich zabić, aby ich złamać, więc naturalnie ich zabija. Świat łamie każdego i potem niektórzy są jeszcze mocniejsi w miejscach złamania. Ale takich, co nie dają się złamać, świat zabija. Zabija w równej mierze najlepszych, najdelikatniejszych i najdzielniejszych. Jeżeli nie jesteś żadnym z nich, możesz być pewnym, że zabije cię także, ale bez szczególnego pośpiechu.

Pamiętam, jak obudziłem się rano. Catherine spała i słońce wpadało przez okno. Deszcz ustał; wyskoczyłem z łóżka i podszedłem do okna. Na dole był ogród – nagi teraz, ale wspaniale regularny – wyżywirowane ścieżki, drzewa, kamienny mur nad jeziorem, dalej jezioro w słońcu, a za nim góry. Stałem przy oknie i patrzyłem, a kiedy odwróciłem głowę, zobaczyłem, że Catherine już nie śpi i przygląda mi się.

– Dzień dobry, kochanie – powiedziała. – Prawda, jaki śliczny dzień?

– Jak się czujesz?

– Doskonale. Mieliśmy cudowną noc.

– Chcesz zjeść śniadanie?

Chciała. Ja także, więc zjedliśmy je w łóżku, trzymając tacę na kolanach, w listopadowym słońcu, które wpadało przez okno.

– Nie masz chęci przeczytać gazety? W szpitalu zawsze wołałeś o gazetę.

– Nie – odpowiedziałem. – Teraz jej nie chcę.

– Tak źle było, że nawet nie masz ochoty o tym czytać?

– Nie chcę o tym czytać.

– Żałuję, że z tobą nie byłam, bo przynajmniej wiedziałabym, jak to jest.

– Opowiem ci, jeżeli kiedyś ułożę to sobie w głowie.

– Ale czy cię nie zaaresztują, jak cię złapią bez munduru?

– Pewnie mnie rozstrzelają.

– W takim razie nie zostaniemy tutaj. Wyjedziemy z tego kraju.

– Myślałem już o tym.
– Wyjedziemy. Kochanie, nie powinieneś głupio się narażać. Powiedz mi, jak się dostałeś z Mestre do Mediolanu?

– Przyjechałem pociągiem. Byłem wtedy w mundurze.
– Nic ci nie groziło?
– Niewiele. Miałem stary rozkaz wyjazdu. W Mestre przerobiłem na nim daty.
– Kochanie, tutaj mogą cię każdej chwili zaarrestować. Nie mogę na to pozwolić. To głupio robić coś podobnego. Co by się z nami stało, gdyby cię zabrali?

– Nie myślmy o tym. Mam już dosyć tego myślenia.
– Co byś zrobił, jakby po ciebie przyszli?
– Zastrzeliłbym ich.
– Widzisz jakiś ty niemądry? Do wyjazdu nie dam ci wychodzić z hotelu.
– A dokądże to pojedziemy?
– Proszę cię, nie bądź taki. Pojedziemy, gdzie zechcesz. Koniecznie wyszukaj od razu jakieś miejsce.

– Za jeziorem jest Szwajcaria. Można by się tam przedostać.
– To byłoby wspaniałe.
Na dworze chmurzyło się i jezioro pociemniało.
– Tak bym chciał, żebyśmy nie musieli stale żyć jak przestępcy – powiedziałem.
– Nie mów tak, najmilszy. Nie bardzo długo żyłeś jak przestępca. A my wcale nie żyjemy jak przestępcy. Będzie nam cudownie.
– Ja czuję się jak przestępca. Zdezercerowałem z wojska.
– Kochany, proszę cię, bądź rozsądny. To nie jest żadna dezercja. Przecież to tylko armia włoska.

Roześmiałem się.
– Świetna jesteś! Chodźmy z powrotem do łóżka. W łóżku jest mi cudownie.
Trochę później Catherine zapytała:
– Nie czujesz się już przestępcą, prawda?
– Nie – odpowiedziałem. – Nie czuję się przestępcą, kiedy jestem z tobą.
– Z ciebie taki głuptas – powiedziała. – Ale ja się tobą zaopiekuję. Czy to nie fajnie, że rano nie robi mi się niedobrze?
– Fantastycznie.
– Ty wcale nie doceniasz, jaką masz nadzwyczajną żonę. Ale mnie to nie szkodzi. Zawiozę cię w takie miejsce, gdzie nie będą mogli cię aresztować, i wtedy będzie nam cudownie.

- Jedźmy tam zaraz.
- Pojedziemy, kochanie. Pojadę zawsze i wszędzie tam, gdzie ty zechcesz.
- To już nie myślmy o niczym.
- Dobrze.

Rozdział III

Catherine wróciła brzegiem jeziora do swojego hoteliku, żeby zobaczyć się z Fergusonem, a ja zasiadłem w barze i wziąłem się do czytania gazet. W barze były wygodne skórzane fotele; usiadłem na jednym z nich i czytałem, póki nie przyszedł barman. Armia nie zatrzymała się na Tagliamento. Cofała się dalej ku Piawie. Pamiętałem tę rzekę. Linia kolejowa biegnąca w kierunku frontu przechodziła przez nią koło San Dona. Rzeka płynęła tam wolno, była głęboka i zupełnie wąska. Dalej były pełne moskitów moczary i kanały. Nad rzeką stały ładne wille. Raz, przed wojną, w drodze do Cortiny d'Ampezzo, jechałem wzdłuż niej przez kilka godzin górą. Wyglądała tam jak potok, w którym łowi się pstrągi, płynęła wartko po płycznach i rozlewała się w sadzawki stojące w cieniu skał. Szosa odbiegała od niej pod Cadore. Zastanawiałem się, jak armia, która tam była, zejdzie w doliny. Wszedł barman.

– Pytał o pana hrabia Greffi.

– Kto?

– Hrabia Greffi. Pamięta pan, taki starszy jegomość, który tu był za pana poprzedniej bytności.

– To on tu jest?

– Tak, z siostrzenicą. Powiedziałem mu, że pan przyjechał. Chciałby pograć z panem w bilard.

– A gdzie jest teraz?

– Na spacerze.

– Dobrze się trzyma?

– Młodszy niż kiedykolwiek. Wczoraj wieczorem wypił przed kolacją trzy szampańskie koktajle.

– A jak mu idzie bilard?

– Doskonale. Ograł mnie. Bardzo się ucieszył, jak mu powiedziałem, że pan tu jest. Bo nie ma z kim grać.

Hrabia Greffi miał dziewięćdziesiąt cztery lata. Pamiętał czasy Metternicha, był świetnie wychowanym starym panem o siwych włosach i wąsach. Służył w dyplomacji zarówno austriackiej jak włoskiej, a jego urodzinowe przyjęcia były wielkim wydarzeniem towarzyskim Mediolanu. Chciał dożyć stu lat i grał biegle i sprawnie w bilard, co kontrastowało z jego dziewięćdziesięcioczworoletnią kruchością. Poznałem go

kiedyś w Stresie, po sezonie, i grając w bilard, piliśmy razem szampana. Uważałem, że jest to wspaniały zwyczaj, a on dał mi piętnaście punktów for na sto i pobił mnie.

- Dlaczego mi pan nie powiedział, że on tu jest?
- Bo zapomniałem.
- A kto tu mieszka poza tym?
- Nikt z pańskich znajomych. Wszystkiego razem sześć osób.
- Co pan teraz robi?
- Nic.
- To chodźmy na ryby.
- Mógłbym wyskoczyć na godzinę.
- Chodźmy. Niech pan zabierze linkę.

Barman włożył palto i wyszliśmy. Na brzegu wsiedliśmy do łodzi. Ja wiosłowałem, a on siedział na rufie i wypuszczał linkę z ciężarkiem i błyszczkiem na pstrągi jeziorowe. Płynęliśmy wzdłuż brzegu, barman trzymał linkę i od czasu do czasu przyciągał ją szarpnięciem. Z jeziora Stresa wydawała się bardzo opustoszała. Widać było długie szeregi nagich drzew, wielkie hotele i pozamykane wille. Powiosłowałem do Isola Bella i przepłynąłem pod samymi murami, tam gdzie dno opadało raptownie, a w przezroczystej wodzie widać było skalną ścianę zbiegającą ukosem w głąb. Potem popłynęliśmy dalej, do wyspy rybackiej. Słońce schowało się za chmurę i woda była ciemna, gładka i bardzo zimna. Nie udało nam się nic złowić, choć widzieliśmy na wodzie koła w miejscach, gdzie podpływały ryby.

Powiosłowałem do wyspy rybackiej, gdzie stały łodzie wciągnięte na brzeg i jacyś ludzie naprawiali sieci.

- Nie napilibyśmy się czegoś?
- Dobrze.

Podpłynąłem do kamiennego mola, a barman wciągnął linkę, ułożył ją w zwoje na dnie łodzi i zahaczył błyszczek o burtę. Wsiadłem i uwiązałem łódź. Poszliśmy do małej kawiarenki, usiedliśmy przy gołym drewnianym stole i zamówili wermut.

- Nie zmęczył się pan wiosłowaniem?
- Nie.
- Ja powiosłuję z powrotem – powiedział.
- Kiedy ja lubię wiosłować.
- Może jak pan będzie trzymał linkę, szczęście się odmieni.
- Dobrze.
- Niech mi pan powie, jak idzie wojna.

- Fatalnie.
- Ja nie muszę iść do wojska. Za stary jestem, tak samo jak hrabia Greffi.
- Może pan jeszcze będzie musiał.
- W przyszłym roku powołają mój rocznik. Ale ja nie pójdę.
- A co pan zrobi?
- Wyjadę z kraju. Nie pójdę na wojnę. Byłem już raz na wojnie, w Abisynii. Mowy nie ma. A pan dlaczego poszedł?
- Nie wiem. Głupi byłem.
- Napijemy się jeszcze wermutu?
- Dobrze.

W drodze powrotnej wiosłował barman. Popłynęliśmy za Stresę, a potem z powrotem, niedaleko od brzegu. Trzymałem naprężoną linkę i patrząc na ciemną, listopadową wodę jeziora i opustoszały brzeg, czułem lekkie drganie wirującego błyszczyka. Barman zagarniał wodę długimi ruchami wiosel i kiedy wypychał łódź naprzód, czułem, jak linka drga. Raz coś chwyciło; linka zeszywniała raptownie i szarpnęła do tyłu. Pociągnąłem ją i poczułem żywy ciężar pstrąga, a potem linka znowu zaczęła drgać. Pstrąg uciekł.

- Czuł pan, że był duży?
- Spory.
- Raz, jak łowiłem sam jeden, trzymałem linkę w zębach i pstrąg wziął, i o mało mi całych zębów nie wyszarpnął.
- Najlepiej jest okręcić sobie linkę na nodze – powiedziałem. – Wtedy ma się wyczucie, a nie traci się zębów.

Włożyłem rękę do wody. Była bardzo zimna. Znajdowaliśmy się teraz prawie naprzeciw hotelu.

- Muszę już wracać, żeby tam być na jedenastą – powiedział barman. – *L'heure du cocktail*.*
- Dobrze.

Przyciągnąłem linkę i okręciłem ją na kiju naciętym po obu końcach. Barman wprowadził łódź do wąskiej szczeliny w kamiennym nabrzeżu i przymocował ją łańcuchem zamykanym na kłódkę.

- Dam panu kluczyk, ile razy pan będzie chciał popływać – rzekł.
- Dziękuję.

* *L'heure du cocktail* (fr.) - pora koktajlu.

Udaliśmy się do hotelu i weszliśmy do baru. Nie chciałem znowu pić o tak wczesnej porze, więc poszedłem na górę do naszego pokoju. Pokojówka właśnie skończyła sprzątać, a Catherine jeszcze nie było. Położyłem się na łóżku, usiłując nie myśleć.

Kiedy wróciła Catherine, wszystko znów było w porządku. Powiedziała, że na dole czeka Helena Ferguson. Miała iść z nami na obiad.

– Uważałam, że nie będziesz miał nic przeciwko temu – rzekła Catherine.

– Nic – odpowiedziałem.

– Co ci jest, kochanie?

– Nie wiem.

– A ja wiem. Nie masz co robić. Masz tylko mnie, a ja sobie gdzieś wychodzę.

– To prawda.

– Przepraszam, najmilszy. Wiem, że to musi być straszne uczucie tak nagle nie mieć nic do roboty.

– Moje życie zawsze było czymś wypełnione – powiedziałem. – Ale teraz, jeżeli nie jesteś ze mną, nie mam w ogóle nic na świecie.

– Ależ ja będę z tobą! Wysłałam tylko na dwie godziny. Czy nie ma nic takiego, co mógłbyś robić?

– Popłynąłem na ryby z barmanem.

– I nie było przyjemnie?

– Owszem.

– Nie myśl o mnie, kiedy mnie nie ma.

– Tak to sobie ułożyłem na froncie. Ale tam było coś do roboty.

– “Służba Otella skończona!”* – zażartowała.

– Otello był Murzynem – powiedziałem. – A poza tym ja nie jestem zazdrosny. Po prostu jestem w tobie tak zakochany, że nie mam nic poza tym.

– Będziesz grzeczny i zachowasz się miło wobec Heleny?

– Zawsze jestem miły dla niej, dopóki nie zacznie na mnie kłać.

– Bądź dla niej miły. Pomyśl, ile my mamy, a ona nie ma nic.

– Nie zdaje mi się, żeby pragnęła tego, co my mamy.

– Niewiele rozumiesz, mój drogi, jak na takiego mądrego chłopca.

– Będę dla niej miły.

– Ja wiem, że będziesz. Strasznie jesteś kochany.

– Ale ona potem nie zostanie, prawda?

- Nie. Spławię ją.
- I wtedy przyjdziemy tu na górę?
- Oczywiście. A ty myślisz, że co ja chcę robić?

Zeszliśmy na dół, żeby zjeść obiad z Heleną Ferguson. Zaimponował jej ogromnie hotel i przepych sali jadalnej. Zjedliśmy dobry obiad i wypiliśmy dwie butelki białego capri. Do sali wszedł hrabia Greffi i uklonił się nam. Towarzyszyła mu siostrzenica, która wyglądała mniej więcej na moją babkę. Opowiedziałem o nim Catherine i Helenie Ferguson, na której zrobiło to wielkie wrażenie. Hotel był duży, wspaniały i pusty, ale jedzenie dobre, a wino bardzo przyjemne i w końcu wszystkich nas wprowadziło w lepszy nastrój. Catherine nie potrzebowała zresztą być w lepszym nastroju. Była bardzo szczęśliwa. Ferguson zupełnie się rozchmurzyła. Ja też czułem się doskonale. Po obiedzie Ferguson wróciła do swojego hoteliku. Powiedziała, że musi się trochę wyciągnąć po obiedzie.

Późnym popołudniem ktoś zapukał do naszych drzwi.

- Kto tam?
 - Pan hrabia Greffi zapytuje, czy pan zechce zagrać z nim w bilard.
- Spojrzałem na zegarek. Zdjąłem go i położyłem pod poduszką.
- Musisz iść, kochany? – szepnęła Catherine.
 - Chyba tak. – Zegarek wskazywał piętnaście po czwartej. Głośno powiedziałem:
- Proszę powiedzieć hrabiemu Greffi, że o piątej będę w pokoju bilardowym.

Za kwadrans piąta pocałowałem Catherine na pożegnanie i poszedłem do łazienki, aby się ubrać. Kiedy zawiązywałem w lustrze krawat, wydałem się sobie dziwny w cywilnym ubraniu. Trzeba pamiętać, żeby kupić jeszcze kilka koszul i skarpetek.

– Długo tam będziesz? – spytała Catherine. Wyglądała prześlicznie w łóżku. – Możesz mi podać szczotkę?

Patrzyłem, jak się czesała, przechylając głowę tak, aby wszystkie włosy opadły na jedną stronę. Na dworze było ciemno i lampka nad wezłowiem łóżka oświetlała jej włosy, szyję i ramiona. Podeszedłem, pocałowałem ją i przytrzymałem jej rękę ze szczotką, a głowa Catherine opadła na poduszki. Zacząłem całować jej szyję i ramiona. Kochałem ją tak bardzo, że aż mi się w głowie mąciło.

- Nie chcę stąd iść.
- Ja też nie chcę, żebyś szedł.
- To nie pójdę.
- Owszem. Idź. To potrwa króciutko, a potem wrócisz.

* Służba Otella skończona! - Szekspir, *Otello*, akt III, scena 3.

– Zjemy kolację tu na górze.

– Pospiesz się i wracaj.

W pokoju bilardowym zastałem hrabiego Greffi. Ćwiczył uderzenia i w świetle padającym z góry na stół bilardowy wydawał się bardzo kruchy. Nieco poza kręgiem światła na karcianym stoliku stał srebrzysty kubełek z lodem, nad którym sterczały szyjki i korki dwóch butelek szampana. Kiedy zbliżyłem się do stołu, hrabia Greffi wyprostował się i podszedł do mnie. Wyciągnął rękę.

– To taka wielka przyjemność, że pan tu bawi. Ogromnie pan łaskaw, że pan zechciał przyjść zagrać ze mną.

– Bardzo mi miło, że pan mnie zaprosił.

– Czy pan zupełnie wyzdrowiał? Mówiono mi, że pan został ranny nad Isonzo. Mam nadzieję, że pan już przyszedł do siebie.

– Tak, czuję się doskonale. A pan?

– O, ja zawsze dobrze. Ale się starzeję. Zaczynam wyczuwać oznaki starości.

– Nie wierzę.

– A tak. Chce pan wiedzieć, jaka jest jedna z nich? Łatwiej mi teraz mówić po włosku. Staram się wziąć w karby, ale kiedy jestem zmęczony, widzę, że o wiele mi łatwiej mówić po włosku. Stąd wnoszę, że muszę się starzeć.

– Możemy rozmawiać po włosku. Ja także jestem trochę zmęczony.

– No, ale jeżeli pan jest zmęczony, to łatwiej panu będzie mówić po angielsku.

– Po amerykańsku.

– Tak. Po amerykańsku. Bardzo proszę, żeby pan mówił po amerykańsku. To zachwycający język.

– Teraz prawie nie widuję Amerykanów.

– Musi ich panu brakować. Zawsze nam brak naszych rodaków, a zwłaszcza rodaczek. Znam to uczucie. Zagramy, czy też pan jest zanadto zmęczony?

– Właściwie nie jestem zmęczony. Powiedziałem to żartem. Jaki pan mi da handicap?

– Dużo pan grywał ostatnio?

– Wcale.

– Pan doskonale gra. Może dziesięć punktów na sto?

– Pan mi pochlebia.

– Piętnaście?

– To byłoby świetnie, ale i tak zostanę pobity.

– Może zagramy o stawkę? Pan zawsze wołał grać o stawkę.

– Proszę bardzo.

– Doskonale. Dam panu osiemnaście punktów i będziemy grali po franku punkt.

Grał bardzo ładnie i mimo handicapu prowadziłem zaledwie o cztery punkty przy pięćdziesięciu. Hrabia Greffi nacisnął guzik na ścianie, aby zadzwonić na barmana.

– Proszę otworzyć jedną butelkę – powiedział. Potem zwrócił się do mnie: – Troszkę się pokrzepimy.

Wino było lodowato zimne, mocno wytrawne i dobre.

– Może porozmawiamy po włosku? Zrobiłoby to panu wielką różnicę? To teraz jest moja wielka słabostka.

Graliśmy dalej, popijając szampana między jednym uderzeniem a drugim, i rozmawialiśmy po włosku, ale niewiele, bo nasza uwaga skupiona była na grze. Hrabia Greffi zrobił setny punkt, a ja z handicapem dociągnąłem zaledwie do dziewięćdziesięciu czterech. Uśmiechnął się i poklepał mnie po ramieniu.

– Teraz wypijemy drugą butelkę, a pan mi opowie o wojnie.

Czekał, żebym usiadł.

– O wszystkim, byle nie o tym – powiedziałem.

– Nie chce pan mówić o wojnie? Dobrze. Co pan ostatnio czytał?

– Nic – odrzekłem. – Obawiam się, że jestem bardzo nieciekawym.

– Bynajmniej. Ale pan powinien coś czytać.

– Co napisano podczas wojny?

– Jest taka książka, *Le Feu*, jednego Francuza, Barbusse'a. A także *Pan Britling* przejrzał to na wylot.

– Nie, wcale nie.

– Słucham?

– Wcale nie przejrzał na wylot. Miałem te książki w szpitalu.

– Więc pan jednak coś czytał?

– Tak, ale nic szczególnego.

– Mnie ten *Pan Britling* wydał się bardzo dobrym studium o duszy angielskiej klasy średniej.

– Nic mi nie wiadomo o duszy.

– Biedny chłopcze! Nikomu z nas o niej nie wiadomo. Czy pan jest *croyant**?

– Tylko w nocy.

Hrabia Greffi uśmiechnął się i okręcił w palcach kieliszek.

* *croyant* (fr.) - wierzący.

– Spodziewałem się, że na starość będę bardziej nabożny, ale jakoś tak się nie stało – powiedział. – A to wielka szkoda.

– Czy pan chciałby żyć po śmierci? – zapytałem i natychmiast zrobiło mi się głupio, że wspominam o śmierci. Ale on nie wziął mi tego za złe.

– Zależałoby od tego, jak miałbym żyć. Tu życie jest bardzo przyjemne. Chciałbym żyć zawsze. – Uśmiechnął się. – Właściwie jestem już tego bliski.

Siedzieliśmy w głębokich skórzanych fotelach, a między nami, na stoliczku, stał szampan w kubku z lodem i kieliszki.

– Jeżeli pan dożyje tak sędziwego wieku jak ja, wiele rzeczy będzie pana dziwiło.

– Pan wcale nie robi wrażenia człowieka starego.

– Tylko ciało jest stare. Czasami lękam się, że ułamię sobie palec, tak jak się łamię kawałek kredy. A duch nie jest starszy ani wiele mądrzejszy.

– Pan jest mądry.

– Nie. To wielkie złudzenie, ta mądrość ludzi starych. Wcale nie stają się mądrzy, tylko ostrożni.

– Może to właśnie jest mądrością.

– Bardzo niepowabna mądrość. Co pan ceni sobie najwyżej?

– Kogoś, kogo kocham.

– Ze mną jest tak samo. To nie jest mądrość. A życie pan ceni?

– Tak.

– Ja też. Bo to jest wszystko, co mi zostało. I jeszcze wydawanie przyjęć urodzinowych – roześmiał się. – Pan zapewne jest mądrzejszy ode mnie. Pan nie wydaje przyjęć urodzinowych.

Napiliśmy się wina.

– Co pan naprawdę myśli o wojnie? – spytałem.

– Myślę, że jest głupia.

– A kto ją wygra?

– Włochy.

– Dlaczego?

– Bo to młody naród.

– Czy młode narody zawsze wygrywają wojny?

– Przez pewien czas są do tego zdolne.

– A potem co?

– Potem stają się narodami starymi.

– I pan mówił, że pan nie jest mądry.

– Drogi chłopcze, to nie jest mądrość. To cynizm.
– Mnie się to wydaje bardzo mądre.
– Niespecjalnie. Mógłbym panu cytować przykłady czegoś wręcz przeciwnego. Ale to nie jest złe. Skończyliśmy już tego szampana?

- Prawie.
- Napijemy się jeszcze? Potem muszę się przebrać.
- Może już będzie dosyć.
- Na pewno pan nie ma chęci na więcej?
- Na pewno.

Wstał.

– Mam nadzieję, że pan będzie miał w życiu szczęście, zadowolenie i dużo, dużo zdrowia.

– Dziękuję. A ja mam nadzieję, że pan będzie żył wiecznie.
– Dziękuję panu. Już to zrobiłem. A jeżeli pan kiedyś stanie się religijnym, proszę się za mnie pomodlić, gdybym umarł. Prosiłem o to kilku moich przyjaciół. Spodziewałem się, że sam będę kiedyś religijny, ale to nie przyszło.

Miałem wrażenie, że uśmiechnął się smutnie, ale nie byłem pewny. Był bardzo stary, twarz miał pomarszczoną i uśmiech złościł na niej tyle bruzd, że zatracalo się wszelkie stopniowanie.

– Możliwe, że kiedyś będę bardzo nabożny – powiedziałem. – W każdym razie pomodlę się za pana.

– Zawsze myślałem, że sam taki będę. Cała moja rodzina umierała bardzo bogobojnie. Ale to jakoś nie przychodzi.

– Jeszcze za wcześnie.
– Może już za późno. Może przeżyłem swoje uczucia religijne.
– Moje zjawiają się tylko nocą.
– Ale pan jest zakochany. Proszę nie zapominać, że to jest także uczucie religijne.
– Tak pan sądzi?
– Oczywiście. – Zrobił krok w stronę stołu. – Bardzo był pan łaskawy, że pan ze mną zagrał.

- To była dla mnie wielka przyjemność.
- Pójdziemy razem na górę.

Rozdział IV

Tej nocy przyszła burza i obudziwszy się, usłyszałem deszcz zacinający w szyby. Wpadał do pokoju przez uchylone okno. Ktoś pukał do drzwi. Podeszedłem do nich cicho, żeby nie zbudzić Catherine, i otworzyłem. Stał tam barman. Miał na sobie palto, a w ręku trzymał mokry kapelusz.

– Czy mogę z panem mówić, *tenente*?

– Co się stało?

– Bardzo poważna sprawa.

Obejrzałem się. W pokoju było ciemno. Widziałem wodę stojącą na podłodze pod oknem.

– Niech pan wejdzie – powiedziałem. Wziąłem go pod rękę i zaprowadziłem do łazienki. Zamknąłem drzwi, zapaliłem światło i usiadłem na krawędzi wanny.

– Co się stało, Emilio? Ma pan jakieś kłopoty?

– Nie. To pan je ma, *tenente*.

– Tak?

– Rano mają pana zaaresztować.

– Tak?

– Przyszedłem pana uprzedzić. Byłem w mieście i słyszałem, jak mówili o tym w kawiarni.

– Aha.

Zamilkł i stał przede mną w mokrym palcie, z mokrym kapeluszem w ręce.

– Dlaczego chcą mnie aresztować?

– Coś w związku z wojną.

– A pan wie co?

– Nie. Ale wiem, że oni się orientują, że pan był tutaj przedtem jako oficer, a teraz jest pan bez munduru. Po tym odwrócie aresztują każdego.

Zastanowiłem się chwilę.

– O której przyjdą po mnie?

– Rano. Godziny nie wiem.

– I co pana zdaniem trzeba robić?

Położył kapelusz na umywalni. Był on bardzo zmoczony i woda kapiała z niego na podłogę.

– Jeżeli pan nie ma czego się obawiać, to aresztowanie jest głupstwem. Ale zawsze niedobrze jest być aresztowanym, szczególnie teraz.

– Nie chcę, żeby mnie zaaresztowali.

– To niech pan ucieka do Szwajcarii.

– Jak?

– Moją łodzią.

– Teraz jest burza – powiedziałem.

– Już przeszła. Na jeziorze jest fala, ale nic się panu nie stanie.

– Kiedy trzeba wyruszyć?

– Natychmiast. Mogą po pana przyjść wcześniej rano.

– A co z naszymi rzeczami?

– Niech pan się spakuje. A pani niech się ubierze. Ja zajmę się bagażem.

– Gdzie pan będzie?

– Zaczekam tutaj. Nie chcę, żeby mnie ktoś zobaczył na korytarzu.

Otworzyłem drzwi, wszedłem do sypialni i zamknąłem je za sobą. Catherine nie spała.

– Co się stało, kochanie?

– Nic, nic, Cath – odpowiedziałem. – Nie chciałabyś zaraz się ubrać i popłynąć łodzią do Szwajcarii?

– A ty?

– Nie – odrzekłem. – Ja wolałbym wrócić do łóżka.

– O co to idzie?

– Barman mówi, że mają mnie rano zaaresztować.

– Czy on oszalał?

– Nie.

– No to pospiesz się, kochanie, i ubierz, żebyśmy mogli zaraz jechać. – Usiadła na brzegu łóżka. Była jeszcze zaspana. – Czy to ten barman jest w łazience?

– Tak.

– To nie będę się myła. Proszę cię, nie patrz, kochanie. W minutę będę ubrana.

Kiedy zrzuciła nocną koszulę, ujrzałem jej białe plecy, a potem odwróciłem wzrok, bo mnie o to prosiła. Cięża jej zaczynała już być widoczna i Catherine nie chciała mi się pokazywać. Ubierałem się słysząc deszcz zacinający w szyby. Nie miałem wiele do pakowania.

– W mojej walizce jest dużo miejsca, Cath, jeżelibyś chciała coś tam włożyć.

– Już prawie się spakowałam – odrzekła. – Kochanie, może ja jestem strasznie głupia, ale dlaczego ten barman siedzi w łazience?

– Tss... Czeka, żeby znieść nasze walizki.

– Bardzo to ładnie z jego strony.

– To mój stary przyjaciel – odparłem. – Kiedyś o mało nie przysłałem mu tytoniu fajkowego.

Wyjrzałem przez otwarte okno w ciemną noc. Nie mogłem dojrzeć jeziora, tylko mrok i deszcz, ale widziałem, że wiatr się uspokoił.

– Jestem gotowa, kochanie – powiedziała Catherine.

– Dobrze. – Podeszedłem do drzwi łazienki. – Tu są walizki, Emilio – powiedziałem.

Wziął je obie.

– Bardzo pan jest dobry, że pan nam pomaga – powiedziała Catherine.

– Drobnostka, proszę pani – odrzekł barman. – Chętnie państwu pomogę, bylebym sam nie wpadł. Niech pan posłucha – zwrócił się do mnie. – Zniosę te walizki schodami dla służby, a potem pójdę do łodzi. Państwo wyjdźcie zwyczajnie, tak jakbyście szli na spacer.

– Śliczna noc na spacer – powiedziała Catherine.

– Rzeczywiście paskudna.

– Dobrze, że mam parasolkę – rzekła.

Minąwszy korytarz zeszliśmy po szerokich schodach wysłanych grubym chodnikiem. Na dole, przy drzwiach, siedział za biurkiem portier.

Zdziwił się na nasz widok.

– Chyba szanowny pan nie wychodzi? – powiedział.

– I owszem – odrzekłem. – Idziemy przyjrzeć się burzy na jeziorze.

– Czy pan ma parasol?

– Nie. Ten płaszcz chroni od deszczu. Przypatrzył mu się z powątpiewaniem.

– Przyniosę szanownemu panu – oświadczył. Odszedł i wrócił z ogromnym parasolem. – Trochę za duży, proszę pana. – Dałem mu banknot dziesięcilirowy. – O, szanowny pan jest za dobry! Dziękuję bardzo – powiedział.

Przytrzymał drzwi, a my wyszliśmy na deszcz. Uśmiechnął się do Catherine, ona też odpowiedziała mu uśmiechem.

– Państwo nie zostają długo na deszczu – powiedział – bo bardzo zmokną pan i pani.

Był tylko zastępcą portiera i jego angielszczyzna wciąż jeszcze była dosłownym tłumaczeniem.

– Niedługo wrócimy – odpowiedziałem.

Poszliśmy pod olbrzymim parasolem ścieżką, potem ciemnym, zmoczonym parkiem do drogi, a minąwszy ją, dalej brzegiem jeziora, dróżką obwiedzioną kratkami, na których rosły pnącza. Listopadowy wiatr wiał teraz od lądu. Był zimny, wilgotny i domyślałem się, że w górach musi padać śnieg. Mijaliśmy łodzie uwiązane na łańcuchach wzdłuż bulwaru i szliśmy ku miejscu, gdzie powinna być stać łódź barmana. Woda odcinała się czarno od kamieni. Zza szeregu drzew wysunął się barman.

– Walizki już są w łodzi – powiedział.

– Chciałbym panu zapłacić za tę łódź – odezwałem się.

– Ile pan ma pieniędzy?

– Nie za wiele.

– Przyśle mi pan później. Tak będzie najlepiej.

– A ile?

– Co pan uważa.

– Niech pan powie ile.

– Jeżeli państwo się przedostaną, proszę mi przysłać pięćset franków. Wtedy nie zrobi to panu różnicy.

– Dobrze.

– Tu są sandwicze – podał mi paczkę. – Wszystko, co było w barze. A tu butelka wódki i druga wina. Włożyłem je do walizki.

– Niech mi pan pozwoli za to zapłacić.

– Dobrze. Może mi pan dać za to pięćdziesiąt lirów. Wręczyłem mu pieniądze.

– To dobra wódka – powiedział. – Może pan bez obawy dać ją pani. Niech pani lepiej wsiądzie do łodzi.

Przytrzymał łódź, która wznosiła się i opadała na falach, ocierając się o kamienny mur, a ja pomogłem wsiąść Catherine. Usiadła na rufie; otuliłem ją peleryną.

– Wie pan, jak płynąć?

– Prosto przez jezioro.

– A wie pan, jak daleko?

– Za Luino.

– Za Luino, Cannero, Cannobio i Tranzano. W Szwajcarii znajdzie się pan dopiero wtedy, gdy pan dopłynie do Brissago. Trzeba minąć Monte Tamara.

– Która to godzina? – spytała Catherine.

– Dopiero jedenasta – odpowiedziałem.
– Jeżeli pan będzie wiosłował przez cały czas, powinni państwo dopłynąć około siódmej rano.

– To jest aż tak daleko?

– Trzydzieści pięć kilometrów.

– Ale jak tu płynąć? W tym deszczu potrzebny jest kompas.

– Nie. Niech pan powiosłuje do Isola Bella. Potem, za Isola Mądre, niech pan płynie z wiatrem. Wiatr zaprowadzi państwa do Pallanzy. Zobaczą państwo światła. Dalej niech pan płynie wzdłuż brzegu.

– Wiatr może się zmienić.

– Nie – powiedział. – Ten wiatr będzie tak wiał przez trzy dni. Dmie prosto od Mottarone. A tu jest puszka do wylewania wody z łodzi.

– Niech pan mi pozwoli zapłacić coś teraz za łódź.

– Nie. Wolę zaryzykować. Jeżeli państwo przepłyną, zapłaci mi pan tyle, ile pan będzie mógł.

– No dobrze.

– Nie przypuszczam, żeby się państwo utopili.

– To doskonale.

– Niech pan płynie z wiatrem przez jezioro.

– Dobrze. – Wsiadłem do łodzi.

– Czy pan zostawił pieniądze za hotel?

– Tak. W kopercie, w naszym pokoju.

– W porządku. Wszystkiego dobrego, *tenente*.

– Wszystkiego dobrego. Dziękujemy jeszcze raz.

– Nie będziecie mi państwo dziękować, jak się potopicie.

– Co on mówi? – spytała Catherine.

– Życzy nam wszystkiego dobrego.

– Wszystkiego dobrego – powiedziała Catherine. – Dziękujemy bardzo.

– Gotowi państwo?

– Gotowi.

Pochylił się i odepchnął łódź. Zanurzyłem wiosła w wodzie i pomachałem mu jedną ręką. Odwzajemnił mi się jakby niechętnie. Widziałem światła hotelu i wiosłowałem prosto przed siebie, dopóki nie znikły mi z oczu. Na jeziorze była spora fala, ale płynęliśmy z wiatrem.

Rozdział V

Wiosłowałem w ciemnościach trzymając się wciąż twarzą do wiatru. Deszcz ustał i tylko od czasu do czasu nadlatywał falami. Było bardzo ciemno i wiał zimny wiatr. Widziałem Catherine siedzącą na rufie, ale nie mogłem dojrzeć wody, w którą zanurzałem pióra wiosel. Wiosła były długie, a nie miałem rzemieni, które by je zabezpieczały od wysunięcia się za burtę. Zagarniałem wiosłami, podnosiłem je, pochylałem się w przód, opuszczałem je na wodę, zanurzałem i zagarniałem znowu, wiosłując możliwie jak najswobodniej. Unosząc wiosła nie przekręcałem ich w rękę na płask, bo wiatr był dla nas pomyślny. Wiedziałem, że na dłoniach porobią mi się pęcherze i chciałem to odwlec jak najdłużej. Łódź była lekka i wiosłowało się nią łatwo. Popychałem ją naprzód po ciemnej wodzie. Nic nie widziałem i miałem tylko nadzieję, że niedługo dopłyniemy na wysokość Pallanzy.

Nie zobaczyliśmy Pallanzy. Wiatr wiał po jeziorze, minęliśmy w ciemnościach zasłaniający ją cypel i w ogóle nie zauważyliśmy światła. Kiedy wreszcie, już dużo dalej, zobaczyliśmy jakieś światła nad samym jeziorem, była to Intra. Ale przez długi czas nie widzieliśmy żadnych światła ani brzegu i wciąż płynęliśmy w mroku, unoszeni przez fale. Czasem, kiedy fala wynosiła łódź w górę, nie natrafiałem w ciemnościach wiosłami na wodę. Jezioro było silnie wzburzone, jednakże wiosłowałem dalej, gdy wtem omal nie wpadliśmy na skalny cypel, który wyrósł tuż przed nami.

Fale rozbijały się o niego wystrzelając wysoko, a potem opadając z powrotem. Zagarnąłem silnie prawym wiosłem, zaparłem się drugim i znowu wydostaliśmy się na jezioro. Cypel zniknął nam z oczu i płynęliśmy dalej.

- Już jesteśmy po drugiej stronie – powiedziałem do Catherine.
- A nie powinniśmy byli widzieć Pallanzy?
- Przeoczyliśmy ją.
- Jak się czujesz, kochany?
- Doskonale.
- Mogłabym chwilę powiosłować.
- Nie, nie. Tak jest dobrze.
- Biedna Ferguson – powiedziała Catherine. – Rano przyjdzie do hotelu i dowie się, że nas nie ma.

– Tym się nie tyle martwię – odrzekłem – co tym, czy zdążymy dopłynąć do szwajcarskiej części jeziora, zanim się rozwidni i straż celna nas wypatrzy.

- A to jeszcze daleko?
- Trzydzieści kilka kilometrów.

Wiosłowałem przez całą noc. W końcu miałem tak poharatane dłonie, że z trudem mogłem je zaciskać na wiosłach. Kilka razy omal nie rozbiliśmy się o brzeg. Trzymałem się niedaleko niego, bo bałem się zabłądzić na jeziorze i stracić czas. Chwilami byliśmy tak blisko, że widzieliśmy rzędy drzew, drogę biegnącą wzdłuż jeziora, a za nią góry. Deszcz ustał, wiatr rozproszył chmury na tyle, że pokazał się księżyc i oglądając się widziałem długi, ciemny cypel Castagnola, białe grzywy fal na jeziorze, a w oddali wysokie, ośnieżone góry w świetle księżyca. Później chmury znów zasłoniły księżyc, znikły góry i jezioro, ale było o wiele widniej niż przedtem i mogliśmy dojrzeć brzeg. Widziałem go aż zbyt wyraźnie, więc odpłynąłem nieco dalej, ażeby nie zauważono łodzi, jeśliby przy drodze do Pallanzy były jakieś posterunki celne. Kiedy księżyc pokazał się znowu, zobaczyliśmy na brzegu białe wille na stokach góry i drogę bielejącą pomiędzy drzewami. Wiosłowałem przez cały czas. Jezioro poszerzało się tutaj i na przeciwległym brzegu, u stóp gór, dojrzeliliśmy kilka świateł, tam gdzie powinno być Luino. Spostrzegłem klinową rozpadlinę między górami po tamtej stronie i pomyślałem, że to z pewnością jest Luino. Jeżeli tak, to oznaczało, że mieliśmy dobre tempo. Wciągnąłem wiosła do łodzi i położyłem się na ławce. Byłem bardzo, bardzo zmęczony wiosłowaniem. Bolały mnie ręce, ramiona i plecy, a dłonie miałem pokaleczone.

– Może bym pottrzymała parasol? – zaproponowała Catherine. – W ten sposób moglibyśmy płynąć z wiatrem.

– Potrafisz sterować?

– Chyba tak.

– Weź to wiosło, trzymaj je pod pachą przy samej burcie i steruj, a ja potrzynam parasol.

Przeszedłem na rufę i pokazałem Catherine, jak ma trzymać wiosło. Sam wzięłem duży parasol dany mi przez portiera, otworzyłem go i usiadłem twarzą do dziobu. Otworzył się z łopotem. Trzymałem go za obie krawędzie, siedząc okrakiem na rączce zahaczonej o ławkę. Wiatr wydał go; trzymając parasol z całej siły za rogi, czułem, jak łódź sunie naprzód. Ciągnęło nas mocno. Łódź płynęła szybko.

– Pięknie płyniemy – odezwała się Catherine.

Nie widziałem nic, tylko druty parasola. Napręzał się, ciągnął, a ja czułem, jak suniemy za nim. Zaparłem się nogami i odchyliłem się do tyłu, gdy wtem parasol wygiął się, w czoło trzasnął mnie pęknięty drut, spróbowałem pochwycić z wierzchu wydęty

wiatrem materiał, ale cały parasol wywrócił się na drugą stronę, a ja siedziałem okrakiem na rączce wyłamanej na zewnątrz, podartego parasola w miejsce wypełnionego wiatrem, ciągnącego żagla. Odczepiłem go z ławki, położyłem na dziobie i przeszedłem do Catherine po wiosło. Śmiała się. Wzięła mnie za rękę, śmiejąc się ciągle.

– Co się stało? – Chwyciłem za wiosło.

– Tak śmiesznie wyglądałeś z tym parasolem!

– Ja myślę.

– Nie gniewaj się, kochany. To było okropnie komiczne. Wydawało się, że masz ze dwadzieścia stóp szerokości i tak czule trzymałeś ten parasol za brzegi... – Zachłysnęła się ze śmiechu.

– Teraz powiosłuję.

– Odpocznij sobie i napij się trochę. Noc jest wspaniała i upłynęliśmy kawał drogi.

– Muszę pilnować, żeby łódź nie dostała się w bruzdę fali.

– Dam ci coś do wypicia. A potem odpocznij chwilkę.

Uniosłem wiosła, a łódź popłynęła pchana wiatrem. Catherine otwierała walizkę. Podała mi butelkę z wódką. Wydobyłem korek scyzorykiem i pociągnąłem duży haust. Spłynął mi w gardło gładko i ciepło, gorąco rozeszło się po całym ciele, poczułem, że mnie rozgrzewa i pokrzepia.

– Pyszna wódka – powiedziałem. Księżyc znowu się schował, ale brzeg było widać dobrze. Jakiś inny cypel wrzynał się daleko w jezioro.

– Nie zimno ci, Cath?

– Doskonale mi jest. Tylko trochę zdrętwiałam.

– Wybierz wodę z łodzi, to będziesz miała gdzie oprzeć nogi.

Wiosłowałem, słuchając stukotu wiosł w dulkach, plusku i chrobotania puszki, którą Catherine wybierała wodę spod tylnej ławki.

– Możesz mi dać tę puszkę? – zapytałem. – Chce mi się pić.

– Okropnie brudna.

– Nic nie szkodzi. Wypłuczę ją.

Usłyszałem, że Catherine płucze puszkę za burtą. Potem podała mi ją pełną wody. Po wódce chciało mi się pić, woda była lodowata, tak zimna, że aż kłuła w zęby. Popatrzyłem w stronę brzegu. Byliśmy już bliżej długiego cypla. W zatoce przed nami ukazały się światła.

– Dziękuję – powiedziałem, oddając blaszaną puszkę.

– Proszę uprzejmie – odrzekła Catherine. – Jest tego jeszcze dużo, jeżeli sobie życzysz.

- Nie chciałybyś coś zjeść?
- Nie. Niedługo będę głodna. Zachowamy to sobie do tego momentu.
- Dobrze.

To, co z daleka wydawało się cyplem, było długim, wysokim przylądkiem. Wypłynąłem dalej na jezioro, ażeby go wyminąć. Jezioro było tu o wiele węższe. Księżyc znów się pokazał i jeżeli *guardia di finanza** czuwała, mogła dostrzec naszą łódź czerniejącą na tle wody.

- Jak tam, Cath?
- Zupełnie dobrze. Gdzie jesteśmy?
- Myślę, że nie zostało więcej jak jakieś osiem mil.
- To kawał drogi do wiosłowania, mój biedaczku. Jeszcze żyjesz?
- Żyję. Nic mi nie jest. Tylko ręce mam pokaleczone.

Płynęliśmy dalej jeziorem. Na prawym brzegu ukazała się luka w łańcuchu gór, spłaszczenie terenu z niską linią brzegu, gdzie, jak przypuszczałem, powinno być Cannobio. Trzymałem się daleko od brzegu, bo od tej chwili groziło nam największe niebezpieczeństwo napotkania *guardia*. Przed nami wznosiła się wysoka, kopulasta góra. Czulem zmęczenie. Odległość do przepłynięcia nie była zbyt wielka, ale dla kogoś, kto wyszedł z formy, jednak dość znaczna. Wiedziałem, że trzeba ominąć tę górę i przebyć jeszcze co najmniej pięć mil, zanim wpłyniemy na wody szwajcarskie. Księżyc już prawie zachodził, ale nim zniknął zupełnie, niebo znów przesłoniły chmury i zrobiło się bardzo ciemno. Trzymałem się środka jeziora, to wiosłując, to znów odpoczywając chwilę i unosząc wiosła tak, aby wiatr uderzał w ich pióra.

- Pozwól mi trochę powiosłować – rzekła Catherine.
- Uważam, że nie powinnaś.
- Ale skąd. To mi dobrze zrobi. Nie będę tak drętwiała.
- Nie powinnaś, Cath.
- Ech! Umiarkowane wiosłowanie jest bardzo wskazane dla ciężarnej damy.
- No dobrze, powiosłuj sobie umiarkowanie. Przejdę na rufę, a ty tutaj. Trzymaj się rękami burt, jak będziesz przechodziła.

Usiadłem na rufie w płaszczu z postawionym kołnierzem i patrzyłem, jak Catherine wiosłuje. Robiła to bardzo dobrze, ale wiosła były za długie i zawadzały jej. Otworzyłem walizkę, zjadłem kilka sandwiczów i napiłem się wódki. Od razu poczułem się raźniej, więc wypilem jeszcze trochę.

* *guardia di finanza* (wł.) - straż celna.

– Powiedz mi, jak się zmęczysz – poprosiłem. Po chwili dodałem: – Uważaj, żeby wiosło nie uderzyło cię w brzuszek.

– A gdyby nawet – powiedziała Catherine między jednym ruchem wiosła a drugim. – Życie mogłoby być o wiele prostsze.

Napiłem się jeszcze wódki.

– Jak ci idzie?

– Doskonale.

– Powiedz mi, jak będziesz miała dosyć.

– Dobrze.

Wypiłem jeszcze łyk, a potem, trzymając się obu burt, przesunąłem się naprzód.

– Nie, nie. Świetnie mi idzie.

– Wracaj na rufę. Odpocząłem sobie wspaniale.

Po wódce wiosłowałem przez jakiś czas swobodnie i równo. Potem wiosła zaczęły mi więznąć w wodzie i wkrótce już znowu tylko chlapałem nimi, czując w ustach rozcieńczony smak żółci wskutek zbyt wyjątkowego wiosłowania po wypiciu wódki.

– Daj mi trochę wody, dobrze? – powiedziałem.

– Nic prostszego – odrzekła Catherine.

Przed świtem zaczęło mżyć. Wiatr ustał, czy też może znaleźliśmy się pod osłoną gór obrzeżających w tym miejscu zakręt jeziora. Kiedy poznałem, że niedługo się rozwidni, zebrałem się w sobie i zacząłem ostro wiosłować. Nie wiedziałem, gdzie jesteśmy, i chciałem się dostać na szwajcarską część jeziora. Gdy zaczęło świtać, byliśmy już zupełnie blisko lądu. Widziałem skalisty brzeg i drzewa.

– Co to? – odezwała się Catherine.

Oparłem się na wiosłach i nadstawiłem ucha. Był to terkot motorówki daleko na jeziorze. Podpłynąłem bliżej do brzegu i zatrzymałem łódź. Terkot przybliżył się i zobaczyliśmy motorówkę w deszczu, trochę za nami. Na rufie siedzieli czterej *guardia di finanza*, w kapeluszach *alpini** nasuniętych na oczy, z postawionymi kołnierzami peleryn i karabinami na plecach. O tej wczesnej porannej godzinie byli najwyraźniej śpiący. Widziałem żółtą barwę na ich kapeluszach i żółte odznaki na kołnierzach peleryn. Motorówka, terkocząc, zniknęła nam z oczu wśród deszczu.

Wypłynąłem dalej na jezioro. Skoro znajdowaliśmy się tak blisko granicy, wołałem, żeby nas nie zatrzymał któryś z posterunków przy drodze. Płynąłem z daleka, tak aby tylko widzieć brzeg, i wiosłowałem w deszczu przez następne trzy kwadransy.

* *alpini* (wł.) - alpejskie.

Raz jeszcze usłyszeliśmy motorówkę i wtedy zczekałem w miejscu, aż warkot silnika ucichł na jeziorze.

– Zdaje mi się, że jesteśmy w Szwajcarii, Cath – powiedziałem.

– Naprawdę?

– Nie ma pewności, dopóki nie zobaczymy szwajcarskiego wojska.

– Albo szwajcarskiej marynarki.

– Marynarka szwajcarska to wcale dla nas nie żart. Ta motorówka, którą niedawno słyszeliśmy, to prawdopodobnie była właśnie szwajcarska marynarka.

– Jeżeli jesteśmy w Szwajcarii, to zjemy sobie wspaniałe śniadanie. W Szwajcarii mają wyborne bułeczki, masło i marmoladę.

Było już zupełnie widno i padał drobny deszcz. Wiatr ciągle jeszcze dął po jeziorze i widzieliśmy oddalające się od nas białe czapy fal. Byłem już pewien, że jesteśmy w Szwajcarii. Między drzewami nad brzegiem stały liczne domki, a nieco dalej było miasteczko o kamiennych budynkach, kilka willi na wzgórzach i kościół. Wypatrywałem strażników na drodze biegnącej wzdłuż brzegu, ale nie widziałem żadnego. Droga zbliżała się teraz do samego jeziora i spostrzegłem żołnierza, który wychodził ze stojącej przy niej kawiarenki. Był w szarozielonym mundurze i hełmie podobnym do niemieckiego. Miał czerstwą twarz i mały szpecinowaty wąsik. Popatrzył na nas.

– Pomachaj do niego – powiedziałem do Catherine.

Skinęła mu ręką, a żołnierz uśmiechnął się z zakłopotaniem i odpowiedział jej tym samym. Zacząłem wiosłować wolniej. Przepływaliśmy przed miasteczkiem.

– Musimy już być spory kawałek od granicy – powiedziałem.

– Trzeba się upewnić, kochanie. Lepiej, żeby nas nie odstawili z powrotem.

– Granica już daleko za nami. Przypuszczam, że tu jest urząd celny. Chyba to Brissago.

– A nie będzie tu Włochów? W takim miasteczku, gdzie jest urząd celny, zawsze siedzą jedni i drudzy.

– Nie podczas wojny. Nie sądzę, żeby przepuszczali Włochów przez granicę.

Miasteczko było ładne. Przy molo stały liczne łodzie rybackie i widać było sieci rozpięte na stojakach. Padał drobny listopadowy deszczyk, ale nawet przy nim wszystko wydawało się tu wesołe i schludne.

– No to może wylądujemy i zjemy śniadanie?

– Dobrze.

Zagarnąłem silnie lewym wiosłem i podpłynąłem bliżej, potem przy molo naprostowałem łódź i dobiłem do niego. Wciągnąłem wiosła do środka, uchwyciłem się

żelaznego pierścienia, wskoczyłem na mokre kamienie i już byłem w Szwajcarii. Uwiązałem łódź i podałem rękę Catherine.

– Chodź. Cath. To cudowne uczucie.

– A co będzie z naszymi rzeczami?

– Zostaw je w łodzi.

Catherine wysiadła i oboje znaleźliśmy się razem w Szwajcarii.

– Jaki to śliczny kraj – powiedziała.

– Prawda, że wspaniały?

– Chodźmy już na śniadanie.

– No, czy nie wspaniały kraj? Rozkosznie jest czuć go pod stopami.

– Tak zdrętwiałam, że nie bardzo czuję. Ale zdaje się, że cudowny. Kochanie, czy ty sobie uświadamiasz, że już jesteśmy tutaj, żeśmy się wydostali z tamtego przekłętego miejsca?

– Tak. Naprawdę tak. Dotychczas nic sobie nie uświadamiałem.

– Popatrz na te domy. Prawda, jaki piękny plac? O, tam jest jakaś kawiarnia, gdzie można dostać śniadanie.

– A deszcz nie śliczny? We Włoszech nigdy nie było takiego deszczu. Jakiś wesoły.

– No, już jesteśmy, kochanie! Zdajesz sobie z tego sprawę?

Weszliśmy do kawiarni i usiedliśmy przy czystym drewnianym stoliku. Byliśmy pijani z podniecenia. Podeszła do nas wspaniała schludna kobieta w fartuszkach i zapytała, czego sobie życzymy.

– Bułeczek, marmolady i kawy – odparła Catherine.

– Bardzo mi przykro, ale w czasie wojny nie mamy bułeczek.

– No to chleba.

– Mogę państwu przygotować grzanki.

– Doskonale.

– A ja bym jeszcze poprosił jajka sadzone.

– Ile jajek dla pana?

– Trzy.

– Zamów cztery, kochanie.

– To cztery.

Kobieta odeszła. Pocałowałem Catherine i uścisnąłem mocno jej rękę. Patrzyliśmy na siebie i na kawiarnię.

– Kochanie, kochanie, czy to nie cudowne?

– Niesłychanie – odrzekłem.

– Wcale nie żałuję, że nie ma bułek – powiedziała Catherine. – Marzyłam o nich przez całą noc. Ale nie żałuję. Nie żałuję ani trochę.

– Przypuszczam, że niedługo nas zaaresztują.

– Mniejsza o to, kochany. Najpierw zjemy śniadanie. Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeżeli cię zaaresztują po śniadaniu. A poza tym nie mogą nam nic zrobić. Jesteśmy solidnymi obywatelami Anglii i Ameryki.

– Masz paszport, prawda?

– Oczywiście. Och, nie mówmy o tym. Bądźmy szczęśliwi.

– Nie mogę już być szczęśliwszy, niż jestem – odparłem. Tłusty, szary kot, z ogonem sterczącym jak pióropusz, podszedł do naszego stolika i przytulił się do mojej nogi, ocierając się o nią i mrucząc. Pochyliłem się i pogłaskałem go. Catherine uśmiechnęła się do mnie radośnie.

– O, idzie kawa – powiedziała.

Zaaresztowali nas po śniadaniu. Przeszliśmy się trochę po miasteczku, a potem wróciliśmy na molo po nasze rzeczy. Przy łodzi stał na straży żołnierz.

– Czy to państwa łódź?

– Tak.

– Skąd państwo przybyli?

– Zza jeziora.

– W takim razie proszę ze mną.

– A co będzie z rzeczami?

– Może pan zabrać.

Wziąłem nasze walizki i poszedłem razem z Catherine. Żołnierz szedł za nami do starego budynku, gdzie mieścił się urząd celny. Tam przesłuchał nas porucznik, chudy i bardzo wojskowy.

– Jakiej państwo są narodowości?

– Amerykańskiej i brytyjskiej.

– Proszę mi pokazać paszporty.

Podąłem mu swój paszport, a Catherine wyjęła swój z torebki. Oglądał je bardzo długo.

– Dlaczego państwo przybyli do Szwajcarii łodzią w taki sposób?

– Jestem sportowcem – odpowiedziałem. – Wioślarstwo to mój ulubiony sport. Zawsze wiosłuję, jak tylko mam sposobność.

– A w jakim celu państwo przyjechali?

– Na sporty zimowe. Jesteśmy turystami i chcemy uprawiać sporty zimowe.

– To nie jest miejsce na sporty zimowe.

– Wiemy o tym. Chcemy jechać tam, gdzie je można uprawiać.

– Co państwo robili we Włoszech?

– Ja studiowałem architekturę, a moja kuzynka historię sztuki.

– Dlaczego państwo stamtąd wyjechali?

– Chcemy uprawiać sporty zimowe. Podczas wojny nie można studiować architektury.

– Proszę tu zaczekać – powiedział porucznik. Zniknął w głębi budynku z naszymi paszportami.

– Cudowny jesteś, kochanie – rzekła Catherine. – Trzymaj się dalej tego, co powiedziałaś. Przyjechałaś na sporty zimowe.

– Rozumiesz się trochę na sztuce?

– Rubens – odparła Catherine.

– Wielkie i tłuste – powiedziałem.

– Tycjan – rzekła Catherine.

– Tycjanowskie włosy – odrzekłem. – A Mantegna?

– Tylko bez trudnych pytań – odpowiedziała. – Ale jego znam. Bardzo przykry.

– Bardzo przykry – potwierdziłem. – Masa dziur od gwoździ.

– Widzisz, że będę dla ciebie świetną żoną. Będę mogła rozmawiać o sztuce z twoimi klientami.

– No, idzie – powiedziałem. Chudy porucznik szedł z głębi budynku celnego, niosąc nasze paszporty.

– Muszę odesłać państwa do Locarno – powiedział. – Możecie państwo wynająć konie; pojedzie z wami żołnierz.

– W porządku – odrzekłem. – A co będzie z łodzią?

– Łódź zostaje skonfiskowana. Co państwo mają w tych walizkach?

Przeszukał obie walizki i wyciągnął ćwierćlitrową butelkę wódki.

– Może pan się ze mną napije? – zapytałem.

– Nie, dziękuję. – Wyprostował się. – Ile pan posiada pieniędzy?

– Dwa i pół tysiąca lirów.

Zrobiło to na nim dobre wrażenie.

– A pańska kuzynka?

Catherine miała coś ponad tysiąc dwieście lirów. To podobało się porucznikowi. Zaczął odnosić się do nas mniej wyniośle.

– Jeżeli państwo chcą uprawiać sporty zimowe, to najlepszym miejscem będzie Wengen – powiedział. – Mój ojciec ma tam bardzo piękny hotel. Otwarty przez cały czas.

– To świetnie – odrzekłem. – Mógłby pan podać mi nazwę? – Zapiszę na kartce. – Wręczył mi kartkę bardzo uprzejmie.

– Żołnierz odwiezie państwa do Locarno. Zatrzyma przy sobie paszporty. Bardzo żałuję, ale to nieodzowne. Mam nadzieję, że w Locarno wydadzą państwu wizę albo policyjne zezwolenie na pobyt.

Wręczył oba paszporty żołnierzowi, a my, niosąc walizki, ruszyliśmy za nim, żeby wynająć konie w miasteczku.

– Hej! – zawołał za żołnierzem porucznik. Powiedział mu coś w niemieckim dialekcie. Żołnierz zarzucił karabin na plecy i wziął nasze walizki.

– Wspaniały kraj – powiedziałem do Catherine.

– Taki praktyczny.

– Dziękuję panu bardzo – zwróciłem się do porucznika.

Pomachał nam ręką.

– *Service!** – zawołał. Poszliśmy za naszym strażnikiem do miasteczka.

Do Locarno pojechaliśmy powozem, z żołnierzem siedzącym na koźle obok woźnicy. W Locarno nie było żadnych nieprzyjemności. Przesłuchali nas, ale zachowywali się uprzejmie, bo mieliśmy paszporty i pieniądze. Nie przypuszczam, żeby uwierzyli bodaj w jedno słowo naszej opowieści, i uważam, że była bardzo niemądra, ale wszystko odbywało się jak w sądzie. Nie potrzeba było niczego sensownego, należało tylko znaleźć jakieś praktyczne wyjaśnienie, a potem trzymać się go bez dalszych uzasadnień. Ale mieliśmy paszporty i mogliśmy wydawać pieniądze, więc dali nam wizy tymczasowe. Wizy te mogły być każdej chwili cofnięte.

Mieliśmy meldować się na policji wszędzie, gdzie się udamy.

A czy możemy pojechać dokąd nam się spodoba? Tak. Gdzie życzymy sobie jechać?

– Dokąd chcesz jechać, Cath?

– Do Montreux.

– Bardzo ładne miejsce – powiedział urzędnik. – Przypuszczam, że tam się państwu spodoba.

– Tutaj, w Locarno, jest bardzo przyjemnie – wtrącił drugi urzędnik. – Jestem pewny, że będą państwo zachwyceni. Locarno to bardzo ładna miejscowość.

– Chcielibyśmy pojechać tam, gdzie można uprawiać sporty zimowe.

– W Montreux tego nie ma.

– Przepraszam pana – rzekł pierwszy urzędnik. – Ja pochodzę z Montreux. Na linii kolejki Montreux–Oberland Bernois są z całą pewnością tereny sportowe. Byłoby fałszem z pana strony, gdyby pan temu zaprzeczył.

– Wcale nie zaprzeczam. Po prostu twierdziłem, że w Montreux nie można uprawiać sportów zimowych.

– A ja to kwestionuję – odparł tamten. – Kwestionuję takie oświadczenie.

– Ja je podtrzymuję.

– Kwestionuję to oświadczenie. Sam jeździłem na *luge'u** po ulicach Montreux. Robiłem to nie raz, a wiele razy. Jeżdżenie na *luge'u* jest bez wątpienia sportem zimowym.

Drugi urzędnik odwrócił się do mnie.

– Czy dla pana jazda na *luge'u* jest sportem zimowym? Powtarzam państwu, że najwygodniej będzie im tutaj, w Locarno. Przekonają się państwo, że klimat jest zdrowy, a okolice ładne. Spodoba się tu państwu ogromnie.

– Ale pan wyraził życzenie udania się do Montreux.

– Co to jest *luge*? – zapytałem.

– Widzi pan? Ten pan nawet nie słyszał o *luge'u*!

Dla drugiego urzędnika było to bardzo istotne. Ucieszył się tym wyraźnie.

– *Luge* to jest tobogan – oświadczył pierwszy.

– Pozwalam sobie być odmiennego zdania – pokręcił głową tamten. – Muszę znowu zaprzeczyć. Tobogan bardzo się różni od *luge'u*. Tobogany buduje się w Kanadzie na płaskich deskach. *Luge* to są zwykle saneczki na płozach. Ścisłość ma pewne znaczenie.

– A nie moglibyśmy jeździć na toboganie? – zapytałem.

– Oczywiście, że tak – odrzekł pierwszy urzędnik. – Mogą państwo doskonale to robić. W Montreux sprzedają pierwszorzędne kanadyjskie tobogany. Można je dostać u Braci Ochs. Sprowadzają je z zagranicy.

Drugi urzędnik odwrócił się. – Jazda na toboganie wymaga specjalnej *piste**. Pan nie mógłby jeździć na nim po ulicach Montreux. Gdzie państwo zamierzają tu się zatrzymać?

* *service!* (fr.) - do usług.

* *luge* (fr.) - krótkie saneczki używane w Szwajcarii.

* *piste* (fr.) - tor.

– Jeszcze nie wiemy – odparłem. – Dopiero co przyjechaliśmy z Brissago. Konie czekają na ulicy.

– Państwo bynajmniej nie popełniają omyłki, wybierając się do Montreux – powiedział pierwszy urzędnik. – Klimat jest tam rozkoszny i zachwycający. Nie trzeba daleko jeździć do terenów sportowych.

– Jeżeli państwo naprawdę chcą uprawiać sporty zimowe, to powinni jechać do Engadine albo do Mürren - oświadczył drugi urzędnik. – Muszę zaprotestować przeciwko doradzaniu Montreux w tym celu.

– Przy Les Avants, nad Montreux, są znakomite tereny do wszelkich sportów zimowych – łypnął na swego kolegę obrońca Montreux.

– Proszę panów, my niestety musimy już jechać – powiedziałem. – Moja kuzynka jest bardzo zmęczona. Pojedziemy na próbę do Montreux.

– Winszuję panu – uściśnął mi dłoń pierwszy urzędnik.

– Mam wrażenie, że państwo pożałujecie wyjazdu z Locarno – powiedział drugi. – W każdym razie trzeba się zameldować na policji w Montreux.

– Nie będzie tam żadnych nieprzyjemności z policją – zapewnił mnie pierwszy. – Przekonają się państwo, że wszyscy mieszkańcy są niezmiernie uprzejmi i życzliwi.

– Dziękuję panom najmocniej – powiedziałem. – Ogromnie cenimy sobie rady panów.

– Do widzenia – powiedziała Catherine. – Bardzo panom dziękuję.

Odprowadzili nas wśród ukłonów do drzwi, przy czym zwolennik Locarno uczynił to trochę chłodno. Zeszliśmy ze schodów i wsiedliśmy do powozu.

– Boże drogi – westchnęła Catherine. – Nie można było wyrwać się stamtąd trochę wcześniej, kochanie?

Podąłem woźnicy nazwę hotelu poleconego przez jednego z urzędników. Zebrał lejce.

– Zapomniałeś o armii – powiedziała Catherine. Żołnierz stał obok powozu. Dałem mu banknot dziesiętolirowy.

– Jeszcze nie mam szwajcarskich pieniędzy – wyjaśniłem. Podziękował mi, zasalutował i odszedł. Powóz ruszył i pojechaliśmy do hotelu.

– Dlaczego wybrałaś akurat Montreux? – zapytałem Catherine. – Naprawdę chcesz tam jechać?

– To była pierwsza miejscowość, jaka mi przyszła do głowy – odrzekła. – Tam nie jest źle. Możemy znaleźć sobie coś w górach.

– Nie jesteś śpiąca?

- Właściwie już śpię.
- Wyśpimy się porządnie. Biedna Cath. Miałaś długą i ciężką noc.
- Bawiłam się doskonale – odparła. – Zwłaszcza kiedy żeglowałeś tym parasolem.
- Czy ty zdajesz sobie sprawę, że jesteśmy w Szwajcarii?
- Nie. Boję się, że się przebudzę i przekonam, że to nieprawda.
- Ja też.
- Ale to przecież prawda, kochanie? Nie odwożę cię na stację w Mediolanie?
- Mam nadzieję, że nie.
- Nie mów tak. To mnie przeraża. A może jednak tam właśnie jedziemy?
- Jestem tak zamroczony, że sam nie wiem – odparłem.
- Pokaż mi ręce.

Wyciągnąłem je. Obie były pokaleczone do żywego mięsa.

- W boku nie mam rany od włóczni – powiedziałem.
- Nie bluźnij.

Byłem bardzo zmęczony i oszołomiony. Przeszło mi całe podniecenie. Powóz jechał ulicą.

- Biedne ręce – powiedziała Catherine.
- Nie dotykaj ich. Jak Boga kocham, nie wiem, gdzie jesteśmy. Dokąd jedziemy?
- zapytałem woźnicy. Zatrzymał konia.
- Do hotelu “Metropol”. Przecież tam państwo kazali.
- Tak – odparłem. – Wszystko w porządku, Cath.
- Już dobrze, kochanie. Nie denerwuj się. Wyśpimy się porządnie i jutro nie będziesz taki zamroczony.

– W głowie mi się mąci – powiedziałem. – Dziś wszystko dzieje się jak w operze komicznej. Może jestem głodny.

- Jesteś po prostu zmęczony, kochanie. Będziesz się czuł doskonale.
- Powóz stanął przed hotelem. Ktoś wyszedł po nasze walizki.
- Już mi lepiej – powiedziałem. Szliśmy przez chodnik do hotelu.
 - Na pewno wszystko będzie dobrze. Jesteś po prostu zmęczony. Długo nie spałeś.

– W każdym razie już tu jesteśmy.

– Tak, jesteśmy naprawdę.

Weszliśmy do hotelu za boyem niosącym walizki.

CZEŚĆ PIĄTA

Rozdział I

Tej jesieni śnieg spadł bardzo późno. Mieszkaliśmy w brunatnym drewnianym domku między sosnami na stoku góry i w nocy były przymrozki, tak że rano cienka skorupka lodu pokrywała wodę w dwóch dzbankach na umywalni. Pani Guttingen wchodziła wczesnym rankiem do naszego pokoju, aby pozamykać okna i rozpaścić ogień w wysokim porcelanowym piecu. Sosnowe drwa trzaskały i strzelały iskrami, potem ogień zaczynał huczeć, a pani Guttingen przychodziła po raz drugi, przynosząc wielkie szczapy drzewa i dzban gorącej wody. Kiedy pokój się nagrzał, wносиła śniadanie. Jedząc śniadanie w łóżku widzieliśmy jezioro i góry na drugim brzegu, po stronie francuskiej. Na ich szczytach leżał śnieg, a jezioro miało barwę zielonkawo-błękitno-stalową.

Przed domkiem przechodziła droga wiodąca pod górę. Koleiny i wyboje były zamrożone i twarde jak żelazo, droga pięła się wyżej przez las i dookoła góry ku miejscu, gdzie zaczynały się łąki, a na skraju lasu, ponad doliną, stały stodoły i chaty. Dolina była głęboka, jej dnem płynął potok wpadający do jeziora i kiedy wiał nią wiatr, słyszeliśmy szum potoku między skałami.

Czasem schodziliśmy z drogi na ścieżkę biegnącą lasem sosnowym. Po leśnym podłożu szło się miękko; ziemia nie była tu stwardniała od mrozu tak jak na drodze. Jednakże twardość drogi nie sprawiała nam różnicy, bo mieliśmy podeszwy i obcasy podkute gwoździami, a gwoździe obcasów wbijały się w zamrożone koleiny i w podkutych butach szło się dobrze i rażno. Ale najmilej było spacerować po lesie.

Sprzed naszego domku opadało strome zbocze ku małej równinie nad jeziorem. Siadaliśmy w słońcu na ganku i przyglądaliśmy się drodze wijącej się w dół po pochyłości, terasowatym winnicom pod nami, zeschniętym teraz w zimie polom poprzegradzanym kamiennymi murkami i domom miasteczka rozrzuconym poniżej winnic na wąskiej równinie wzdłuż jeziora. Na jeziorze była wysepka z dwoma drzewami, które przypominały dwa żagle rybackiej łodzi. Po drugiej stronie jeziora były poszarpane strome góry, a daleko na jego końcu płaska równina doliny Rodanu pomiędzy dwoma łańcuchami gór. W głębi doliny, tam gdzie zamykały ją góry, wznosiła się Dent du Midi. Był to wysoki, ośnieżony szczyt, dominujący nad całą doliną, ale znajdował się tak daleko, że nawet nie rzucał cienia.

Kiedy świeciło słońce, siadaliśmy do obiadu na ganku, ale przeważnie jadaliliśmy na piętrze, w małym pokoiku, który miał proste drewniane ściany i duży piec w kącie. Kupowaliśmy w mieście książki i czasopisma, mieliśmy poradnik Hoyle'a* i nauczyliśmy się wielu dwuosobowych gier w karty. Pokoik z piecem był naszym salonikiem. Stały tam dwa wygodne fotele, stolik na książki i pisma, a kiedy po obiedzie uprzątnięto z dużego stołu, grywaliśmy na nim w karty. Państwo Guttingen mieszkali na dole, czasem wieczorami słyszeliśmy ich rozmowy i wiedzieliśmy, że im także jest bardzo dobrze z sobą. On był dawniej starszym kelnerem, a ona pracowała w tym samym hotelu jako pokojówka i oboje odkładali pieniądze na kupno tego domku. Mieli syna, który kształcił się na starszego kelnera w hotelu w Zurychu. Na dole znajdowała się gospoda, gdzie sprzedawali wino i piwo, i czasem wieczorami słyszeliśmy wozy zatrzymujące się przed domem, i różni ludzie wchodzili po schodkach, żeby się napić wina.

W sieni przy naszym saloniku stała skrzynia z drewnem, którym podsycalem ogień w piecu. Nie przesiadywaliśmy jednak do późna. Kładliśmy się po ciemku do łóżka w obszernej sypialni, a kiedy już się rozebrałem, otwierałem okna i spojrzawszy w mrok nocy, na zimne gwiazdy i rosnące pod oknem sosny, biegłem co prędzej do łóżka. Wspaniale było tak leżeć i czuć zimne, czyste powietrze i noc za oknem. Sypialiśmy dobrze i jeżeli budziłem się w nocy, wiedziałem, że przyczyna jest tylko jedna, i poprawiałem puchową pościel bardzo ostrożnie, żeby nie zbudzić Catherine, i zaraz znów zasypiałem, rozgrzany, czując świeżą lekkość cienkich kołder. Wojna wydawała się czymś tak dalekim jak rozgrywki piłkarskiej drużyny cudzego uniwersytetu. Ale z gazet wiedziałem, że w górach nadal się biją, ponieważ śnieg nie chciał spaść.

Niekiedy schodziliśmy do Montreux. Z góry zbiegała ścieżka, ale ponieważ była stroma, więc zwykle wybieraliśmy drogę i szliśmy w dół tą szeroką, twardą drogą między polami, a niżej między kamiennymi murkami winnic i domami wiosek przydrożnych. Były tam trzy wioski: Chernex, Fontanivent i jeszcze jedna, której nazwy nie pamiętam. Potem mijaliśmy stary kwadratowy zameczek z kamienia, stojący na występie zbocza, a za nim terasowato opadające winnice, gdzie każda zeschnięta, brunatna winorośl podparta była palikiem, ziemia gotowa na przyjęcie śniegu, a jeziora w dole płaskie i szare jak stal. Za zameczkiem droga zbiegała w dół po długim stoku, potem skręcała w prawo i opadała stromo do Montreux, wybrukowana polnymi kamieniami.

W Montreux nie znaleźliśmy nikogo. Spacerowaliśmy nad jeziorem, przypatrując się łabędziom, licznym mewom i rybołowom, które podrywały się, gdyśmy podchodzili

* Hoyle - autor podręcznika różnych gier, przeważnie karcianych.

bliżej, i piszczały, zerkając w dół, na wodę. Dalej na jeziorze siedziały stadka małych, ciemnych perkozów, które płynąc pozostawiały szlak na wodzie. W mieście chodziliśmy po głównej ulicy i oglądali wystawy sklepów. Było tu sporo dużych hoteli, ale wszystkie zamknięte, natomiast większość sklepów była otwarta i kupcy witali nas z radością. Znajdował się tam także elegancki zakład fryzjerski, gdzie Catherine chodziła się czesać. Właścicielka była bardzo wesołą osobą, jedyną naszą znajomą w Montreux. Kiedyś, gdy Catherine tam była, poszedłem do piwiarni i popijając ciemne piwo monachijskie wziąłem się do czytania gazet. Przeczytałem "Corriere della Sera" oraz angielskie i amerykańskie gazety z Paryża. Wszystkie ogłoszenia były pozamazywane, prawdopodobnie dlatego, żeby zapobiec porozumiewaniu się tą drogą z nieprzyjacielem. Gazety nie były przyjemną lekturą. Wszystko szło jak najgorzej. Siedziałem w kącie przy wielkim kuflu ciemnego piwa i otwartej torebce z pergaminowego papieru, w której były precle. Jadłem je z przyjemnością, bo miały słonawy smak i piwo smakowało po nich wybornie, i czytałem o klęsce. Myślałem, że Catherine niedługo przyjdzie, ale nie przychodziła, więc odwiesiłem gazety na stojak, zapłaciłem za piwo i wyszedłem po nią. Dzień był zimny, pochmurny i wietrzny, a kamienne ściany domów tchnęły chłodem. Catherine była jeszcze w zakładzie fryzjerskim. Właścicielka układała jej włosy. Usiadłem obok i przyglądałem się temu. Dobrze mi było tak patrzeć, Catherine uśmiechała się i rozmawiała ze mną, a ja odpowiadałem głosem trochę chrapliwym z podniecenia. Lokówki szczękały przyjemnie, widziałem Catherine w trzech lustrach, a w pomieszczeniu było miło i ciepło. Potem fryzjerka skończyła układać włosy, Catherine przejrzała się w lustrze, poprawiła nieco uczesanie, wyjmując kilka szpilek i wpinając je w inne miejsca, wreszcie wstała.

– Przykro mi, że zabrałam pani tyle czasu.

– *Monsieur* bardzo się tym interesował, prawda? – uśmiechnęła się właścicielka.

– Tak – odpowiedziałem.

Wyszliśmy na ulicę. Było chłodno, zimowo i wiał wiatr.

– Najmilsza, tak cię kocham! – powiedziałem.

– Prawda, jak nam dobrze? – spytała Catherine. – Słuchaj, chodźmy gdzieś i napijmy się piwa zamiast herbaty. To bardzo dobre dla małej Catherine. Przez to będzie mniejsza.

– Mała Catherine – powiedziałem. – Ten urwis.

– Bardzo jest grzeczna – odparła Catherine. – Sprawia tak mało kłopotu. Doktor mówi, że picie piwa jest zdrowe dla mnie, a ona będzie od tego mniejsza.

– Jeżeli będziesz tak pilnować, żeby była mała, a okaże się, że jest chłopcem, to może zostanie dżokejem.

– Myślę, że jeżeli naprawdę będziemy mieli dziecko, to powinniśmy się pobrać – rzekła Catherine.

Siedzieliśmy przy stoliku w kącie piwiarni. Na dworze ściemniało się. Było jeszcze dość wcześnie, ale dzień był pochmurny i zmierzch zapadał szybko.

– Pobierzmy się zaraz – powiedziałem.

– Nie – odrzekła Catherine. – Teraz to zbyt krępujące. Za bardzo już widać. W takim stanie nie wystąpię przed nikim, żeby wziąć ślub.

– Żałuję, żeśmy się wcześniej nie pobrali.

– Pewnie tak byłoby i lepiej. Ale kiedy mieliśmy to zrobić, kochanie?

– Sam nie wiem.

– Ja wiem tylko jedno: że nie będę brała ślubu jako dostojna matrona.

– Wcale nie wyglądasz na matronę.

– O tak, kochanie, wyglądam. Fryzjerka pytała mnie, czy to nasze pierwsze dziecko. Skłamałam, że nie, i powiedziałam, że mamy już dwóch chłopców i dwie dziewczynki.

– Kiedy weźmiemy ślub?

– Każdej chwili, jak tylko znów będę szczupła. Urządzimy wspaniałe wesele i każdy będzie myślał, jaka to przystojna młoda para.

– A nie martwisz się?

– Kochanie, czymże ja mam się martwić? Raz jeden było mi przykro, kiedy czułam się jak dziwka tam w Mediolanie, ale to trwało tylko siedem minut, a zresztą to wszystko wina urządzenia pokoju. Czy nie jestem dla ciebie dobrą żoną?

– Cudowną.

– Więc nie bądź zanedo drobiazgowy. Wyjdę za ciebie, jak tylko znów będę szczupła.

– Dobrze.

– Myślisz, że powinnam napić się jeszcze piwa? Doktor mówi, że jestem trochę wąska w biodrach i że byłoby dobrze, gdybyśmy się postarali, aby Catherine nie była za duża.

– I co jeszcze powiedział? – zaniepokoiłem się.

– Nic. Mam doskonałe ciśnienie, kochany. Ogromnie zachwycał się moim ciśnieniem.

– A co mówił o tym, że jesteś za wąska w biodrach?

- Nic. Nic takiego. Że nie powinnam jeździć na nartach.
- Zupełnie słusznie.
- Twierdził, że teraz za późno już zaczynać, jeżeli nigdy przedtem tego nie robiłam. I że mogę jeździć, jeżeli nie będę się przewracała.
- Zaczny dowcipniś!
- Był naprawdę bardzo miły. Wezwiemy go do porodu.
- Pytałaś go, czy nie powinnaś wyjść za mąż?
- Nie. Powiedziałam mu, że jesteśmy już cztery lata po ślubie. Widzisz, kochanie, jeżeli wyjdę za ciebie, zostanę obywatelką amerykańską, a według ustawodawstwa amerykańskiego dziecko jest prawowite bez względu na moment zawarcia małżeństwa.
- Gdzieś ty to wynalazła?
- W nowojorskim "World Almanac", w czytelniku.
- Jesteś wspaniała.
- Bardzo chętnie zostanę Amerykanką. Pojedziemy do Ameryki, prawda, kochanie? Chcę zobaczyć wodospad Niagara.
- Cudowna jesteś.
- I jeszcze coś chcę zobaczyć, ale nie pamiętam co.
- Zagrody dla bydła.
- Nie. Nie mogę sobie przypomnieć.
- Gmach Woolwortha?
- Nie.
- Wielki Kanion?
- Nie. Ale to też bym chętnie zobaczyła.
- Więc co?
- Złote Wrota! To chciałabym zobaczyć. A gdzie one są?
- W San Francisco.
- To jedźmy tam. Zresztą i tak chcę obejrzeć San Francisco.
- Dobrze. Pojedziemy.
- A teraz wjedźmy na górę. Dobrze? Jest o tej porze kolejka?
- Jakaś odchodzi zaraz po piątej.
- To jedźmy nią.
- Dobrze. Tylko jeszcze wypiję jedno piwo.

Kiedy szliśmy ulicą, a potem schodkami prowadzącymi do stacji, było nam bardzo zimno. Z doliny Rodanu wiał zimny wiatr. W oknach wystaw paliły się światła; poszliśmy po stromych kamiennych schodkach na górną ulicę, a stamtąd drugimi schodkami do

stacji. Czekala tu juz kolejka elektryczna z zapalonymi swiatlami. Tarcza wskazywala godzinę odjazdu; wskazówki nastawione były na dziesięć po piątej. Spojrzałem na zegar stacyjny. Było pięć po piątej. Kiedy wsiedliśmy, zauważyłem motorniczego i konduktora wychodzących z bufetu dworcowego. Zajęliśmy miejsca i otworzyliśmy okno. Kolejka miała elektryczne ogrzewanie i w wagonie było duszno, ale przez okna wpadało świeże, zimne powietrze.

– Zmęczona jesteś, Cath? – spytałem.

– Nie, czuję się doskonale.

– To niedługa jazda.

– Lubię jeździć – odrzekła. – Nie martw się o mnie, kochanie. Czuję się bardzo dobrze.

Śnieg spadł dopiero na trzy dni przed Bożym Narodzeniem. Któregoś dnia po przebudzeniu zobaczyliśmy, że pada. Ogień huczał w piecu, a my leżeliśmy w łóżku i patrzyliśmy na sypiący śnieg. Pani Guttingen zabrała tacę śniadaniową i dołożyła drzewa do pieca. Na dworze była wielka zawieja. Pani Guttingen powiedziała, że zaczęła się około północy. Podszedłem do okna i wyjrzałem, ale nie było widać nawet drugiej strony drogi. Dęło i miotło śniegiem opętańczo. Wróciłem do łóżka i leżeliśmy dalej, rozmawiając.

– Szkoda, że nie mogę wybrać się na narty – powiedziała Catherine. – To okropne nie móc jeździć na nartach.

– Weźmiemy bobslej i zjedziemy drogą. To ci nie może bardziej zaszkodzić niż jazda bryczką.

– A nie będzie trzęsło?

– Można spróbować.

– Mam nadzieję, że nie będzie.

– Za chwilę pójdziemy przejść się po śniegu.

– Ale przed obiadem – powiedziała Catherine. – Żebyśmy mieli dobry apetyt.

– Ja ciągle jestem głodny.

– Ja także.

Wyszliśmy na śnieg, ale nawiało go tyle, że nie mogliśmy ujść daleko. Szedłem pierwszy, torując drogę do stacji, ale dobrnąwszy tam, mieliśmy już dość. Śnieg miótł tak, że prawie nie można było otworzyć oczu; weszliśmy do małej knajpy przy stacji, oczyściliśmy się miotełką, usiedliśmy na ławce i zamówili wermut.

– Straszna zawieja – powiedziała kelnerka.

– Aha.

– Tego roku śnieg przyszedł bardzo późno.

– Tak.

– Czy mogłabym zjeść baton czekoladowy? – spytała Catherine. – A może to już za blisko obiadu? Wciąż jestem głodna.

– Zjedz sobie jeden – odrzekłem.

– Wezmę taki z orzeszkami.

– One są doskonałe – powiedziała kelnerka. – Najbardziej je lubię.

– A ja poproszę o jeszcze jeden wermut – powiedziałem.

Kiedy wyszliśmy na drogę, nasze ślady już zasypało. Zostały po nich tylko niewyraźne wgłębienia. Śnieg sypał nam w twarz, tak że trudno było patrzeć. Otrzepaliśmy się i weszliśmy do naszego domku, aby zjeść obiad. Podała nam go pani Guttingen.

– Jutro będą narty – powiedziała. – Pan jeździ na nartach, panie Henry?

– Nie, ale chcę się nauczyć.

– Nauczy się pan z łatwością. Mój chłopiec przyjedzie na Boże Narodzenie, to panu pokaże.

– Doskonale. A kiedy przyjeżdża?

– Jutro wieczorem.

Gdy po obiedzie zasiedliśmy przy piecu w małym pokoju, spoglądając przez okno na padający śnieg, Catherine zapytała:

– Nie chciałbyś gdzieś się wybrać beze mnie, kochanie, żeby trochę побыć z mężczyznami i pojechać na nartach?

– Nie. A dlaczego?

– Myślę, że może czasem chciałbyś widywać jakichś innych ludzi, nie tylko mnie.

– A ty chcesz widywać innych?

– Nie.

– Ja także nie.

– Wiem. Ale z tobą to co innego. Ja jestem w ciąży i dlatego chętnie nic nie robię. Wiem, że jestem teraz okropnie głupia i za dużo mówię, więc uważam, że powinieneś gdzieś pojechać, abym ci się nie znudziła.

– Chcesz, żebym wyjechał?

– Nie. Chcę, żebyś został.

– I tak właśnie zrobię.

– Chodź do mnie – powiedziała. – Chcę dotknąć tego guza na twojej głowie. Duży jest. – Przesunęła po nim palcami. – Kochanie, nie zapuściłbyś sobie brody?

- A chcesz, żebym zapuścił?
- To mogłoby być zabawne. Chciałabym zobaczyć cię z brodą.
- Dobrze. Zapuszczę brodę. Zaczynam od tej chwili. To dobry pomysł. Będę miał jakieś zajęcie.
- Martwisz się, że nie masz żadnego zajęcia?
- Wcale nie. Bardzo mi tak dobrze. Żyję sobie wspaniale. A ty nie?
- Znakomicie. Ale bałam się, że może masz mnie dosyć, bo jestem teraz taka gruba.
- Och, Cath, ty nawet nie wiesz, jak ja szaleję za tobą.
- W tym stanie?
- W każdym stanie. Nic mi nie trzeba. Czyż nie jest nam dobrze?
- Mnie tak, ale myślałam, że może tobie czegoś brak.
- Nie. Czasami myślę o froncie i o ludziach, których znam, ale nie martwię się wcale. Nad niczym nie zastanawiam się długo.
- A o kim tak rozmyślasz?
- O Rinaldim, o kapelanie i całej masie znajomych. Ale nie myślę o nich wiele. Nie chcę myśleć o wojnie. Już z nią skończyłem.
- A o czym myślisz w tej chwili?
- O niczym.
- Owszem, myślałeś. Powiedz mi.
- Zastanawiałem się, czy Rinaldi miał syfilis.
- To wszystko?
- Tak.
- A on ma syfilis?
- Nie wiem.
- Cieszę się, że ty nie masz. Miałeś kiedy coś podobnego?
- Rzeżączkę.
- Nie chcę o tym słyszeć. Bardzo to było bolesne, kochanie?
- Bardzo.
- Szkoda, że ja nie miałam.
- Co też ty mówisz!
- Naprawdę. Żałuję, że nie miałam, bo chciałabym być taka jak ty. Chciałabym być ze wszystkimi twoimi dziewczynami, żeby móc naśmiewać się z nich przy tobie.
- Piękny obrazek.
- A ty z rzeżączką to także nie jest piękny obrazek.

– Wiem. Popatrz teraz, jak pada śnieg.

– Wolę patrzeć na ciebie. Kochanie, dlaczego nie zapuścisz sobie włosów?

– Jak to?

– Żeby były trochę dłuższe.

– Teraz są w sam raz.

– Nie, zapuść trochę dłuższe, a ja wtedy przytnę swoje i będziemy do siebie podobni, tylko że jedno blond, a drugie ciemne.

– Nie pozwoliłbym ci obciąć włosów.

– Byłoby zabawnie. Już mi się znudziły. W nocy to jest okropna niewygoda w łóżku.

– Mnie one się podobają.

– A nie wolałbyś, żeby były krótsze?

– Może. Ale podobają mi się takie jak teraz.

– Krótkie mogłyby ładnie wyglądać. Wtedy bylibyśmy do siebie podobni. Och, kochanie, tak ciebie pragnę, że chciałabym być tobą.

– I jesteś. Przecież ty i ja to jedno.

– Wiem. W nocy tak jest.

– Noce są cudowne.

– Chciałabym, żebyśmy zupełnie wymieszali się z sobą. Nie chcę, żebyś wyjeżdżał. Tylko tak sobie powiedziałam. Jedź, jeśli masz ochotę, ale zaraz wracaj. Najmilszy, ja przecież w ogóle nie żyję, kiedy nie jestem z tobą.

– Nigdy nie odjadę – powiedziałem. – Ja także jestem do niczego, kiedy ciebie nie ma. Nie mam już wcale osobnego życia.

– Ja chcę, żebyś miał swoje życie. I żeby było jak najlepsze. Ale będziemy je mieć wspólnie, dobrze?

– No, a teraz powiedz, czy chcesz, żebym przestał zapuszczać brodę, czy też nie?

– Nie, zapuszczaj dalej. To będzie ciekawe. Może wyrośnie na Nowy Rok.

– Chciałabyś pograć w szachy?

– Wolałabym inną grę z tobą.

– Nie. Najpierw szachy.

– A potem tamto?

– Tak.

– Dobrze.

Wyjąłem szachownicę i rozstawiłem figury. Na dworze wciąż padał gęsty śnieg.

Którejś nocy obudziłem się i wyczułem, że Catherine także nie śpi. Księżyc świecił w szyby i rzucał na łóżko cień ramy okiennej.

– Nie śpisz, najdroższy?

– Nie. A ty nie możesz spać?

– Właśnie się obudziłam i myślałam o tym, że kiedy cię poznałam, byłam bliska obłądu. Pamiętasz?

– Byłaś trochę postrzelona.

– Teraz już nigdy taka nie bywam. Teraz jest mi wspaniale. Ty tak ślicznie mówisz: "Wspaniale". Powiedz.

– Wspaniale.

– Och, jakiś ty miły! Już nie jestem postrzelona. Po prostu bardzo, bardzo szczęśliwa.

– Postaraj się usnąć – powiedziałem.

– Dobrze. Zaśnijmy oboje w jednej i tej samej chwili.

– Świetnie.

Ale nie zasnęliśmy razem. Czuwałem jeszcze dość długo, rozmyślając o różnych rzeczach i przyglądając się śpiącej Catherine, na której twarz padało światło księżyca. A potem usnąłem także.

Rozdział II

W połowie stycznia miałem już brodę, zima ustaliła się, dni były pogodne i zimne, a noce mroźne. Znowu mogliśmy chodzić po drogach. Śnieg był twardo ubity i wyslizgany przez sanie zwożące siano i drzewo, i przez spuszczone z góry kloce. Leżał wszędzie, aż po Montreux. Góry na przeciwległym brzegu jeziora były całe białe, a równina doliny Rodanu także pokryta śniegiem. Chodziliśmy na długie spacery do Bains de l'Alliaz po drugiej stronie góry. Catherine wkładała buty nabijane ćwiekami i brała laskę z ostrym stalowym szpicem. W pelerynie nie było widać, że jest w ciąży; nie chodziliśmy za szybko, a kiedy się zmęczyła, przystawaliśmy i odpoczywaliśmy na klocach leżących przy drodze.

W Bains de l'Alliaz stała między drzewami gospoda, do której zachodzili na kieliszek drwale; siadaliśmy tam, grzejąc się przy piecu, i piliśmy gorące wino z korzeniami i cytryną. Nazywało się to glühwein i rozgrzewało znakomicie. Gospoda była wewnątrz ciemna i zadymiona i kiedy się z niej wychodziło, zimne, ostre powietrze wpadało człowiekowi do płuc, a czubek nosa drętwiał przy oddechu. Oglądaliśmy się na gospodę, z której okien padało światło; stojące przed nią konie drwali potrząsały łbami i przestępowały z nogi na nogę, żeby się rozgrzać. Sierść ich pysków pokryta była zamrozem, a oddechy tworzyły w powietrzu pióropusze pary. Droga w stronę domu była na pewnej przestrzeni gładka i wyslizgana, a lód pomarańczowy od końskiego moczu, do miejsca, gdzie skręcał z niej szlak drzewny. Dalej pokryta była czystym, ubitym śniegiem i prowadziła przez las, i dwa razy, wracając wieczorem do domu, widzieliśmy lisy.

Okolica była piękna i zawsze z przyjemnością wychodziliśmy na spacer.

– Masz już wspaniałą brodę – powiedziała kiedyś Catherine. – Wyglądasz zupełnie jak ci drwale. Widziałeś tego człowieka z małymi, złotymi kolczykami?

– To jest myśliwy polujący na kozice – odpowiedziałem. – Oni noszą kolczyki, bo twierdzą, że dzięki temu lepiej słyszą.

– Naprawdę? Nie chce mi się w to wierzyć. Pewnie je noszą, aby pokazać, że są myśliwymi. A tutaj są gdzieś blisko kozice?

– Tak, za Dent de Jaman.

– Zabawnie było widzieć tego lisa.

– Kiedy śpi, owija się ogonem, żeby mu było ciepło.

– To musi być przyjemne uczucie.

– Zawsze chciałem mieć taki ogon. Czy to nie byłoby zabawne, gdybyśmy mieli takie kity jak lisy?

– Mogłyby być spore trudności przy ubieraniu.

– Szylibyśmy sobie ubrania na zamówienie albo żylibyśmy w takim kraju, gdzie to byłoby zupełnie obojętne.

– Żyjemy w kraju, gdzie wszystko jest obojętne. Czy to nie wspaniałe, że nie widzimy nikogo? Chyba nie chcesz widywać ludzi, prawda, kochanie?

– Nie.

– Może byśmy tu usiedli na minutkę. Jestem trochę zmęczona.

Usiedliśmy obok siebie na pniu. Przed nami była droga biegnąca przez las.

– Ona nas chyba nie rozdzieli, prawda? Ta mała smarkata?

– Nie. Nie pozwolimy jej.

– Jak my stoimy z pieniędzmi?

– Mamy dosyć. Honorowali ostatni weksel na okaziciela.

– Czy twoja rodzina nie popróbuje cię teraz złapać, kiedy już wie, że jesteś w Szwajcarii?

– Możliwe. Napiszę do nich.

– A jeszcze nie pisałeś?

– Nie. Tylko o ten weksel.

– Bogu dzięki, że nie należę do twojej rodziny.

– Poślę im depeszę.

– Nic a nic cię nie obchodzą?

– Obchodzili mnie, ale tak się pokłóciliśmy, że mi to przeszło.

– Myślę, że mnie by się podobali. Pewnie bardzo bym ich polubiła.

– Nie mówmy o tym, bo zacznę się o nich martwić. – Po chwili dodałem: – Jeżeli już odpoczęłaś, to chodźmy.

– Odpoczęłam.

Poszliśmy dalej drogą. Było już ciemno i śnieg skrzypiał pod nogami. Noc była sucha, zimna i bardzo widna.

– Zachwyam się twoją brodą – powiedziała Catherine. – Ogromnie jest udana. Wygląda tak sztywno i groźnie, a jest mięciutka i bardzo przyjemna.

– Wolisz mnie z brodą niż bez?

– Chyba tak. Wiesz co, kochanie, nie obetnę sobie włosów przed przyjściem na świat małej Catherine. Teraz jestem za gruba i za dostojna. A po jej urodzeniu, jak już

znów będę szczupłą, przytnę włosy i wydam ci się nową i inną dziewczyną. Razem pójdziemy je obciąć albo też pójdę sama i zrobię ci niespodziankę.

Milczałem.

– Nie zabronisz mi, prawda?

– Nie. Myślę, że to byłoby ciekawe.

– Och, jakiś ty miły! I może będę ładnie wyglądała, kochanie, i wydam ci się taka szczupła i pociągająca, że się na nowo we mnie zakochasz.

– Do diaska – powiedziałem. – Kocham cię dostatecznie i teraz. Co ty chcesz zrobić? Zniszczyć mnie?

– Tak. Chcę cię zniszczyć.

– Dobrze – odpowiedziałem. – Tego i ja chcę.

Rozdział III

Żyło nam się cudownie. Przeszedł styczeń i luty, zima była bardzo piękna, a my bardzo szczęśliwi. Kiedy wiał ciepły wiatr, przychodziły krótkie odwilże, śnieg miękł, a powietrze pachniało wiosennie, ale ciągle powracał czysty, ostry mróz i zima. W marcu nastąpił pierwszy wyłom w zimie. Podczas nocy zaczął padać deszcz. Padał przez całe rano; śnieg rozmókł i zbocze wzgórza wyglądało posepnie. Nad jeziorem i doliną wisały chmury. Wyżej w górach padały deszcze. Catherine włożyła ciężkie kalosze, ja gumowe buty pana Guttingena i pobrnęliśmy do stacji pod parasolem, przez mokry śnieg i płynącą wodę, która zmywała do czysta lód z drogi, a przed obiadem wstąpiliśmy do baru na wermut. Z dworu dolatywał plusk deszczu.

– Nie uważasz, że powinniśmy przenieść się do miasta?

– A ty jak myślisz? – spytała Catherine.

– Jeżeli zima już się skończyła, a te deszcze potrwają dłużej, to tam na górze nie będzie zabawnie. Ile czasu mamy jeszcze do małej Catherine?

– Jakiś miesiąc. Może trochę więcej.

– Możemy zamieszkać na dole, w Montreux.

– A dlaczego nie pojechać do Lozanny? Przecież tam właśnie jest szpital.

– Dobrze. Tylko uważałem, że to za duże miasto.

– Możemy być równie sami w większym mieście, a Lozanna pewnie jest ładna.

– Kiedy byśmy pojechali?

– Wszystko mi jedno. Kiedy chcesz, kochanie. Jeżeli nie masz ochoty stąd wyjeżdżać, to ja też nie.

– Zobaczymy, jaka będzie pogoda.

Padało przez trzy dni. Śnieg zniknął całkowicie ze zbocza góry poniżej stacji kolejki. Droga była jednym potokiem błotnistej wody. Było zbyt mokro i grzasko, żeby wychodzić. Rano trzeciego dnia deszczu postanowiliśmy przenieść się do miasta.

– W porządku, panie Henry – powiedział Guttingen. – Nie musi pan składać mi wymówienia. Spodziewałem się, że państwo nie będą chcieli tu mieszkać teraz, kiedy zaczęły się niepogody.

– I tak musimy być blisko szpitala ze względu na *madame* – odrzekłem.

– Rozumiem – powiedział. – A przyjadą państwo jeszcze kiedyś z małościem?

– Oczywiście, jeżeli pan tylko będzie miał wolny pokój.

– Na pewno byłoby tu państwu przyjemnie na wiosnę, jak się zrobi ładnie. Można by umieścić dziecko z niańką w tym dużym pokoju, który jest teraz zamknięty, a pan i *madame* zajęliby ten swój, co wychodzi na jezioro.

– Uprzedzę pana listownie – odpowiedziałem.

Spakowaliśmy się i poszliśmy do kolejki, która odchodziła po obiedzie. Państwo Guttingen odprowadzili nas na stację, przy czym on ciągnął po rozmoczonym śniegu saneczki z naszym bagażem. Stali przy stacji na deszczu i machali do nas na pożegnanie.

– Bardzo byli kochani – powiedziała Catherine.

– I tacy dobrzy dla nas.

Z Montreux pojechaliśmy pociągiem do Lozanny. Patrząc przez okno wagonu ku miejscu, gdzie był nasz domek, nie widzieliśmy gór, gdyż przysłaniały je chmury. Pociąg zatrzymał się w Vevey, a potem ruszył dalej, mijając po jednej stronie jezioro, a po drugiej mokre, bure pola, gołe lasy i złane deszczem domy. Przyjechawszy do Lozanny, wybraliśmy nieduży hotel. Padało ciągle, kiedy jechaliśmy ulicami i wjeżdżali w bramę hotelu. Portier z mosiężnymi kluczami u kłapy surduta, winda, dywany na podłogach, białe umywalnie ze lśniącą armaturą, mosiężne łóżko i wielka, wygodna sypialnia – wszystko to wydawało nam się ogromnym luksusem po domku Guttingenów. Okna pokoju wychodziły na zmoczony deszczem ogród i mur zakończony z wierzchu żelaznymi sztachetami. Po drugiej stronie opadającej stromo ulicy był drugi hotel z podobnym ogrodem i murem. Patrzyłem przez okno, jak deszcz pada do ogrodowej fontanny.

Catherine zapaliła wszystkie światła i wzięła się do rozpakowywania rzeczy. Ja zamówiłem sobie whisky z wodą sodową i położyłem się na łóżku, aby przeczytać gazety kupione na stacji. Był marzec 1918 roku i we Francji rozpoczęła się niemiecka ofensywa. Popijałem whisky i czytałem, a Catherine rozpakowywała walizki i krzątała się po pokoju.

– Wiesz, co muszę mieć, kochanie? – spytała.

– Co?

– Dziecinną wyprawkę. Mało kobiet dochodzi do tego miesiąca co ja, nie mając nic dla dziecka.

– Możesz to kupić.

– Wiem. Właśnie jutro tym się zajmę. Dowiem się, co jest potrzebne.

– Powinnaś wiedzieć. Przecież jesteś pielęgniarką.

– Tylko że tak mało żołnierzy miewa dzieci w szpitalach.

– Ja miałem.

Rzuciła we mnie poduszką, rozlewając whisky.

– Zamówię ci drugą – powiedziała. – Przykro mi, że się rozlała.

– Niedużo już zostało. Chodź do mnie do łóżka.

– Nie. Muszę się postarać, żeby ten pokój był do czegoś podobny.

– A do czego?

– Do naszego domu.

– To wywieś alianckie sztandary.

– Ach, siedź cicho.

– Powtórz to jeszcze raz.

– Siedź cicho.

– Mówisz to bardzo ostrożnie – powiedziałem. – Jak gdybyś nie chciała nikogo urazić.

– Bo nie chcę.

– To chodź do łóżka.

– Dobrze. – Podeszła i usiadła na łóżku. – Ja wiem, kochanie, że to dla ciebie żadna przyjemność. Jestem teraz jak gruby wór z mąką.

– Wcale nie. Jesteś piękna i kochana.

– Jestem po prostu pokraką, z którą się ożeniłeś.

– Nigdy w życiu. Robisz się coraz piękniejsza.

– Ale ja znowu będę szczupłą, kochanie.

– Teraz też jesteś szczupłą.

– Chyba się upiłeś.

– Tylko whisky z wodą sodową.

– Przyniosę ci jeszcze jedną – powiedziała Catherine. – A czy potem każemy sobie podać kolację tu w pokoju?

– Byłoby doskonale.

– I nie wyjdziemy nigdzie, prawda? Spędzimy wieczór w domu.

– I pobawimy się – dodałem.

– Napiję się wina – powiedziała. – To mi nie zaszkodzi. Może dostaniemy tu nasze pocziwe białe capri.

– Na pewno – odparłem. – W takim hotelu muszą mieć włoskie wina.

Do drzwi zapukał kelner. Przyniósł whisky w szklance z lodem, obok której stała na tacy mała butelka wody sodowej.

– Dziękuję – powiedziałem. – Proszę to postawić. Może pan zamówi dla nas kolację na dwie osoby i dwie butelki wytrawnego białego capri z lodu.

– Czy państwo życzą sobie zacząć kolację od zupy?

- Chcesz zupe, Cath?
- Proszę.
- Niech pan poda jedną zupe.
- Dziękuję uprzejmie.

Kelner wyszedł i zamknął drzwi za sobą. Wróciłem do czytania gazet i wiadomości o wojnie i z wolna wlewałem po lodzie wodę sodową do whisky. Trzeba im będzie powiedzieć, żeby nie kładli lodu do whisky. Niech przynoszą lód osobno. W ten sposób wiadomo, ile jest whisky, i nie okazuje się nagle, że jest zanadto rozcieńczona wodą sodową. Wezmę sobie butelkę whisky i każę podawać lód i wodę. Tak będzie najmądrzej. Dobra whisky to bardzo przyjemna rzecz. Jedna z przyjemniejszych stron życia.

- O czym myślisz, kochanie?
- O whisky.
- A co?
- Że to takie dobre.

Catherine skrzywiła się.

- Niech będzie – powiedziała.

Mieszkaliśmy w tym hotelu trzy tygodnie. Nie było tu źle; w sali jadalnej zwykle bywało pusto i często jadaliśmy kolację u siebie w pokoju. Chodziliśmy po mieście, jeździliśmy kolejką zębatą do Ouchy i spacerowaliśmy nad jeziorem. Zrobiło się zupełnie ciepło i wiosennie. Było nam żal, że nie mieszkamy w górach, ale wiosenna pogoda trwała tylko parę dni, a potem znów wróciły surowe chłody przełomu zimy.

Catherine kupiła w mieście rzeczy potrzebne dla dziecka. Ja chodziłem do sali gimnastycznej pod arkadami, gdzie ćwiczyłem boks, ażeby się rozruszać. Zwykle wybierałem się tam rano, a Catherine leżała do późna w łóżku. Podczas owych dni pozornej wiosny było bardzo przyjemnie po treningu bokserskim i prysznicu spacerować ulicami, czuć wiosnę w powietrzu i wstępować do kawiarni, aby tam usiąść, obserwować ludzi i czytać gazety, popijając wermut. Potem wracałem do hotelu i jadłem obiad z Catherine. Trener z kursów bokserskich nosił wąsy, miał bardzo precyzyjne i żwawe ruchy, ale załamywał się zupełnie, kiedy się go zaatakowało. Jednakże było tam bardzo przyjemnie. Miało się dobre powietrze i światło, a ja trenowałem pilnie, ćwiczyłem ze skakanką, walczyłem z cieniem, robiłem gimnastykę mięśni brzucha, leżąc na podłodze w plamie słońca wpadającego przez otwarte okno, i od czasu do czasu straszyłem trenera, kiedyśmy się boksowali. Z początku nie mogłem ćwiczyć walki z cieniem przed podłużnym wąskim lustrem, bo widok boksującego się mężczyzny z brodą robił na mnie

dziwne wrażenie. W końcu jednakże doszedłem do wniosku, że to po prostu zabawne. Chciałem zgolić brodę, gdy tylko zacząłem boks, ale Catherine mi nie pozwoliła.

Czasem wyjeżdżaliśmy z Catherine powozem za miasto. Było to bardzo przyjemne w ładną pogodę i znaleźliśmy dwie dobre gospody, do których jeździliśmy na obiad. Catherine nie mogła już dużo chodzić, a ja bardzo lubiłem jeździć z nią wiejskimi drogami. Jeżeli był piękny dzień, bawiliśmy się wspaniale i nigdy nie było nam źle. Wiedzieliśmy, że dziecko urodzi się już bardzo niedługo i to napawało nas oboje takim uczuciem, jak gdyby trzeba się było spieszyć i nie tracić ani jednej wspólnej chwili.

Rozdział IV

Którejś nocy obudziłem się około trzeciej nad ranem, słysząc, że Catherine kręci się na łóżku.

- Co ci jest, Cath?
- Mam lekkie bóle, kochanie.
- Regularne?
- Nie, nie bardzo.
- Jak zaczną się regularne, zaraz pojedziemy do szpitala.

Byłem bardzo śpiący i usnąłem znowu. Niedługo jednak przebudziłem się raz jeszcze.

– Chyba lepiej wezwij doktora – powiedziała Catherine. – Zdaje mi się, że to już. Podszedłem do telefonu i zadzwoniłem do lekarza.

- Jak często są bóle? – zapytał.
- Często masz bóle, Cath?
- Mniej więcej co kwadrans.
- W takim razie trzeba jechać do szpitala – oświadczył doktor. – Ja też zaraz się ubiorę i przyjadę.

Odłożyłem słuchawkę i zadzwoniłem do garażu przy stacji, żeby przysłali taksówkę. Długo nikt nie odbierał telefonu. Wreszcie odezwał się jakiś człowiek, który obiecał mi, że natychmiast przyśle samochód. Catherine ubierała się. Walizka z rzeczami, które miały być jej potrzebne w szpitalu, i z wyprawką dla dziecka, była już spakowana. Wyszedłem na korytarz i zadzwoniłem na windę. Nikt się nie zjawił. Zszedłem po schodach. Na dole nie było nikogo oprócz nocnego stróża. Sam pojechałem windą w górę, wstawiłem do niej walizkę, potem wsiadła Catherine i zjechaliśmy w dół. Stróż nocny otworzył nam drzwi wejściowe, usiedliśmy na kamiennych blokach przy schodkach podjazdu i czekaliśmy na taksówkę. Noc była widna i gwiazdzista. Catherine była bardzo podniecona.

– Tak się cieszę, że już się zaczęło – powiedziała. – Teraz niedługo będzie po wszystkim.

- Jesteś dobra i dzielna.
- Nic się nie boję. Ale już bym chciała, żeby przyjechała taksówka.

Usłyszeliśmy, że nadjeżdża ulicą, i zobaczyliśmy światła reflektorów. Skręciła na podjazd, pomogłem Catherine wsiąść, a szofer położył walizkę na przednim siedzeniu.

– Do szpitala – powiedziałem.

Zjechaliśmy z podjazdu i ruszyliśmy pod górę.

Wysiedliśmy przed szpitalem i weszliśmy do środka, ja z walizką Catherine w rękę. Za biurkiem siedziała pielęgniarka, która zapisała w książce nazwisko Catherine, jej wiek, adres, nazwiska krewnych i wyznanie. Catherine powiedziała, że jest bezwyznaniowa, a tamta zrobiła kreskę w odpowiedniej rubryce. Catherine podała jako nazwisko Catherine Henry.

– Zaprowadzę panią do pokoju – powiedziała pielęgniarka.

Wjechaliśmy na górę windą. Pielęgniarka zatrzymała ją, wysiedliśmy i ruszyliśmy korytarzem za naszą przewodniczką. Catherine trzymała się kurczowo mojej ręki.

– To ten pokój – oznajmiła pielęgniarka. – Może pani zechce rozebrać się i położyć do łóżka. Tu jest dla pani nocna koszula.

– Mam własną – powiedziała Catherine.

– Lepiej, żeby pani włożyła tę koszulę.

Wyszedłem z pokoju i usiadłem na krześle w korytarzu.

– Już może pan wejść – powiedziała z progu pielęgniarka.

Catherine leżała na wąskim łóżku; miała na sobie zwykłą koszulę nocną z kwadratowym wycięciem, uszytą bodajże z surowego płótna. Uśmiechnęła się do mnie.

– Teraz mam wspaniałe bóle – powiedziała. Pielęgniarka trzymała ją za przegub ręki i z zegarkiem obliczała częstotliwość bólów.

– O, ten był mocny – rzekła Catherine. Widziałem to po jej twarzy.

– Gdzie doktor? – spytałem pielęgniarkę.

– Położył się spać na dole. Przyjdzie tu, jak tylko będzie potrzebny.

– Muszę teraz coś zrobić przy pani – oświadczyła pielęgniarka. – Może pan zechce jeszcze raz wyjść.

Wyszedłem na korytarz. Był pusty, miał dwa okna i pozamykane drzwi na całej swojej długości. Pachniało tu szpitalem. Usiadłem na krześle, wpatrzyłem się w podłogę i zacząłem się modlić za Catherine.

– Może pan wejść – powiedziała pielęgniarka. Wszedłem do pokoju.

– Jesteś, kochanie – powiedziała Catherine.

– No i jak?

– Teraz już są dosyć często. – Twarz jej się ściągnęła. Po chwili Catherine uśmiechnęła się.

– Ten był porządny. Czy siostra mogłaby znowu położyć mi rękę na plecach?

– Jeżeli to pani pomaga – odrzekła pielęgniarka.

– Ty idź, kochanie – powiedziała Catherine. – Pójdź coś zjeść. Siostra mówi, że ja tak mogę bardzo długo.

– Pierwszy poród bywa zazwyczaj przewlekły – powiedziała pielęgniarka.

– Proszę cię, idź coś zjeść – powtórzyła Catherine. – Ja naprawdę czuję się dobrze.

– Zostanę jeszcze chwilę.

Bóle powtarzały się zupełnie regularnie, a potem zelżały. Catherine była bardzo podniecona. Kiedy przychodziły silne bóle, nazywała je dobrymi. Kiedy zaczynały słabnąć, była zawiedziona i zawstydzona.

– Idź, kochanie – powiedziała. – Zdaje się, że mnie peszysz. – Twarz jej się skurczyła. – O! To było lepsze. Tak bardzo chcę być dobrą żoną i urodzić to dziecko bez żadnych problemów. Proszę cię, idź na śniadanie, a potem wróć. Wcale mi nie będzie ciebie brak. Siostra jest dla mnie cudowna.

– Ma pan jeszcze dużo czasu na śniadanie – powiedziała pielęgniarka.

– No to pójdę. Do widzenia, najdroższa.

– Do widzenia – odrzekła Catherine. – Zjedz dobre śniadanie także i za mnie.

– Gdzie tu można dostać coś do jedzenia? – zapytał pielęgniarkę.

– Na rogu placu jest bar – odpowiedziała. – Powinien już być otwarty.

Na dworze świeciło. Poszedłem pustą ulicą do baru. W oknie paliło się światło. Wszedłem i stanąłem przed bufetem obitym blachą cynkową, a jakiś stary mężczyzna podał mi szklankę białego wina i brioszkę. Brioszka była wczorajsza. Umoczyłem ją w winie, a potem wypłem filiżankę kawy.

– Co pan tu robi o tej godzinie? – zapytał stary.

– Moja żona rodzi w szpitalu.

– A, to wszystkiego dobrego.

– Niech pan mi jeszcze da szklankę wina.

Nalał mi wina z butelki, rozlewając trochę na cynkowy blat. Wypłem, zapłaciłem i wyszedłem. Wzdłuż ulicy stały przed domami blaszane kosze na śmieci czekające na wóz. Jakiś pies obwąchiwał jeden z nich.

– Czego ty chcesz? – zapytałem i zajrzałem do kosza, aby zobaczyć, co można by stamtąd dla niego wyciągnąć. Jednakże na wierzchu nie było nic prócz fusów od kawy, śmieci i paru zwiędłych kwiatów.

– Nie ma nic, piesku – powiedziałem. Przebiegłem na drugą stronę ulicy. W szpitalu wszedłem po schodach na piętro, na którym była Catherine, a potem udałem się korytarzem do jej pokoju. Zapukałem do drzwi. Nie było odpowiedzi. Nacisnąłem

klamkę; pokój był pusty, tylko na krześle leżała torebka Catherine, a na ścianie wisiał jej szlafrok. Wyszedłem na korytarz, rozglądając się za kimś. Znalazłem jakąś pielęgniarkę.

– Gdzie jest pani Henry?

– Jakaś pani dopiero co poszła na salę porodową.

– Gdzie to jest?

– Pokażę panu.

Zaprowadziła mnie na koniec korytarza. Drzwi sali były uchylone. Zobaczyłem Catherine leżącą na stole, przykrytą prześcieradłem. Z jednej strony stała pielęgniarka, z drugiej doktor, a obok niego jakieś butle. Doktor trzymał maskę gumową z wężem.

– Dam panu fartuch, to pan będzie mógł wejść – powiedziała pielęgniarka. – Niech pan tu pozwoli. Nałożyła mi biały fartuch i spięła go na karku agrafką.

– Teraz może pan wejść – oświadczyła. Wszedłem do sali.

– Jak się masz, kochanie – powiedziała z wysiłkiem Catherine. – Niewiele działałam.

– Pan Henry? – zapytał doktor.

– Tak. Czy wszystko dobrze, doktorze?

– Doskonale – odparł. – Przeszliśmy tutaj, bo tu łatwiej dawać gaz na złagodzenie bólu.

– Proszę mi teraz dać – powiedziała Catherine. Doktor przyłożył jej do twarzy gumową maskę i przekręcił wskaźnik, a ja patrzyłem, jak Catherine wdycha szybko i głęboko. Potem odsunęła maskę. Doktor zakręcił kurek.

– Teraz nie było bardzo mocne. Przedtem miałam silny ból. – Pan doktor wtedy zupełnie mnie odurzył, prawda, doktorze? – Głos jej był jakiś obcy. Podniósł się przy słowie: “doktorze”.

Doktor uśmiechnął się.

– Poproszę znowu – powiedziała Catherine. Przycisnęła mocno maskę do twarzy i zaczęła szybko oddychać. Dosłyszałem jej cichy jęk. Potem odsunęła maskę i uśmiechnęła się.

– Ten był mocny – powiedziała. – Ten był bardzo mocny. Nie martw się, kochany. Idź teraz. Zjedz sobie jeszcze jedno śniadanie.

– Zostanę tutaj – odrzekłem.

Do szpitala przyjechaliśmy około trzeciej nad ranem. W południe Catherine wciąż jeszcze była na sali porodowej. Bóle znów zelżały. Widać było, że jest już bardzo zmęczona i wyczerpana, ale nadal zachowywała pogodę.

– Jestem do niczego, kochanie – powiedziała. – Tak mi przykro. Myślałam, że mi to łatwo pójdzie. O... teraz... – sięgnęła po maskę i przyłożyła ją do twarzy. Doktor przestawił wskaźnik, obserwując Catherine. Po chwili ból minął.

– Niewielki – uśmiechnęła się Catherine. – Przepadam za tym gazem. To coś cudownego.

– Weźmiemy go sobie do domu – powiedziałem.

– O, idzie znowu – powiedziała Catherine. Doktor przekreślił wskaźnik i spojrzał na zegarek.

– Jakie są teraz przerwy? – spytałem.

– Około minuty.

– Nie chciałby pan doktor iść na obiad?

– Coś mi tu niedługo dadzą – odrzekł.

– Musi pan coś zjeść, doktorze – powiedziała Catherine.

– Bardzo mi przykro, że to tak długo trwa. Czy mąż nie mógłby dawać mi gazu?

– Jeżeli pani sobie życzy – odrzekł doktor. – Trzeba nastawiać na numer dwa.

– Rozumiem – powiedziałem. Na tarczy był wskaźnik przekręcany rączką.

– Dajcie mi teraz – powiedziała Catherine. Przycisnęła maskę do twarzy. Nastawiłem wskaźnik na dwójkę, a kiedy Catherine odjęła maskę, zakręciłem go z powrotem. Bardzo to było ładnie ze strony doktora, że mi pozwolił coś robić.

– To tyś mi dał? – spytała Catherine. Poglądziła mnie po ręce.

– Ja.

– Taki jesteś kochany! – Była trochę zamroczone od gazu.

– Ja teraz coś zjem w drugim pokoju – powiedział doktor.

– Może mnie pan wezwać w każdej chwili.

Przyglądałem się przez drzwi, jak jadł, a po jakimś czasie położył się i zapalił papierosa. Catherine była coraz bardziej zmęczona.

– Czy ty myślisz, że ja w ogóle urodzę to dziecko? – zapytała.

– Oczywiście, że tak.

– Robię, co mogę. Wypycham je, ale jakoś mi nie idzie. O, teraz. Daj mi teraz.

O drugiej wyszedłem na obiad. W barze siedziało parę osób przy kawie i kieliszkach kirszu albo marcu. Usiadłem przy stoliku.

– Można coś zjeść? – zapytałem kelnera.

– Już minęła pora obiadowa.

– A nie ma czegoś, co by można dostać przez cały dzień?

- Mogę panu podać *choucroute*.*
- To poproszę o *choucroute* i piwo.
- Małe czy duże?
- Małe jasne.

Kelner przyniósł talerz kiszonej kapusty z płatem szynki na wierzchu i kielbaską zagrzebaną w gorącej, podlanej winem kapuście. Zjadłem to i popiłem piwem. Byłem bardzo głodny. Przyglądałem się ludziom siedzącym w barze. Przy jednym ze stolików grali w karty. Obok mnie rozmawiali dwaj mężczyźni paląc papierosy. Sala była pełna dymu. Za obitym blachą bufetem, przy którym rano jadłem śniadanie, były teraz trzy osoby; ten sam stary, pulchna, czarno ubrana kobieta, która siedziała za kontuarem, notując wszystko, co podawano do stolików, i chłopak w fartuchu. Zastanawiałem się, ile dzieci urodziła ta kobieta i jak się to odbyło.

Zjadłszy *choucroute* wróciłem do szpitala. Ulica była już zamieciona, a kosze śmieci pozabierano. Dzień był pochmurny, ale słońce usiłowało przedrzeć się przez obłoki. Wjechałem windą na górę i poszedłem korytarzem do pokoju Catherine, gdzie zostawiłem swój biały fartuch. Włożyłem go i zapiąłem z tyłu na szyi. Spojrzałem w lustro i zobaczyłem siebie wyglądającego jak pseudodoktor z brodą. Poszedłem korytarzem do sali porodowej. Drzwi były zamknięte, więc zapukałem. Ponieważ nikt się nie odezwał, nacisnąłem klamkę i wszedłem. Doktor siedział przy Catherine. Pielęgniarka była czymś zajęta na drugim końcu sali.

- Jest pani mąż – powiedział doktor.
- Och, kochanie, mam najcudowniejszego w świecie doktora – odezwała się Catherine zupełnie obcym głosem. – Opowiadał mi tu nadzwyczajne historie, a jak przychodziły za silne bóle, to mnie zupełnie odurzał. Wspaniały jest. Wspaniały pan jest, doktorze.

- Jesteś pijana – powiedziałem.
- Wiem o tym – odparła Catherine. – Ale nie powinieneś tego mówić. – A po chwili: – Dajcie mi teraz. Dajcie mi teraz.

Pochwyciła maskę i zaczęła wdychać szybko, głęboko, gorączkowo, aż szczykał respirator. Potem wydała długie westchnienie, a doktor zdjął jej maskę lewą ręką.

- Ten był strasznie mocny – powiedziała Catherine. Głos miała bardzo dziwny. – Już teraz nie umrę, kochanie. Już przesłam przez ten moment, kiedy mogłam umrzeć. Cieszysz się?

* *choucroute* (fr.) - danie z kwaszonej kapusty.

– Tylko aby nie wracaj do niego znowu.
– Nie wróćę. Ale ja się nie boję. Nie umrę, kochanie.
– Nie zrobi pani takiego głupstwa, żeby umrzeć i zostawić męża samego – powiedział doktor.

– Och, nie. Nie umrę. Nie chciałabym umrzeć. Głupio jest umierać. O, znowu idzie. Dajcie mi teraz. Po chwili doktor powiedział do mnie:

– Może pan wyjdzie na kilka minut, bo muszę przeprowadzić badanie.
– Pan doktor chce zobaczyć, jak sobie daję radę – odezwała się Catherine – potem będziesz mógł wrócić, kochanie. Prawda, doktorze?

– Tak – odrzekł doktor. – Dam panu znać, jak będzie można wejść.

Poszedłem korytarzem do pokoju, w którym miała leżeć Catherine po urodzeniu dziecka. Usiadłem na krześle i rozejrzałem się. W kieszeni miałem gazetę, którą kupiłem idąc na obiad. Zacząłem ją czytać, ale na dworze już się ściemniało, więc zapaliłem światło. Po chwili przerwałem czytanie, zgasilem światło i patrzyłem, jak się ściemnia za oknem. Zastanawiałem się, dlaczego doktor po mnie nie przysła. A może to i lepiej, że mnie tam nie ma. Pewnie doktor chce, żebym się przez jakiś czas nie pokazywał. Spojrzałem na zegarek. Jeżeli nie przysła po mnie w ciągu dziesięciu minut, to i tak wejdę.

Biedna, biedna, najdroższa Cath. Więc taką cenę trzeba zapłacić za to, że się ze sobą spało. Takie jest dno pułapki. Oto, co ludzi spotyka za to, że się kochają. W każdym razie Bogu dzięki za ten gaz. Jak to musiało wyglądać, zanim wymyślili środki znieczulające? Kiedy się raz zaczęło, było się niczym w młyńskim kole. Catherine dobrze się czuła podczas ciąży. To nie było takie straszne. Nie miała prawie wcale mdłości. Nie było jej zbyt ciężko – dopiero pod sam koniec. Ale ją wreszcie dopadło. Nic człowiekowi nie ujdzie płazem. E tam, nie ujdzie! Byłoby to samo, choćbyśmy się pięćdziesiąt razy pobrali. Ale co będzie, jeżeli ona umrze?

Nie umrze. Dzisiaj nie umiera się podczas porodu. Takie rzeczy wymyślają sobie wszyscy mężowie. Dobrze, a jeżeli umrze? Nie umrze. Po prostu przeżywa teraz ciężkie chwile. Pierwszy poród bywa zazwyczaj przewlekły. To jest tylko przykry moment. Później będziemy mówili, jakie to było ciężkie, a Catherine powie, że właściwie wcale nie jest takie straszne. Ale co by było, gdyby umarła? Nie może umrzeć. Tak, ale jeżeli umrze? Niemożliwe, powiadam ci. Nie bądź głupi. Po prostu przeżywa ciężkie chwile. To tylko natura zadaje jej cierpienie. To tylko pierwszy poród, który jest prawie zawsze przewlekły. Tak, ale jeżeli umrze?

Niemożliwe. Dlaczego miałyby umrzeć? Jaki jest powód, żeby umarła? Po prostu ma się urodzić dziecko, produkt uboczny cudownych nocy w Mediolanie. Sprawia wiele przykrości, potem się rodzi, a później opiekujemy się nim i pewnie nawet zaczynamy je kochać. A jeżeli ona umrze? Nie umrze. A jeśli umrze? Nie. Nic jej się nie stanie. Ale co będzie, jeżeli umrze? To niemożliwe. Ale jeżeli umrze? Tak, co wtedy? Co będzie, jeżeli umrze?

Do pokoju wszedł doktor.

– No i jak, doktorze?

– Nie idzie – odpowiedział.

– Co to znaczy?

– Tylko tyle. Zrobiłem badanie – podał mi szczegółowo wyniki. – Od tej pory czekam. Ale nie idzie.

– Więc co pan radzi?

– Są dwa wyjścia. Albo poród kleszczowy, który może spowodować pęknięcie i jest dość niebezpieczny, nie mówiąc o tym, że niedobry dla dziecka – albo cesarskie cięcie.

– A czy cesarskie jest niebezpieczne? Co będzie, jeżeli ona umrze?

– Nie powinno być niebezpieczniejsze od zwykłego porodu.

– Pan by to sam robił?

– Tak. Na to, żeby wszystko przygotować i wezwać kogoś do pomocy, potrzeba mi około godziny. Może trochę mniej.

– I co pan uważa?

– Ja bym doradzał cesarskie cięcie. Gdyby to była moja żona, zrobiłbym cesarskie.

– Jakie są potem skutki?

– Żadnych. Tylko blizna.

– A zakażenie?

– Niebezpieczeństwo nie jest tak wielkie jak przy porodzie kleszczowym.

– A gdyby to tak zostawić i nic nie robić?

– W końcu trzeba będzie coś zrobić. Żona już utraciła sporo sił. Teraz im prędej zoperujemy, tym będzie bezpieczniej.

– Niech pan operuje jak najszybciej – powiedziałem.

– Pójdę wydać zarządzenia.

Wszedłem do sali porodowej. Pielęgniarka była przy Catherine, która leżała na stole, rozdęta pod prześcieradłem, bardzo blada i zmęczona.

– Powiedziałeś mi, że może robić? – spytała.

– Tak.

– No, czy to nie wspaniale? Teraz za godzinkę będzie po wszystkim. Ja już jestem prawie wykończona, kochanie. Już się zupełnie załamuję. Dajcie mi teraz. Nie działa. Och, już nie działa!

– Oddychaj głęboko.

– Oddycham. Och, już nie działa!

– Proszę dać następną butlę – powiedziałem do pielęgniarki.

– Ta jest świeża.

– Jestem niemądra, kochanie – odezwała się Catherine. – Ale to już nie działa. – Rozplakała się. – Ach, tak chciałam urodzić to dziecko bez kłopotu, a teraz już nie mogę, już nie mam siły, a to nie działa. Och, kochanie, nie działa wcale. Wszystko mi jedno, niech umrę, byleby się to skończyło. Och, proszę cię, proszę, zrób coś, żeby się skończyło. Znów idzie. Och, och, och! – Łkając, oddychała przez maskę. – Nie działa. Nie działa. Nie działa. Nie zwracaj na mnie uwagi, kochanie. Proszę cię, nie płacz. Nie zwracaj na mnie uwagi. Po prostu jestem już wykończona. Mój biedny, najmilszy. Tak cię kocham i już będę grzeczna. Teraz już będę grzeczna. Czy oni nie mogą mi czegoś dać? Ach, gdyby mogli coś dać!

– Zrobię tak, żeby działało. Przekręcę do końca.

– Daj mi teraz.

Przekręciłem wskaźnik do końca. Catherine odetchnęła silnie, głęboko i palce jej rozluźniły się na masce. Zamknąłem dopływ gazu i podniosłem maskę. Catherine powoli przysła do siebie, jakby wróciła z bardzo daleka.

– To było świetne, kochanie. Ach, ty jesteś dla mnie taki dobry.

– Bądź dzielna, bo nie mogę tego robić ciągle. Mogłoby cię zabić.

– Już nie jestem dzielna, kochanie. Jestem zupełnie złamana. Złamali mnie. Teraz już wiem.

– Wszyscy to przechodzą.

– Ale to jest okropne. Trwa póty, póki cię nie złamie.

– Za godzinę będzie po wszystkim.

– Czy to nie cudownie? Kochanie, ja nie umrę, prawda?

– Nie. Obiecuję ci.

– Bo ja nie chcę umrzeć i zostawić ciebie, ale już jestem taka zmęczona i czuję, że chyba umrę.

– Nonsens. Każda kobieta tak czuje.

– Chwilami wiem na pewno, że umrę.

– Nie umrzesz. Nie możesz umrzeć.

- Ale co będzie, jeżeli umrę?
- Nie pozwolę ci.
- Daj prędko. Daj mi teraz!

A po chwili:

- Nie umrę. Nie pozwolę sobie umrzeć.
- Naturalnie, że nie.
- Zostaniesz przy mnie?
- Ale nie będę patrzył.
- Nie, tylko żebyś był.
- Oczywiście. Będę tu przez cały czas.
- Taki jesteś dla mnie dobry. O, daj mi teraz. Daj jeszcze więcej. Nie działa!

Przekręciłem wskaźnik na trójkę, potem na czwórkę. Chciałem, żeby doktor już wrócił. Bałem się numerów powyżej dwójki.

Wreszcie zjawił się inny doktor z dwiema pielęgniarkami. Położyli Catherine na wózku i wyszliśmy na korytarz. Wózek szybko potoczył się korytarzem do windy, gdzie wszyscy musieli przycisnąć się do ścianek, ażeby zrobić miejsce. Potem na wyższe piętro, drzwi windy otworzyły się, dalej korytarz i na gumowych kółkach do sali operacyjnej. Nie poznałem doktora w masce i czapeczce. Był tu jeszcze jeden lekarz i kilka pielęgniarek.

– Muszą mi coś dać. Muszą mi coś dać – powiedziała Catherine. – Och, proszę, doktorze, niech pan mi da tyle, żeby podziałało.

Jeden z doktorów przyłożył jej maskę do twarzy. Patrzyłem przez drzwi na mały, jasno oświetlony amfiteatr sali operacyjnej.

– Może pan wejść drugimi drzwiami i usiąść tam wyżej – powiedziała do mnie któraś z pielęgniarek.

Za poręczą, ponad białym stołem operacyjnym i lampami, wznosiły się rzędy ławek. Popatrzyłem na Catherine. Miała maskę na twarzy i leżała teraz spokojnie. Przysunęli wózek. Odwróciłem się i wyszedłem na korytarz. Dwie pielęgniarki szły pośpiesznie ku wejściu na galerię.

– Będzie cesarskie – powiedziała jedna. – Mają robić cesarskie cięcie.

Druga roześmiała się.

– Przyszliśmy w sam czas. Mamy szczęście, co? – Weszły w drzwi prowadzące na galerię. Zjawiła się inna pielęgniarka. Tej także się spieszyło.

– Niech pan wejdzie tędy. Proszę – powiedziała.

– Zostanę tutaj.

Wbiegła do środka. Zacząłem chodzić tam i z powrotem po korytarzu. Bałem się wejść. Wyrząłem przez okno. Było już ciemno, ale w świetle okna widziałem padający deszcz. Wszedłem do pokoju na końcu korytarza i zacząłem oglądać nalepki na butelkach stojących w szklanej gablocie. Potem wyszedłem znowu i stanąwszy w pustym korytarzu patrzyłem na drzwi sali operacyjnej.

Wyszedł stamtąd jeden z lekarzy, a za nim pielęgniarka. Niósł oburącz coś, co przypominało świeżo obdartego ze skóry królika, i pospieszył korytarzem do innych drzwi. Podeszedłem do nich i zajrzawszy do środka zobaczyłem, że doktor z pielęgniarką robią coś przy nowo narodzonym chłopczyku. Doktor podniósł go, ażeby mi pokazać. Przytrzymał noworodka za pięty i dał mu klapsa.

– Zdrowy?

– Wspaniały. Waży z pięć kilo.

Nie miałem żadnego uczucia do tego dziecka. Nie czułem, żeby miał ze mną cokolwiek wspólnego. Nie znajdowałem w sobie miłości ojcowskiej.

– Nie jest pan dumny z syna? – zapytała pielęgniarka.

Myli go i zawijali. Widziałem małą, siną twarzyczkę i siną rączkę, ale nie zauważyłem, żeby się ruszał, i nie słyszałem, by krzyczał. Doktor znowu robił coś przy nim. Wydawał się zdenerwowany.

– Nie jestem dumny – odpowiedziałem. – O mało nie zabił swojej matki.

– To nie jest wina tego maleństwa. Nie chciał pan chłopca?

– Nie – powiedziałem.

Doktor krztał się przy nim. Podniósł go za stopy i trzepnął ręką. Nie czekałem, co będzie. Wyszedłem na korytarz. Teraz mogłem już wejść do sali i popatrzeć. Wszedłem na galerię. Pielęgniarki siedzące przy poręczy dały mi znak, żebym zbliżył się do nich. Pokręciłem głową. Widziałem dosyć z tego miejsca.

Wydało mi się, że Catherine nie żyje. Wyglądała jak martwa. Ta część twarzy, którą widziałem, była szara. Tam w dole, pod lampami, doktor zszywał wielką, długą, rozciągniętą kleszczami ranę o grubych brzegach. Inny lekarz w masce dawał narkozę. Dwie pielęgniarki w maskach podawały narzędzia. Przypominało to rysunek przedstawiający inkwizycję. Przyglądając się temu wiedziałem, że mógłbym tak patrzeć od początku, ale byłem zadowolony, że tego nie zrobiłem. Nie przypuszczałem, żebym mógł patrzeć, jak krajali, ale widząc ranę ściaganą szybkimi, zręcznymi, niejako szewskimi ścięgami w grubą fałdę, czułem radość. Kiedy już była zamknięta, wyszedłem na korytarz i znów zacząłem chodzić tam i z powrotem. Po chwili ukazał się doktor.

- Jak ona się czuje?
- Dobrze. Przyglądał się pan?
- Był wyraźnie zmęczony.
- Widziałem, jak pan doktor zeszywał. Cięcie wydało mi się bardzo długie.
- Sądzi pan?
- Tak. Czy ta blizna się wyrówna?
- O, tak.

W chwilę potem wytoczyli wózek i bardzo szybko popychali go korytarzem do windy. Szedłem przy nim. Catherine jęczała. Na dole ułożono ją na łóżku w jej pokoju. Usiadłem obok na krześle. Była tu jeszcze pielęgniarka. Podniosłem się z krzesła i stanąłem przy łóżku. W pokoju było ciemno. Catherine wyciągnęła rękę.

- Jak się masz, kochanie – powiedziała. Głos miała bardzo słaby i zmęczony.
- Jak się masz, najmilsza.
- Co się urodziło?
- Tss... proszę nie rozmawiać – odezwała się pielęgniarka.
- Chłopiec. Jest duży, barczysty i ma ciemne włosy.
- Nic mu się nie stało?
- Nie – odrzekłem. – Ma się doskonale. Zauważyłem, że pielęgniarka spojrzała na mnie jakoś dziwnie.

– Jestem straszliwie zmęczona – powiedziała Catherine. – I bolało piekielnie. A ty dobrze się czujesz, kochanie?

- Doskonale. Nie rozmawiaj.
- Byłeś dla mnie idealny. Och, kochanie, okropnie bolało. A jak on wygląda?
- Jak obdarty ze skóry królik z pomarszczoną twarzą staruszka.
- Pan musi teraz wyjść – powiedziała pielęgniarka. – Pani nie może rozmawiać.
- Zaczekam na korytarzu.
- Idź coś zjeść.
- Nie. Będę tutaj. – Pocałowałem Catherine. Była zupełnie szara, osłabiona i wyczerpana.

– Czy mogę z siostrą pomówić? – zwróciłem się do pielęgniarki. Wyszła ze mną na korytarz. Odszedłem parę kroków.

- Co z dzieckiem? – zapytałem.
- To pan nic nie wie?
- Nie.
- Urodziło się martwe.

– Nie żyło?

– Nie dało się wywołać oddychania. Pępowina okręciła mu się na szyi, czy coś takiego.

– Więc nie żyje?

– Nie. Straszna szkoda. Taki był ładny, duży chłopczyk. Myślałam, że pan wiedział.

– Nie – odparłem. – Niech siostra wróci do żony.

Usiadłem na krześle przy stoliku, na którym leżały spięte z boku raporty pielęgniarek, i popatrzyłem w okno. Nie widziałem nic oprócz ciemności i deszczu padającego ukosem w świetle okna. Więc to tak. Dziecko nie żyło. Dlatego doktor miał taką znużoną twarz. Ale czemu robili z małym to wszystko w tamtym pokoju? Pewnie myśleli, że się ocknie i zacznie oddychać. Nie byłem wierzący, ale wiedziałem, że należało go ochrzcić. Ale jeżeli w ogóle nie odetchnął? A nie odetchnął. Nie żył ani przez chwilę. Tylko w Catherine. Nieraz czułem w niej jego ruchy. Ale od tygodnia już nie. Może przez cały ten czas był uduszony? Biedny dzieciaczek. Ach, psiakrew, gdybym ja mógł być tak się udusić! Nie udusiłem się. A nie trzeba by wtedy przechodzić przez to całe umieranie. Teraz umrze Catherine. Tak właśnie się dzieje. Umiera się. I nigdy się nie wie, o co właściwie idzie. Nigdy nie ma dość czasu, żeby się dowiedzieć. Ktoś rzuca cię na świat, uczy jakichś prawideł i jak tylko przyłapie cię na błędzie, zabija. Albo zabija w ogóle za nic, tak jak Ayma. Albo daje ci syfilis, jak Rinaldiemu. Ale w końcu zabija. Na to można liczyć. Poczekać tylko, a zobaczysz, że cię zabije.

Kiedys, w obozowisku, położyłem na ogniu kłodę pełną mrówek. Gdy się zapaliła, mrówki wyroiły się i najpierw pobiegły ku środkowi, gdzie był płomień, a potem zawróciły i pognały w stronę końca. Stłoczywszy się na krańcu, pospadały w ogień. Niektóre wypełzły, spieczone i spłaszczone, i odbiegły, nie wiedząc, dokąd idą. Ale większość uciekła w stronę ognia, potem z powrotem ku końcowi kłody, skupiła się na tym chłodniejszym końcu i wreszcie spadła w ogień. Pamiętam, iż myślałem wtedy, że to właśnie jest koniec świata, że mam wspaniałą sposobność odegrania roli Mesjasza i że mogę zdjąć kłodę z ognia i odrzucić ją gdzieś dalej, gdzie mrówki zdołałyby spełznąć na ziemię. Ale zrobiłem tylko tyle, że chlusnąłem na nią wodą z blaszanego kubka, ażeby go opróżnić i móc nalać whisky przed dolaniem wody. Przypuszczam, że ten kubek wody wylany na płonące drzewo jedynie udusił mrówki w parze.

Tak więc siedziałem teraz na korytarzu i oczekiwałem wiadomości o Catherine. Pielęgniarka nie wychodziła, więc po chwili podszedłem do drzwi, otworzyłem je delikatnie i zajrzałem do środka. Z początku nic nie widziałem, bo na korytarzu paliła się

mocna lampa, a w pokoju było ciemno. Potem dojrzałem siedzącą przy łóżku pielęgniarkę, a na poduszce głowę Catherine, teraz już płaskiej pod kołdrą. Pielęgniarka położyła palec na ustach, po czym wstała i podeszła do drzwi.

– Jak się czuje? – spytałem.

– Dobrze – odrzekła pielęgniarka. – Jeżeli pan sobie życzy, może pan iść na kolację, a potem tu wrócić.

Zszedłem po schodach, potem przez drzwi wejściowe na dwór i ciemną ulicą, w deszczu, udałem się do baru. Wnętrze było jasno oświetlone, a przy stolikach siedziało sporo ludzi. Nie mogłem znaleźć wolnego stolika; podszedł do mnie kelner, zabrał mój mokry płaszcz i kapelusz i wskazał mi miejsce naprzeciwko starszego pana, który popijał piwo i czytał wieczorną gazetę. Usiadłem i zapytałem kelnera, jakie dziś jest *plat du jour*.

– Duszona cielęcina, ale już nie ma.

– A co można dostać do jedzenia?

– Jajka na szynce, jajka z serem albo *choucroute*.

– Już jadłem *choucroute* na obiad – powiedziałem.

– Prawda – odparł. – Prawda. Jadł pan *choucroute* na obiad. – Był w średnim wieku, miał poczciwą twarz, a na ciemieniu łysinę i zaczesane na nią włosy.

– Co pan sobie życzył jajka na szynce czy jajka z serem?

– Jajka na szynce i piwo – odpowiedziałem.

– Małe jasne?

– Tak.

– Dobrze pamiętam – powiedział. – W południe pan pił małe jasne.

Zjadłem jajka na szynce i wypilem piwo. Jajka i szynkę podano mi na okrągłym półmisku – szynkę pod spodem, a jajka na wierzchu. Było to bardzo gorące i po pierwszym kąsku musiałem napić się piwa, żeby ochłodzić sobie usta. Byłem głodny i zamówiłem drugą porcję. Wypilem kilka szklanek piwa. Nie myślałem o niczym, tylko czytałem gazetę, którą trzymał siedzący naprzeciwko mnie mężczyzna. Pisali tam coś o przerwaniu frontu brytyjskiego. Kiedy tamten spostrzegł, że czytam jego gazetę z odwrotnej strony, złożył ją wpół. Przyszło mi do głowy, żeby poprosić kelnera o gazetę, ale nie mogłem skupić myśli. W barze było gorąco i duszno. Wielu siedzących przy stolikach znało się nawzajem. Tu i ówdzie grano w karty. Kelnerzy nosili piwo od bufetu do stolików. Weszli dwaj mężczyźni, ale nie mogli znaleźć wolnego miejsca. Stanęli przed stolikiem, przy którym siedziałem. Zamówiłem następne piwo. Nie chciałem jeszcze wychodzić. Za wcześnie było wracać do szpitala. Usiłowałem nie myśleć i zachować zupełny spokój. Mężczyźni stali nadal, ale nikt nie zwalniał miejsca, więc wyszli.

Wypiłem jeszcze jedno piwo. Przede mną na stoliku urosła już spora piramidka spodków. Mężczyzna siedzący naprzeciw mnie zdjął okulary, schował je do futerału, złożył gazetę, wsunął ją do kieszeni i teraz siedział z kieliszkiem likieru w ręku, i rozglądał się po sali. Nagle poczułem, że muszę wracać. Zawołałem kelnera, zapłaciłem rachunek, włożyłem palto i kapelusz i wyszedłem. Wróciłem w deszczu do szpitala. Na górze spotkałem w korytarzu pielęgniarkę.

– Właśnie dzwoniłam do pana do hotelu – powiedziała. Coś zapadło się we mnie.

– A co się stało?

– Pana żona miała krwotok.

– Można wejść?

– Nie, jeszcze nie. Jest przy niej doktor.

– Czy to niebezpieczne?

– Bardzo.

Pielęgniarka weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Usiadłem na korytarzu. Wszystko we mnie runęło. Nie myślałem. Nie mogłem myśleć. Wiedziałem, że Catherine umrze, i modliłem się, żeby nie umierała. Nie pozwól jej umrzeć. O Boże, proszę Cię, nie daj, żeby umarła. Wszystko zrobię dla Ciebie, jeżeli nie dasz jej umrzeć. Błagam Cię, błagam, błagam, dobry Boże, nie pozwól jej umierać. Boże, nie daj jej umrzeć. Błagam Cię, błagam, nie daj jej umrzeć. Boże, proszę Cię, spraw, żeby nie umarła. Zrobię wszystko co każesz, jeżeli nie dasz jej umrzeć. Zabrałeś dziecko, ale jej nie pozwól umierać... niech już tak będzie, ale jej nie daj umrzeć. Błagam Cię, błagam dobry Boże, nie pozwól jej umrzeć.

Pielęgniarka otworzyła drzwi i skinęła na mnie palcem. Wszedłem za nią do pokoju. Catherine nie podniosła oczu, kiedy stanąłem w progu. Podeszedłem do łóżka. Doktor stał przy nim z drugiej strony. Catherine spojrzała i uśmiechnęła się do mnie. Pochyliłem się nad łóżkiem i rozplakałem się.

– Biedactwo kochane – powiedziała Catherine bardzo cicho. Była zupełnie szara.

– Nic ci nie jest, Cath – szepnąłem. – Wszystko będzie dobrze.

– Ja umieram – powiedziała. Potem odczekała chwilę i dodała: – To okropne.

Wziąłem ją za rękę.

– Nie dotykaj mnie – poprosiła. Puściłem jej rękę. Uśmiechnęła się. – Mój biedaku. Dotykaj mnie, ile chcesz.

– Będziesz zdrowa, Cath. Jestem pewien, że będziesz.

– Chciałam napisać do ciebie list na wypadek, gdyby coś się stało, ale nie napisałam.

– Czy chcesz, żebym sprowadził księdza albo kogoś, kogo chciałabyś zobaczyć?

– Tylko ciebie – odrzekła. A po chwili: – Nie boję się. Ale to takie ohydne.

– Nie powinna pani tyle mówić – wtrącił doktor.

– Dobrze – odpowiedziała Catherine.

– Czy chcesz, żebym coś zrobił, Cath? Może coś ci przynieść?

Uśmiechnęła się.

– Nie. – A po chwili: – Nie będziesz robił tych naszych rzeczy z inną dziewczyną ani mówił tych samych słów, prawda?

– Nigdy.

– Ale ja chcę, żebyś miał dziewczyny.

– Ja nie chcę.

– Pani za dużo mówi – powiedział doktor. – Pan Henry musi teraz wyjść. Może przyjść później. Pani wcale nie umrze. Proszę nie mówić takich niemądrych rzeczy.

– Dobrze – powiedziała Catherine. – Będę do ciebie przychodziła w nocy – dodała. Było jej bardzo trudno mówić.

– Proszę, niech pan wyjdzie z pokoju – rzekł doktor. – Pani nie może rozmawiać. Catherine uśmiechnęła się do mnie. Twarz miała szarą.

– Będę na korytarzu – powiedziałem.

– Nie martw się, kochanie – odrzekła. – Nie boję się ani trochę. To tylko jest zwykłe świństwo.

– Moja dzielna, najdroższa.

Zacząłem na korytarzu. Czekałem długo. Z sali wyszła pielęgniarka i zbliżyła się do mnie.

– Obawiam się, że z panią jest bardzo niedobrze – powiedziała. – Boję się o nią.

– Nie żyje?

– Nie, ale jest nieprzytomna.

Okazało się, że miała jeden krwotok po drugim. Nie mogli tego powstrzymać. Wszedłem do pokoju i zostałem przy Catherine, dopóki nie umarła. Przez cały czas była nieprzytomna i nie konała zbyt długo.

Na korytarzu zapytałem doktora:

– Czy dziś jestem jeszcze na coś potrzebny?

– Nie. Nie można teraz nic zrobić. Czy mógłbym odwieźć pana do hotelu?

– Nie, dziękuję. Zostanę tu jeszcze chwilę.

– Wiem, że nie ma nic do powiedzenia. Nie potrafię panu wyrazić...

– Nie – odparłem. – Nie ma nic do powiedzenia.

- Dobranoc – rzekł. – A może jednak odwiozę pana do hotelu?
 - Nie, dziękuję.
 - Zrobiliśmy wszystko, co było można – powiedział. – Operacja wykazała...
 - Nie chcę o tym mówić – przerwałem.
 - Chciałbym odwieźć pana do hotelu.
 - Nie, dziękuję.
- Oddalił się korytarzem. Podeszedłem do drzwi pokoju..
- Teraz pan nie może wejść – powiedziała jedna z pielęgniarek.
 - Owszem, mogę – odparłem.
 - Jeszcze nie.
 - Proszę stąd wyjść – powiedziałem. – I ta druga też.

Ale kiedy je odprawiłem, zamknąłem drzwi i zapaliłem światło, okazało się, że to na nic. Było to tak, jakbym się żegnał z posągiem. Po chwili wyszedłem ze szpitala i w deszczu wróciłem do hotelu.